

Hera Lind

MEŹCZYŻNA NA KAŻDĄ  
TONACJE

## Rozdział I

Za ścianą wyśpiewywał sopran.

Całkiem niezłe. Z prawdziwym natchnieniem.

Głos świeży, wręcz dziewiczy, trochę rozkochany w sobie.

- Duaa duaa dua - przenikało przez hotelowe tapety.

(„Dua dua na klarnecie, co wy na to, co powiecie?”)

Ziewnęłam, przeciągnęłam się niezbyt subtelnie i usiadłam na brzegu solidnego, niemal kwadratowego łoża. Rzut oka na radio z budzikiem: wpół do jedenastej.

Bądź co bądź, dane mi było sześć godzin głębokiego snu. Dopóki ta panna sopranna zza ściany nie zaczęła swoich treli. Podobno niektórych budzą ptasie trele. Mnie nie. A już na pewno nie podczas podróży koncertowych. Wtedy zawsze jacyś nadgorliwi koledzy muszą przesyłać mi na dzień dobry muzyczne pozdrowienia przez ścianę. Właśnie, w objazdach trzeba się porządnie rozśpiewywać.

Wzorowa koleżanka, ta sąsiadka z prawej. Ta na pewno nie szlajała się do wpół do piątej.

Dziecko, nigdy nie będziesz damą. Że też znowu musiałaś zamienić noc na dzień. Spójrz do lustra. Jak ty wyglądasz! Podkowy pod oczami, wypieki na policzkach. (Czy to nie ślady pocałunków?) I te włosy! Dziecko, musisz natychmiast iść do fryzjera.

Za drzwiami buczał odkurzacz. Głośno debatowały dwie cudzoziemskie pokojówki. Wywiesiłam szyldzik: „Proszę nie przeszkadzać”.

Szkoda, że nie ma szyldzików: „Proszę nie beczeć”. Podrzuciłabym pod drzwi tej ciotce zza ściany.

Bufet oczywiście już dawno sprzątnięty po śniadaniu. Z plastikowej torby na dnie szafy wygrzebałam pojemnik z chudym twarożkiem i posiliłam się siedząc na skraju łożka. Potem wyszperałam w torbie mojego małego przyjaciela,

kamerton, i przeniosłam się do łazienki, żeby się rozśpiewać. W końcu za trzy godziny próba, z wielkim mistrzem.

Kamerton zawsze mnie informuje, gdzie jest „a”, w szczególności kiedy jestem zasmarkana i zachrypnięta. Tym razem „a” było przerażająco wysoko. Dalej, dziecko. Sama jesteś sobie winna, nie roztkliwiaj się, czas poćwiczyć.

- Mia mia maamm... - zawarczałam, a w głowie warczało mi nieporównanie głośniej. - Mumma mamma miii... - spróbowałam ponownie.

Łazienka bezlitośnie odpowiedziała echem glazury. Chrypienie, rżenie, smarkanie.

Pierwsze tony zawsze są okropne, przychodzą z trudem, brzmią nieśmiało, jakby nie były moje. Zwłaszcza w łazienkach hotelowych, kiedy wokół słuchają koledzy. A pokojówki, wyłączwszy odkurzacze, zdziwione, opuszczają szczotki.

Śpiewaczka - płaczka.

Gama w górę, gama w dół. Okropność. Wszystko grzęźnie w gardle. Gdzie znów zapodziała się ta musująca aspiryna? W plastikowej torbie na dnie szafy. Rozpuściłam sobie jedną w szklance do mycia zębów. Sopran obok wiwatował przynajmniej do „b”. Au, moja głowa!

Opadłam na brzeg wanny. Dlaczego, stara? Dlaczego nie jesteś taka porządna jak ta pasjonatka zza ściany? Dlaczego nie kładziesz się do łóżka o wpół do jedenastej, z nutami, i tylko z nutami?!

Tak, było wpół do piątej, kiedy znalazłam się w łóżku, to znaczy znalazłam się w łóżku sama. Dziecko, czy to MUSIAŁO znów się zdarzyć?

Mój bezwstydnny potwór wewnętrzny znów mi się wymknął i wbrew zakazom swawolił przez pół nocy. Po prostu przegryzł sznur, bestia.

Podniosłam się i zapytałam o zdanie kamerton. „A” bezlitośnie bzyknęło mi w skacowaną mózgownicę. Dalej, dziecko. Nie zniechęcaj się.

Gama w górę, gama w dół. W szajs - moll.

Ktoś zapukał. Dźwięk uwiązał mi w gardle. Proszę nie przeszkadzać! Kto śmie: Rittersmann czy Knapp (Nazwiska znaczące: Rittersmann - rycerz, Knapp - nietęgi, byle jaki. (Przyp. tłum.)?) Prawdopodobnie to któryś z tej wczorajszej dwójki. Obój i róg. Koledzy z orkiestry. Niestety, jak sobie popuszczą cugli. Wszyscy zamieniają się w rycerzy, i to nie byle jakich!

- Co proszę? - - spytałam najczystszy tonem cioci Lili. „Uprzejmie, ale stanowczo”, choć ze sporą domieszką pieprzu i octu.

- Tu Jurgen!

Jaki Jurgen? Ach tak, obój. Więc jednak.

Podeszłam do drzwi. Nic innego nie przyszło mi do głowy. Jürgen. Nieciekawy rozdział podróży koncertowych, W tej chwili nadzwyczajnie miły. I nienadzwyczajnie żonaty. Pierwszy oboista.

- Cześć, Jurgen. Co sprowadza cię pod moje drzwi?

- Usłyszałem, jak śpiewasz, i pomyślałem, że już wstałaś.

- Skądże. Zawsze śpiewam przez sen. Co to było? „Królowa nocy?” Jurgen stał z otwartymi ustami. Znów uderzyło mnie to znamię na górnej wardze od ciągłego ściskania ustnika instrumentu.

Chyba za ostro. Rycerz specjalnie przygalopował przez siedem gór, chciałam powiedzieć przez czternaście schodów, a dziewczyna z wieży nie chce rozpuścić swych złocistych włosów.

- Wybacz, Jurgen - załagodziłam kulturalnie. (Bądź zawsze uprzejma, dziecko, miła i skromna, to otworzy przed tobą wszystkie drzwi!) Właściwie chciałam raczej zatrzasnąć

drzwi. Ale nie wypadło. Potwór leżał jeszcze w swojej budzie i obgryzał pazury przednich łap. Jeszcze się porządnie nie rozbudził po nocnych szaleństwach.

- Lubię twój głos, mogę trochę posłuchać, jak ćwiczysz? -  
- Jurgen jedną nogą przestąpił już próg.

- Nie. Jeszcze się nie rozśpiewałam. - To przecież musi zrozumieć. Zawracaj konia i patataj.

- Ale ja lubię twój głos, nawet kiedy nie jesteś rozśpiewana - upierał się Jurgen, i tego było już zdecydowanie za dużo dla mojej ponurej, skacowanej psychiki. Potwór wystrzelił zza swojego przepierzenia i wyszczerzył kły, tocząc pianę z pyska:

- Wynoś się!

Trzasnęłam drzwiami i wyobraziłam sobie, jak Rittersmann wlepia oczy w ich ciemne drewno i energicznie kołyszący się szyldzik „Proszę nie przeszkadzać”.

## Rozdział II

W sali prób panował gwar: rozmowy, śmiechy, żarty, niektórzy usiłowali jeszcze dostroić instrumenty albo szlifowali trudniejsze pasaże. Jurgen pogrążony w myślach siedział na krześle i pieścił ustnik swojego oboju. Pilnie, z zaślinionymi wargami i dołeczkami od zadęcia na twarzy. Ustnik wydawał z siebie odgłosy pełne udręki, sam obój leżał obojętnie w częściach. Mogłabym podejść i powiedzieć, że lubię słuchać, jak rozmiękcza ustnik, pomyślałam ze złością. Lubię twój obój nawet bez ustnika, czy coś w tym rodzaju. Może by zrozumiał, jak głupio się zachował. Ale urażony rycerz nawet nie zaszczycił mnie spojrzeniem.

I bardzo dobrze. Ten, kto się śmieje i figluje z chórem, niech się nie dziwi, jak dostaje w skórę.

Kiedy wszedł maestro, przywitało go stukanie w pulpity. Mistrz batuty. Powszechnie znany. W każdym razie z okładek płyt i z radia.

Mistrz przyklepał sobie kosmyki rzadkich, tłustych włosów do potylicy i przymocował je spinką. Następnie energicznie uściśnął rękę pierwszego skrzypka. Ten zerwał się służbiście, dziarsko odwzajemniając uścisk. Nie zdołałam zrozumieć serdecznych słów, które wymienili.

Nieoczekiwanie cienkim głosem maestro obwieścił:

- Takt dwadzieścia, panie pierwsze, proszę o spokój, nie jesteśmy w przedszkolu. - Słuszna uwaga. Wzięliśmy się w garść. Praca to praca.

W sali kręciło się kilkanaście osób. Mecenas sztuki i znawcy, i swoi, i różni mądrale. Inspicjenci i chórmistrze, i korepetytorzy, i tragarze nut czy tragarze kamertonów, bo ja wiem. W każdym razie ważne osobistości. Usiłowałam skoncentrować się na próbie.

- Takt trzynaście na trzy proszę sforzato, a od taktu szesnaście zaczyna się diminuendo.

Aha. Ogólne wydobywanie ołówków i kiwanie głowami.

Zastanawiałam się, co będę robić po diminuendo, to znaczy dzisiaj wieczorem. Pójść do restauracji? Z kolegami? To już było, tyle razy.

Sama? Do kina? A może, jak przystało, wrócić do pokoju hotelowego? I włączyć telewizor? „Zdrowy świat” z Theklą Carolą Wittą Meisel? Z pewnością najlepiej i najzdrowiej!

Jurgen nie wchodził w grę. Już raczej Bobby Ewing.

Dwanaście. Pianissimo. Proszę bardzo.

Wokół najróżniejsze głosy zlewały się w interesującą mieszankę wibrata, oddechu i nie odchrząkniętego timbru wczorajszego wieczoru. Kilka rozkochanych w sobie pełnych tonów. Nasze talenty. Soliści, którym się nie powiodło. Jeszcze ktoś ich odkryje. Może dzisiaj wieczorem, właśnie dzięki tym rozkochanym w sobie pełnym tonom.

Z tyłu drżące wibrato, z prawej zapach czosnku. Postanowiłam, że dzisiejszy wieczór spędzę samotnie w swoim pokoju.

- Co pani porabia? Jest pani sama?

- Kto mówi? - (Tonacja: „Kto śmie, Rittersmann czy Knapp?”)

- Georg Lalinde.

Aha. Skąd ja znam to nazwisko?

- Poznaliśmy się przed dwoma tygodniami, po „Dziwiątęj” w Braunschweig. Pewnie pani nie pamięta.

Ach, to ten. Krytyk.

- Dobry wieczór, panie Lalinde. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

- Jestem we Frankfurcie. Właśnie panią widziałem, byłem na próbie. Aha. Jeden z tych, co się kręcili po sali. Nie przyglądałam się.

- I co, podobało się panu? - A co miałam powiedzieć?

- Chętnie zreferowałbym to pani przy kieliszku wina. Ma pani ochotę?

Ochotę na wino - to zależy. Ochotę na omawianie próby - umiarkowaną. Ochotę na pana Lalinde - owszem. To może być bardziej interesujące niż magazyn gospodarczy w szklanym okienku.

Co włożyć, co powiedzieć, czego on ode mnie chce?

- No dobrze, mam dzisiaj wolny wieczór. Gdzie się spotkamy?

- Jestem na dole w hallu.

Człowiek czynu. Odłożyłam słuchawkę i przebrałam się. Tylko bez przesady. Ten facet jest dla ciebie o wiele za stary. Właściwie to nie jest w dobrym guście wychodzić z nim. Wczoraj wpadka z Jurgenem, dzisiaj ten krytyk, wymuskany czterdziestoparolatek z równym przedziałkiem, w jasnym popelinowym płaszczu i w krawacie. Skąd w ogóle wziął się we Frankfurcie?

To był niezwykle miły wieczór. Najpierw wałęsaliśmy się po Sachsenhausen, wpadając po drodze na wino jabłkowe, które popijaliśmy z masywnych szklanek, potem wylądowaliśmy w surowej knajpie z sielskimi drewnianymi stołami i zasiedliśmy obok siebie na wąskiej ławie.

- Dwa wina jabłkowe z serem i dużą porcją muzyki! - Już się robi, proszę państwa!

Gruby, łysy gospodarz w nie pierwszej czystości fartuchu elegancko wziął zakręt, kierując się na ladę.

- Dlaczego właściwie pan do mnie zadzwonił? I co pan robi we Frankfurcie? Nie ma pan nic do roboty w domu?

- Piszę o pracy na próbach. Żaden z moich kolegów nie miał na to ochoty. Wolą siedzieć na miejscu.

- A pan?

- Chwilowo raczej nie.



Pauza. Milczenie. Rzut oka na mnie, rzut oka na ser. Niezgrabne dhubanie w plasterkach cebuli. Przypomniała mi się poranna próba i nowe komponenty zapachowe w drugim rzędzie. Koledzy tankowali na czosnkowo u Greków.

- Co porabia żona, jak dzieci?

Wtedy rozmawialiśmy o tym pobieżnie. Zapomniałam, co o nich opowiadał. W gruncie rzeczy zapomniałam i o nim.

- U córki wszystko w porządku. Nina startuje w konkursie fortepianowym. Ma spore szanse.

Aha. A więc dziewczynka. W jakim wieku? Pewnie mi wtedy powiedział. Zwyczajne pogawędki na takich przyjęciach, kiedy już nie mówi się o muzyce, a jeszcze jest szampan. I jeszcze nie czeka nasz autobus.

- A żona? Co u niej?

Ją też poznałam. Dziecko, ależ to dama. Chyba koło czterdziestki, kostium rozmiar trzydzieści osiem i pasemka w krótko przyciętych włosach.

- Dużo podróżuje.

Aha. Resztę powinnam sobie sama dośpiewać? Milczenie. Obracanie szklanek z jabłecznikiem. Opowiadam o sobie, O próbach, o innych podróżach koncertowych, o kolegach. Temat rzeka. Zawsze ratuje nastrój, naprowadza na świeże wątki. Georg Lalinde znów się roześmiał. Wypytywał o szczegóły. Puściło, prawidłowo.

- Jeszcze dwa wina!:

W którymś momencie ujął mnie za rękę. Ale ja potrzebowałam jej, żeby gestykulować, naśladować, podkreślać. I trzymać papierosa. Poczęstował mnie ze swojej złotej papierośnicy. Smakował obrzydliwie, tak jak zazwyczaj smakuje pierwszy papieros. Nieprzyjemne uczucie, zawrót głowy. Dziecko, dlaczego to zrobiłaś, akurat teraz, po dwudziestu ośmiu latach upartego niepalenia?

Wpadka przy gaszeniu. Poparzyłam sobie palec. Georg Lalinde uśmiechnął się ściągniętymi ustami, cynicznie.

- Od kiedy pani pali?

- Odkąd muszę dbać o zajęcie dla rąk. - Dziecko, daj spokój tym przytykom.

Miałam ochotę wyjść. Próbował podać mi płaszcz. Nie, dziękuję. Nie uznaję tych staroświeckich manier. W końcu przynajmniej od dwudziestu czterech lat jakoś sama radzę sobie ze swoim płaszczem.

Wędrowałam obok niego z rękami zatopionymi w kieszeniach płaszcza. W Sachsenhausen tymczasem pojawiły się wysokie krawężniki. Bruk ulicy lśnił od wilgotnej mgły.

- Taksówką czy pieszo?

- Pieszo.

U stóp rozświetlonego konturu miasta rozlewał się zimny, ciemny i obojętny Men. Oddychałam głęboko i systemowo. Znów mieć jasno w głowie. Znów znaleźć się w ciepłym hotelowym łóżku. Sama.

- Zmęczona?

- To był długi dzień.

- Odpowiada pani takie życie?

- Co pan ma na myśli? - Wiedział o moich eskapadach? W końcu nie jestem jakaś pierwsza lepsza. Zupełnie mi to nie odpowiadało.

- No, tak w grupie, a mimo to samotnie. Wciąż w rozjazdach. Bez rodziny, czy ja wiem, bez męża, dzieci, własnego kąta i tak dalej.

- Chwilowo mi to odpowiada. Podróżować, muzykować, spotykać się z ludźmi i jeszcze przy tym zarabiać pieniądze...

- A później? Kariera czy rodzina?

- Kariera na pewno nie. To nie w moim stylu. Rodzina...

- Więc nie kariera? - Chyba nieco zbyt dociekliwy ton.

- Nie. A może wyglądam na taką?

- Musiałaby się pani nauczyć, jak pozwolić podawać sobie płaszcz.

- A więc nici z kariery.

- A mężczyzna, za którego pani wyjdzie, czy też nie będzie mógł podawać pani płaszcz?

To mi dopiero amant. Popelinowy płaszcz, krawat, złota papierośnica. Mógłby być moim ojcem. Na oko o osiemnaście do dwudziestu lat starszy.

- Szczerze mówiąc, takie śmieszne drobiazgi nie mają dla mnie żadnego znaczenia.

Wywiązała się dyskusja na ten niezbyt ożywczy temat. Mimo to przyjemnie było znów być trzeźwą i móc krygować się na przekornego uparciucha.

- Odprowadza mnie pan do hotelu? Nie trzeba. Mogę się sama przejść. Zatrzymał się. Spoglądał na mnie rozczarowany.

- Czy naprawdę jest pani taką nieszczęśliwą ofiarą fałszywego feminizmu?

Lalinde miał rację. Zachowywałam się niemożliwie.

- Przepraszam. Trochę się zagalopowałam. Byłoby mi przyjemnie, gdyby mnie pan odprowadził do hotelu...

- Mała trajkotka.

Wziął mnie pod rękę i ruszyliśmy dalej. Ramię w ramię. Żeby chociaż nie spotkać kolegów. Taki wstyd. Ja i krytyk.

Miał przyjemny zapach. Bardzo dyskretny i miły. Pod hotelem przytrzymał moją rękę odrobinę dłużej, niż to było konieczne.

- Dobranoc, pani lwico. Było mi z panią bardzo miło.

- Jestem skorpionem.

- Dla mnie jest pani lwicą.

- Aha. Jeśli tak, to nie ma rady. W takim razie chyba będę musiała jeszcze rozszarpać ze dwa szakale i udać się do swojej jaskini.

Odwrócił się, odszedł dwa kroki i stanął. Ten ruch, ten jego gest niezdecydowania, jakże często miałam to jeszcze oglądać.

- Jestem bardzo szczęśliwy. I rozplynął się we mgle.

### Rozdział III

Następnego ranka telefon: mam oddzwonić do mojego agenta. Zastępstwo w weekend. Handel w K.

Ucieszyłam się. Doskonały termin. Praca we Frankfurcie kończy się w piątek wieczorem.

Przez następne dni byłam względnie skoncentrowana na ćwiczeniu i próbach.

W piątek był wielki koncert chóru w Alte Konzerthalle. Sala pękała w szwach, pewnie sprzedano wszystkie bilety. Byliśmy dobrzy i otrzymaliśmy spore brawa.

Szukałam w sali Lalinde. Nie pojawił się od tamtego wtorku. Jest, siedzi zasłuchany, z dłonią na ustach, typowa dla niego postawa skoncentrowanego słuchacza.

Uśmiechnęłam się do niego. Nie zmienił wyrazu twarzy. Dziecko, daj spokój. No tak, przecież jest tu służbowo, tak samo jak ja.

Podczas oklasków wstał, zapiął marynarkę i pośpiesznym krokiem opuścił salę. Pewnie jeszcze tego wieczoru musi napisać recenzję i dostarczyć swojej gazecie.

Kiedy zniknął w jednym z otwartych już tylnych wyjść, było mi niemal przykro.

Wsiadłam w wieczorny pociąg do K., by nazajutrz w porę pojawić się na generalnej próbie mojego koncertu solowego. Początkowo byłam w przedziale sama. Rozkoszowałam się tym, próbowałam urządzić się przytulnie, ułożyłam sobie nogi na siedzeniu i zatonąłam w nutach.

- Dobry wieczór. Czy jest tu wolne miejsce?

Aha, mężczyzna. Między trzydziestką a czterdziestką. Wygląda sympatycznie.

- Jak łatwo zauważyć.

Wszedł, wrzucił na półkę skórzaną aktówkę, z wyglądu bardzo ważną, usiadł. Znowu wstał, pokręcił przy ogrzewaniu,

przerzucił kartki magazynu z mniej lub bardziej istotnymi informacjami Deutsche Bundesbahn. Usiadł energicznie.

Nuty zaczęły mi się chwiać. Usiłowałam skoncentrować się. Ciężka fraza, niesamowicie długa, ciężka fraza. Przybysz odchrząknął.

Zamknęłam oczy. Takt trzy czwarte, wolne tempo.

- Czy to nuty?

- Nie, rozkład jazdy w języku południowonepalskim. - Zachichotałam. Niestety. Często śmieję się z własnych żartów.

- Dowcipna z pani osoba.

- Profesjonalista zachowuje powagę. - Byłam zła. Co teraz? Handel czy small talk?

- Daleko pani jedzie? A więc small talk.

- Do K. A pan?

- Też. Miły zbieg okoliczności.

Uśmiechnęłam się. Niezwykle miły zbieg okoliczności. Biedny Georg Friedrich. Nuty Handla leżały na moim łonie. Nie do końca przestudiowane.

- Czy to pani zawód?

- Chodzi panu o czytanie nut? Tak. To mój zawód. A pana zawód? Zawsze karzę wścibstwo większym wścibstwem. To niezła sztuczka. Niezawodna. Zmusza ciekawskiego, żeby sam się wypowiedział.

- Niech pani zgadnie.

Ach, mój Boże, taki numer. Zgaduj zgadula. Ma pani trzydzieści sekund, czas, start.

Taksowałam go z rezerwą. Bardzo drogi sweter, marki „Najlepsza konfekcja męska w K.”, bardzo dobrze leżące spodnie z kantem, wyczyszczone buty. (Dziecko, to solidny facet.) Broda, pełna, ale starannie utrzymana. I fryzura, dynamiczna, elegancka. Nie, to nie jest lalusz. Ale zadbane. Ciekawe, czy w piżamie też ma kanty? Obrączki w każdym

razie nie ma. A więc jeśli ma kanty, to prasuje mu je gospodyni albo w najgorszym razie matka.

- Świadczy pan usługi dla ludności?

Po tym, że się nie roześmiał, lecz odpowiedział spontanicznie i poważnie: - Tak - poznałam, że albo nie ma poczucia humoru, albo nigdy jeszcze nie oglądał zgadywanki Roberta Lembkego.

- Pracuje pan w zamkniętym pomieszczeniu?

- Tak.

- Od czasu do czasu na wolnym powietrzu?

- Rzadko.

- Za „na pewno nie” pięć marek panu należy się. Tym razem się roześmiał.

A więc jednak widział Roberta Lembkego.

- Czy coś pan wystawia?

- Nie bezpośrednio.

- Niech pan lepiej powie: poniekąd. Za „poniekąd” dwa pięćdziesiąt. Popatrzył na mnie osłupiały.

- Pani chyba spędza dużo czasu przed telewizorem? Tego rodzaju pytania nie należą do przyjemnych.

- Więc załatwmy to krótko, jest pan prawnikiem. Od rozwodów i prawa rodzinnego.

- Wyglądam na takiego?

To znów typowe. Najpierw kazać zgadywać, a potem się obrażać.

- Albo docentem biochemii. Albo specjalistą od marketingu.

- Prawie trafiła pani z tą biochemią.

- Dyrektor zoo. - Dziecko, nie bądź nieuprzejma. Wyczuł, że mam już dość.

- Nie. Jestem medykiem. - Skromnie i po prostu.

Czego teraz oczekuje? Dalszych pytań? O stanowisko, specjalizację, uposażenie? Ginekolog czy dentysta? A potem

kilka pytań w rodzaju: Gdzie właściwie mieszczą się gruczoły limfatyczne?

Powiedziałam: - Aha. - I to wszystko. Chyba nie przywykłam do tego.

- A pani?

Więc jednak nie był zakochanym w sobie bubkiem.

- Śpiewam.

Teraz on z kolei nierozumnie wytrzeszczył oczy. Jasne, że musiały teraz paść pytania w rodzaju: Naprawdę? Rozrywka czy opera? A co pani robi za dnia? Ale popatrzył tylko na porzuconego Handla i spytał:

- Oratorium?

Spojrzałam na niego promiennie. Że też zna takie trudne słowo! I użył go najzupełniej poprawnie! Nagle wydał mi się niezmiernie sympatyczny.

Rozmawialiśmy do samego K., o wszystkim. Nuty ześliznęły się na siedzenie obok. Opowiedziałam mu o próbach we Frankfurcie, zdradziłam też, że jutro będę miała występ solowy w K. Nie bez dumy.

On przed dwoma laty otworzył praktykę. Psychoanaliza czy coś w tym rodzaju. Na szczęście nie miałam z tym jeszcze do czynienia.

- Może pani wpaść do gabinetu.

- Po co? Jestem bezwstydnie zdrowa. Ale pan może wpaść na koncert!

- Po co? Jestem bezwstydnie niemuzykalny.

Dojechaliśmy do K. Pożegnaliśmy się krótko - widocznie ktoś na niego czekał.

Wysiadłam, nie odwróciłam się. Wzięłam taksówkę i pojechałam do domu.

W automatycznej sekretarce nie było niczego ciekawego. Żadnej interesującej korespondencji. W lodówce nic godnego uwagi.



Wzięłam gorącą kąpiel i poszłam do łóżka. Pomyślałam trochę o Lalinde, pomyślałam trochę o lekarzu dusz z intercity. I dość prędko zasnęłam.

Dyrygentem w St. Hildebold był starszy, energiczny pan, który z takim impetem wymachiwał pałeczką dyrygencką, że strach ogarniał, czy nie skończy się to zawałem serca. Chór składał się z mnóstwa krzepkich babć, z których każda mniej lub bardziej przypominała mi moją ciocię Elsbeth. Czerwonouste i prosto od fryzjera.

Bo też było to duże wydarzenie. Händel w St. Hildebold. Wielomiesięczne przygotowania. Prawdopodobnie w parafii nie mówiło się ostatnio o niczym innym.

Podziwiałam te babcie, jak przez niemal dwie godziny stały równo w szeregu, bez ruchu. Nawet podczas długich arii solowych nie ruszały się i słuchały z nabożeństwem.

Każda miała na sobie białą bluzkę z mniejszą lub większą ilością falbanek i długą czarną spódnicę. Wyglądały, jakby wszystkie miały jedną krawcową.

Panowie - nieproporcjonalnie nieliczni - byli w ciemnych garniturach i białych muszkach. Ryczeli jeden przez drugiego, dziarsko i głośno. Takiej fugi Handla nie da się inaczej. Tenory wzmacniało kilka pań. Właściwie też powinny być w ciemnych garniturach z białą muchą. Ze względów optycznych.

Czekając na moją arię, uważnie obserwowałam chór. Zawsze jest jakaś twarz czy kilka twarzy, które wyróżniają się w ogólnym obrazie, czy dlatego że są szczególnie miłe, czy szczególnie niemile, czy po prostu śmieszne. Na przykład pani na prawym skrzydle bardzo nienaturalnie i przesadnie otwiera usta. Jakby śpiewała dla głuchoniemych. Inna zupełnie zniknęła za nutami. Można było tylko domyślać się twarzy za nimi. Młoda kobieta w pierwszym szeregu energicznie

przytupuje w takt na marmurowej posadzce prezbiterium. Prawdopodobnie uważa się za szczególnie muzykalną.

Dyrygent wymachiwał rękami. Od dawna pot spływał mu po twarzy, a jedna kropla wisiała na podbródku, po czym przy energiczniej zaznaczonej mocnej części taktu spadła na niezupełnie już świeżą, wykrochmaloną koszulę.

Wstęp do mojej arii. Stłumiłam lekkie bicie serca, oddychając systemowo. Rzut oka spoza nut, dziecko. Uprzejme spojrzenie. Ludzie chcą też czegoś dla oczu.

Nagle odkryłam Lalinde. Trzeci rząd po lewej, zagłębiony w krzesła, dłoń na ustach, pozycja skupionego słuchacza.

Stłumione przed chwilą bicie serca znów się wzmoгло. Co ten tu robi, na tym podmiejskim koncercie? Przecież niemożliwe, żeby chciał pisać recenzję z takiej prowincjonalnej imprezy.

Śpiewałam swoje koloratury niemal rozgniewana, myśląc nie tylko o Georgu Friedrichu Handlu.

Wielki stary mistrz zechce mi wybaczyć. Nienawidzę niespodzianek na koncertach. Moi fani powinni łaskawie meldować się z góry.

Ale może wcale nie przyszedł tu ze względu na mnie? Sopranistka była znaną śpiewaczką i skończenie piękną kobietą. Młoda, piękna, muzykalna i świeżo po rozwodzie. Takie myśli chodziły mi po głowie podczas niezbyt pewnie wykonywanych koloratur. A gdzie miałam je wyćwiczyć? Chyba tylko w łazience hotelowej we Frankfurcie. W intercity nie wyszło.

Usiadłam.

Lalinde nie zdradził żadnych emocji. Zmienił tylko rękę. Bicie serca ustąpiło. Chór triumfował z nowym zapalem. Koniec pierwszej części.

Przerwa. Ogólne chrząkanie, dostrajanie instrumentów. Dyrygent i my, soliści, wyszliśmy. To podkreślało naszą

ważność, prawdopodobnie spowoduje oklaski przy ponownym entré. Poza tym - miałam pilną potrzebę. A dyrygent musiał zmienić koszulę.

By zostawić go samego przy przebieraniu, oddaliśmy się na kilka minut do kościelnego ogródka. Chodziliśmy tam i z powrotem, nuciliśmy, prawie nie rozmawialiśmy. Rozmowy szkodzą intonacji. W każdym razie tak sobie wyobrażaliśmy. Chyba wszyscy byliśmy trochę podenerwowani.

Za ogrodzeniem stał Lalinde. Gdy jeszcze zastanawiałam się, czy mam się z nim przywitać i jaki stopień serdeczności byłby tu najbardziej na miejscu, pośpieszyła do niego sopranistka i serdecznie uścisnęła mu dłoń. Aha. Więc to dla niej. Też dobrze. Prawdopodobnie więc zapraszał ją na szklankę wina jabłkowego dziś wieczorem.

Koleżanka mówiła coś do niego, gestykulowała, śmiała się. Lalinde stał z odwróconą ode mnie twarzą, prawie bokiem do ogrodu i słuchał, z dłonią przy ustach. Potem coś powiedział, cicho i krótko. Zaśmiała się, odwróciła i skinęła na mnie.

Niechętnie podeszłam. Gdyby nie ogrodzenie, oczekiwałabym, że to on podejdzie, jeśli życzy sobie ze mną rozmawiać. Czuję się na wskroś solistką kameralistką i wcale nie byłam skłonna w przerwie mojego koncertu udzielać posłuchania pierwszemu lepszemu krytykowi.

- Witam, pani Iwico - powiedział i uśmiechnął się znacząco. Koleżanka, zaskoczona, mruknęła coś o rozśpiewaniu się i odeszła.

- Niech pan lepiej nie rozgłasza swojej oryginalnej nomenklatury astrologicznej - powiedziałam gniewnie. - Co pan tu w ogóle robi?

- Chciałem posłuchać pani śpiewu!

- Żarty na bok. Chyba nie pisze pan recenzji z tego oratorium?

- Jestem tu zupełnie prywatnie.

- Aha, sopranistka? - W tej chwili byłam gotowa odgryźć sobie język. Ktoś mnie wołał. Odwróciłam się.

- Gramy dalej?

Drzwi plebanii były otwarte, widać było starszą panią w białym fartuchu i basistę. To on mnie wołał.

- Telefon do ciebie.

- Do mnie? - spytałam głupio i popatrzyłam pytająco na Lalinde.

- Covent Garden! - zażartował.

Zostawiłam go, poszłam na plebanię. To chyba jakieś nieporozumienie.

W salonie, tak pocziwym, że wręcz awangardowym, z brokatowymi poduszkami na sofach i wszechobecnymi pokryciami troskliwie ozdobionymi haftem, odszukałam telefon.

- Słucham? - Zapach czerwonej kapusty.

- Czy rozmawiam ze śpiewaczką? - spytał męski głos; wiedziałam, że go znam.

- Tu są różne śpiewaczki - odpowiedziałam niepewnie, z nadzieją, że to jakiś bezradny dyrygent, któremu nawaliła solistka. Jakieś intratne zastępstwo? Serce uderzyło mi mocniej.

- Chodzi mi o panią, która wczoraj wieczór jechała z Frankfurtu do K. Solidny. Z intercity. Serce wciąż bije.

- Jestem zajęta, trwa koncert!

- Wiem, ale teraz jest przerwa. Dzwoniłem już dwadzieścia minut temu, gospodyni proboszcza powiedziała, że jest pani chwilowo „nieprzystępna”. - Zachichotał.

- Tak, w kościele niestety nie ma telefonu - powiedziała i spojrzałam na zegarek. Na pewno już dawno się zaczęło!

- Jak długo jeszcze będzie pani zajęta? - zapytał Solidny.

- Cały wieczór. Po koncercie jest przyjęcie. Muszę już wracać!

Nie ośmieliłam się odłożyć słuchawki. Ależ zuchwalec z tego Solidnego. Niebywały zuchwalec.

- Skąd pan wiedział, że tu jestem?

- Pytałem w informacji miejskiej, gdzie odbywa się dzisiaj o siedemnastej koncert muzyki Handla. Więc pani się nazywa Elisabeth Peters? Bardzo się cieszę.

- Niech się pan tak nie cieszy. Śpiewam w zastępstwie. Nie ma mnie na żadnym plakacie. A teraz muszę już wracać. Do widzenia! - Gwałtownie odłożyłam słuchawkę.

Ręka drżała mi lekko. Zostałam jeszcze chwilę w królestwie brokatowych okryć. Chyba nie będzie próbował znowu kręcić?

Pocziwy aparat na haftowanej białej serwetce milczał. Wybiegłam do ogrodu. Solistów już nie było, Lalinde oczywiście też.

Zadzierając suknię pędziłam do zakrystii. Czekali na mnie.

- Dalej, na scenę, proszę państwa!

Dyrygent w świeżej koszuli nabrał nowej werwy. Wymachiwał rękami, jakby pędził przed sobą stado kóz.

Przy wejściu - publiczność rzeczywiście klaskała - sopranistka odwróciła się do mnie.

- Znasz prywatnie Lalinde?

- Trochę - tchnęłam w jej mocno pachnącą, wysoko upiętą fryzurę.

- Prosił, żeby cię serdecznie pozdrowić - wymruczała zgięta w ukłonie. Nie mogłam odpowiedzieć. Właśnie był mój numer, w duecie z tenorem. Staralam się skoncentrować. Handel i tylko Handel. W końcu prawie bez próby.

Kiedy znowu siedzieliśmy, a chór terkotał trudną fugę Handla, spojrzałam ukradkiem na publiczność. Lalinde siedział na swoim miejscu. Nie miał dłoni przy ustach, siedział

oparty, niemal odprężony. Niezwykły widok. Czy mi się przywidziało, czy uśmiechnął się do mnie? Prędko spojrzałam w nuty. Dziecko, nie szczyrzy się zębów do publiczności.

Lalinde. Solidny. Handel.

Co mogło skłonić Solidnego do niepokojenia bogu ducha winnej gosposi? Czy zatem był solidny, czy raczej zuchwały. Czy może i jedno, i drugie. Pograżona w myślach, obserwowałam twarze chórzystów. Dziarski, głośny śpiew, nabrzmiałe żyły na szyi. Pierwsze oznaki zmęczenia w postawie. Rytmiczna wciąż przytupywała w takt na marmurowej posadzce. Śpiewaczka dla głuchoniemych prawdopodobnie tymczasem wywichnęła sobie zuchwę.

Ostatnia scena, długa aria. Wstałam, zwróciłam się w stronę publiczności

- kątem oka dostrzegłam Lalinde (ręka znowu wylądowała przy kąciku ust)

- i zaczęłam śpiewać. Około dwudziestego drugiego taktu otwarły się tylne drzwi kościoła. Powoli, opornie. Komuś pomyliły się godziny. Ten ktoś wśliznął się do środka, usiłując nie wydać przy tym szmeru.

Musiałam wezwać na pomoc całą moją technikę przeponową, żeby się nie zachwiać.

To był Solidny.

## Rozdział IV

Bankiety po koncertach są zwykle bardzo przyjemne. Słucha się miłych słów, czasem nawet dostaje się brawa, gdy jest o człowieku wzmianka w jakiejś mowie pochwalnej („Szczególnie serdeczne podziękowania chcieliśmy złożyć naszym wspaniałym solistom...”); dostaje się też, i to jest najlepsze, kieliszek do ręki. Stoi się z nim, czując w ciele wspaniałe odprężenie, które nie przechodzi w znużenie, lecz przeciwnie, w rozpierającą chęć rozmów, śmiechu, obserwowania ludzi, nawiązywania nowych kontaktów (bardzo ważne!) i gawędzenia z kolegami o ich mniej lub bardziej błyskotliwej karierze.

Tym razem było zupełnie inaczej. Opisana chęć jakoś nie chciała mnie rozpierać. Odczuwałam raczej bliskie hysterii napięcie wewnętrzne. Czułam się jak nakręcona lalka. Od tych dwóch kieliszków wina, które wychyliłam duszkiem, prawdopodobnie miałam już wypieki na twarzy.

Solidny po prostu wybrał się ze mną. Tak jakby to było zupełnie oczywiste. Nawet nie znałam jego nazwiska, a jemu zdawało się to sprawiać szczególną przyjemność, że występuje tu wobec szerokiej publiczności w charakterze mojego oficjalnego towarzysza. Kiedy podchodzili do mnie członkowie chóru albo orkiestry, bałam się, że będę musiała go przedstawić. Ale sam to załatwiał, kłaniał się, oszczędnie, ale uprzejmie (właśnie solidnie) i wymieniał jakieś nazwisko. Mówię jakieś, ponieważ za każdym razem wymieniał inne. Do gospodyni przyjęcia powiedział: „Dobry wieczór, Broll, serdecznie dziękuję za zaproszenie”. Do pastora: „Schiedermann, dobry wieczór, pastorze”. Do dyrygenta: „Burgener, serdecznie gratuluję udanego koncertu!” Grzecznie, uprzejmie, z dystynkcją. I bezwstydnie. Dama w białej bluzce, z chóru (ta specjalistka od głuchoniemych) wzięła go na stronę i powiedziała protekcjonalnie:

- Pańska żona śpiewała naprawdę wspaniale, zważywszy, że jest na zastępstwie!

- Też tak sędzę - odpowiedział zuchwale - zwłaszcza że wczoraj miała gościnny występ we Frankfurcie! - - Na co specjalistka od głuchoniemych, przejęta głębokim szacunkiem, oddaliła się w milczeniu, unosząc talerzyk wypełniony różnego rodzaju sałatkami.

Stałam z opróżnionym do połowy kieliszkiem i wypiekami na twarzy i prawdopodobnie przedstawiałam uroczy widok. Solidny posunął mnie w kierunku zimnego bufetu.

- Powinna pani coś zjeść!

Przy najlepszej woli nie byłabym w stanie.

W drzwiach, oparty o framugę, stał Lalinde. Przyszedł z sopranistką, ale ona siedziała już na poręczy krzesła dyrygenta, z kieliszkiem w jednej i terminarzykiem w drugiej ręce.

Lalinde patrzył na nas. Nieruchomo. Przez ściągnięte wargi zaciągał się dymem z papierosa. W lewej ręce trzymał złotą papierośnicę. Wydał mi się bliski.

Solidny stwierdził, że przyniesie coś dla mnie. Proszę chwileczkę poczekać. Czy może być trochę łososia? Po czym zniknął w gronie oblegających bufet.

Przystawałam bezradnie to tu, to tam, wysączyłam wino do dna i zaczęłam rozglądać się za roznosicielem.

Lalinde zbliżył się z ociąganiem.

- Papierosa?

Wzięłam. Mój drugi. Podał mi ogień, niemal przypaliłam sobie czubek nosa. Po pierwszym zaciągnięciu zakręciło mi się w głowie. Wzięłam głęboki oddech, przyłożyłam do ust pusty kieliszek. Co za przykrość. Gesty totalnej konfuzji.

- Postaram się o coś do picia, o ile rzecz jasna pozwoli na to pani wyzwolona samoświadomość.



- Pozwoli. Ja pracowałam, pan się bawił. Teraz chętnie dam się obsłużyć. - Ton może nieco zbyt zuchwały.

Lalinde podążył za jedną z rozlicznych rozkołysanych tac z kieliszkami. Z drugiej strony podszedł do mnie mój oficjalny towarzysz, wysoki Nieznajomy o wielu różnych nazwiskach, z wyładowanym do pełna talerzem.

- Proszę, pani śpiewaczko. To wszystko dla pani!

Podsunał mi krzesło, bardzo uprzejmie, bardzo solidnie. Dziecko, to człowiek z dobrego domu.

Nie miałam ochoty się bronić. Usiadłam i gapiłam się w talerz. Rozmaite mięsa, aromatycznie pachnące, sownie obłożone różnymi sałatkami. Niezgrabnie celebrowałam przed sobą papierosa. Co zrobić z tym fantem? Popiół na czubku był długi i coraz dłuższy. Nie chciałam się więcej zaciągać.

- Pani pozwoli, ja dopalę.

- Dziękuję.

Moment ulgi, po czym nagle uświadomiłam sobie, że to przecież ewidentny przejaw zażyłości. Oczywiście w tym momencie nadszedł Lalinde. Z dwoma kieliszkami szampana. Usiadł po mojej wolnej stronie, powiedział:

- Pani zdrowie. Fantastycznie pani śpiewała - i obdarzył mnie spojrzeniem, które znałam z Frankfurtu. Ten trochę cyniczny, a przecież ciepły uśmiech.

Uznałam, że powinnam sobie panów przedstawić.

- To pan Lalinde, krytyk, a to pan Broll - powiedziałam, po czym energicznie zajęłam się górą mięs.

Panowie poderwali się, zapinając marynarki, i podali sobie ręce, ponad moim talerzem. Solidny trzymał papierosa Lalinde.

Poszukałam oparcia w kieliszku szampana. Lalinde wypił ze mną.

- Współpracuje pani ostatnio z nową agencją? - zapytał. Solidny rozglądał się za kieliszkiem.

Błyskawicznie pojęłam, o co chodzi.

- Nie, nie, to tylko tak wygląda.

- Występ gościnny?

- Nawet nie to. Dotąd nie znałam tej agencji. - Ta rozmowa zaczęła mnie nagle szalenie bawić.

- A skąd ta agencja zna panią?

Solidny znalazł kieliszek i właśnie odkorkowywał butelkę szampana.

- Nigdy mnie nie słyszała. Czysty przypadek.

Lalinde patrzył gdzieś obok, może na plasterek pomidora na moim widelcu.

- Jest agencja, która bardzo się panią interesuje. Wpatrzyłam się we wzór na jego krawacie.

- Tak? Dlaczego?

- Ta agencja już od dawna interesuje się panią. Ale do niedawna była związana wyłącznym kontraktem z inną śpiewaczką.

- Już nie jest?

- Już nie.

Pociągnął palcem wskazującym po brzegu swojego kieliszka. Jego ręka była zadbana, choć szorstka.

- To ta, którą poznałam...

- Właśnie. Również bardzo panią ceni.

Spojrzałam na niego niepewnie. Czy dobrze rozumiem to wszystko, czy też tylko wyobrażam sobie, że jest to rzetelna propozycja?

I oświadczenie, że rozszedł się z tą elegancką damą, rozmiar trzydzieści osiem?

- Tak... I teraz ta koleżanka jest w innej agencji?

Uśmiechnął się, pierwszy raz bardzo ciepło i bez tej odrobiny cynizmu.

- Już od dawna z nią flirtowała.

Tymczasem Solidny z zainteresowaniem śledził naszą rozmowę. Zgasił papierosa Lalinde, po czym przysunął się do mnie nieco bliżej.

Czas był zakończyć te niebezpieczne igraszki słowne. Chociaż kusilo mnie, by usłyszeć wyartykułowaną w ten sposób propozycję małżeństwa.

- Myślę, że agent zadzwoni do pani - powiedział Lalinde, wydobywając swoją złotą papierośnicę. - Jest zainteresowany, i proszę potraktować to poważnie, kontraktem z panią na zasadzie wyłączności!

Powiedział to z naciskiem i bardzo poważnie, postukując palcami - niepotrzebne ruchy rąk - w ustnik papierosa.

Czułam, jak powiększają mi się wypieki na twarzy.

Lalinde postawił na mnie. Przeczyłam to. Parę dni temu, we Frankfurcie.

Ale teraz czas zatroszczyć się o Solidnego. Lalinde zrozumiał, nasza rozmowa dobiegła końca. Wstał, pożegnał się uprzejmie z moim sąsiadem z prawej i ze mną, ale nie mógł odmówić sobie jeszcze konkluzji.

- Agent zadzwoni do pani w najbliższych dniach - powiedział - być może już jutro.

Wziął swoją papierośnicę i odszedł. Patrzyłam za nim. Lalinde... Do licha, lubię go.

- A więc to był krytyk? - Dobiegł do mnie inny głos z tyłu. Obróciłam się, z niekłamaną nadzieją, że gorączkowe wypieki na twarzy

nie zdradzą moich uczuć.

- Tak, znamy się już z innych koncertów - odpowiedziałam skwapliwie.

- Pani wielbiciel?

- Ależ skąd! - Dlaczego właściwie skłamałam?

Czułam się okropnie niepewnie, tak chętnie bym znikła, pojechała do siebie, pomedytowała sobie - o kimś?

Tymczasem jednak chwyciłam byka za rogi. Z rzucającą się w oczy agresją powiedziałam:

- No, panie Wielki Niewiadomy, teraz pańska kolej. Co ma znaczyć ta gra?

- Ach, nie lubi pani gier?

Cholernie dwuznaczna odpowiedź! Wiedział? Przeczuwał? Dziecko, przecież ten facet nie jest głupi!

- Gier z Wielkim Niewiadomym nie lubię! Tego rodzaju gier nie lubiłam już na lekcjach matematyki. Wszyscy wymieniają swoje nazwiska, a Wielki Niewiadomy nazywa się X. I można go sobie mozolnie wyliczyć!

Roześmiał się.

- Muzyka i religia - celujący, rachunki - dostateczny?

- Otóż to. W przeciwnym razie nie byłabym teraz tutaj, tylko może w jakimś naukowym instytucie badań nad niedożywionymi kurami domowymi.

- Te tutaj gdakały dość podobnie. Choć może raczej gęgały jak dobrze odżywione gęsi.

Zachichotałam. Niemuzycy czasem okrutnie i trafnie potrafią wyrazić to, co muzycy uprzejmie przemilczają.

- A więc zabawa w krasnoludki - powiedziałam. - Ja nazywam się sierotka Marysia, a pan?

Przez cały wieczór nie wydobyłam z niego, jak się nazywa. Z zapałem nazywał mnie Marysią, był wesoły, gawędził, pił szampana. I od czasu do czasu otaczał mnie ramieniem.

Wszystko jasne. Dla chóru i orkiestry był ze mną. A Marysia dla niezorientowanych była po prostu pieszczotliwym zdrobnieniem.

Temperatura przyjęcia podnosiła się, kilku muzyków rozpakowało instrumenty i zaczęli grać do tańca. To nie mogli być profesjonaliści. Profesjonaliści nigdy dobrowolnie nie rozpakowują swoich instrumentów. Słysząc było wesołe

okrzyki, śmiechy, zaimprovizowano poloneza, zostaliśmy wciągnięci do kręgu.

Inni soliści już dawno wyszli. Prawdopodobnie uciekając się do wymówki, że jutro skoro świt muszą wyjeżdżać na następny koncert.

- Jest jeszcze alcistka z mężem, inni już pojechali! - zawołała jakaś dama w białej bluzce. Doigraliśmy się. To było jak głupia telewizyjna komedia pomyłek w sobotni wieczór.

Polonez się skończył, rozległo się coś w takcie na trzy czwarte. Walc.

Wielki Niewiadomy tańczył raczej średnio. Był za to niesamowicie wysoki i rozłożysty, jednak zdecydowanie nie miał takiej smykałki do taktu na trzy czwarte, jak wymagałyby tego moje wysokie aspiracje. Ale miałam w nim oparcie. Bo też było to konieczne, po czterech kieliszkach wina, połówce papierosa, niedwuznaczonej propozycji Lalinde i z pustym żołądkiem. (Podczas moich wyrafinowanych pertraktacji z Lalinde Solidny sam uporał się z górą wędlin na moim talerzu.) Czułam bardzo dużą, miękką, ciepłą i lekko wilgotną dłoń w mojej dłoni i jej pendant na plecach, pozostawiające mi bardzo niewiele luzu.

Spoglądał na mnie promiennie i z góry.

Musiałam okropnie wyglądać, czułam doskonale, że teraz moją twarz zdobi bladeść, której w żadnym wypadku nie można nazwać wytworną.

- Dobrze pani tańczy! - powiedział wesoło.

- Pan też - skłamałam.

- Pięknie też pani śpiewała - kontynuował numer z komplementami. - Nigdy bym nie przypuszczał, że tak delikatna kobieta może wydobyć takie potężne dźwięki!

- Czego to człowiek nie może się nauczyć! Przynajmniej nie pyta mnie pan, czym trudnię się poza tym. Na przykład: „A co pani robi w dzień?”

- Miewa pani takie głupie pytania?

- Tak, często.

- To tak, jakby mnie pacjenci pytali, co robię po naszych pogawędkach. Czy chodzę do pracy?

Roześmiałam się. I on się roześmiał. Dla uczczenia wspólnego śmiechu spróbował ekstrawywiasu z ryzykownym półobrotem. Nie udał się.

- I ma pan porządny gabinet psychiatryczny, taki z kozetką i „panie doktorze, moja matka za wcześnie zdejmowała mnie z nocnika”? - Podjęłam rozmowę. Głównie po to, żeby zignorować ten nieudany wywijas.

Znów się roześmiał. Tym razem bez wywijasa. Tymczasem nasz taniec • zmienił się w balansowanie ciałem z jednej nogi na drugą, niestety raczej obok rytmu muzyki.

- To właściwie wspólny gabinet. Jeden mój kolega ze studiów odziedziczył go, bardzo dobrze prosperował, więc przyjął mnie do spółki, jako psychoterapeutę. Nie wiem jeszcze, jak długo będzie mi to odpowiadało. Właściwie jestem internistą.

- Ach - powiedziała i dorzuciłam mimochodem, że mój dziadek też był internistą. Jakoś chciałam mieć przy tym człowieku dobre karty.

Teraz on powiedział: - Ach - po czym muzyka umilkła. Wróciliśmy do stołu, napełnił mi kieliszek szampanem. Widocznie podobały mu się moje wypieki.

- Muszę jeszcze wrócić do domu - zaproponowałam skonsternowana.

- Żaden problem, Pani honorarium z pewnością wystarczy na taksówkę - zdecydował.

Nie miałam ochoty dawać mu się prowadzić za rękę.

- Niech mi pan jeszcze powie na koniec, dlaczego zadzwonił pan do informacji, a potem w dodatku przyjechał

na to cokolwiek oddalone i zaniedbane kulturalnie przedmieście!

- A cóż chciałaby pani usłyszeć? Że zapragnąłem jeszcze raz panią zobaczyć? Że nie uwierzyłem w pani historyjkę o śpiewaczce, że chciałem się osobiście przekonać, czy urnie pani śpiewać? Że chciałem zobaczyć, jak wygląda pani w wieczorowej sukni? Nie tylko w dzinsach? - Spojrzał na mnie z góry. Zaraz po koncercie przebrałam się i byłam w jaskrawoczerwonych sztruksowych spodniach.

- Że nudził się pan i nie wiedział, jak spędzić sobotni wieczór - skontrowałam. - Przy czym na pańskim biurku leży przynajmniej pięć nie wyjaśnionych przypadków klaustrofobii, chorobliwej otyłości, patologicznego wychudzenia, permanentnych wymiotów i nienawiści do matki, pana żona chciała wybrać się z panem do opery, a pańskiemu najmłodszemu właśnie wyrzyna się ząbek!

Dzięki temu zuchwałemu atakowi miałam nadzieję czegoś się o nim dowiedzieć. Ale on tylko się zaśmiał.

- Nienawiść do matki i patologiczne wychudzenie mają czas do poniedziałku. Moja żona sama chadza do opery, a mój najstarszy wciąż jeszcze nie ma ząbków.

A więc nic z tego. Wielki Niewiadomy.

„Zatańczyliśmy” jeszcze, raz i drugi, jeszcze raz napełnił mój kieliszek. Po czym był ogólny wymarsz. Najwyraźniej zamykano dom parafialny, a może kierownictwo było już zmęczone. Kilka radosnych postaci w białych bluzkach wraz z towarzyszącymi mężczyznami przeniosło się do sąsiadującej knajpy. Złapałam moją koncertową torbę plastikową, w której przechowywałam nuty, buty, suknię, pastylki odświeżające, kamerton, sakiewkę na honoraria, plan miasta, kryminał (na dłuższe próby) i kilka wizytówek. Dyrygent serdecznie uścisnął mi rękę wilgotną dłonią, mówiąc: - Cudownie i na pewno nie po raz ostatni - równie serdecznie pożegnał się z

Wielkim Nieznajomym i na koniec zawołał za nami: - Nie jedźcie państwo zbyt szybko!

Rzeczywiście zostawiłam samochód.

Wielki Niewiadomy wprawdzie ofiarował się odwieźć mnie, ale nie chciałam, żeby wiedział, gdzie mieszkam. Pozwoliłam sprowadzić sobie taksówkę i pojechałam do domu - za ponad trzydzieści marek.

Ulice były ciemne i ciche, w świetle reflektorów lśniła drobna mżawka.

Wielki Nieznajomy powiedział tylko: - Cześć, mała śpiewaczko! - i wrócił do domu parafialnego, w którym wygaszono już połowę świateł. Prawdopodobnie zostawił parasol. Solidni mężczyźni po trzydziestce zawsze noszą parasol.

W domu spojrzałam w lustro i zwróciłam się do moich wypieków: Zdaje się, że wcale nie jesteś od tego!



## Rozdział V

O ile inni ludzie pochmurne, listopadowe niedziele przesiadują w domu i nie wiedzą, co robić, poza jedzeniem, piciem, spaniem, telefonowaniem i zanudzaniem siebie i innych, o tyle dla mnie są one tym, czym dla sprzedawczyń soboty robocze. W kościołach i salach koncertowych praca wre, każda parafia chce wnieść swój wkład w nieszpory i obrzędy adwentowe, rekolekcje, nabożeństwa pokutne, opłakiwanie zmarłych i krzewienie kultury. Na moim fortepianie piętrzyły się kantaty Bacha, msze żałobne Telemanna, Vivaldiego, Handla i Mozarta. Siedziałam przed tą stertą i wkuwałam program na najbliższy występ.

„Zjazd z autostrady w Wiehl lub w Gummersbach, następnie według drogowskazów do Altenbuschel, na rozwidleniu prosto drogą z pierwszeństwem ruchu w dół po stromych serpentynach i zaraz za hurtownią napojów chłodzących widać kościół na wzgórzu...”

Właśnie ten kościół miałam zaszczyć dzisiejszego popołudnia moim „dźwięcznym altem”, jak to niedawno celnie sformułował pełen dobrych chęci lokalny krytyk z „Wysokogórskiego Informatora Kulturalnego”.

Niestety, mój samochód stał wciąż na scenie wczorajszych wydarzeń, pod domem parafialnym w K., z nieba lały się strumienie deszczu i wcale nie miałam ochoty wydawać kolejnych trzydziestu marek na taksówkę. Która przyjaciółka mogłaby bezinteresownie podrzucić mnie do mojego samochodu?

Zadzwoił telefon. Którakolwiek by to była, postanowiłam poprosić ją o tę przysługę, delikatnie, ale bez owijania w bawełnę.

- Czy już się pani rozspiewała? Georg Lalinde! Co za tempo.

- Pyta pan w imieniu agencji czy jako krytyk? - spróbowałam nie dać się zaskoczyć.

- Jako pani najzupełniej prywatny fan.

(Ha! Jak to dobrze, że mój prywatny fan nie mógł mnie widzieć! Siedziałam na fortepianie w moim pomarańczowym jednoosobowym namiocie z piżamy frotte i kapciach obszytych owczym futerkiem i maltretowałam atlas samochodowy!)

- Jeśli chce mnie pan wprowadzić w zakłopotanie, musi pan spróbować czegoś innego!

Znów byłam wyzwoloną, młodą, dynamiczną kobietą samotną w zaawansowanym stadium samorealizacji.

- Czego mianowicie? - dobiegło z przewodu.

Nic nie przychodziło mi do głowy. Miałam powiedzieć: „zaprosić mnie do sauny”? To rzeczywiście wprowadziłoby mnie w zakłopotanie.

- Na przykład przysłać mi siedem purpurowych róż prosząc o rękę mojej córki - powiedziałam.

Zaśmiał się.

- No więc to pierwsze zamierzałem zrobić tak czy owak, a to drugie zrobię za dwadzieścia pięć lat, jeżeli będzie pani miała córkę, i jeżeli ta córka będzie podobna do pani.

Georg Lalinde umiał prawie czarujące komplementy. Przynajmniej nie były takie wymłócone. „Ma pani piękne oczy” i temu podobnych bezmyślnych wypocin po prostu nie znoszę. Już wolę zdania z trzema i więcej „jeżeli”.

- Jako dziadek raczej nie powinien się pan dobierać do mojej córki - skontrowałam bezczelnie. - Chociaż pewnie, jak cała młodzież przyszłości, będzie przedwcześnie dojrzała.

- W dodatku przy takiej matce - odezwała się słuchawka. Spojrzałam na nią bezradnie. Co za dyskusja, w co ja się znów wdałam?

- Zwłaszcza że wychowa się bez ojca, biedna mała - przedłam dalej nici fantazji.

- Tym bardziej będzie umiała docenić mężczyznę po siedemdziesiątce - dobiegło ze słuchawki.

- Sądzi pan, że do tego czasu będzie pan po rozwodzie? - dogryzłam mu. - Moja córka będzie miała stanowczy zakaz zadawania się z żonatymi!

- Nie powinna pani zabraniać tego córce tylko dlatego, że pani nie było wolno.

- Jak pan wpadł na pomysł, że nie wolno mi zadawać się z żonatymi? - napuszyłam się.

- To znaczy, że zobaczymy się dzisiaj? Bach. Jeden zero dla niego.

- Hmm, to się nie da zrobić. Mam... Muszę... to znaczy, jestem umó... Przy takiej pogodzie... Nie. Bardzo mi przykro. Muszę śpiewać. - Dlaczego właściwie nie miałabym się do tego przyznać. Niech wie, że ma do czynienia z wziętą artystką.

- Gdzie?

- Dlaczego pan pyta? - To mnie interesuje!

- Tam już jest jeden krytyk. Bez pojęcia, ale jest do mnie przychylnie nastawiony. Jestem dźwięcznym altem. (To była bramka samobójcza!)

- Ja też jestem do pani przychylnie nastawiony!

- Tak. Pomału zaczynam to rozumieć. - Ustąpiłam. Nadęta śpiewaczka kameralistka pękła. Została pomarańczowa, za duża piżama frotte, w której nierytmicznie i natrętnie stukało serce.

- Mogę pojechać z panią?

W takim razie mój samochód mógłby sobie nadal stać pod domem parafialnym! Pozwoliłabym się podwieźć w te góry, mogłabym przy tym czytać mapę i nie miałabym kłopotów ze ślizgawicą, chlupą i mgłą.

- No dobrze. Ale to nie będzie wydarzenie na skalę światową. Naprawdę nie może pan przyjechać ze mną jako krytyk!

- Przecież już powiedziałem, że jestem pani fanem!

- Ale proszę zostawić w domu białą - niebieską chustę i transparenty - powiedziałam. - I nie śpiewać zbyt głośno, kiedy będzie pan tu szedł z dworca. I niech pan spróbuje nie tłuc szyb w sklepach. Tutejsza policja zaczyna już uskarżać się na mnie.

Tu zachichotałam. Jak już wspomniałam, niestety zazwyczaj nie mogę się powstrzymać od chichotania z własnych dowcipów. To oczywiście zupełnie nieprofesjonalne.

- A więc zabieram panią. Kiedy mogę przyjechać?

- Trzy minuty po szóstej. I proszę wziąć ze sobą samochód!

Przyjechał. Dokładnie trzy minuty po szóstej. Prawdopodobnie spacerował już jakiś czas tam i z powrotem na dole, przed moim niezbyt romantycznym domem czynszowym (marki powojenna szarość). I przyniósł siedem purpurowych róż.

Siedziałam w jego obszernym rodzinnym opłu i cierpiałam. Ten człowiek prowadził jak pięćdziesięcioczworoletnia gospodyni z zamku Holte w drodze na targ w Stukenbrock. Na zielone światła podjeżdżał czterdziestką, podczas gdy na czerwone po prostu pędził, by tuż przed nimi improwizować ostre hamowanie. Kierownicę ścisnął kurczowo obiema rękami (w skórzanych rękawiczkach), jakby chciał ją przytrzymać, żeby nie odjechała sama.

Jego siedzenie było o wiele za daleko, oparcie o wiele za nisko i za każdym razem, kiedy spoglądał w lusterko (co robił w najbardziej nieodpowiednich momentach), podskakiwał w

fotelu, wyciągając szyję, na co Opel zarzucił jak uparty kozioł. Jeżeli w ten sposób w ogóle dotrę w te góry, to zapewne całkowicie wykończona nerwowo. Tymczasem miałam jeszcze śpiewać na koncercie, jakkolwiek „tylko” „Requiem” Mozarta i kantatę Telemanna dla krzepkich, pobożnych góralek i ich małżonków. Ci górale o rumianych policzkach prawdopodobnie będą tam wbrew swej woli, pewnie woleliby raczej obejrzeć sobie w domu przy kawie i górskich waflach „Magazyn sportowy” czy coś w tym rodzaju.

Siedziałam więc bez słowa i zrezygnowana na siedzeniu obok kierowcy, które prawdopodobnie zazwyczaj ozdabiała zgrabna pani w spodnium rozmiar trzydzieści osiem, ściskając w rękach atlas samochodowy i nuty.

- Trema? - zapytał Niki Lauda po mojej lewicy.

- I to jaka! - przyznałam.

- Może chciałaby się pani jakoś oderwać? Włączyć muzykę? - Zaczął manipulować przy radiu, przy czym Opel znarowił się w kierunku przydrożnego rowu.

- Nie, dziękuję bardzo, chętnie skoncentrowałabym się trochę przed koncertem - skłamałam.

Normalnie nigdy nie koncentruję się przed koncertem. Z tego wynika tylko ssanie w żołądku i wilgotne od potu ręce.

- Niech mi pan coś opowie - poprosiłam w końcu.

- Zdawało mi się, że chciała się pani skoncentrować?

Opel rzeził, wspinając się pod górę czterdziestką na czwartym biegu. Z tyłu ktoś na nas zatrąbił.

- Nie, może lepiej się oderwę! Trębacz wyprzedził nas gniewnie.

Pan Lalinde wrzucił trzeci bieg. Odetchnęłam. Wyprzedziło nas kilka samochodów. Jeden zatrąbił.

- No dobrze. Opowiem pani o pewnym recitalu wokalnym, któremu przysłuchiwałam się przedwczoraj wieczorem w Rheinhalle w Dusseldorfie. Śpiewał...

Nie pamiętam już, kto śpiewał. Hermann Prey czy Anneliese Rothenberger zechcą mi wybaczyć. W każdym razie zrobili na panu Lalinde wielkie wrażenie. Do tego stopnia, że jego opel już prawie zupełnie przestał się toczyć, ponieważ ich koloratury i pianissimo w skrajnie wysokim rejestrze po prostu zapierały panu Lalinde dech w piersiach. Tak też zostało to opisane w recenzji w „Rheinische Kulturblätter”, dla którego pracował.

Dotarliśmy do kościoła z dwudziestominutowym opóźnieniem. Niepewnie podkradając się na swoje miejsce, zarejestrowałam nieprzyjazny błysk w oczach wymachującej pałeczką damy za pulpitem dyrygenta. Była tu królową matką całego wysokogórskiego środowiska muzycznego, a ja, mała bezimienna śpiewaczka z K., ośmieliłam się dwadzieścia minut spóźnić na jej próbę generalną. Bąknęłam coś o korkach i mgie, ale nie zaszczyciła mnie przy tym nawet spojrzeniem. Dotarli już do przygrywki poprzedzającej *ricordare*, nie dała mi nawet sekundy na odsapnięcie, zdjęcie płaszcza czy choćby na odchrząknięcie. Trudno, nasz dyrygent nasz pan. Także w Świętej Hurtowni Napojów Chłodzących czy jak się tam nazywała ta barokowa bazylika południowowestfalska. Zmusiłam przeponę do koncentracji - ściślej: do kontrakcji, i odśpiewałam nawet całkiem niezłe *ricordare*, w dodatku bez oddechu w miejscu, w którym wszyscy biorą oddech. Nawet ci na płytach. Mój kierowca Formuły 1 i osobisty fan zasiadł w jednym z tylnych rzędów, z dłonią na ustach i denerwował mnie.

- Skorzysta pani z biletu wolnego wstępu dla pani pana znajomego? - Do mojego lewego ucha przybliżył się od tyłu ugrzeczniony bileter, zapewne na etacie kościelnego, a zarazem pomocnika górskiego leśniczego.

- O tak, bardzo proszę, jeśli to możliwe - odpowiedziałam poirytowana.

Mój pan znajomy siedział tymczasem w skupieniu, bez ruchu i bez legitymacji upoważniającej do bezpłatnego wstępu, na drewnianej ławce.

- Kto to? - zainteresowała się koleżanka sopranistka.

Znałam ją ze studiów i paru rewelacyjnych debiutów w Lindlar, Oberwinter i Schwelm. Właściwie byłyśmy zaprzyjaźnione. Chociaż rzadko przyjaźnię się z sopranami. Sopran to taki specjalny gatunek. Wiecznie niedysponowane, chorowite, wrażliwe, a przy tym tak niesamowicie ważne i niezbędne dla ludzkości. Jedynie ich wysokie tony naprawdę decydują o koncercie, a trzy „dolne głosy” są tylko koniecznym dodatkiem.

Uschi była inna. W duszy była co najmniej mezzo. Nie była ani przesłodzona, ani chora ze zmartwienia o swoje struny głosowe, a kiedy rozmawiało się z nią prywatnie, nigdy nie przychodziło jej do głowy, żeby poruszać tematy muzyczne. Zazwyczaj plotkowało się o mężczyznach albo koleżankach i kolegach. Niewiarygodnie bogate i ucieszne źródło zbiorowej wesołości. Wyjaśniłam jej, że chodzi o znanego krytyka Georga Lalinde.

- Czy to ten, co pisze takie miażdżące krytyki w „Opernwelt” i „Konzertwesen”? Oddajesz się takiemu facetowi? Lansuje cię przynajmniej? Moja droga, toż to muzyczna prostytutka!

Od tej strony jeszcze na to nie patrzyłam. Z przerażeniem musiałam stwierdzić, że jeżeli będę pokazywała się z nim publicznie, bardzo prędko wywołam właśnie taki image.

- Nie, błąd w ocenie ról - powiedziałam przez zęby, znów chwytając nieprzychylnie spojrzenie królowej matki z batutą. Wstaliśmy i odśpiewaliśmy następny kwartet. Po czym próba była zakończona i znikliśmy w zakrystii, żeby się przebrać.

W moim przypadku oznaczało to zawsze narzucenie na dzinsy niemnącej, łatwej w praniu i wygodnej w transporcie

zasłony, nie wszystko złoto, co się świeci. Prezent od cioci Lili z czasów, kiedy przecenionymi częściami garderoby - „ale w dobrym gatunku i całkowicie ponadczasowe, dziecko; wszystko przykrywa” - z zapalem kształtowała mój fenotyp: „Jak cię widzą, tak cię piszą”. I: „Dziecko, to wyszczupła, a przy tym jest solidne.”

Ten czarny niemnący wór rzeczywiście przykrywał, najpierw resztki dziecięcego sadelka w okresie późnego pokwitania, dzisiaj powszednie ubranie, jakie miałam na sobie pod spodem. Tłumaczyło mnie to, że w adwencie w kościołach bywa zimno, a poza tym nie wprawiałam w zakłopotanie księży w zakrystii, właśnie przygotowujących tu kazanie na jutrzejsze nabożeństwo.

- Twój nieśmiertelny habit? - przygadała Uschi, która rozebrała się do liliowych majtek, by wtłoczyć swój godny pozazdroszczenia biust w obcisłą suknię spaghetti. (Po czym śpiewała koncert w płaszczu.)

Z lodowatym porywem wiatru wszedł przez zewnętrzne drzwi ugrzeczniomy kościelny. Z przerażeniem odwrócił wzrok od pękatego biustu koleżanki i szepnął do mnie:

- Pani pan znajomy zaparkował samochód przed bramą ochotniczej straży pożarnej, zechce go łaskawie odstawić!

Uschi niemal zakrztusiła się walcząc z taftą i jedwabiem swojej kreacji.

- Pani pan znajomy! - zarechotała - To przecież boskie! A jakim to pudłem on jeździ? Pewnie co najmniej cadillakiem?

- Tureckim oplem - odpowiedziałam zrezygnowana i poszłam do kościoła poprosić mojego pana znajomego, żeby zaszczycił jakąś inną stodołę, nie akurat tę należącą do ochotniczej straży pożarnej.

Koncert się skończył. Oklaski zostały stłumione w zarodku wściekłym posykiwaniem. W końcu wysokogórskim umarłym należała się feta w atmosferze spokoju i godności.



Niełaskawa dyrygentka przekazała mi honorarium przez ugrzecznionego pomocnika leśniczego i nie zniżyła się do tego, by uścisnąć mi jeszcze rękę czy przynajmniej rzucić słowo podziękowania. Z nieco ściśniętym sercem wydostałam się z mojej odzieży roboczej i chciałam pożegnać się z Uschi.

- Ależ nie, musisz teraz wpaść do mnie! Hans miał urodziny, obchodzimy je dzisiaj wieczorem! - oznajmiła radośnie.

- Ale ja nie jestem sama... - zaczęłam.

- Swojego pana znajomego oczywiście weź ze sobą! - i wydała okrzyk radości. - Będzie się z czego pośmiać!

Nie byłam pewna, czy byłoby na miejscu zabierać Georga Lalinde w popelinowym płaszczu, w krawacie i spodniach z kantem, z tureckim oplem do akademika, gdzie miało się odbyć urodzinowe party Hansa. Hans kończył dwadzieścia siedem lat, mieszkał w środowisku alternatywnych studentów.

- Zaproponuję mu, może przyjedziemy, albo później przyjadę sama.

- Nie, weź go ze sobą - zaskrzeczała. Jej pękaty biust kołysał się zachęcająco, gdy wydostawała się ze swojej tafty i jedwabiu.

Najpierw musiałam zasugerować mojemu panu znajomemu, że chętnie bym sama poprowadziła. Poszło łatwiej, niż się spodziewałam. Po podniesieniu oparcia z pozycji leżącej i podsunięciu fotela o pół metra do przodu czułam się jak swego czasu w wehikule dziadka, który mężnie znosił moje pierwsze wyczyny za kierownicą na polnych i leśnych drogach Westfalii.

- Miałby pan chęć wpaść jeszcze do sopranistki? Jej przyjaciel obchodzi dzisiaj urodziny.

Badawcze spojrzenie z ukosa, z fotela dla pasażera.

- Jeżeli pani ma ochotę...

- A na co pan ma ochotę? - Pociągnęłam na trzecim biegu aż do osiemdziesiątki.

- Mam ochotę nadal przebywać w pobliżu pani.

- A więc feta? - W najmniejszym stopniu nie dorosłam do jego romantycznych porywów.

- Jeżeli feta oznacza bycie razem z panią, to feta. - Słowo „feta” wymawiał z francuska.

- Świetnie. - Dodałam gazu, może trochę dużo, ale opel wydawał z siebie wdzięczne, zdrowe odgłosy i zaakceptował bądź co bądź sto osiemdziesiąt na autostradzie. Lalande rozwdził się na temat koncertu. Miał niewiarygodnie wyszkolone ucho, potrafił precyzyjnie określić słabe strony każdego z wykonawców i wymienił nawet dokładnie numery taktów, w których były jakieś niedokładności. Tylko o mnie nie powiedział nic złego. Mówił o obiecującym głosie, o przyszłości i karierze. Maleńka pchełka w moim uchu zaczęła się przeciągać i przyjemnie pochrząkiwać. Ale zaraz ukatrupiłam ją wyimaginowaną packą na muchy. W końcu bardzo energicznie wychowywano mnie do skromności.

- Kariera to dla mnie całkowicie obce słowo - pouczyłam mojego pasażera. - Mam intratne zajęcie w chórze. Poza tym absolutnie mi na tym nie zależy, nie mówiąc już o tym, że brakuje mi kwalifikacji głosowych i osobowościowych! - Zawsze lepiej przesadzić w tę stronę niż w przeciwną. To skłania partnera do sprzeciwu i podtrzymuje ewentualną sympatię. Georg Lalande zgodnie z oczekiwaniem uprzejmie zaprotestował, w ciemności mogłam jedynie domyślać się jego dyskretnego cynicznego uśmiechu.

Nieprędko zapomnę tę „fetę”. Wokół kontuaru wykonanego własnym przemysłem barku w piwnicy domu studenckiego Czerwona Ziemia tłoczyły się dziewczyny w ogrodniczkach z typami w skórzanych kurtkach i kilka uszminkowanych kociaków z towarzyszami w koszulach

Lacosty; wystrzałowe studentki, z którymi nie odczuwałam już jedności pokoleniowej (obdarzałam je pogodnie melancholijnym spojrzeniem), i młodzieńcy, do których mogłabym żywić uczucia co najwyżej macierzyńskie.

Uschi stała za ladą, nalewała piwo, wino i mocniejsze trunki i swoim przenikliwym głosem robiła dobry nastrój.

- O, cześć, jesteście! - ryknęła przez kłęby dymu, i wszystkie głowy obróciły się w naszym kierunku. - Czy pani pan znajomy życzy sobie szampana z kawiozem?

To był okropnie nieprzyjemny moment. Nagle uświadomiłam sobie, jak głupi był nasz występ: ja w moim codziennym stroju, dzinsy - sweter - czerwone kozaczki, obciążona plastikową torbą (nuty, buty, suknia) i wyciągiem fortepianowym z „Requiem” Mozarta, i on, mój pan towarzysz, w standardowym ubraniu ojca rodziny, z idealnie prostym przedziałkiem i w wypucowanych do połysku brązowych półbutach. Wydobył właśnie papierosa ze swojej złotej papierośnicy i zapalał zapalniczkę, na której wygrawerowane były jego inicjały. G.L, ten sam znak, którym sygnowane były jego recenzje.

Otrzymaliśmy po papierowym kubku z niezbyt krystalicznym szampanem. Po pozbyciu się garderoby (rzuciło się płaszcz na stertę okryć w korytarzu, co przypominało dobroczynną zbiórkę na Czerwony Krzyż) wycofaliśmy się na wyświechtaną kanapę na tyłach mrocznego pomieszczenia.

Mój pan znajomy zasiadł na niej grzecznie i wdzięcznie, a ja radośnie wyszczerzyłam zęby, bo przypominał mi Loriota. Tylko bez żadnego idiotycznego smali talk! Jednym haustem opróżniłam swój kubek, na co on natychmiast poczuł się w obowiązku pokrzepienia mnie następnym:

- Na co miałyby pani ochotę? - Wstał, rozprostowując kanty spodni. Przyniósł wino. W prawdziwym kieliszku,

piliśmy z niego na zmianę. Na mojej twarzy znów pojawiły się wypieki. Podsunął mi swoją papierośnicę, poczęstowałam się. Czarna rozpacz, jak obrzydliwie może smakować taki papieros! Zawroty głowy, podły smak w ustach, znów sięgnęłam do kieliszka. Cholerne gesty zakłopotania!

Loriot z końca wersalki uśmiechał się z łagodnym cynizmem. Zamiast powiedzieć: Niech pani zrobi dyplom z jodłowania, będzie pani miała swoją specjalność, oznajmił:

- Ma pani serdeczne pozdrowienia od mojej żony.

- Ee... aha, dziękuję bardzo. Czyżby jeszcze mnie pamiętała?

- Ależ tak. Tego wieczoru, kiedy panią poznaliśmy, długo rozmawialiśmy o pani.

- O mnie jako o śpiewaczce - chórzystce? - (Lepiej przesadzić w tę stronę...)

- O pani jako o kobiecie! - (No proszę!)

- I jaka była opinia?

- Moja czy żony?

Utarczki słowne są czasem jak wymiana piłek w tenisie stołowym. Kiedyś w końcu uda się tak odbić piłeczkę, że przeciwnik musi się uklonić. Przeszłam do defensywy.

- Może na początek opinia żony. Ladies first.

- Bardzo jej się pani podobała.

Zamierzyłam się do ściecia.

- A szanowny małżonek? Cóż stwierdził?

- Kobieta warta grzechu!

Bach! Oddał smeczem. Nie dosięgłam piłeczki. Musiałam się uklonić. To znaczy, sięgnęłam do wspólnego kieliszka. Co teraz? Igraszki z ogniem. Dziecko, daj spokój!

Spróbowałam zgasić nieszczęsnego papierosa. Pomógł mi, ze swoim delikatnym cynicznym uśmieszkiem na ściągniętych ustach, a jego ręka była szorstka i chłodna.

Właściwie powiedział mi już dostatecznie wyraźnie.

Czegoś chciał ode mnie. Czego - nie wiedziałam. Chyba nie zasługiwał, bym oceniła go jako zwykłego poszukiwacza przygód. Nie był typem podrywacza. Co teraz, stara? Jak konstruktywnie zareagować? Czy powinnam zapytać bez ogródek: „O co panu chodzi?” Oboje już dawno wyrosliśmy z wieku, w którym ludzie bawią się w kotka i myszkę.

Ktoś nastawił płytę Black Fooss. „W naszym Veehedel, lalalalaaa...”

Opanował mnie nastrój sentymentalno - patriotyczny. Miałam ogromną ochotę tańczyć i czuć jego dotyk, i nie musieć dalej rozmawiać.

Zatańczyliśmy.

Zupełnie inaczej niż wczoraj wieczorem - czy to naprawdę było wczoraj? Czyżby minął dopiero jeden jedyny dzień, od czasu kiedy w domu parafialnym St. Hildebold przy dźwiękach zaimprovizowanej kapeli płażałam nie w takt w silnych ramionach Solidnego?

Wokół nas kołysały się wśród dymu ciasno splecione pary, niektórzy pozbijali się w grupki po czworo, pięcioro i balansowali, rycząc muzyce do wtóru, podobnie jak ja ogarnięci patriotycznym uniesieniem, że należą tu, że są stąd, z tej naszej Nadrenii.

Śpiewałam z nimi. Nieudolnie, ale z głębokim uczuciem i zaangażowaniem.

- „Bo jesteśmy tutaj razem i nieważne, co się stanie... w naszym Veehedel.”

Mój pan znajomy - rzecz absolutnie nie do wiary, ten cięty krytyk, cyniczny pedant, nadwrażliwy koneser muzyki, on też śpiewał. I trafiał dokładnie wysokość dźwięku. W brązowej marynarce, jasnoniebieskiej koszuli i ciemnobrązowym krawacie. W perfekcyjnie wyglansowanych półbutach.

Później, gdy odwiózł mnie do domu, zrobiłam mu jeszcze kawę w mojej czerwonej kuchni. U mnie w kuchni wszystko

jest czerwone, od wyłącznika światła przez tapety po talerze. To może trochę przejmujące, ale ma swój styl. Tak.

Siedział na czerwonym drewnianym taborecie marki „Kobieta samotna”, mieszał kawę w filiżance i mówił o wierności.

- Co pani sądzi o wierności małżeńskiej?

- Chodzi panu o politykę czy o seks? - To był strzał z lewej nogi, z woleja, w samo okienko.

Bardzo ciepły, zaledwie odrobinę cyniczny uśmiech. Zapalił. Z braku czerwonej popielniczki podsunęłam mu szklany talerzyk.

- Chodzi mi o seks.

- Póki co nie mam doświadczeń z wiernością małżeńską. To znaczy, nie mogę odwołać się do zasobnego skarbca moich własnych wspomnień. Moi dziadkowie zawsze byli sobie wierni, ciocia Lili i wujek Paul też. Moja przyjaciółka nie jest wierna swojemu mężowi i mój akompaniator też nie jest wierny swojej żonie, jak sądzę. Nasz proboszcz był zawsze wierny swojej gospodyni.

To było bezczelne i w dodatku nieprawda. Jak zwykle nie wytrzymałam: zachichotałam.

- A pan? To znaczy, czy pan zawsze jest wierny swojej żonie, czy może chce pan wkrótce zmienić ten stan rzeczy, co być może wolno mi wywnioskować z faktu, że poruszył pan ten temat?

Czułam się jak dziecko, które nieostrożnie poczyňa sobie z lampionem adwentowym. Albo cały lampion zaraz spłonie, albo dostanę po łapach.

To, co się stało, zaskoczyło mnie. Ciepły uśmiech znikł i na twarzy krytyka pojawił się wyraz niemal chłopięcego nadąsania, tylko przez ułamek sekundy.

- Ona nie dochowała wierności. Aha. Więc to była ta inna agencja.

- Tak więc sądzi pan, że z wściekłości i rozpaczy (to cytat z „Kserksesza” Handla) trzeba sobie wytrzasnąć jakąś pocieszycielkę na jedną noc? - Wpadłam w oryginalny ton cioci Lili. (Dziecko, a cóż on sobie myśli, że kim ty jesteś?)

Ponieważ Georgowi Lalinde nie było dane znać ciocię Lili, ta intonacja prawdopodobnie boleśnie go ugodziła.

Głęboko wstrząśnięty, zaciągał się dymem z papierosa, po czym zmiażdżył go w moim dziewiczym szklanym talerzyku.

- Nie, to wielkie nieporozumienie. To trzeba widzieć zupełnie inaczej. Teraz nareszcie czuję się wolny od małżeńskich zobowiązań - (naprawdę powiedział „małżeńskich zobowiązań”!) - i mogę powiedzieć pani mojego serca, jak bardzo ją lubię i szanuję.

Powiedziałam:

- Czy to ja, panie? - (Cytat z „Pasji według św. Mateusza”). Ale była to zbędna kokieteria. Naturalnie, że to ja. (Skromność jest cnotą królów!)

To nie był lekkoduch. Jego wyznanie należało potraktować najzupełniej poważnie. Wiedziałam, że nie chodzi mu tylko o zaciągnięcie mnie do łóżka. Jakoś mnie to wzruszyło. Ten mężczyzna o osiemnaście lat starszy ode mnie, obcujący z większymi artystami niż ja, Callas z przedmieścia, ten wzorowy ojciec rodziny siedzi na moim czerwonym taborecie i mówi do mnie „pani mojego serca”. To nie jest ani kicz, ani wazelina. On tak myśli.

I potraktowałam go poważnie.

Nagle wzięłam jego rękę (szorstką i chłodną) i powiedziałam:

- Dziękuję ci za zaufanie.

I zaczerwieniłam się po czubek głowy. Zwróciłam się do niego przez ty. I po prostu wzięłam go za rękę. Dziecko, toż to prostacka poufałość.

Pogłaskał mój środkowy palec swoim wskazującym. Nic więcej. Długo i uważnie obserwował mój środkowy palec, jak obserwuje się osłabionego motyla, rzadki znaczek czy pożółkłą fotografię kochanej zmarłej osoby.

Po czym spojrzał na mnie, to znaczy już nie na mój środkowy palec, tylko na nieregularną purpurę mojego oblicza.

- Bardzo cię lubię, bardzo.

Cóż za niewiarygodny wybuch namiętności. Dwa bardzo. Temu mężczyźnie formalnie zabrakło słów.

- Teraz musisz iść - powiedziałam.

Zatęskniłam do mojej blaszanki, płaskiej butelki z gorącą wodą, którą mam zwyczaj ogrzewać sobie łóżko.

Wstał, włożył swoje popelinowe okrycie, swój uniform ojca rodziny, swój płaszcz czterdziestolatka w kolorze leśnej polany. Chwilę stał w moim małym przedpokoju, zrobił dwa kroki w kierunku drzwi, znów się odwrócił.

- Lwica - powiedział nie patrząc na mnie, lecz tuż obok. - Śpij dobrze. Zadzwoń, jeśli mi wolno.

- To znaczy, jeśli pozwoli ci żona? - dogryzłam.

- Jeśli pozwoli mi dama mojego serca.

Otworzył drzwi wyjściowe, zapaliłam mu światło na klatce schodowej. Pachniało smażonymi kartoflami i pastą do podłogi.

Tłusty kot mojej starej sąsiadki wydawał żarliwe i tęskne odgłosy. Uśmiechnęliśmy się do siebie. I powiedział to samo, co we Frankfurcie:

- Jestem bardzo szczęśliwy!

Wkrótce potem usłyszałam, jak jego zmęczony opel odjeżdża. Było dziesięć po trzeciej.



## Rozdział VI

Stałam trochę bezradnie przed lustrem, z moją blaszanką w ręku. I co teraz? - zwróciłam się do wypieków. Blaszanką też nie odpowiedziała.

Przypomniałam sobie o automatycznej sekretarce. Milczała z wyrzutem licznik wskazywał sześćdziesiąt cztery. O kurczę.

Najpierw czterdzieści jednostek ciocia Lilli: Gdzież ja się podziewam, co u mnie słyhać, czy mam jeszcze trochę czasu dla swojej biednej starej, słabe i tak dalej, ale kochanej ciotki Lili, czy też się nie przepracowuję i przynajmniej regularnie jadam, oszczędzam swój głos i dostatecznie dużo sypiam. Skinęłam głową, moja butelka zbulgotała.

Następnie głos mężczyzny:

- Stoję już prawie od dwóch godzin za pani samochodem, a pani po prostu nie przychodzi! Nie mam zamiaru dłużej pilnować tego starego suwadła Istnieją przyjemniejsze zajęcia niż siedzenie w samochodzie w deszczowe niedzielne popołudnie i czekanie na panią. Zadzwoń później. - Trzask odkładanej słuchawki.

Solidny. Wyszczrzyłam zęby, ciesząc się z cudzego nieszczęścia. Facet z anielską cierpliwością czekał przy moim samochodzie, gdy ja tymczasem jechałam w góry tureckim oplem Georga Lalinde.

A więc mam dwóch wielbicieli.

Bardzo zabawna myśl. Z tą myślą - i z gorącą blaszanką udałam się do łóżka.

Ojciec rodziny w popelinie czy wielki Solidny?

Właściwie żaden nie kwalifikował się do poważnego potraktowania. Dziecko, chyba nadszedł już czas skończyć z tymi flirtami. Znajdźże sobie coś poważnego! A może coś solidnego?

Wkrótce obie spałyśmy. Ja i moja blaszanka.

Rano po zimnym prysznicu kultywuję uświęcony tradycją rytuał. Kawa, gazeta (kultura i ogłoszenia) i dwadzieścia deko chudego twarożku. No tak, kiedyś w końcu muszę powiedzieć o tej nerwicy. Cierpię mianowicie na zaawansowaną papkomanie.

Otóż wszystko, co tylko można jeść łyżeczką, sprawia mi niewysłowioną wręcz rozkosz. Ponieważ niewysłowione rozkosze są zawsze czymś wstydlivym, mojej papkomanii oddaję się w skrytości. Zaczynam więc dzień rozsądnie i kulturalnie: dzień dobry, miły poranku, czuję się tak wysokokalorycznie i niskobiałkowo. Pod koniec dnia ten rozsądek przeradza się w dzikie pożądanie i ląduję przy papce z grysiku albo kleiku owsianym. Prawdopodobnie jestem przypadkiem dla psychiatry, ale przecież jednego właśnie poznałam.

Moje dziwactwo ma jeszcze to do siebie, że papki smakują mi tylko z plastikowych łyżeczek. Mam więc do dyspozycji szeroki asortyment czerwonych łyżeczek o różnej długości uchwytów. (Ponieważ istnieją także różnej głębokości kubki z twarożkiem, pojemniki z jogurtem i miseczki do mieszania papek.)

W papkowym używaniu nikt nie ma prawa mi przeszkadzać. Nie potrafię rozkoszować się papką, kiedy ktoś jest w pobliżu, bo po pierwsze nie życzę sobie, żeby ktokolwiek obserwował mnie przy takim posiłku raczkującego niemowlęcia, a poza tym w takiej sytuacji nie mogłabym należycie skoncentrować się na przyjemności.

No więc w samym środku mojej orgii z chudym twarożkiem w poniedziałkowy poranek dziesięć minut po dziewiątej dzwoni telefon.

- Tu gabinet doktora Kletta, łączę.

Nie znam żadnego doktora Kletta. A może?

- No, ależ z pani ziółko! Gdzież się pani podziewała? A więc Solidny nazywa się Klett.

- Przepraszam, zupełnie zapomniałam, że byliśmy umówieni - powiedziałam z pełnymi ustami.

- Je pani śniadanie?

- Ależ skąd, dlaczego pan tak sądzi?

(Nie, właśnie mam atak papkowego głodu. Ma pan jeszcze jakiś wolny termin na swojej kozetce?)

- Zdaje się, że dziś z rana humor nie dopisuje?

- Do tej chwili dopisywał. - Dziecko, znów jesteś agresywna!

- A cóż pani robiła wczoraj? Nie potrzebowała pani samochodu? - Co za wyrafinowana konwersacja!

- Wybrałam się na piechotę do Zoo, a potem wróciłam do domu na wielbłądzie.

- I wciąż używa pani tego wielbłąda?

- Nie, skądże. Wystarcza mi osioł.

- Zobaczymy się dziś wieczorem? Chętnie zaprosiłbym panią na kolację.

Miał sympatyczną umiejętność brania moich impertynencji za dobrą monetę. Właściwie trochę go lubiłam. Odmówiłam sobie pytania, czy zna restaurację, w której serwują owies i sieczkę, jak również uwagi, że bez reszty usatysfakcjonowałby mnie duży garnek grysiku. W końcu rozmawialiśmy prywatnie. Usłyszałam w tle głos kobiety:

- Panie doktorze, czy jest już recepta dla pani Halmackenreuther? - (Nie pamiętam, chyba nazywała się inaczej.)

- Chwileczkę, zaraz wracam! - ryknął mi pan doktor do ucha; odtąd trzymałam słuchawkę na dystans.

- Widzi pani, mam pełne ręce roboty - odezwał się znowu normalnym tonem. - Przyjechać po panią o siódmej?

- Nie za wcześnie? - wyrwało mi się. Ach, jak nieuprzejmie.

- A więc pięć po siódmej - stwierdził tylko - do siódmej jestem w gabinecie.

Mam cię, ptaszku! W takim razie to musi być gdzieś całkiem blisko!

- Gdzie... ee, to znaczy, gdzie jest ten gabinet? Wymienił adres. To było dwie przecznice stąd.

- Dobrze, więc pięć po siódmej - powiedziałam beznamiętnie i odłożyłam słuchawkę. W końcu przecież czekała pani Halmackenreuther.

W zamyśleniu przełykałam resztę twarożku. Psychiatra w zasięgu ręki. Szczęśliwy traf?

Spróbowałam ponownie zatopić się w lekturze. Dział „Kultura” w poniedziałki jest zawsze bardzo skromny. Prawdę mówiąc szukałam artykułu sygnowanego G kropka L kropka. Jednak relacje z uroczystości parafialnej w Klettenbergu i jubileuszu chóru kościelnego w Bickendorf nie były jego.

Właśnie czytałam pasjonujący artykuł o loterii fantowej na rzecz poszkodowanych w wojnie strzelców do rzutków, gdy znów zadzwonił telefon.

G kropka L kropka.

- Dzień dobry, najdroższa lwico.

- Dzień dobry, strzelcze.

- Strzelcze? Sądziłem, że wyjaśniłem ci...

- Już dobrze, miałam coś innego na myśli. Jak ci się spało?

- Bosko.

Ten mężczyzna jest zakochany, nie ma cienia wątpliwości. Porozmawialiśmy jeszcze o tym i o owym, gdyby ktoś podsłuchiwał, uznałby to za gruchanie czubków.

Po czym nastąpiło obligatoryjne pytanie.

- Czy mogę cię dziś zobaczyć?

- Nie, Georg, najpierw mam próbę, potem muszę ćwiczyć, potem przychodzi uczennica...

- Jestem zazdrosny o tę uczennicę.

- Niepotrzebnie, jest gruba, ma pryszczę, jest absolutnie niemuzyczna i nosi aparat ortodontyczny.

- A co po tym wcieleniu brzydoty? Będziesz miała trochę wolnego?

- Po niej przychodzi pewien człowiek naprawić mi magnetowid. Przy mojej ożywionej działalności koncertowej permanentnie opuszczam „Bonanzę” i „Dallas”. A poza tym muszę wreszcie przyprowadzić samochód. Pewnie już przerdzewiał na wylot.

- Czy mogę zawieźć cię do twojego samochodu?

Zastanowiłam się. Czy może? Nie. Nie może. W ogóle nie może być więcej wykorzystywany, po pierwsze, a po drugie, po trzecie i po czwarte dzisiaj wieczorem spotykam się z psychiatrą. To zupełnie wystarczy.

- Nie, Georg, dzisiaj nie. Jak będzie gotowy magnetowid, muszę pilnie obejrzeć cztery ostatnie odcinki „Dallas”. - Nędzna, pospolita wymówka bez krztyny oryginalności. O dziewiątej rano nie jestem jeszcze w formie.

- Z J. R. oczywiście nie mam szans.

- Nie, Dzi El - powiedziałam. - Ale nie martw się. Ja też nie jestem miss Elli.

- Z pewnością jesteś o wiele ładniejsza!

Ten człowiek nigdy nie oglądał „Dallas”! Jest dla mnie stanowczo zbyt kulturalny i wykształcony!

- Dziękuję za komplement - powiedziałam rozbawiona. - I spytaj swoją córkę, kto to jest miss Elli.

Milczał. I nagle:

- Przesyła ci pozdrowienia.

- Miss Elli?

- Nina.

Omiał nie dostałam czkawkę z nadmiaru białka.

- Czyżbyś jej o mnie opowiadał?

- Tak. Obudziła się, kiedy dzisiaj w nocy wszedłem do naszej sypialni.

- Zaraz, zaraz, jeszcze raz, powoli. Jak to do waszej sypialni? Nie podejrzewałabym cię o pedofilię.

Kiepski żart. Nie zaśmiał się.

- Śpię u córki, żona śpi sama.

Aha. U państwa krytyków panują bardzo interesujące stosunki.

- I kiedy wracasz do domu, składasz swojej córce sprawozdania? Kiedy dostąpię tego zaszczytu, że mnie jej przedstawiš?

To było w zamierzeniu raczej ironiczne, ale skwapliwie podchwycił temat.

- Kiedy tylko sobie zażyczysz. Chciałaby cię poznać!

- Na miłość Boską, coś ty jej o mnie naopowiadał?

- Że jesteś wspaniałą śpiewaczką i że zawsze zostawiasz dzinsy pod wieczorową suknią.

No tak, teraz rozumiem, dlaczego to dziecko chce mnie poznać. Tata wreszcie poznał jakąś rozsądną śpiewaczkę. Bo wspaniałe były wszystkie, mnie lub bardziej.

- A żona? Czy także przesyła pozdrowienia?

- Nie. Jeszcze jej nie widziałem.

- Powinieneś być. Zajrzyj pod kołdrę w sypialni dla dorosłych.

- Nocowała u swojego przyjaciela.

- Wolno tak?

- Teraz wolno.

- Od kiedy?

- Od wczoraj.

- Czy to przeze mnie?

- Zgadza się.

- A więc co?

- A więc to.

Zrozumieliśmy się doskonale. Wniósł o rozwód.

## Rozdział VII

Jechałam do pracy tramwajem, różne rzeczy chodziły mi po głowie. W każdym razie nie byłam ani odrobinę rozśpiewana. To zresztą akurat nie tragedia. Pracowałam teraz w programie rozrywkowym, z Heino. Czy to był prawdziwy Heino, tego nigdy nie zdołałam dociec. Zawsze miał na sobie okulary przeciwsłoneczne, nawet w Studio 2.

Nagrywaliśmy pastorałki, w stylu „Na kopie siana leżałem z rana” i „Budziłem dobrze kijem po biodrze”, w F - dur.

Naprzeciw mnie usiadł jakiś blady, wychudzony dziadzio i wdał się w rozmowę z samym sobą. Początkowo sądziłam, że mówi do mnie, i starałam się być uprzejma. Ale on ponad wszelką wątpliwość rozmawiał sam ze sobą, a może ze swoją zmarłą małżonką.

- W Heimersdorf, pod Karstadt, mała kawa kosztuje sześćdziesiąt fenigów - poinformował ją w dialekcie południowowestfalskim. - A pięćdziesiątka Stock Prummetat markę dwadzieścia. - Wyglądało na to, że małżonka nie była tym zainteresowana, bo zmienił temat. - Ci terroryści są coraz bardziej bezczelni. - I tak dalej.

Pomyślałam o psychiatrze. I o małżonce Lalinde, która teraz zupełnie legalnie idzie swoją drogą i zawdzięcza to mnie. I o dziecku, które chciało wreszcie poznać śpiewaczkę w džinsach. I o Heino, którego chętnie widziałabym w takiej niedyspozycji, żeby nagranie zostało przeniesione na inny termin.

Przy rozgłośni wysiadłam.

Nagranie nie zostało przeniesione. Trwało bite cztery godziny. Kara za to, że zgrzeszyłam. Głównie myślą, trochę mową oraz intencją uczynku.

Kiedy niemiła dla oka i jeszcze bardziej niestrawna dla ucha uczennica wreszcie sobie poszła i znów zaczął funkcjonować magnetowid, było zbyt późno, żeby wybrać się



po samochód. Miałam jeszcze pół godziny do spotkania z psychiatrą. Wyglądał na człowieka, który przyjdzie z dokładnością do minuty. Żaden kwadrans akademicki nie wchodzi w grę.

Poszło gorzej, niż się mogłam spodziewać. Już za dziesięć siódma rozległ się dzwonek. Byłam w dzinsach i swetrze i bez śladu makijażu na twarzy. Za wcześnie. Sam pan sobie winien, panie doktorze.

- Ma pan szczęście, że właśnie zdjęłam maseczkę z ogórków - powitałam gigantyczny bukiet kwiatów na nogach.  
- Och, ależ to nie było konieczne - spuściłam z tonu i zaczęłam się zastanawiać, w jakim wiadrze mogłabym tymczasowo pomieścić olbrzymią wiązanekę.

Grzecznie zaprosiłam pana doktora do środka i zapytałam, czy by się czegoś napił.

- Chętnie, sherry, jeżeli pani ma. Nie miałam sherry.

- No to może być szklanka soku. Nie miałam soku.

- To może... piwo?

- Nie mam.

Doktor spojrzał w kierunku mojej lodówki (co za przykrość, było w niej chyba z siedem dużych pojemników chudego twarożku i nic więcej), po czym zaproponował, żebyśmy zaraz wyszli. Że zamówił stolik. Mój Boże, która wybrać, małą czarną czy wydekoltowaną szarą w rzucik?

Zapytałam nieco prowokacyjnym tonem:

- Czy muszę się przebierać? - Dziecko, nigdy nie będziesz damą!

Zapewnił, że nie ma potrzeby, że powinnam być taka, jaka jestem. Psychiatra. Zaakceptuj siebie, bądź sobą, spójrz sobie w twarz, zgódź się na siebie. Zgodziłam się na siebie.

Na dole, na ulicy, zapytałam, czy moglibyśmy pojechać jego samochodem. Że mój wciąż tkwi pod domem parafialnym.

- Może podrzucić tam panią szybko? Na pewno potrzebuje pani samochodu.

- Nie, dziękuję bardzo. Mogę go sprowadzić jutro. - (Możemy go sprowadzić jutro z Georgiem).

Doktor od dusz wcale nie zamierzał wozić się moim zardzewiałym volks-wagenem. Wsiedliśmy do jaskrawoczerwonego BMW. Samochód na podryw. Tylko dlaczego? Po co mu takie pudło? Uruchomił jakieś mechanizmy, które z cichym brzękiem ustawiły siedzenie, oparcie dla pleców i poręcze pod łokcie oraz otworzyły szyby okienne. Frank Sinatra, nieproszony, zaczął przedstawiać swoją opinię na temat Nowego Jorku, w ckliwym moll.

Oczekując ręki robota, która zaoferuje mi kieliszek szampana, z respektem leżałam w przeznaczonej dla pasażera łupinie orzecha z jasnej skóry. Cóż za elegancja.

- Zna pani japońską kuchnię?

- Chodzi panu o ptasie gniazda w galarecie i dżdżownice z różną w przepiórczych jajach?

Ku mojemu zaskoczeniu radośnie skinął głową.

- A więc zna pani Daikotai?

- Co proszę? - spytałam zaniepokojona.

- Japońską restaurację przy giełdzie.

- Przy giełdzie? - powiedziałam słabo. - To nie na moją kieszeń.

- Nie, nie - dotarło ze skórzanej łupiny orzecha po lewej. - Przecież panią zapraszam.

Chyba nie poznał się na dowcipie?

Mówiąc to mianowicie poklepał mnie uspokajająco po nodze.

- Serdecznie zapraszam. - Dziecko, ten człowiek jest z dobrego domu! Doktor od duszy otworzył moje drzwi, po czym bardzo usłużnie przywitał nas skośnooki Azjata w białej czapce kucharskiej na głowie.

- Tobly fieczól, panie toktosze - powiedział dyszkantem. -  
Tobly fieczól, szanofna pani.

Zrobiło mi się słabo, kiedy nie znoszącym sprzeciwu gestem wyciągnął ręce po mój płaszcz. (Dziecko, to wszystko przykrywa!)

- Popłoszę o kaltelopę!

Niechętnie pozwoliłam rozebrać się z płaszczem. Ukazały się czelwone czinsy i sielony sfetel. Szanofna pani przestała istnieć. Garderobiany Japończyk nic nie dał po sobie poznać, jego skośne oczy wciąż się uśmiechały.

Po przekazaniu mojego second - hand - płaszczem swojemu rodakowi, w małej czapce kucharskiej, zapewne w związku z tym kompetentnemu do powieszenia płaszczem, i potem jak ten ostatni dyskretnie nie saufaszył, sze fieszak jest opelfany, pierwszy z unizonych sług poprowadził nas do wnętrza restauracji. To, co się następnie działo, było równie absurdalne jak komiczne. Przy dużych stołach, których powierzchnia służyła jednocześnie za płytę kuchenną, siedzieli odstawieni biznesmeni z kilkoma wytwornymi paniami; wszyscy byli przewiązani białymi serwetami jak w przedszkolu, i grzecznie usiłowali jeść patyczkami pod skośnookim uśmiechem kucharzy, którzy stali przy każdym stole i smażyli najróżniejsze przysmaki.

Czułam się tu jak zakonnica w kinie. Ledwie usiadłam, zaraz zostałam obwiązana taką serwetą. Mój spontaniczny protest utonął w śmiechu mojego uroczego towarzysza. Poczułam, jak wypełzają mi na twarz moje czerwone plamy, zwłaszcza ta na czole, w kształcie Afryki.

Mój doktor zamówił wino z ryżu, jakiś koktajl i menu „dla uczczenia dnia”, Twarożku w tym nie było. Były natomiast piersi pstrąga, ogon łososia, kalafior „wschodzące słońce”, brokuły „zachodzące słońce” i wykwinny filec „znikający banknot”, a na deser lody waniliowe „zgubiona talia”. Czy coś

w tym rodzaju. Najpierw piliśmy gorące wino z ryżu, które wyciskało łzy z oczu i spowodowało, że Afryka zaczęła się rozplýwać. Następnie przez słomkę w pętku porcelanowego Buddy pociągałam koktajl, wydawałam się sobie przy tym taką dekadentką jak jeszcze nigdy w życiu.

- Miło tu - powiedziałam patrząc na otaczających nas biznesmenów ze śliniaczkami.

Naprzeciw nas stał kucharz i z nieprawdopodobną zręcznością zonglował nad płytą niewielką rybką, którą w błyskawicznym tempie rozebrał na mikroskopijne części, a następnie z rozpędu, jakby strzelając z biodra, rzucił na nasze talerze. Napawając się naszym zaskoczeniem, powiedział:

- Pielsi pstłaka!

Doktor uśmiechnął się do mnie zachęcająco i wziął patyczki. Ja gwizdząc na takie kłopotliwe rytuały, spytałam głośno, czy nie dałoby się wydebić jakiegoś widelca. Ogólna konsternacja i milczenie. Wpatrzone we mnie zdziwione oczy biznesmenów.

Kucharz wciąż szczyrzył zęby, choć w szparkach jego oczu ukazały się białka, pstryknął palcami i drepcząca dama, która wyglądała jak motyl - inwalida, koniuszkami palców podała mi nóż i widelec. Nadmiar szczęścia.

Nadziałam na widelec trzecią część rybiej klatki piersiowej i z wilczym apetytem włożyłam ją do ust. Tym samym uporałam się z pierwszą przekąską. Doktor z namaszczeniem celebrował ćwiartowanie zakąski na cząstki, oddzielanie mięsa od ości i wkładanie go do ust za pomocą patyczków. Gdy z takim trudem wypracowany kęs upadł mu na stół obok talerza, roześmiał się.

- Praktyka czyni mistrza - stwierdził nie rezygnując. Zrozumiałam, dlaczego w tej restauracji trzeba było zamawiać miejsca

„Kolacja dla początkujących” wymagała sporo czasu. I sporej opłaty za kurs. Po opróżnieniu obwisłego, przepastnego brzucha Buddy poczułam się o wiele lepiej. Zaczęłam delektować się tym wieczorem i tą „kolacją”. Doktor z ożywieniem gawędził o swojej praktyce, swoim ostatnim urlopie na Florydzie i swoim dzieciństwie w Bawarii Górnej.

Ja opowiedziałam o swoim dzieciństwie w Westfalii - co skomentował: - Ale nie jest pani zakutą Westfalką - o moim ostatnim urlopie na rowerze nad Dunajem i na interpelację oczywiście o moich studiach muzycznych, pracy w chórze i występach.

- I żyje pani samotnie?

- Nie. Z Rudim.

- Kto to jest Rudi?

- Różowy flaming z papier - mache. Kiedyś ukradłam go występując w pewnym widowisku telewizyjnym. Wtedy jeszcze miał nogi. Ale nie mieściły się w bagażniku. Teraz przesiaduje na ławie w kuchni, przyzwyczał się. A pan? Pan żyje samotnie? - Zawsze ruszaj śmiało na nieprzyjaciela! Dziecko, to ty jesteś od zadawania pytań!

- Tak, mam apartament w centrum.

- A kto prasuje panu kanty w spodniach? Matka?

- Tak, na razie. Tego się obawiałam.

No to jeszcze trochę ciepłego wina, to wzmacnia nerwy.

Skośnooki zonglował aktualnie dwoma truskawkami, które, także strzelając z biodra, rzucił na lody waniliowe biznesmenów siedzących po mojej prawej stronie. Wszystkie cztery połówki truskawek trafiły w dziesiątkę, ani jedna nie wylądowała pomyłkowo na mojej sałatce z pędu bambusa, co wywołało burzliwe oklaski. Podziękował uniżenie i białka jego oczu znowu znikły. Następnie posługując się tasakiem i nożykiem z niezwykłą zręcznością zajął się naszymi filedami, drobno posiekał dla każdego z nas po jednym prawdziwku i

po plasterku pomidora i znów rozpoczął rzuty zręcznościowe. Był chyba mistrzem świata w rzucaniu do celu artykułami spożywczymi.

Tymczasem mój doktor też przeszedł na nóż i widelec. To mi się podobało. Nie był doktrynerem.

Był otwarty także na piwo. Pił kolscha. Po trzeciej szklance szlachetnego, rdzennie niemieckiego browaru nagle znowu położył rękę na mojej nodze, to znaczy na mojej serwecie, i powiedział, drugą ręką podnosząc szklanę:

- Nazywam się Klaus. Zakrztusiłam się kawałkiem kalafiora.

- Klaus Klett? - Wieczorna aliteracja jak pożywna kolacja!

- Klaus Konrad Klett.

- Coraz gorzej! - Czknęłam z zachwytu. - Co pana rodzice chcieli przez to osiągnąć?

- Kochają się w aliteracjach. Mój brat nazywa się Karl Kuno, a siostra Katharina Kirsten.

Pomyślałam: Błogosławieni, którzy cierpią prześladowania. I spytałam:

- Czy to dlatego został pan psychiatrą?

- Nie. To długa historia. Ale najpierw chcę z tobą wypić bruderszaft. Wypiliśmy i przeszliśmy na ty. Procedura przewidywała też pocałunek.

Smakował piwem, chyba odrobinę bardziej niż czym innym.

- No więc dlaczego zostałeś psychiatrą, Klausie Kuno?

- Klausie Konradzie.

- Niech będzie Klausie Konradzie.

Klaus Konrad opowiedział mi zatem barwnie i obrazowo, że kiedyś był internistą, ale „wspólnie z kimś” odziedziczył gabinet psychiatryczny. Odbył w związku z tym dodatkowe studia i teraz od trzech lat pracuje w tym wspólnym gabinecie.

Ale ma jeszcze pacjentów z czasów, kiedy był internistą, i zaczyna nosić się z myślą, żeby powrócić do tej profesji. Dlaczego woli robić EKG i zastrzyki niż rozmawiać z ludźmi o ich kompleksie Edypa czy skłonnościach pedofilskich?... Georg. Od paru godzin nie myślałam o nim. Leży teraz w pokoju dziecięcym i rozmawia z córką o portretach koni albo o śpiewaczkach w dżinsach. W każdym razie bardzo daleko. W jakimś pokoju dziecięcym w Bonn.

- Hej, zdaje się, że powędrowałaś gdzieś myślami. Patrz, nadchodzi deser!

Rzeczywiście, ściślej - nadleciał, ale ja nie byłam w stanie już nic przełknąć.

Doktor - przepraszam, Klaus Konrad - podsunął usługującemu Japończykowi swoją kartę kredytową, ten znów przywołał pstryknięciem motyla - inwalidę, otrzymałam swój płaszcz (urwany wieszak bezlitośnie dyndał nad kapturem) i po uprzejmym „toprej nocy” wpadliśmy w łupiny orzecha w BMW (rozbroiwszy uprzednio urządzenia alarmowe) i pojechaliśmy z powrotem do mojej odrapanej i brudnej dzielnicy. Ze względu na wymogi grzeczności zaprosiłam jeszcze doktora na górę na filiżankę kawy.

W pokoju na stole stało siedem czerwonych róż od Lalinde. Kubeł z kwiatami od Klause Konrada Kletta wtaszczyłam na fortepian. Prawdę mówiąc po to, żeby mi nie zawadzał.

- Gdybym wiedział, jakie masz małe mieszkanie, przyniósłbym ci tylko jedną niezapominajkę - powiedział, z zawodową wprawą odgadując moje myśli.

- I tak cię nie zapomnę - odpowiedziałam lekkomyślnie. Dla niego znaczyło to prawdopodobnie: „Poderwij mnie z krzesła i obejmij, aż zatrzęszcę!” Bo tak właśnie zrobił. Moja kawa się rozlała, a nad moją Afryką chyba zachodziło słońce, zaczęła świecić na czerwono.

- Ha, nie zapomnisz mnie - doszedł do głosu jego górnobawarski temperament. - I ja myślę stale o tobie.

Wypiłam za dużo ryżowego wina, żeby się skutecznie bronić. Poza tym był bardzo sympatyczny. Jego pocałunek smakował trochę piwem, bardziej kawą, a jeszcze bardziej czymś zupełnie innym. Opadliśmy na dziewczęcą kanapę cioci Lili. W każdym razie zakładam, że kanapa ta miała z ciocią Lili jedynie dziewczęce wspomnienia. Ja niestety przyzwyczaiałam ją już do czegoś innego. W końcu pochodziła z końca lat trzydziestych, była więc dorosła.

Kiedy znaleźliśmy się w pozycji leżącej, nie mogłam sobie odmówić zerknięcia spod przymkniętych powiek na licznik mojej automatycznej sekretarki. Wskazywał trzydzieści sześć. Lalinde?

Odczułam silną tęsknotę do mojej gorącej blaszanki. Kilka razy naprężyłam bicepsy i sygnał dotarł do namiętnego zalotnika nade mną.

Stwierdził radośnie, że nie jestem dziewczyną na pierwszą noc. przygładził sobie porządną fryzurę, poprawił krawat. Potem grzecznie wstawił do zlewu filiżankę, uraczył mnie chłodno - wilgotnym cmoknięciem gdzieś w Ocean Atlantycki w pobliżu Afryki i z rozmachem otworzył drzwi od kibla. Moja blaszanka, zimna i smutna, leżała w krótkiej wannie, na której ze zdziwieniem zauważyłam mnóstwo rdzy.

Zamknęłam drzwi i otworzyłam mu właściwe. Powiało chłodnym powietrzem z klatki schodowej. Wciąż pachniały smażone kartofle, ale tymi razem niewątpliwie z cebulą. Tłusty kot sąsiadki stał tuż za drzwiami, słyszałam jego pomruk.

Klaus Konrad z młodzieńczą werwą zbiegł w dół po schodach. Z samego dołu, sprzed drzwi pani Maggeloni, przesłał mi jeszcze głośnego całusa.

- Zadzwoń! - Bez „Jeśli wolno”.



Syknełam: - Psst! - a kot rozdarł się, urażony. Na dole zaskoczył zamek od drzwi. Wkrótce potem BMW zastartowało.

Napełniając blaszankę zapytałam lustro w łazience, czy ma jakieś zdanie na ten temat. Rzuciło mi tylko zmęczone spojrzenie mętnych oczu na czerwonopłamistym tle.

A cztery wskazówki moich dwóch zegarków pokazywały dziesięć po trzeciej.

## Rozdział VIII

To był pamiętny wtorek.

Zaczął się już przy pałaszowaniu twarożkowej papeczki. Punkt dziewiąta pierwszy telefon.

Lalinde. Jak spałam, czy spędziłam spokojny wieczór przy telewizorze co mam dziś w planie i że on czuje się fantastycznie, że cały wieczór słucha pieśni Straussa (tu niezupełnie czysto zanucił jakąś niemożliwą do rozpoznania melodię) i że koniecznie musi mi zagrać pewną pieśń Straussa, nazywa się „Cecylia”.

Zapytałam, co to ma wspólnego ze mną, bo ja mianowicie nie nazywam się Cecylia, co zresztą absolutnie mnie nie martwi.

- Mimo to ta pieśń jest dla ciebie.
- Czy to znaczy, że ja mam ją zaśpiewać?
- Nic nie sprawiłoby mi większej radości. Ten to ma zachcianki, i to o dziewiątej rano!
- O czym więc traktuje ta pieśń?
- Nie chciałbym o tym mówić przez telefon. Ach tak, do tego zmierza.
- A więc?
- Czy mogę cię dziś odwiedzić?
- Razem z Cecylią?
- Oczywiście.
- O.K., w takim razie na dzisiejszy wieczór przygotuję coś na trzy osoby. Z przerażeniem pomyślałam, że ani nie umiem gotować, ani nie znam się na urządzaniu stylowych kolacji, ani nie mam pojęcia, co serwuje się takim czterdziestoparolatkom, od dwudziestu lat karmionym solidną, niemiecką domową kuchnią, zwłaszcza gdy przeżywają swój okres burzy i naporu.
- Byłoby fantastycznie. Ale proszę, nie rób sobie zbyt wiele kłopotu. O to możesz być spokojny! - pomyślałam.

- Nie, nie, to drobiazg.

Jakie frazesy powinna wygłosić zapraszająca pani domu? Kiedyś kuzynka powitała nas na przyjęciu urodzinowym słowami: „Niech jedzą tylko ci, którzy koniecznie muszą!” Ale była wtedy studentką.

- A więc na razie, do wieczora. Bardzo się cieszę, bardzo.

Czy w swoich recenzjach też stosuje takie pomysłowe superlatywy? Pan Śpiewak Takiowski beczał bardzo, bardzo.

- Nie ciesz się za wcześnie - odpowiedziałam, mając na myśli kolację, która już teraz kamieniem zalegała mi w żołądku. Po co właściwie wyrwałam się z tą kolacją? Dlaczego nie zaprosiłam go wspaniałomyślnie do pizzerii albo do greckiej restauracji? Mój potwór wewnętrzny dobrze wiedział dlaczego. Ponieważ chciałam być sama z Lalinde i z Cecylią. Dlatego. I musiałam na to zapracować.

Gazeta leżała nietknięta obok kubka z twarożkiem. Ten ostatni padł już był zresztą ofiarą mojego nienasyconego apetytu.

Znowu zadzwonił telefon. Biedna gazeta. Spodziewając się drugiego wielbiciela zgłosiłam się:

- Japońskie Ministerstwo Fyszyfienia, cień topły!

- Ee... kto proszę? Nieznany męski głos.

Odchrząknęłam i przedstawiłam się jak należy. Urażony głos spytał, czy może rozmawiać ze śpiewaczką.

- Przy aparacie.

Głos potrzebował chwili, zanim powiedział:

- Czy ma pani jeszcze wolny weekend?

Wiem, jak należy odpowiadać na takie pytania. Nigdy nie mówić tak, oczywiście. To oznaczałoby, że jestem bezrobotna. Nigdy nie mówić też nie, jasne że nie, bo wtedy nie dowiem się, jaka wspaniała oferta przeszła mi koło nosa.

A więc odpowiedź pytaniem:

- A o co chodzi?

- „Izrael w Egipcie”, Sala Miejska w Blattheim.

To co w końcu, Izrael czy Egipt, czy Blattheim?

- Rzecz jasna, ma pani to w swoim repertuarze? - spytał głos mało dowcipnie.

- Tak, oczywiście - skłamałam, wydrapując resztki twarożku z kubka. - Kiedy próba generalna?

- W sobotę przed południem próba solistów, o szesnastej próba generalna. Symfonicy z Blattheim. Honorarium łącznie z kosztami... - i tak dalej.

Uznałam to wszystko za zupełnie interesujące, z wyjątkiem całej soboty w Blattheim i faktu, że teraz będę musiała rzeczywiście wprowadzić sobie do „repertuaru” to tasiemcowe oratorium.

Jeszcze nie położyłam porządnie słuchawki, kiedy zadzwonił doktor.

Nie odważyłam się ponownie zgłosić jako Ministerstwo Wyżywienia.

Ale dobrze. Bo to znowu była ta dziewczyna.

- Gabinet doktora Kletta, łączę. Po czym kobiecy głos:

- Klett.

Spojrzałam na słuchawkę i zapytałam bardzo głupio:

- Kto?

Kobiecy głos zapytał niecierpliwie:

- Kto mówi?

A ja odpowiedziałam:

- Tego właśnie chciałabym dowiedzieć się od pani!

Nastąpiły trzaski i szmery w przewodach, po czym usłyszałam doktora:

- To była ubolewania godna pomyłka. Dziewczynie się pokręciło. Teraz jestem ja.

- A przedtem to była twoja matka? - przysłałam mu z koleżeńską pomocą.

- No tak, jeśli chcesz. Dzień dobry. Co słychać?

- Wszystko w porządku. W niedzielę będę miała rewelacyjny debiut w Blattheim. Spora dawka orientu. „Izrael w Egipcie”.

- Przecież to znowu Handel.

Ucałowałabym go. Zdaje się, że to specjalista od Handla.

- Ale muszę poćwiczyć. To duża rzecz.

- Czy to znaczy, że nie masz dzisiaj czasu?

- Tak, bardzo słusznie. - Doskonała wymówka ten Handel.

- Nawet po południu, na małą kawę?

- Nie, muszę przyprowadzić samochód.

- Zawiozę cię.

- Nie musisz być w gabinecie?

- Nie, dzisiaj po południu jest tu moja mhm... matka.

- Twoja mhm... matka? Jej troska o ciebie jest wprost wzruszająca. Pozdrów ją ode mnie serdecznie.

U jednego córka, u drugiego matka wydawała się żywo uczestniczyć w naszych schadzках.

- Ee, dobrze, w sprzyjających okolicznościach.

- Ta twoja matka ma zresztą zaskakująco młody głos.

- Tak, tak, świetnie się trzyma.

- Dość tych kłamstw. Jestem zajęta, Heino, Handel itp.

- Ja też, klaustrofobia, nerwice itp.

Odłożyłam słuchawkę. Zapowiadał się interesujący dzień.

## Rozdział IX

W tramwaju znowu spotkałam dziadzia Heimersdorfa. Długimi chudymi palcami kruszył kilka kromek białego chleba w plastikowej torbie.

- Oprócz mnie nikt nie karmi zwierzątek - powiedział z wyrzutem do siedzącej obok nic nie rozumiejącej Turczynki. Po czym poskarżył się na Adenuuera. - Też gagatek, taki sam jak wszyscy. Wszyscy tacy sami, same gagatki. Zawsze wiedziałem, w „Bildzeitung” znów pisali o Adenauerze...

Pewnie chodziło mu o jakiś stary numer. Jeszcze raz poinformował o cenach kawy w Heimersdorf pod Karstadt, ale na Turczyńce, która z zażenowaniem spoglądała na swoją torbę na zakupy, nie zrobiło to większego wrażenia. A jego zmarła żona była już zorientowana w tej kwestii.

Nagranie w Studio 2 było bardzo wyczerpujące. Tym razem Heino nie zjawił się osobiście, za to jego dźwięczny głos rozbrzmiewał z playbacku. My mieliśmy tylko za zadanie robić „dua, dua” albo wtrącać: „Lili, lili, laj, moje paniąteczko”.

Po przerwie nadciągnął chór dziecięcy z Castrop - Rauxel i jakiś przysadzisty pokwitający okularnik beczał oryginalnym tremolo - sound Mireille Matthieu: „mirrę, kaaadzidło i złooooto”. Murowana kariera.

Rzecz jasna, byłam wyczerpana, resztki energii roztrwoiłam na planowanie kolacji.

- Dziś wieczór mam gości, co ugotować? - zwróciłam się do Tracy, sąsiadki. Była świeżo zaimportowana z Kalifornii i uwielbiała ten typ muzyki rozrywkowej, zwłaszcza że w programie były też „Jingle Bells” i „I'm Dreaming of a White Christmas”.

- Jakiś facet? Zrób indyka, turkey, you know?

- Tracy, ja w ogóle nie umiem gotować, w życiu nie robiłam jeszcze czegoś takiego!

- No tak, nie chcesz przecież chyba zatruć swego gościa. W takim razie zrób stare, poczciwe hamburgery.

To był pomysł na wyjście ewakuacyjne.

Kupiłam w kantynie dwa zrazy i upichciłam z tego w domu zapiekankę z makaronem, jajkami i serem.

Gdy o wpół do piątej po południu zadzwonił doktor, cały wyborny eintopf wsadziłam pośpiesznie do piekarnika.

- Ależ tu smakowicie pachnie - przywitał mnie mój gwałtowny Klaus Konrad. Pozbył się dwóch ładnie opakowanych butelek, chwycił mnie i usiłował trafić ustami w moje usta. Utrudniałam mu to, na ile pozwalała siła moich wątych ramion. Oceniłam go na dobre sto kilo. Kawał faceta. W dzinsach i T - shircie wyglądał jak Burt Reynolds. Ale te jego gwałtowne wybuchy namiętności jakoś mnie nie zachwycały.

- Cóż tam jest w tych butelkach? - Wyrwałam się z jego objęć.

- Sherry, moja kochana, a to drugie to najlepszy sok owocowy. Żebyś odtąd miała czym częstować swoich gości.

- Ależ to bez... bardzo uprzejmie z twojej strony - pokornie spuściłam z tonu. - Usiądź. Czy mogę zaproponować ci sherry albo sok?

- Tak, poproszę sherry - powiedział i usadowił się na skrzypiącej kanapie cioci Lili.

Pomknęłam do kuchni, otworzyłam czerwoną wiszącą szafkę... Nie ma kieliszków do sherry. Tylko czerwone kieliszki do jajek. Co za przykrość. Dziecko, naprawdę, nigdy nie będziesz damą.

- Ty, Klaus? Z czego alternatywnie można wypić sherry? Nie musiałam tak głośno krzyczeć, stał już za mną, objął mnie.

- Następnym razem przyniosę ci kieliszki do sherry. Zdaje się, że brakuje ci także wazonów na kwiaty....

Pocałunek w szyję. Ponowny manewr unikowy.

- Zwykle używam słoików po ogórkach...

- Jak się zdaje, jesteś damą z zamiłowaniem do improwizacji.

- Dama to nie, ale z tą improwizacją zgoda. Czy nie ugodzi to zanadto w twoje upodobania estetyczne, jeśli wyjątkowo użyjemy kieliszków do wina?

Wypiliśmy sherry z kieliszków do wina; powiedział uroczyście: - Twoje zdrowie - i usiłował spojrzeć mi głęboko w oczy.

- I twoje - powiedziałam. A co innego można powiedzieć w takim przypadku?

Potem jechaliśmy w ponurym, deszczowym szczycie zatłoczoną trasą nad Renem. Sherry zrobiła swoje, sennie rozparłam się w mojej skórzanej łupinie orzecha.

- Przy takim korku na nic ci twoje siedemdziesiąt KM - ziewnęłam.

- Siedemdziesiąt? - obruszył się. - Ten samochód ma dwieście dwadzieścia KM!

- Och, przepraszam. Nie chciałam umniejszać pogłowia twojej stadniny. Po co ci taki samochód na podryw?

- Samochód na co?

- No, takie sanie na podrywanie. Co na to twoja matka? To nie robi dobrego wrażenia.

- Słuchaj no, jestem dorosły i kupuję sobie takie samochody, jakie mi się podobają, a ten jest szybki, bezpieczny, a poza tym na mój rozmiar...

- Opel commodore też.

- Opel - popel, oplina - popelina. Nie jestem jeszcze panem w średnim wieku i nie zdejmuję kapelusza do jazdy.

Co racja, to racja. Był doskonałym kierowcą, niedawno miałam gorsze doświadczenia. W każdym razie znałam teraz jego opinię o posiadaczach opli.



- Ale skoro już jesteśmy przy tym temacie - powiedział Klaus Konrad - twoje ruchome wiadro na śmiecie to chyba nie jest twoje ostatnie słowo?

- Ach, to mój Herbert - wyjaśniłam mu. - Dlaczego ruchome wiadro na śmiecie? Obejrzałeś go dokładniej?

- Oczywiście, miałem na to dość czasu w niedzielę. To przecież w ogóle nie jest samochód, to jest, to jest... - Nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa. Zdaje się, że tym samochodem na podryw głęboko go dotknęłam.

- Jesteśmy z Herbertem starymi przyjaciółmi. Jesteśmy przywiązani do siebie. To pojazd wielofunkcyjny. Garderoba, salka ćwiczeń, środek transportu, czasem też kosz na śmiecie.

- To nie robi dobrego wrażenia.

- Jeden zero dla ciebie, Klausie Konradzie.

Nie wiedziałam, czy Klaus Konrad jest skończonym snobem czy tylko dobrze wychowanym poczciwcem z tytułem doktora i powszechnym w takich sytuacjach zgrywaniem się na akademika. Kiedy przyjechaliśmy do mojego Herberta - biedak od trzech, nie, od czterech dni mógł pod tym pechowym dla niego domem parafialnym - wygramoliłam się ze skórzanej łupiny i powiedziałam:

- Dziękuję bardzo, Konrad. To było niesamowicie uprzejme z twojej strony.

- Będę jechał przed tobą - odpowiedział, skłaniając głowę.

- Dokąd? - zapytałam z głupia frant.

- Do ciebie albo do mnie, co wolisz? Mam w domu szampana i łososia w lodówce.

- A ja... - wyrwało mi się. Miałam mu powiedzieć, że mam w piekarniku zapiekanekę z makaronem i zrazami z kantyny dla krytyka. Jakoś nie pasowało.

- Chciałabym raczej pojechać do domu, Klaus.

- Dobrze, w porządku, jedziemy do ciebie. Miałam za swoje.

- Dziś wieczorem będę miała gości. Moja matka i moja ciocia Berta i ciocia Ewangelia...

- I ciocia Fantazja - przerwał mi Klaus Konrad.

- Nie, poważnie...

- Ależ absolutnie nie musisz mi się spowiadać, z kim spędzasz wieczór. Zobaczymy się jutro?

Pierwsze zdanie harde, drugie przymilne,

- Jasne, zadzwoń do mnie - powiedziałam z ulgą. I jeszcze przeprosiłam, że go nie uprzedziłam. Jakie to głupie z mojej strony, myślałam, siedząc znów w swoim samochodzie. Co on sobie wyobraża? Zawieźć mnie do mojego samochodu i zaraz spodziewać się szampańsko - łososiowego finału.

Co on sobie właściwie myśli, że kto ja jestem? Czym chce mnie kupić. W każdym razie łosoś i szampan nie robią na mnie wrażenia. Niech wie!

Konrad wyprzedził mnie i zatrąbił. Chciałam odtrąbić, ale nie mogłam znaleźć klaksonu (nigdy nie trąbię!) i ograniczyłam się do uprzejmego pomachania ręką. Elegancko wyglądało to jego czerwone BMW, wysoki mężczyzna w środku też niczego sobie. W zasadzie niezły szpan.

Śmieszne. Nie chciałam szpanować. Chciałam usiąść w mojej kuchni z ojcem rodziny w popelinowym płaszczu koloru leśnej polany i jeść zapiekanekę z makaronem. Tego chciałam.

## Rozdział X

- Bardzo smaczne, naprawdę. Jak nazywa się ta kompozycja?

Georg Lalinde siedział przy moim czerwonym stole kuchennym nad zapiekanką z kluskami. Od czasu do czasu nabijał na widelec grudkę przypieczonego zraza z kantyny, ale głównie spoglądał na mnie przenikliwie. Przed nami stała butelka czerwonego wina, Cote du Rhone, cztery marki dziewięćdziesiąt fenigów w Aldi. I czerwone róże.

- Do twojej czerwonej kuchni - powiedział. Pozostałe stały wszak w pokoju. I olbrzymi pęk Konrada na fortepianie.

- Ta kompozycja - wymówiłam kompozycję z francuska - nazywa się „Tęsknota do Frei”. - Jego żona nosiła szlachecko - elitarne imię Freia.

Zbity z tropu, patrzył na swój widelec. Zabrakło mu słów, by zaprotestować.

- Dlaczego? - rozległo się wreszcie.

- Bo konsumując ją prawdopodobnie odczuwasz tęsknotę za swoją żoną - wyjaśniłam mu i z apetytem wsadziłam do ust letnią kluskę.

Zapewnił mnie, że w żadnym wypadku i że im dłużej jest przy mnie, tym mniej tęskni do Frei, zresztą ona ma swojego Freiera, przepraszam, przyjaciela. Pojawił się jej chłopak ze szkolnych lat i powróciła tamta miłość od pierwszego wejrzenia. Spędza u niego każdą noc i zamysła spędzić z nim resztę swego życia.

- A córka? - spytałam z troską.

- Zostaje ze mną.

- A kto będzie wam prowadził dom?

- Coś się znajdzie. Mamy niejaką panią Bar. Zajmowała się domem, kiedy Freia wyjeżdżała.

- Freia często wyjeżdżała?

- Ukończyła studia artystyczne i wobec tego nie chciała zajmować się domem. Jeździła na wystawy i aukcje dzieł sztuki.

- Tylko tak, dla przyjemności?

- Píše sprawozdania i recenzje.

A więc państwo Lalinde to koledzy po fachu.

- Wiesz co, Georg? - odezwałam się wiedziona nagłym impulsem - Założę się z tobą. O jakąś dużą rzecz. Na przykład o skrzynkę szampana. - (Że też właśnie szampan przyszedł mi do głowy!) - Założę się że... powiedzmy, siedemnastego listopada za dwa lata znowu będziecie razem.

Georg uśmiechnął się łagodnie, ale z pewnością zwycięstwa.

- Już wygrałem ten zakład. Wystąpiliśmy o rozwód. Oboje mamy już dosyć. Ona kocha swojego chłopaka ze szkoły, ja Kocham... no dobrze, przyjmuję zakład. Pod warunkiem że będę mógł wypić tego szampana razem z tobą.

- Całą skrzynkę?

- Całą skrzynkę. Niekoniecznie przecież na raz.

- Załatwione. Jeżeli jeszcze wtedy będziesz chciał...

- Zawsze będę chciał. Nie potrafię sobie wyobrazić nic piękniejszego niż pić z tobą szampana. Prawie nic...

Bawiąc się kieliszkiem zauważyłam, że palce przyklejają mi się do nóżki. Coś iskrzyło nad moim czerwonym stołem kuchennym, coś zarzyło się i tryskało, i wiedziałam, że jeśli teraz na niego spojrzę, to coś eksploduje. Wstyd powiedzieć, ale moje serce szalało jak przed jakimś bardzo ważnym występem. Tak samo właśnie kołatało i hałasowało zawsze, kiedy wchodziłam na scenę i widziałam wpatrujące się we mnie twarze z pierwszych rzędów wypełnionego po brzegi audytorium.

Jego palec, tuż obok mojej zdenerwowanej ręki, manipulującej przy kieliszku. Bardzo delikatny, prawie

nieważki. Jakby głaskał umierającego motyla To ja byłam tym umierającym motylem. Chciałam poruszyć skrzydłami albo przynajmniej odpełznąć, ale nie udało mi się ani jedno, ani drugie. Tylko wszystkie dwa miliony włosów na mojej skórze jak naelektryzowane ustawiły się na baczność.

Georg Lalinde. Ojciec rodziny z problemami małżeńskimi. Zwyczajny człowiek przeżywający przeciętny kryzys czterdziestoparolatka. Jego palec wskazujący doprowadzał mnie do szaleństwa.

Dziecko, nigdy nie będziesz damą, przemknęło mi przez myśl i w tej samej chwili pocałowałam najpierw palec wskazujący, a potem mężczyznę, do którego należał.

## Rozdział XI

- Masz popielniczkę? A może w twojej sypialni się nie pali?

Palec wskazujący, teraz zresztą o dwie godziny starszy niż wtedy w kuchni, elektryzował właśnie moją lewą łopatkę.

- Nie mam żółtej popielniczki, ale mam żółty wazon na kwiaty - odpowiedziałam, podniosłam się z trudem i sięgnęłam po były kubek do mycia zębów (żółty, przymusowo deportowany do sypialni), stojący na ławie pod oknem. I tak nie było w nim kwiatów.

Ręka, do której należał palec, wyłowiła sobie z marynarki barwy leśnej polany złotą papierośnicę. Poczęstowałam się. Po tym, co się stało, musiałam zapalić, wyłącznie dlatego żeby robić wszystko razem z nim. Robiłabym to lamo, nawet gdyby żuł tytoń albo zażywał tabaki.

Paliliśmy, wydmuchiwaliśmy dym pod sufit sypialni, i jak zwykle zaczęło mi się kręcić w głowie. To był wspaniały zawrót głowy. Najbardziej zawrotny zawrót głowy z nierzeczywistego, zwariowanego świata marzeń.

- Ty, Georg - odezwałam się, pociągając zabójczy dymek - z tym szampanem to jeszcze aktualne?

- Oczywiście. Dlaczego nie miałyby być aktualne?

Nie odpowiedziałam. Tak, dlaczego nie miałyby być aktualne? A cóż się właściwie zdarzyło? Iluż to już mężczyznom przeżywającym kryzys czterdziestolatka zdarzyło się to z młodymi, samotnymi kobietami. W pracy albo obok, albo przed, albo po. Bardzo powszednia sprawa.

- Myślę właśnie, kiedy za rok albo dwa znów się spotkamy, przez przypadek, albo na jakimś koncercie czy coś w tym rodzaju, czy pójdziemy wtedy jak para przyjaciół na kieliszek szampana.

- A dlaczegoż by nie? - Palec wskazujący wędrował w okolicy mojego trzeciego kręgu szyjnego.

- Bo do tego czasu wydarzy się mnóstwo rzeczy.  
- Ja też mam taką nadzieję.  
- Masz nadzieję? Na co?  
- Że za rok albo dwa nie będziemy się przypadkowo spotykać. - Położył nacisk na „przypadkowo”.

- Tylko? - Zgniotłam papierosa w wazonie, chwiejącym się na moim brzuchu.

- Chciałbym, żebyśmy za rok czy dwa byli sobie tak samo bliscy jak teraz.

To oczywiście zupełna utopia. Przecież Georg to tylko przygoda! On dla mnie, a ja dla niego. Nie mogło, nie miało prawa być inaczej!

- Ja też bym chciała.

Czy to byłam ja? Czy ja to powiedziałam? Dziecko, straciłaś rozum? Dlaczego mówisz coś wręcz przeciwnego, niż myślisz? Ale na tym skończyło się to myślenie. Znowu odlecieliśmy gdzieś daleko, daleko, we dwoje. To był spokojny, a jednak niesamowicie ekscytujący lot, podniebny, tak wysoko jak jeszcze nigdy dotąd (a to i owo już przeżyłam!), nie kończące się, nie kończące się szybowanie wokół całego świata, czy... zresztą i tak nie da się tego opisać.

Potem znów był papieros. Wazon na kwiaty znalazł się w jamce z żółtej kołdry. Rozmawialiśmy. O tym i o owym. O naszej przeszłości, naszych przygodach z innymi, chichotaliśmy przy tym i zagrzebywaliśmy się w poduszkach. Rzadko zdarzało mi się przeżywać taką zażyłość, ufność, taką bliskość.

- Wiesz, na co mam teraz ochotę? - spytałam wreszcie.

- No?

- Na spacer.

- W porządku.

Było krótko po północy, kiedy wyszliśmy na puste, wymarłe ulice. Zabudowania fabryczne z naprzeciwka

wcinały się ciemnym konturem w mlecznoszare niebo. Pachniało śniegiem. Gdzieś czekał pies. Prawdopodobnie pies stróża z fabryki. Jakieś chude drzewo wznosiło swoje suche gałęzie, jakby dźwigając ciężkie chmury. Od czasu do czasu między ich potężnymi, postrzępionymi kłębami błyskał zaspanym okiem księżyc.

Szliśmy ramię w ramię. Prędko i w milczeniu. Minęliśmy niewielki, ponury plac zabaw, na którym zwykle tureckie dzieci robiły taki hałas, że kiedy ćwiczyłam, przekrzykiwaliśmy się, kto głośniej. Minęliśmy obiekty sportowe, ciemne i opuszczone, i doszliśmy do parkingu pod supermarketem. Właśnie znów wyjrzał księżyc. Rozpoznałam kilka porzuconych wózków na zakupy i sporo odpadków - puszek po piwie, pudełek po papierosach i pustych butelek. Opuszczony, ciemny pagórek, wokół którego zawsze szalały dzieci na swoich niebezpiecznych rowerkach. Szumiały urządzenia klimatyzacyjne supermarketu. Pachniało olejem i pastą do podłogi.

Staliśmy, jakby chcąc wchłonąć w siebie tę zupełnie nieromantyczną atmosferę. Patrzyliśmy na siebie, w mlecznoszarym świetle księżyca wyglądającego zza nabrzmiałych śniegiem chmur i jedynej czynnej jeszcze na parkingu lampy. Patrzyłam na jego wargi, które zawsze uważałam za wąskie, które zwykle nieznacznie kierowały się ku dołowi... Były szorstkie i niesamowicie miękkie, kiedy je całowałam.

Nic nie robiliśmy, staliśmy, a ja czułam jego szorstkie, suche, miękkie, ciepłe wargi na swoich, poza tym nic. Potem poszliśmy dalej.

Kiedy dotarliśmy na łąki, gdzie dwa, trzy razy dziennie wyprowadza się psy z miasta, żeby zrobiły kupę i aportowały patyki, zaczął padać śnieg.



- To najpiękniejszy spacer mojego życia - powiedział Georg.

- Mnie też zdarzało się już bardziej nudzić.

- Nudzisz się? - spytał z niedowierzaniem, a jego oddech zamienił się w kłęb pary.

- Skądże. - I dodałam: - Inni muszą jechać na Sri Lanke albo przynajmniej na Ibizę, żeby przeżyć taką noc.

Przed nami leżała brunatna, cicha i nieco cuchnąca sadzawka miejska. Po Jej powierzchni sennie snuło się parę kaczek i łabędzi. Na brzegu łagodnie szumiały drzewa, kiedy wiatr bawił się ich łysymi gałęziami. Jakaś mysz, a może to był młody szczur, przemknęła w dół skarpy nadbrzeżnej i znikła w szlamie. Jedna kaczka obudziła się i kwakała rozgniewana. Zatrzymaliśmy się. Jakby było coś interesującego do obejrzenia, pochyliśmy się nad balustradą. Ramię przy ramieniu, poczciwy płaszcz z popeliny przy przecenionym trenczu z domu towarowego, opieraliśmy się i patrzyliśmy na udekorowane kaczymi piórami gnijące liście, pod którymi prawdopodobnie mieszkał młody szczur ze swoją przyjaciółką i jej matką.

- Miałabyś ochotę wybrać się ze mną jutro na koncert? - spytał Georg, jego oddech zmieszał się z dymem z jego papierosa.

- Co to za koncert? Chciałam zyskać na czasie.

- Kwartet smyczkowy, bardzo znany, bardzo dobrzy muzycy.

Nigdy jeszcze nie byłam na recitalu kwartetu smyczkowego. Koncerty bez śpiewaków zawsze były dla mnie jak śniadanie bez twarożku. Więc nie chodziłam na nie.

Zastanawiałam się, czy jutrzejszego wieczoru chcę znów spotkać się z Georgiem. Dziecko, trzeba się cenić. Niech zatęskni, niech poczeka, więc się trzymaj z daleka.

- Nie, Georg, jutro nie mogę. Mam próbę.

Pełne rozczarowania zaciągnięcie się, po czym kłęb białego dymu nad stęchłym kaczym stawem. Zrobiło mi się go żal.

- Ale na pewno niedługo będziesz pisał o jakimś recitalu wokalnym albo o jakiejś operze. Wtedy pójde z tobą.

Podał swoje terminy. Kuszące. Trzy opery Pucciniego, „Kawaler srebrnej róży”, dwa razy Mozart i „Tannhauser”. Do tego trzy większe recitale wokalne. Wszystko jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

- Jeżeli sama nie będę koncertować w jakimś Pussemuckel - Sud, na pewno na niektóre wybiorę się z tobą, choćby ze względu na muzykę.

Wracaliśmy. Opowiadał o najciekawszych koncertach, wymieniał nazwiska, od których dostawałam dreszczyków emocji, bez odrobiny chępliwości wspominał, z którymi artystkami rozmawiał, jadł obiad czy wręcz tańczył na balach dla prasy.

- Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić, Georg. Wyglądasz tak skromnie.

- Czy mam to potraktować jako komplement? - roześmiał się. Zastanowiłam się chwilę.

- Tak, myślę, że to cudowne, jeśli ktoś nie musi przechwalać się prominentnymi znajomościami czy przygodami z artystami, tak jakby sam miał być przez to więcej wart.

- Wiesz, myślę, że to tak jak z tym spacerem. Nie musi odbywać się w blasku słońca, nad morzem czy na wiosnę. Jest ciemno, zimno, wieje wiatr i pada śnieg, okolica jest nieciekawa, ale to najpiękniejszy spacer mojego życia.

Znów zatrzymaliśmy się. Patrzyliśmy na jedno z tych nieciekawych, łysych drzew miejskich, na których widok dostaję zwykle gęsiej skórki.

- Zapamiętajmy ten spacer na zawsze - poprosił.  
Obiecałam zapamiętać.

I zapamiętałam go na zawsze.

## Rozdział XII

Walkman w tramwaju to normalna sprawa. Ludzie chowają się pod swoimi słuchawkami, uciekają od otoczenia albo po prostu nie chcą się nudzić wśród odgłosów codzienności. Współpasażerów denerwują czasem dochodzące ze słuchawek rytmiczne dźwięki albo nucenie półgłosem czy rockowe kołysanie ciałem i przytupywanie nie zważającego na otoczenie właściciela walkmana.

Z moich słuchawek dochodził sopran.

Georg dał mi kasetę na dole, przy samochodzie, przed odjazdem. Nie prosiłam go już na górę, on chyba też nie wybierał się, by jeszcze raz rzucić okiem na żółte tapety. Bardzo szybko i bez pytania o zdanie mojego odbicia w lustrze wśliznęłam się do rozbebeszonego łóżka, nie wzięłam ze sobą nawet blaszanki. Chciałam czuć tylko jego, resztki ciepła jego ciała w moim łóżku, i nawet zapachowi papierosowego dymu wolno było tej nocy pozostać ze mną.

Siedziałam więc w tramwaju, naprzeciwko mnie jakaś starsza pani, zajęta lekturą „Bildzeitung”, a z tyłu na skos nieodłączny dziadzio Heimersdorf. Nie słyszałam go. Słyszałam sopran ze słuchawek. Babcia, czytelniczka prasy, skonsternowana spoglądała zza wielkich czerwonych liter. Zamiast rytmicznego przytupywania - sopran?

Zamknęłam oczy.

Tekst pieśni mnie wzruszał. A poza tym tej kobiecie z „Bildzeitung” nic do lego.

Gdybyś wiedział, co znaczy marzyć o palących pocałunkach, wędrówkach i spoczynku, z ukochaną, twarzą w twarz, wyznania i pieszczoty, gdybyś wiedział, nakłoniłbyś swoje serce... Gdybyś wiedział, co znaczy drzeć, w samotne noce, w porywach burzy, gdy żadne łagodne usta nie ukoją wyczerpanej walką duszy, gdybyś wiedział, przyszedłbyś do mnie...

Gdybyś wiedział, co znaczy kochać, na stwórczym tchnieniu boskiego oddechu unosić się w przestworzach, ku światłu, ku niebiańskim rozkoszom, gdybyś wiedział... byłbyś ze mną!!!

Miałam taką gęsią skórę, że wydawało mi się, jakbym roztrzęsała cały tramwaj. Że też się nie wykoleił! Jak ta babcia śmie nadal czytać tę płaską „Bildzeitung”? Dlaczego mężczyzna z naprzeciwka tak bezmyślnie wytrzeszcza oczy? Dlaczego dziadzio Heimersdorf bajdurzy coś o filizance kawy? Dlaczego metaliczny kobiecy głos z megafonu powiedział „Friesenplatz”? Dlaczego ci młodzi ludzie w mokrych butach wpadają z takim hałasem i dlaczego babcia od „Bildzeitung” kręci nad nimi głową? Czy to jest zupełnie normalny, powszedni dzień? Zupełnie normalny środy poranek? I nikt niczego nie zauważył?

Przewinęłam kasetę i przesłuchałam ją jeszcze raz, i jeszcze raz, potem wysiadłam i poszłam do rozgłośni. Rzeczywiście była środa rano i mikrofony stały w tym samym miejscu co wczoraj. Więc w studio nie było trzęsienia ziemi? Dziecko, nie histeryzuj. Nie myśl, że jesteś taka ważna. Dziecko, nie wyobrażaj sobie za wiele. W południe powędrowałam do domu na piechotę.

Ulice były pełne samochodów, ludzie tłoczyli się przy światłach, gdy tylko zapaliło się zielone, szara, wilgotna fala ludzka wlewała się na jezdnię jak lawina kamieni. Szłam prędko, z rękami w kieszeniach, wyprzedzałam, kiedy tylko się dało, i słuchałam pieśni, jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze. „Gdybyś wiedział...”

Niezawodnie, zawsze w tym samym miejscu, pojawiała się gęsia skórka. „Byłbyś ze mną!!!”

Byłam samotna. I odpowiadało mi to. Nawet bardzo. Namiętnie oddawałam się wszystkim możliwym występkom aktywnej zawodowo panny; nieregularnie sypiałam, nieraz po

całych dniach, a po nocach oglądałam filmy wideo, z których poziomu artystycznego nie musiałam się nikomu spowiadać. Za pomocą plastikowych łyżeczek objadałam się chudym twarożkiem z sacharyną o dowolnej porze ćwiczyłam swoje gamy, zapraszałam przyjaciół albo sama ich odwiedzałam, kiedy miałam na to ochotę, chodziłam na wielogodzinne samotne spacerki, telefonowałam bez żadnych ograniczeń, zakopywałam się w starej kanapie cioci Lilli, żeby poczytać albo posłuchać płyt... Nie, doprawdy. Odpowiada mi ta samotność. I to nie może się zmienić.

Moim najlepszym przyjacielem był Rudi, papierowy flaming, no i oczywiście blaszanka z gorącą wodą. Kiedy czułam się samotna, spędzałam dużo czasu z Engelbertem, rozstrojencem. Fortepian też został w spadku po Cioci Lilli, i choć miał skłonność do melancholijnego i przytłumionego brzmienia, kochałam go i opatrywałam naklejkami w rodzaju: „Ćwiczyć? Dziękuję, nie” czy „Kto piękny, potrafi też śpiewać”. „Gdybyś wiedział...”

Dotarłam do domu. Rozgrzana marszem, spocona i pełna błogiej muzyki.

Obiad. Twarożkowa papka. Gazeta, automatyczna sekretarka. Kochani towarzysze mojej wieloletniej samotności.

Mieszając w kubku twarożek z sacharyną słuchałam automatycznej sekretarki. Ciocia Lili. „Dziecko, zadzwoń wreszcie.”

Potem dwa telefony bez słowa. Po czym szum, trzask i sopran. „Gdybyś wiedział, co znaczy marzyć...” Stałam przed automatyczną sekretarką z zamkniętymi oczami, z twarożkiem w jednej, sacharyną w drugiej ręce, nucąc cicho pieśń. Następnie głos Georga:

- Dzień dobry, kochana lwico, chciałem ci tylko powiedzieć, jaki jestem szczęśliwy. Jak na automatyczną

sekretarkę to już zresztą i tak za dużo. Będę myśleć o tobie dziś wieczorem na koncercie i spróbuję potem jeszcze zadzwonić. Życzę ci miłej próby. Śpiewaj tak bajecznie jak zawsze.

„Gdybyś wiedział”, pomyślałam. Nie będzie żadnej próby. Następny telefon: doktor.

- Pewnie najłatwiej cię złapać z rana o dziewiątej, ale musiałbym zostawić pacjentkę na kozetce. Późnym popołudniem będę koło ciebie i wpadnę na małą sherry. Kieliszki będę miał ze sobą. To na razie, do zobaczenia koło szóstej.

Popatrzyłam na zegarek. Wpół do trzeciej. No proszę. Mam pełne trzy godziny tylko dla siebie. Tylko ja i moje humory. Czy to nie jest luksus?!

Właściwie powinnam uczyć się „Izraela w Egipcie”

Ale poszłam z walkmanem do łóżka i odbyłam bezwstydnie cudowną popołudniową drzemkę.

Śniło mi się coś różowego, ciepłego, przytulnego, słodkiego i unoszącego się w powietrzu. I prawdopodobnie też erotycznego. W każdym razie raptownie wyrwał mnie z tego raju dzwonek u drzwi, i serce zaczęło mi szaleć, jakbym zasnęła przed ważnym koncertem.

Rzut oka na radio - budzik.

Wpół do szóstej. Czyżby już Klaus?

Zataczając się, z gołymi nogami i całkowicie zburzoną fryzurą, podbiegłam do drzwi popatrzeć przez judasz, zabezpieczający człowieka przed włamywaczami, domokrażcami i świadkami Jehowy. Klaus.

Zniekształcona twarz zza kilku sporych ozdobnie opakowanych paczek jak gdybym miała urodziny. Nerwowy rzut oka do lustra. Tego, co ujrzałam przestraszyłby się każdy listonosz. Wymięta twarz w czerwone plamy (a więc jednak sen erotyczny), włosy niekorzystnie potargane we wszystkie

strony (dziecko, musisz coś wreszcie zrobić ze swoimi włosami), sklezione, przymrożone oczy. Za duży męski T - shirt. (Dziecko, włożyłabyś przynajmniej biustonosz.)

Otworzyłam.

- Mówiłeś, że o szóstej?

- Mówiłem: koło szóstej. Dlaczego? Przeszkadzam?

- Ależ skąd. Tylko akurat położyłam się na chwilę.

- Jesteś chora? - Wsunął się wraz z trzema obwiązanymi wstążką paczkami do mojego wąskiego przedpokoju. Zachwiał się wieszak na garderobie.

- Nie, jestem w szczytowej formie. Rozgość się, tylko skoczę do łazienki. Prześliznęłam się obok niego, miałam nadzieję, że nie zauważy przebarwień na moich udach. Co on w ogóle we mnie widzi?

Kiedy wyszłam spod prysznicu, skąpo przyodziana (moje rzeczy były w sypialni, a on rozsiadł się akurat pod jej drzwiami, tak że musiałam zadowolić się paroma przypadkowymi łaskami z łazienki), z rozmachem wręczył mi wszystkie trzy paczki.

- To dla ciebie - oświadczył, patrząc promiennym wzrokiem. Podskoczył i porwał mnie w ramiona. Miał brodę wilgotną od listopadowej mżawki, jego policzki były zaczerwienione i chłodne. Jego pocałunek też był wilgotny. Jedna z paczek upadła na podłogę. Rozległ się brzęk. Pochyliliśmy się oboje, zderzając się głowami. Nigdy nie zapomnę tego bólu i chrzęstu, jaki wydały z siebie nasze czaszki.

- Kieliszki do sherry!

- Moja głowa!

- Moja też! - Pociągnął mnie na podłogę, straciłam równowagę i wylądowałam na pupie. Jak romantycznie.

Wypakowaliśmy stłuczki i upchnęliśmy je razem ze zmiętym papierem w koszu na śmiecie.



Gdy mozolnie próbowałam się podnieść, przytrzymał mnie za ramię. Znalazłam się z powrotem na podłodze.

Klaus Konrad otoczył mnie ramieniem, trochę zbyt energicznie, jak mi się zdawało, obrócił moją głowę ku sobie i pocałował mnie. Wilgotno i chłodno, choć z pewnością bardzo namiętnie. Uwolniłam się, uprzejmie, ale stanowczo. Dziecko, „uprzejmie, ale stanowczo” osiąga się w życiu najwięcej.

- Czy masz ochotę na kawę?

- Mam ochotę na pocałunek! - Siadł na podłodze, nadąsany. „Gdybyś wiedział...”

Wyniosłam się do kuchni i zajęłam kawą. Przyszedł za mną, z dwoma pozostałymi paczkami.

- Nie chcesz ich rozpakować?

- Czy w środku jest też coś kruchego? - zapytałam sceptycznie.

- Wazony na kwiaty - odparł i sam zaczął rozpakowywać, podczas gdy ja zajmowałam się czerwonymi filiżankami do kawy i filtrem.

Wazony były piękne i w dobrym guście. Podziękowałam i postawiłam je obok słoików po ogórkach.

- Jak udała się wczorajsza wizyta? - zapytał Klaus, gdy już usiedliśmy przy stole.

- Chodzi ci o politykę czy o seks?

- To była, zdaje się, twoja matka i twoja ciotka Faryzea?

- Ewangelia - sprostowałam i rzuciłam tęskne spojrzenie w kierunku butelki z sacharyną. Wobec Klause miałam zahamowania w tej materii. Moje uzależnienie od sacharyny to nie jego sprawa.

- Słodzisz? - spytał Klaus, podsuwając mi cukiernicę.

- Nie, dziękuję. - Dno. Nie lubię nie słodzonej kawy. - No więc było miło. Trochę jedzenia, trochę plotek, a na koniec spacer.

- A te czerwone róże, to od twojej matki czy od ciotki... Harmonii? - spytał. Zaczynał mnie denerwować.

- Od ciotki Alergii - powiedziałam. Spojrzeliśmy po sobie, wyglądał na urażonego.

- Wiesz co? - zapytał nagle. - Myślę, że wszystko zrobiłem nie tak. To było tak cudownie rozbijające, że nagle okropnie go polubiłam.

- Nie, Klaus. Nie wszystko. Tylko troszkę. Nie przepadam za takimi paroksyzmami namiętności. Przecież prawie się nie znamy!

- Przepraszam - powiedział.

Mogłabym go takiego wziąć w ramiona, ale obawiałam się, że jego namiętność może nas oboje doprowadzić do upadku i rzucić, jak w historii o wiercipięcie, wraz z obrusem i porcelaną na kuchenną podłogę.

- Przepraszam cię - powiedział jeszcze raz. Uznałam, że tyle pokornego poczucia winy to chyba przesada. - Jestem skończonym idiotą - dorzucił jeszcze.

- Co robisz z pacjentami cierpiącymi na przesadne poczucie winy? - spytałam.

- Przesadne? - Odwrócił pytanie. - Masz całkowitą rację, że uważasz mnie za durnia. - (Skąd wiedział?) - Tak okropnie cię lubię i tak bardzo chcę zdobyć cię dla nas.

Zamiast teraz ostatecznie objąć go za szyję i we łzach wyznać mu miłość jak zdarzyłoby się pewnie w każdym przyzwoitym romansie, zaczęłam sobie z niego kpić. To było absolutnie okropne. Powinnam sama sobie przetrzepać skórę. A ja tymczasem pomyślałam o Georgu. O jego niewiarygodnie powściągliwej, delikatnej czułości. Georg też był zakochany. Georg też chciał mnie „zdobyć dla nas”. Ale nie napastował mnie w tak barbarzyński sposób! Przy czym Klaus był jednak o wiele stosowniejszy...

Dziecko, jak możesz puścić takiego mężczyznę! Znakomicie sytuowany lekarz, w wieku jak najbardziej odpowiednim, nosi cię na rękach, dziecko a ty stroisz sobie z niego żarty i myślisz o tym starszym panu, żonatym, który tak czy owak, prędzej czy później, nie będzie ci już miał nic do zaoferowania. Dziecko, zastanów się nad tym jeszcze raz!

Zastanowiłam się. Ale nic z tego nie wynikło.

Klaus miał bilety do teatru. Pojechaliśmy na Stare Miasto, na widowisko parodystyczne.

Na szczęście, idąc za głosem intuicji, nałożyłam nieco wytworniejszą garderobę, w każdym razie mieszczącą się w ramach tego, czego oczekuje się w kręgach jaśnie oświeconych nowobogackich. Obcisła spódnica z dzianiny i luźno opadająca jedwabna bluzka. Do tego lakierki z krótką cholewką. Jak już, to już.

Nigdy jeszcze nie byłam na takim przedstawieniu, za to byłam na setkach oper. Cóż, człowiek nie powinien być jednostronny.

Siedzieliśmy ciasno przy okrągłych stolikach, za przeszło pięćdziesiąt marek podano nam wino w olbrzymich szklanicach.

Na niewielkiej scenie podskakiwało około pół tuzina śliczniutek i milutkich panienek; jak zapewniał Klaus, wszystkie były płci męskiej.

W efekcie wnikliwej obserwacji zdołałam wypatrzeć jabłka Adama na chudych szyjach i sztuczne biusty. Mimo to większość z nich wyglądała absolutnie zachwycająco, a szczególnie imponowały mi talie jak u os i okrągłe pupy.

- Podoba ci się? - Klaus otoczył mnie ramieniem, przyprawiając o agorafobię. W małym teatrze w mrocznej piwnicy było ciasno; ludzie siedzieli po czworo przy mikroskopijnych stolikach i obowiązkowo konsumowali „menu dla panów” albo „menu dla pań”.

- Pysznie się bawię - odparłam.

Właśnie jakiś gruby, spocony mężczyzna został wepchnięty na scenę przez dwóch pedałów, by ku ogólnej radości zdejmować marynarkę i buty. Ja się nie cieszyłam. Współczułam temu grubemu, spoconemu mężczyźnie, który prawdopodobnie przeżywał ostry szok sceniczny i sądził, że jego zachowanie musi być przesadne i w złym guście. To straszne, stać się pośmiewiskiem. Jeszcze straszniejsze - samemu wystawić się na pośmiewisko. A najstraszniejsze jest później całymi dniami, tygodniami czy nawet latami nosić w sobie to wspomnienie. I okropnie się wstydzić. Mówię z własnego doświadczenia. Moje pierwsze występy przed publicznością były po prostu okropne. Potrzebowałam lat, by przestać bać się tych setek twarzy w półmroku i bezlitośnie wlepionych we mnie oczu, choćbym miała uczucie, że za chwilę umrę.

A więc pysznie się bawiłam. Gruby, spocony mężczyzna dotarł właśnie do kalesonów w kwiatki, gdy opadła kurtyna. Publiczność ryczała i wyła, nowobogaccy zmienili się w hieny. W przerwie wszyscy stali lub siedzieli przy barze, pili szampana i ocierali z oczu łzy śmiechu.

- Czego się napijesz? - Klaus podsunął mi pod pupę stołek barowy.

- Najchętniej wyszłabym na świeże powietrze - powiedziałam. Na dworze rozprostowaliśmy nieco nogi.

- Czyż to nie jest śliczne? - spytał Klaus.

- Nie, to nie jest śliczne. To jest absolutnie pozbawione smaku. Klaus był wyraźnie urażony.

- Chcesz już iść?

- Tak, najchętniej, jeśli nie będziesz się gniewał.

- Nie gniewam się. Ale ja nie mogę iść. Muszę tu zostać.

- Dlaczego?

- Jestem lekarzem teatralnym.

- Jesteś... kim?

- Zastępuję kolegę ze studiów, który normalnie tu pracuje, podczas przedstawień. Dziś mu się nie chciało i zaproponował, żebym poszedł za niego. Pomyślałem, że byłoby miło przyjść razem z tobą.

- Ale po co im psychiatra? - Nagle stało się dla mnie jasne, po co.

- Niekoniecznie psychiatra. Ale na każdym spektaklu w teatrze musi być obecny lekarz. Takie są przepisy.

- W takim razie ja na twoim miejscu co prędzej zajęłabym się tym bohaterem - striptizerem. Zanim obudzi się z transu, zrób mu zastrzyk z eliksiru niepamięci!

- Dlaczego? Przecież świetnie się bawił!

Klaus po prostu nie miał doświadczeń scenicznych. Zmieniliśmy temat, to znaczy on zmienił temat.

- A co z weekendem? Mam pojechać z tobą do Blattheim?

- Tak, jeśli chcesz.

- A ty chcesz? - Ta taktyka odwracania pytań!

Spojrzałam na niego w milczeniu. Te umizgi: „Proszę”, „Dziękuję”, „Pan pierwsza”, „Jak pan sobie życzy”!

- Udzielę ci później odpowiedzi na piśmie.

- Czemu tak ostro? Co cię ugryzło?

Co mnie ugryzło? Sama nie wiedziałam, dlaczego jestem tak rozdrażniona. Życie stało się w ostatnich dniach dość męczące.

Chciałam być miła dla Klause, od zaraz. Przybrałam niedzielny wyraz twarzy:

- Chodź, zaraz skończy się przerwa.

- Jeżeli masz jeszcze ochotę...

- Oczywiście, palę się do obejrzenia drugiej części!

- Ach, nabierasz mnie!

- Nie, tego nie zdołałabym dokonać - powiedziałam. - Nabrać psychiatrę!

Roześmialiśmy się, objął mnie, cały świat widział, jaka z nas harmonijna, szczęśliwa młoda para. A dla ukoronowania naszej miłości spędzaliśmy ten jedyny w swoim rodzaju wieczór na jedynym w swoim rodzaju widowisku parodystycznym. Jakie młode szczęście!

Znów zasiedliśmy, pociągnęłam kropelkę ze szklanki. Wino było zwietrzałe. Klaus otoczył mnie ramieniem:

- Może jednak choć trochę ci się spodoba!

Zrobiło się ciemno, nie było widać nic prócz kłębow dymu. Pomyślałam o Georgu. „Gdybyś wiedział...” Słuchał teraz kwartetu smyczkowego.

Może akurat grali „Śmierć i dziewczynę” Schuberta. Na pewno siedzi skupiony, pochylony do przodu, z ręką na ustach, i słucha. Nigdy nie robił notatek podczas koncertu. Jego późniejsze artykuły były tym bardziej błyskotliwe.

Tu, w zadymionym teatrze piwnicznym, parodiowano właśnie Hilde Knef i Nanę Mouskouri. Ten ostatni numer wydał mi się niezły i roześmiałam się. Klaus przycisnął mnie do siebie.

- No widzisz, jednak podoba ci się!

- Jasne, że mi się podoba - powiedziałam mu do ucha. - Byłam trochę w złym humorze. To mi się czasem zdarza. Przypadek dla psychiatry!

Zanim zdążyłam odwrócić głowę, chwycił ją obiema rękami i uraczył wilgotnym pocałunkiem. Miał smak menu dla panów.

Och, ta nieokiełznana namiętność! Niewątpliwie kierował się w życiu maksymą: „Więszym szczęściem jest dawać niż brać”.

Gdybyś wiedział...

## Rozdział XIII

Po skończonym przedstawieniu Klaus udał się do pomieszczenia na zapleczu i potwierdził swoim autografem, że był obecny i że podczas spektaklu nikt nie doznał poważniejszego uszczerbku na zdrowiu, po czym poszliśmy jeszcze na Stare Miasto na piwo. Jak co wieczór ludzie masowo pielgrzymowali po knajpach, gnani nieposkromionym pędem odkrywczym, prawdopodobnie z nadzieją na zawarcie znajomości swojego życia.

Mżawka, rozświetlona przez reklamy.

- Na co masz ochotę? Chciałabyś jeszcze coś zjeść?

Właściwie miałam ochotę na papkę z twarożku. O tym jednak panu doktorowi nie mogłam powiedzieć.

- A ty? Na pewno jesteś głodny!

W końcu żołądek tego stukilowego mężczyzny od dawna nie miał nic poważniejszego do roboty.

Wylądowaliśmy w drogiej, wykwintnej restauracji, małej, ale eleganckiej, gdzie aperitif, czerwona lura złożona z szampana i campari, zaopatrzona w szklaną żyrafę do mieszania, kosztował przeszło szesnaście marek. Nagle zupełnie straciłam apetyt.

W ogromnym jadłospisie oprawionym w skórę były takie dania jak „Pierś pulardy w wykwintnej marynacie śmietankowej z kremem szampańskim i gratynowanym ziemniakiem” czy coś w tym stylu. Cen w menu nie było. Podjęłam decyzję o strajku głodowym.

- Ależ moja droga, nie przejmuj się ceną! Zapraszam cię! Jedz, na co tylko masz ochotę!

Na nic nie miałam ochoty. Z wyjątkiem dużego talerza grysiku z cynamonem i z cukrem.

Obok mnie wyczekująco stał kelner i usiłował pobudzić mój apetyt celnymi wskazówkami:

- Może zechce pani któreś z dań rybnych! Niech mi będzie wolno polecić pani piersi pstrąga w polewie chrzanowej, bardzo kruchutkie, albo może na początek mały koktajl z krabów. Apetyt rośnie w miarę jedzenia!

Nie chciałam ani pstrąga, ani żadnych innych piersi. Wzięłam koktajl z krabów, dla świętego spokoju. I do tego cudowną, wyborną wodę mineralną.

- Co się dziś z tobą dzieje? - spytał Klaus z serdeczną troską. („Gdybyś wiedział...”)

- Nic, przepraszam. Ta wykwintna kolacja i w ogóle takie wieczory niekoniecznie są w moim guście. W takich sytuacjach myślę o ludziach, którzy nie mogą sobie na to pozwolić. Właściwie ja też do nich należę.

- Ależ moja droga, proszę cię. Kto dużo pracuje, powinien też od czasu do czasu sprawić sobie przyjemność.

- Ale ja wcale dużo nie pracuję.

- Oczywiście, dajesz z siebie bardzo dużo. Ilu ludzi ucieszyłaś już swoim śpiewem!

- Sama się czasem nad tym zastanawiam. Prawdopodobnie można ich policzyć na palcach jednej ręki. Niestety to, co nazywam swoim zawodem, nie nosi znamion najwyższej użyteczności publicznej. Matka Teresa prawdopodobnie nie byłaby zachwycona.

- Ale przecież nie wszyscy mogą być matką Teresą! Twój zawód ma wielkie walory, również w aspekcie społecznym!

Podano koktajl z krabów.

W refleksyjnym nastroju przystąpiłam do jego konsumpcji. Prawdopodobnie konsumowałam właśnie podwójną stawkę godzinową sprzątaczkii. Świat jest niesprawiedliwy.

- Nie wiesz, jakie znaczenie ma muzyka dla psychiki człowieka - powiedział Klaus i umoczył tost w sosie z



ślimaków. Kropelka ciepłego tłuszczu zawisała na jego brodzie. Podałam mu adamaszkową serwetkę.

- Och, świetnie wiem. Dla mnie ma życiowe znaczenie. Masz sos w brodzie.

- Mam pacjentów, którym zalecam regularne koncerty i opery. - Klaus zbierał tłuszcz, wycierał brodę, a dolny koniuszek serwetki tkwił w naczyniu z sosem.

Wydał mi się tak wzruszająco ludzki. Za wyszukaną etykietą akademika krył się duży, miły chłopiec, który chciał mi sprawić przyjemność, rozerwać, ofiarować mi coś dobrego. Nagle poczułam niesamowitą chęć, by uwolnić go od jego form.

- Opowiedz mi coś o sobie - poprosiłam go. - Kim jest twoja żona? Pociągnął sobie duży łyk na odwagę, po czym powiedział:

- Twoje pytanie mnie nie zaskakuje. Należało mi się już dawno. Tak, jestem żonaty, jak się słusznie domyślasz.

- Fakt, że nic mi dotychczas nie mówiłeś o swoim rozbitym małżeństwie, przemawia na twoją korzyść.

- Dlaczego rozbitym? Skąd wiesz?

- Wszyscy mężczyźni mówią o rozbitym małżeństwie, kiedy chcą czegoś od dziewczyny.

- Rzeczywiście jest rozbite.

- Wierzę ci.

- Adwokaci zajęli już pozycje startowe.

Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Wyobraziłam sobie paru szacownych panów w okularach i czarnych togach, jak zastygli w adidasach na czerwonej bieżni w oczekiwaniu, aż Klaus odpali ze swojego startowego straszaka albo zawoła: „Do biegu - gotowi - start!”

- Z czego się śmiejesz?

Przyszedł kelner i nie proszony dolał mu wina.

- Może szanowna pani wypije kieliszek?

Szanowna pani skinęła głową. Pewnie dlatego po chwili znów się pojawił. - Szanowna pani zdecydowała się może na danie główne?

Szanowna pani nie zdecydowała się na danie główne. Szanowna pani chciała dalej słuchać historii o adwokatach na pozycjach startowych.

- Nie, dziękuję. Kelner poszedł.

Klaus opowiedział o swoim małżeństwie. Żona pracuje wraz z nim w gabinecie psychiatrycznym. Tak się właśnie domyślałam.

- I nie możecie się tak po prostu rozejść?

- Wspólnie odziedziczyliśmy ten gabinet.

- Wyjątkowy pech. I co teraz?

- Poza tym odziedziczyliśmy dom i interes w branży gumowej.

- To prawdziwe nieszczęście! Kelner przyniósł dla mnie kieliszek, pokazał mi etykietkę na butelce i nalał. Kiedy odszedł, powiedziałam z westchnieniem: - Tak, tak, posiadanie bywa niezmiernie męczące!

- Możesz sobie spokojnie kpić ze mnie - powiedział Klaus.

- Wcale nie kpię! Mówię zupełnie poważnie. Zobacz, gdybyś był biedakiem, i twoja żona też, dyskutowalibyście może o szafie z sypialni i o papużce, a po półgodzinie pogodzilibyście się i oszczędzili w ten sposób na kosztach adwokata. Tak to rozumiem!

Przy pieczeniu z kaczki, parzonych czubkach brokułów i krokietach z sosem winnym Klaus wyjaśnił mi swoje pożałowania godne położenie.

Jego małżeństwo od lat istnieje już tylko na papierze, ale codziennie musi od rana do wieczora pracować wspólnie z żoną. Na dłuższą metę to nie do wytrzymania, zwłaszcza że pacjenci nie mogą o niczym wiedzieć. Personel pomocniczy

jest systematycznie wymieniany, kiedy wie już zbyt dużo, a ostatnio na domiar złego w rodzinnym interesie współpracuje także nieznośna teściowa, podczas gdy jeszcze bardziej nieznośny teść przejął kierownictwo interesu z gumą.

- A twoi rodzice?

- Trzymają się z daleka. - Jak sympatycznie.

- A jak mieszkanie? We wspólnej willi?

- Nie. Wynająłem sobie mieszkanie w mieście. Willa była oczywiście za miastem.

- Macie dzieci?

- Nie. Nigdy nie chciała mieć dzieci. - Jak niesympatycznie. Ale za to chciała troszczyć się o zdrowie dusz swoich pacjentów. I robić na tym ciężkie pieniądze.

- A kto prasuje ci koszule? - Może też ma kogoś w rodzaju pani Bar.

- Moja matka, kiedy może. Jest już stara i nie zawsze dobrze się czuje.

- Ale to nie jest rozwiązanie na stałe - powiedziałam z troską. Wziął mnie za rękę.

- No właśnie.

Dla uniknięcia wszelkiego rodzaju nieporozumień dodałam:

- Weź sobie gospodynię, która będzie ci prasować, gotować i z rana podawać do łóżka jajko na miękko.

- Dopóki się da, chciałbym sobie oszczędzić czegoś takiego. To też mogłam zrozumieć. Skomplikowana sytuacja.

Kelner przyniósł lody kawowe z gorącymi malinami. Nad całokształtem tej rozplywającej się wspaniałości tkwił papierowy daszek. Zdjęłam go i bezmyślnie polizałam.

- Chcesz spróbować, jak smakuje? - Podsunął mi pod biust tę bombę kaloryczną.

- Nie, nie... eee, może trochę.

Smakowało wybornie. Trochę jak budyń karmelowy. Żeby tak jeszcze z plastikowej łyżeczki...

- Widzisz, nie możesz tak całkiem oprzeć się przyziemnym radościom! ucieszył się doktor.

- Powiedz, Klaus, przedtem byłeś praktykującym lekarzem? - podsunęłam mu z powrotem zdradzieckie lody.

- Tak, opowiadałem ci już, jeśli dobrze pamiętam, w pociągu.

W pociągu? Więc to było dopiero pięć dni temu? Znamy się z Solidnym dopiero od pięciu dni? Wydawało mi się, jakby to minęły miesiące.

- Kiedy odziedziczyliśmy gabinet, zrobiłem dodatkowe studium. To już pięć lat temu.

- Nie wolałbyś być „normalnym” lekarzem? - ośmieliłam się zapytać. Spojrzał na mnie znad talerzyka z resztkami lodów.

- Wolałbym - powiedział. - Jak na to wpadłaś?

- Tak sobie. - Nie miałam odwagi wyjawic, że nie uważałam go za dobrego psychiatrę.

- Właściwie byłem internistą z krwi i kości - Klaus odstawił pusty talerzyk. - Ale w szpitalu, gdzie pracowałem, nie zrobiłbym kariery. Zostałbym co najwyżej naczelnym lekarzem.

- To przecież bardzo dużo! Masz lody kawowe w brodzie!

- Podałam mu moją serwetkę. Jego miała niebezpieczną ciemną, tłustą plamę z sosu.

- Dla Irene to za mało. Zawsze chciała, żebym zrobił karierę.

- A po kim odziedziczyliście ten gabinet? - zainteresowałam się.

- Po jej wuju. Z warunkiem, że w połowie będę w tym uczestniczył. Skomplikowane, skomplikowane.

W każdym razie poznałam dwie interesujące małżeńskie dole. Zupełnie różne, ale obie w najwyższym stopniu interesujące. Od jednego odeszła żona bo spotkała chłopaka z lat szkolnych. Więc zakochał się w pierwszej lepszej. Zdarza się.

Drugi od lat siedzi w swego rodzaju złotej klatce i najwyraźniej nie jest w stanie przegryźć jej złotych prętów. Musi pojawić się Śpiąca Królowna, która go z niej wyciągnie. I ta rola miała przypaść w udziale mnie.

No tak. To, że byłam dla obu ścianą płaczu, uznałam za interesujące i napawałam się uciesznością ich opisów sytuacji. Ale to, że obaj najwyraźniej umieścili mnie na czele listy potencjalnych zastępstw, wydało mi się niesamowite.

Właściwie przecież uwielbiam zastępstwa.

Oczywiście czysto zawodowe.

Prywatne zastępstwa nigdy dotąd nie wchodziły w rachubę. Ale trochę poigrać sobie z ogniem, to byłoby wcale zajmujące... Dziecko, nie rób tego.

- Idziemy? - Klaus wydobyl już swoją kartę Dinners - Club i po podpisaniu wręczył usłużnemu kelnerowi. Ile też może sprawić taki byle jak nabazgrany podpis... Po prostu Klaus był kimś. Czy aby na pewno?

Poszliśmy. Ramię w ramię. Pod jego ogromnym parasolem ochronnym. Zanurzyłam ręce w kieszeniach płaszcza, kiedy zatrzymał się i pochylił ku mnie.

- Dokąd? Do mnie czy do ciebie?

- Ja do mnie, a ty do ciebie. - Musi się w końcu pokapować!

- Nawet na jedną małą kawę?

- Dobrze, na jedną małą kawę. Ale jutro rano muszę wyjść i potem przez cały dzień ćwiczyć. A ty z pewnością musisz wyjść jeszcze o wiele wcześniej.

- O wpół do siódmej.

- O tej porze jestem akurat w trzeciej fazie snu!

- A o kim śniesz? - Naprawdę nie był dobrym psychologiem.

- O cioci Harmonii - odpowiedziałam.

Otworzył mi drzwi swojej czerwonej landary. Z histerycznym wyciem włączył się system alarmowy. Ludzie przystawali i śmiali się.

Klaus popędził dookoła samochodu, pogrzebał nerwowo w pęku kluczy i wyłączył to głupie urządzenie. Czerwone auto uspokoilo się. Opadłam w siedzenie - łupinę.

- Bogactwo jest potwornie męczące - powiedziałam zdenerwowana. Klaus nacisnął na gaz, z głośników stereo rozległ się Vivaldi, i pojechaliśmy do mnie. BMW ze wspaniałym kierowcą wyścigowym w stadium imponowania zajęło to dokładnie siedem i pół minuty.

W domu zrobiłam kawę i potajemnie połasowałam twarożek. Klaus Konrad studiował tymczasem plakaty z moich koncertów. Słyszałam, jak w pokoju głośno czytał nazwiska śpiewaków, dyrygentów i organizatorów. Nie interesowały mnie, od dawna znałam je wszystkie na pamięć.

Nagle usłyszałam trzask automatycznej sekretarki. Przez moment myślałam, że mi się zdawało, ale po chwili rozległ się sopran: „Gdybyś wiedział, co znaczy marzyć...” Więcej nie zdążyła. Jak ukąszona przez tarantulę wpadłam do pokoju i trzęsącymi się palcami zmusiłam ją do milczenia.

- Oszalałeś? - zasapałam z wściekłością.

- Jesteś słodka, kiedy się gniewasz - powiedział spokojnie Klaus. Najchętniej rąbnęłabym go automatyczną sekretarką w czerep.

- Często tak robisz? - Z wściekłości ledwo trzymałam się na nogach.

- Nie, ale chciałem, żebyś przyszła do pokoju.

- Jesteś skończonym, nędznym, ostatnim... - zabrakło mi słów. Klaus napawał się moją bezradnością.

- A cóż masz takiego do ukrycia? - spytał z grymasem. - Te śpiewy twojej koleżanki po fachu to chyba nie taka tajemnica. A może to była twoja ciotka Harmonia?

- Właśnie - powiedziałam ze złością i wyczerpana rzuciłam się na kanapę ciotki Lilli.

Milczeliśmy. Chętnie bym go wyrzuciła. Ale bałam się, że za bardzo go urażę. Śmieszne. Trzęsąc się ze złości, bałam się, że sprawię mu przykrość.

Przysiadł się do mnie i bardzo delikatnie odgarnął mi kosmyk włosów z czoła.

- Bardzo mi przykro.

- Mnie też - nadąsałam się. Zadzwoił telefon.

Do diabła. Automatyczna sekretarka była wyłączona. Musiałam podejść. To mógł być Georg. Klaus zareagował nadspodziewanie taktownie, wyszedł do kuchni i zajął się ekspresem do kawy. (Później wspólnie wycieraliśmy olbrzymią kałużę na podłodze.)

- Tu Georg. Już dwa razy rozmawiałem z twoją automatyczną sekretarką.

- Ach tak? Nie zdążyłam jej jeszcze przesłuchać.

- Jesteś sama?

- Nie.

- Może później jeszcze raz...?

- Nie, dziękuję. Lepiej nie.

Pauza. Przerazające dziesięć sekund ciszy. A potem:

- Jutro rano o dziewiątej?

- Tak, proszę. Śpij dobrze. Nie gniewaj się. Poczułam się nędzna i podła.

Zagwizdał naszą melodię. Odłożyłam słuchawkę. Jeszcze przez chwilę stałam przy telefonie. Georg. Gdybyś wiedział... Idąc do kuchni nie zerknęłam do lustra.

- Co, nowy angaż? - Klaus Konrad bezradnie trzymał nad obrusem filtr, z którego dolnego końca ciekła obrzydliwa brunatna breja. Podskoczyłam mu na ratunek, wspólnymi siłami opanowaliśmy sytuację.

- Nie jesteś zbyt sprawny w roli gospodarza - przynudziłam.

- Nie jestem, wiem. Możliwie pilnie potrzebuję kobiety. - Rozbrajający. Wypiliśmy kawę w pokoju.

Klaus patrzył na mnie znad filiżanki.

Wytrzymałam to spojrzenie. Niech sobie patrzy. Nie jestem panienką, co w konfuzji spuszcza oczęta. Patrzcie sobie, tępaku.

Patrzył, przysunął się bliżej, pogłaskał mnie po głowie, następnie po policzkach, następnie po wargach, następnie zamknęłam oczy.

Jego pocałunek smakował kawą i nie tylko.

Głupia sprawa. Dziecko, nie wolno ci tego zrobić. Nie, rzeczywiście nie mogę tego zrobić.

Niczego nie robiłam. On robił. Mężczyzna działa sam. W każdym razie Klaus Konrad na pewno.

W jego napadowej namiętności była tkliwość, i to wydało mi się niezmiernie rozczulające. Tylko czego on ode mnie chce?

Ze swoim tytułem i samochodem mógł przecież podrywać zupełnie inne kociaki, o wymiarach z marzeń i bez przebarwień na udach, takie, które chętnie jadłyby piersi pstrąga, a i same miałyby odpowiednie. Co piszczałyby z zachwytu na pokazach parodystycznych i wreszcie pokazywałyby się z nim w środowisku high - society. Które chętnie nurkowałyby z nim w łóżku wodnym, a nie demonstrowały, jak ja teraz, pruderyjnie i połowicznie biernej wyrozumiałości na nie rozłożonej kanapie cioci Lili.

Nie rozumiałam go. On mnie też nie rozumiał.



- Jedziemy do mnie?  
- Nie. Lepiej nie.  
- Wolisz tutaj?  
- Nie, lepiej nie tutaj.  
- Może w kuchni?  
- Na tych resztkach kawy? - Opanowałam sytuację. Puścił mnie.

- Wcale nie chcesz?  
- Zgadłeś.  
- Dlaczego? - Usiadł skonsternowany. Zdołałam wziąć głębszy oddech. Sto kilo to jednak spory ciężar.  
- Nie jestem kobietą na pierwszą noc. Przecież sam tak powiedziałeś i uznałeś to.  
- Na drugą też nie?  
- Zgadłeś. - (Kłamstwo!!!)  
- Dobrze. Uznaję.

Sięgnął po filiżankę i pokrzepił się letnimi resztkami kawy. Prawdopodobnie splukał też resztki pożądania.

Zajęliśmy się kartkowaniem paru moich albumów ze zdjęciami. Głowa przy głowie; stwierdził, że jestem „śliczna” i „milutka”. Ja stwierdziłam, że jestem okropna, gruba i odkrywałam w sobie coraz większe podobieństwo do gąsienicy. Tego mu jednak nie powiedziałam. Jeśli mimo wszystko chciał myśleć o mnie tak pozytywnie, to dlaczego miałabym mu w tym przeszkadzać?

W każdym razie wychodząc ode mnie dwadzieścia po drugiej miał obraz moich stosunków rodzinnych, znał ciocię Lilli we wczesnym stadium, kiedy jeszcze była gospodynią wujka, pastora, i nosiła kok na karku, a także później kiedy wyszła za wujka Paula i jako pani jubilerowa oczywiście miała trwałą. Znał mnie z workiem szkolnym, ze skakanką, na wrotkach, w kostiumie kąpielowym. Gdy zaczęły się pierwsze zdjęcia z wieczorków tanecznych, zatrzasnęłam album.

- Ciąg dalszy nastąpi.  
- Ależ dopiero teraz zaczyna być interesujące!  
- Nie, już dość.  
- Nie chcesz mnie dopuścić do swojej burzliwej przeszłości! (Gdybyś wiedział...!)

- Tak jakby to było najgorsze! - powiedziałam dwuznacznie. Znowu źle mnie zrozumiał.

- Gorzej, gdybyś nie chciała mnie dopuścić do swojej burzliwej przyszłości!

Szczęka mi opadła. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Skorzystał ze sprzyjającej chwili, wstał, złapał mnie stanowczym ruchem, strzelił z dubeltówki wilgotno - namiętnego całusa w usta na do widzenia i krokiem zdobywcy opuścił moje mieszkanie. Tym razem udało, mu się otworzyć właściwe drzwi.

- Zatelefonuję! - zawołał jeszcze z klatki schodowej. Tłusty kot sąsiadki coś odwrzasnął.

- Byle nie o dziewiątej - powiedziałam cicho i zamknęłam drzwi. Z głową pełną kłębiących się myśli posprzątałam filiżanki i albumy, przygotowałam sobie gorącą blaszankę i wraz z nią i kubkiem twarożku udałam się do łóżka. Budzik wskazywał wpół do trzeciej. Zatopiona w myślach, oblizywałam plastikową łyżeczkę.

- Trudna sprawa - powiedziałam zaspokojona, odłożyłam łyżeczkę, ułożyłam się wygodnie i natychmiast zasnęłam.

## Rozdział XIV

I tak już zostało.

Dzień po dniu, tydzień po tygodniu.

Trudna sprawa zaczynała się już z rana o dziewiątej. Mianowicie dzwonił telefon. Mogłam sobie zgadywać, kto dzwoni. Zawsze był to jeden z nich. Plotkowaliśmy, pytaliśmy się wzajemnie, jak nam się spało, umawialiśmy się. Na dzisiaj albo na jutro. Od samego rana musiałam maksymalnie się koncentrować, żeby niczego nie poplątać. Ledwie odkładałam słuchawkę, znów rozlegał się dzwonek.

- Przez dziesięć minut było zajęte!
- Tak, rozmawiałam z ogrodnikiem.
- Przecież nie masz ogrodu.
- To jeszcze nie powód, żeby nie rozmawiać z ogrodnikiem.

- Z samego rana?

- No cóż, wczoraj wieczorem było już za późno.

- A czegoż on od ciebie chce?

- Pracować w ogrodzie, a czegożby innego?

- W jakim ogrodzie?

- No, tym na dole, przed domem.

- Zdaje mi się, że nie masz ogrodu.

- Nie mam. I to wcale nie był ogrodnik.

Takimi i innymi podobnie głupimi sposobami próbowałam jakoś się wywijać.

Podczas weekendu miałam koncert w Blattheim. Na próbę generalną wybrałam się z Georgiem. O wpół do dziewiątej rano w strumieniach deszczu wyjechaliśmy jego tureckim oplem w kierunku Zagłębia Ruhry. Byłam zmęczona i nie rozśpiewana. Georg musiał być jeszcze bardziej zmęczony, opuścił mnie wszak o wpół do piątej, by wstać około siódmej razem z córką.

- Czy ona nie zauważa, że wieczorem nie kładziesz się do łóżka?

- Śpi mocno i głęboko, z misiem w ramionach.

- I zupełnie niczego się nie domyśla?

- Wychodzi z założenia, że przyzwoici ludzie w nocy śpią.

- I nie budzi się, kiedy nieprzyzwoici ludzie, którzy w nocy nie śpią, wracają?

- Nie należy wpadać do domu razem z drzwiami! A więc Georg we wczesnych godzinach rannych wśliznął się do pokoju dziecięcego, by tam na piętrowym łóżku, pod swoją córką, być przez godzinę przyzwoity. Następnie obudził się wraz z nią, pożyczył jej i misiowi miłego poranka, pogwizdując ogolił się i zjadł śniadanie z córką i misiem. Jaką rolę w tej porannej scenerii odgrywała Freia, trudno było dociec.

- Wysypia się.

- Więc nie jecie razem śniadania?

- W miarę możliwości unikamy tego.

- A dziecko? Musi to wyczuwać. Dziecko rzeczywiście wyczuwało. Wyczuwało, że ma mamę i tatę doskonale w ręku. Kiedy mama czegoś zabraniała, mogło być pewne, że tata nie ma nic przeciwko temu, i odwrotnie.

- Mamo, nie chcę dzisiaj jechać tramwajem na fortepian.

- Nie mogę cię podrzucić samochodem. Dziś po południu jestem umówiona z wujkiem Takimowakim.

- To spytam taty.

- Tata nie może, musi pracować. Pojedź, proszę, tramwajem. Dziecko zwróciło się do taty.

Tata nie mógł, był umówiony z ciocią Takąowaką.

I dziecko przedzierzgnęło się w terrorystę.

Tata zamówił taksówkę. I dziecko pojechało na fortepian taksówką, wróci także taksówką. Chociaż od trzech lat

pokonuje tę drogę tramwajem. Dziecko było sprytnie. Zauważyło, że oboje rodzice mają w stosunku do niej nieczyste sumienie.

W krótkim czasie dostało fortepian koncertowy, kota, baletki. Na ferie została zapisana na kurs narciarski, a na lato zarezerwowano dla niej wakacje w siodle na farmie z kucykami.

Nie poczuwałam się do odpowiedzialności za ten nadmiar szczęścia dziecka.

Pomimo to gryzło mnie sumienie.

- Proszę cię, Georg, nigdy nie zaniedbuj dziecka z mojego powodu.

- Nie zaniedbuję. Ona rozumie, że tata zna kogoś, z kim jest bardzo szczęśliwy.

Śpiewaczka w dzinsach pod suknią wieczorową. Prawdopodobnie wydawałam się dziecku sympatyczna. Zwłaszcza że na mój rachunek szły wakacje w siodle i cały pozostały luksus.

- A Freia? Wie o mnie?

- Chyba czegoś się domyśla.

- Chodzi mi o to, czy wie, że to ja? W końcu znamy się z widzenia.

- W każdym razie ode mnie tego nie wie.

- W ogóle ze sobą nie rozmawiacie?

- Tylko tyle, ile konieczne. Oczywiście rozmawiamy o dziecku. Kto dzisiaj kupuje jedzenie dla kota i kto wieczorem poćwiczy z małą angielski. Takie rzeczy.

To dopiero szczęście rodzinne.

Czasem powątpiewałam w relacje Georga. A jeśli Freia nie ma żadnego przyjaciela? Jeśli to nie ona rozbija małżeństwo, tylko on? Jeśli jednak to ja jestem tajemniczą kochanką, przez którą w domu latają filizanki?

Przyjechaliśmy do Blattheim. Zmęczeni smyczkowi i apatyczni dęciacy czekali tylko, kiedy wreszcie będą mieli za sobą to sobotnie przedpołudnie. Doskonale pasowaliśmy do siebie, ziewający muzycy z orkiestry, niezdyscyplinowany chór, zdenerwowany dyrygent i ja, niewyspana solistka. Georg siedział z tyłu w pustej sali. Oj, kolego, a jeśli nie powiedziałeś mi prawdy!

- Prośba do alcistki, czy może pani na krótko przed fermatą zrobić małe decrescendo?

- Tak, słucham? Ach tak, oczywiście. - Wygrzebałam ołówkę i zanotowałam decrescendo tuż przed fermatą.

Mój Boże, gdyby ten facet wiedział, jakie mam zmartwienia, a jemu w głowie tylko małe decrescendo! Właściwie powinnam zrobić duże decrescendo. Prywatnie. Ale którego z dwóch wiązadeł głosowych? Jedno powinnam wyrwać sobie z gardła. Ale z jednym tylko wiązadłem głosowym nie mogę śpiewać. Stop, to porównanie chyba kuleje. Na zdrowy rozum potrzebujesz tylko jednego wiązadła, eee..., uwięzi, więzi wierności, węzła małżeńskiego... Zaraz, zaraz. Kto tu mówi o małżeństwie?

- Proszę jeszcze raz arię altu, ale teraz całą reprzykę w mezzopiano. Ależ proszę uprzejmie, służę.

Odśpiewałam swoje, orkiestra odrzępoliła swoje, dyrygent odwiosłował swoje. Zanosilo się na cudowny, porywający i pozostawiający głębokie wrażenia spektakl.

Pojawili się inni soliści. Dwóch z nich trochę znałam.

Tenor był to wesoły, gruby Holender, który śpiewał tak samo zdrowo, jak zdrowo wyglądał. Jego kilometrowy żółty szal pasował kolorystycznie do kilometrowych żółtych zębów, które nieustannie prezentował, zarówno śpiewając, jaki śmiejąc się, mówiąc, ziewając czy po prostu siedząc. Miał wygląd północnofryzyjskiego chłopca. Zawsze myślałam, że przyjechał traktorem i musi prędko wracać, żeby nakarmić

świnie. Prawdopodobnie w oborze przy dojeniu śpiewał swoje potężne, tłuste arie, od których krowy dawały potężnie tłuste mleko.

Bas był jego dokładnym przeciwieństwem. Neurotyczny, drobnokościsty szczupły człowieczek z nielicznymi cienkimi włosami, które zawsze starannie utrzymywał w równomiernej warstwie za pomocą małego grzebyka. Jego delikatne gardło wokalisty spowijała kosztowna jedwabna apaszka, nuty miał oprawione w skórę, a jego chude łydki prawdopodobnie tkwiły w długich kalesonach antyreumatycznych. Jego głos miał zaskakująco męskie i ciepłe brzmienie, choć wstrząsane potężnym wibratem, które chyba było dowodem uduchowienia. Całkowicie oddał się muzyce kościelnej i uduchowionej muzie średniowiecza, a ponieważ z tego nie dało się wyżyć, udzielał ponadto lekcji haftu w jedwabiu i oczywiście śpiewu. Człowiek ten był taką świętą mimozą, że stale cierpiał z powodu grubiaństwa i braku wrażliwości innych. Prawdopodobnie także z mojego powodu, jako że śpiewałam moje kawałki bardzo niekobieco, w dzinsach, kozaczkach i rozciągniętym swetrze marki „dziecko, to wszystko przykrywa”, z przyziemnie oszczędnym wibrato i nie wznosząc oczu ku niebu. Nazywałam go „Świętym Mimoszuszem”, a w bardziej frywolnym nastroju „Świętym Wibratorem”, ale oczywiście nikomu o tym nie mówiłam.

Oprócz Georga, przy którym nie mogłam sobie odmówić dzielenia się swoimi spostrzeżeniami.

Było południe i koledzy zapytali mnie, czy nie poszłabym z nimi coś zjeść ze całkiem niedaleko, przy wjeździe na autostradę, jest jadłodajnia bez głośnej muzyki, w której po cywilizowanych cenach... Spytałam, jak długo trwa południowa przerwa. Pouczono mnie, że orkiestrze należą się przepisowe dwie godziny. Cywilizowane ceny przestały mnie pociągać. Kusilo mnie coś zupełnie innego.

Południowa drzemka w hotelu.

- Proszę pokój z minibarkiem.
- Na ile nocy?
- Ani jednej. Na dwie godziny.

Baczone, taksujące spojrzenie. Młoda kobieta w typie niedbałej studentki, średnio młody mężczyzna w typie właściciela opła i ojca rodziny. Blattheim, sobota w południe.

Pulchna pani w recepcji musiała toczyć ze sobą ciężką walkę. W końcu nie są hotelem na godziny, gdyby wszyscy tak chcieli!

- W takim razie poproszę o opłatę gotówką z góry.

Georg z kamienną twarzą zaczął grzebać w portfelu. Pomogłam mu, położyłam na kontuarze setkę.

- Sto dwadzieścia marek, proszę pani. Uśmiechnęłam się do niej bardzo elegancko.

- Ależ proszę uprzejmie!

Wśliznęliśmy się na górę jak złodzieje, ze ściśniętym sercem. Przeklęta dewota z recepcji. Daruj sobie łaskawie te przejawy moralności. Sama mam z nimi dość kłopotów.

Na rozgrzewkę i dla stłumienia resztek wpojonego przez ciocię Lili poczucia moralnego strzeliliśmy sobie po maluchu. A więc zakazany owoc, schadzka po kryjomu. W przerwie, w hotelu. Oczywiście nie w takim solidnym, drogim, przy rynku, gdzie każdy człowieka pozna. W takich razach odwiedza się wszak całkiem inne zakątki, może na przedmieściach, w sąsiedniej miejscowości albo - przy autostradzie.

Czy wszystkie ukrywające się pary kochanków czują się tak na wskroś zepsute i grzeszne? Czy z czasem to się zaciera? Czy u wszystkich wyrzuty sumienia przeradzają się stopniowo w uczucie nieprawdopodobnego napięcia, podniecenia płynącego bardziej z tego, że robi się coś zakazanego, niż z tego, co się naprawdę robi?



Choć przez cały czas w nogach sterylne białego łóżka hotelowego siedziała ciocia Lili, była to cudowna przerwa obiadowa.

- Georg, źle się czujesz?

- Nie, przecież ty jesteś ze mną. Jak mógłbym źle się czuć?

- W nogach łóżka siedzi ciocia Lili i grozi mi spinką do włosów ze swojego koku.

- Kto to jest ciocia Lili?

Ach tak, przecież Georg nie znał jeszcze cioci Lili. Klaus znał.

- Ciocia Lilli mnie wychowała. Wyrosłam u niej, zanim wyszła za wujka Paula.

- I miała zwyczaj grozić ci szpilką do włosów?

- Tak, w przenośni. Za niemoralne sprawowanie nie było deseru.

- Jakie to okrutne z jej strony. A jakże ty się mogłaś niemoralnie sprawować?

- Myślisz, że nie mogłam? - Byłam autentycznie oburzona. Gdyby wiedział, ile razy zrobiłam coś, co wydawało się niemożliwe! Może należy mi się złoty medal!

- Mogłaś, mogłaś. Jesteś najcudowniejszą niemoralną istotą na całym świecie.

Po czym byliśmy niemoralni. Było cudownie. Na stoliku nocnym przy łóżku cichutko pobrzękiwały o siebie kieliszki szampana. Później, przy wspólnym papierosie, Georg zapytał:

- Co było dla twojej cioci Lilli karygodnie niemoralnym sprawowaniem?

- Na przykład najpierw zdjąć podkoszulek, a potem patrzeć w lustro.

- W odwrotnej kolejności było można?

- Jasne.

- I co jeszcze? - Ciekawski.

- Wydawać jakiegokolwiek odgłosy w świętym czasie pomiędzy dwunastą w południe i drugą. Zawsze wtedy spała. Zabawa w domu była zabroniona. Więc bawiłam się na dworze.

Milczeliśmy. Rozmyślaliśmy. Zapaliliśmy drugiego wspólnego papierosa.

Przyszedł czas opuścić to gościnne miejsce. Zaczynała się próba.

Najpierw był niezapomniany występ sopranistki - Amerykanki. Spóźnione dziewczę, powiedziałabym. Oceniałam ją na trzydzieści pięć lat i stuprocentowe dziewictwo. Jej tęgie, krótkie nogi w wełnianych pończochach na wysokości połowy łydki gubiły się w szarej flanelowej spódnicy. Pod robioną na drutach liliową górą miała jaskraworóżową bluzkę z olbrzymią kokardą pod szyją. („Dziecko, to zdoła!”) Jej oczy za grubymi szklami bez przerwy mrugały, albo był to tik, albo spóźnione próby, by wyglądać na frywolną, tego nie umiałam ocenić. Głos miała bez zarzutu, ale zupełnie nieciekawym. Śpiewała jak maszyna, perfekcyjnie pod względem technicznym, ale w gruncie rzeczy śmierdząca nuda. Od samego początku jej nie lubiłam. Za to z miejsca oczarowała dyrygenta.

- Czy mógłby pan powiedzieć orkiestrze, żeby grała ciszej! - powiedziała swoją łamaną niemiecką z amerykańskim akcentem.

Dyrygent powiedział orkiestrze, żeby grała ciszej. Orkiestra miała to w nosie.

O osiemnastej był „Przeegląd sportowy”, zresztą w ogóle praca kończyła się o siedemnastej. Dla jakiejś sopranistki we flanelowej spódnicy i w wełnianych pończochach nie będzie żadnych ustępstw. Ani o ton ciszej.

Dyrygent znów zaczął wybijać takt na cztery, orkiestra nie speszona szorowała po swoim.

Sopranistka nie weszła.

Dyrygent dał znak, żeby przerwać. Instrumentaliści grali jeszcze przez jakiś czas, po czym któryś zrobił: - Pssst. - Dźwiękowa kasza przeszła stopniowo w prywatne rozmowy i odgłosy strojenia.

- Było pani wejście - powiedział dyrygent, nazywał się Fugge, dyrektor muzyki kościelnej Hans Fugge. Zamrugał przy tym nerwowo.

Sopranistka odmrugnęła. - Orkiestra gra za głośno - powiedziała z naciskiem. - Nie mogę rozmawiać z Bogiem!

Kłopotliwe milczenie.

Żółtozęby tenor chrząknął jak jedna z jego świń. Żeby strawić tę uwagę koleżanki w wełnianych pończochach, musiał najpierw przewlec przez drogi oddechowe wszystkie swoje tenorowe smarki.

Jedwabna apaszka kolegi basa drżała. Ja przygryzłam wargi, żeby nie zachichotać. To dopiero mała duchowa ekshibicjonistka! W orkiestrze dały się słyszeć pomruki: Ta mała chce rozmawiać z Bogiem, pozwólcie jej, grajcież o pięć fenigów ciszej, itp. Dyrektor muzyki kościelnej Hans Fugge wytarł sobie okulary, a potem nos, a potem znowu okulary. Uznałam tę kolejność za niewłaściwą. Ponownie starannie zdjął okulary, chuchnął na nie, jeszcze raz przetaił, jednak bez powodzenia. Podałam mu chusteczkę jednorazową.

Podniósł batutę, orkiestra zaszemrała szeleszczące pianissimo, a sopranistka odbyła z zamkniętymi oczami swoją prywatną medytację, bardzo efektownie. Głos brzmiał absolutnie bez zarzutu, bezbłędnie technicznie, ale mnie wydała się jeszcze bardziej niesympatyczna.

W duecie z tenorem mała nabożnisia musiała zresztą otworzyć oczy i usta, w przeciwnym razie obok nieokrzesanie żywego tenorowego timbru byłaby w ogóle niesłyszalna.

Odśpiewaliśmy finałowy kwartet, chór wyterkotał finałową fugę.

Koniec próby.

To było wspaniałe przeżycie.

- Proszę wszystkich jutro o siedemnastej, w małej sali, po rozśpiewaniu!

- Później jest przyjęcie w bufecie.

- Potrzebuje pani bilet dla towarzysza? To ostatnie dotyczyło mnie osobiście.

Najpierw chciałam powiedzieć nie, potem błyskotliwie uświadomiłam sobie, że jutro chciał jechać ze mną Klaus Konrad. A więc tak.

- Dziękuję bardzo, chętnie skorzystam.

- Zostanie pani z towarzyszem na przyjęciu?

- Myślę, że tak.

Chciałam zakończyć tę rozmowę, ponieważ Georg podniósł się ze swojej ławki z tyłu i wyraźnie nosił się z zamiarem przyłączenia się do nas.

- Oboje państwo reflektujecie na ciepłą kolację? - pytała dalej pani organizacyjna.

- Na ciepło dla jednej osoby - powiedziałam zdenerwowana. Pomyślałam o wieczornym apetycie Klausego Konrada.

Georg był już przy nas.

- Właśnie pytałam pańską żonę, czy oboje państwo zechcecie jutro zjeść ciepłą kolację - wyjaśniła mu pani Talent Organizacyjny. Georg nie odezwał się. Jego żona z pewnością nie chciała jeść ciepłej kolacji, ponieważ za żadną cenę nie naraziłaby na szwank swojej figury rozmiar trzydzieści osiem.

Odciągnęłam go.

- No to do widzenia, do jutra. Pani zanotowała coś w swoim bloku.

- Co będziesz jutro wieczorem wkładasz?

Pani Wełniana Pończocha pociągnęła mnie za rękaw. To była jej pierwsza prywatna odzywka do mnie.

Wełniane pończochy i jedwabną bluzkę z kokardą pod szyją - chciałam odpowiedzieć, ale powiedziałam uprzejmie:

- Na długo i na czarno, a pani?

- Mam jedna suknia róż i jedna lila. Hallo! Czy to jest twoja mąż?

Moja mąż uprzejmie podała jej rękę i powiedziała komplement w związku z jej „efektownym występem”.

- Nieprawda, to zawsze mówi moja nauczyciel w Stanach. Trzeba dla ludzi coś dać, nie tylko sama aria. Ludzi mają myśleć, że człowieka jest sama zaszokowana.

- Tak, to rzeczywiście było szokujące - powiedziałam i pociągnęłam Georga za rękaw. Zmykajmy stąd! Uprzejme potrząśnięcie spoczonej ręki dyrygenta, uprzejme do widzenia żadnej „Przeglądu sportowego” orkiestrze. Pośpiesznym krokiem wynieśliśmy się.

- Co robimy?

Rzut oka na zegarek. Sobotni wieczór, zmierzch, dzwon wzywa na nabożeństwo. Mżawka. Słabo oświetlone wystawy. Smętny wieczór.

Nagle poczułam ogromną potrzebę samotności. Siedzieć na kanapie cioci Lili z gorącą blaszanką i wielkim kubkiem twarożku i czytać książkę. Albo oglądać telewizję. Albo zadzwonić do cioci Lili. Całą wieczność nie rozmawiałam z ciocią Lili. Co najmniej tydzień.

- Przede wszystkim wyjedźmy stąd.

Jakby to było oczywiste, wyciągnęłam rękę po klucze do samochodu. Ja prowadzę tureckiego opla i basta.

Georg zapalił papierosa i wsunął mi między wargi.

- Byłaś cudowna - zagaił.

- Masz na myśli przerwę obiadową czy później?

- Och, jeśli chcesz wiedzieć, w przerwie obiadowej byłaś nieopisanie cudowna, a później...

- Już dobrze. Przecież nie przyjechałeś tu jako krytyk.

Byłam jednak ciekawa jego fachowej opinii o dzisiejszych wydarzeniach artystycznych.

- No cóż, jeśli dyrygent będzie jutro taktował równie nieprecyzyjnie jak dzisiaj, to nie wiem, czy orkiestra się nie posypie - stwierdził. - Poza tym ciekaw jestem reakcji publiczności na arię sopranu.

O zgrozo. A więc on zakłada, że jutro... Paliłam w milczeniu. Już od dawna nie kręciło mi się w głowie. Tylko było mi niedobrze. Ale to mogło też wynikać z sytuacji. Albo z coraz głośniejszego burczenia w żołądku.

- Czy dasz się jeszcze namówić na talerz jakiejś sałatki? - spytał Georg, wyjął mi z ręki niedopałek i zgniótł go za mnie.

Nie umiałam mu odmówić. W końcu spędził cały dzień przy moim boku, godzinami wysłuchując prowincjonalnych mistrzów sztuki oratoryjnej, i poza śniadaniem zjedzonym z córką nie miał niczego w ustach. Zajechaliśmy do pizzerii na rogu.

Byłam rozdrażniona z głodu i zmęczenia. Wziął moją zimną rękę.

- Ależ masz sine paznokcie!

- Wytworne, co? Nie trzeba wydawać pieniędzy na lakier.

- Żarty, żarty. Naprawdę tęskniłam do gorącej blaszanki, kanapy cioci Lilii i mojej pomarańczowej męskiej pizamy. Gdybyś wiedział...

Ale to się nie da zrobić. Siedź cicho, świńskie ego. On cię kocha, a ty myślisz o twarożku i telewizji. O jakimś cudownym filmie, jak „Statek marzeń” albo „Klinika w Schwarzwaldzie”. Jakie to trywialne. Jakie to nie na poziomie, jaka to miernota. Zresztą może też być „Stary” albo „Derrick”.

Zaznaczyłam sobie wczoraj wieczorem. Wczoraj. Będąc w teatrze z Klausem Konradem.

Kiedy ostatnio byłam sama? Tak naprawdę, wspaniale sama?

- Prego?

- Dwie sałatki Nicoise i połówkę czerwonego wina.

Jeśli idzie o jedzenie, Georg miał takie same zwyczaje jak ja, to znaczy albo nic, albo sałatka. Przystosowanie czy po prostu zanik apetytu z miłości?

Klaus Konrad nie miał takich problemów. Zawsze wybierał sobie pół prosiaka lub jakiś obiad z pięciu dań. Na żołądek mu w każdym razie nie szkodziłam.

Georg nalał mi wina i podsunął złotą papierośnicę. Wzięłam bezwiednie.

- Lwica milcząca?

- Dość się naryczałam.

- Czy można spytać, o czym myślisz?

- Właśnie myślałam o pewnym psychiatrze. - Przecież nie mogę tego ukrywać w nieskończoność.

- Potrzebujesz psychiatry? - Nieznaczny uśmieszek na ściągniętych wargach.

Zapaliłam pracowicie.

- Nie, w sensie zawodowym nie. Poznałam jednego prywatnie. Milczenie. On palił, ja paliłam. Ustawiono przed nami dwie olbrzymie miski z sałatką. Poczulałam się syta od samego patrzenia.

- Chciałabyś mi o nim opowiedzieć?

- Znasz go. Przelotnie. Poznałeś go po „Mesjaszu” w domu parafialnym.

- Ach, to ten! - Georg z ulgą oparł się na krześle. Zgasił papierosa, sięgnął po widelec, wytarł go serwetką i zaczął starannie nabijać liść sałaty.

Obserwowałam go. Klaus Konrad ze swoim zdrowym apetytem zjadłby już pół miski. Nie wycierając przedtem widelca. I patrząc mi przy tym „głęboko” w oczy.

Georg patrzył zawsze tuż obok, w jakieś inne oczy.

- W każdym razie - powiedziałam, wiercąc się na swoim krześle - w każdym razie on chce jutro przyjechać ze mną na koncert.

- Dlaczego?

- Interesuje go, jak przypuszczam. Milczenie. Staranne nabijanie plasterka pomidora.

- Ach tak. W takim razie lepiej, żeby ja nie jechał? Duża ulga.

- Tak. Dziękuję, Georg.

- Dziękujesz?

- Za zrozumienie.

Wzięłam go za rękę i poczułam, że strasznie go lubię.

- Powiedziałaś, że interesuje go koncert - odezwał się ostrożnie.

- Tak? - spytałam ze złym przeczuciem.

- Tylko koncert?

- Przypuszczalnie także kolacja po koncercie - spróbowałam zażartować.

- Mógłbym zrozumieć, gdyby interesował się także tobą.

- Jako ciekawym przypadkiem dla psychiatrii? Cholerna taktyka uników. Mimo to drażył dalej.

- Tobą jako lwicą.

- Ależ on w ogóle nie wie, że jestem lwicą!

- Owszem. Domyśla się. Ale to nie moja sprawa, jakie ma zamiary względem ciebie, czy jakie ty masz względem niego.

- Cóż ja mogłabym mieć za zamiary? - spytałam studiując odciski warg na moim kieliszku z winem.

Nie podjął więcej tego tematu.

Ja również nie podjęłam więcej tego tematu.



Rozmawialiśmy o śpiewakach, operach, krytykach i dzieciach jeżdżących taksówką na lekcje fortepianu. Sałata była pokonana, w kieliszku została resztką wina. Zapaliliśmy jeszcze po jednym. Georg skinął na kelnera, zapłacił.

- Idziemy?

- Tak, Georg. Każdy do siebie, do domu. Proszę.

- Uraziłem cię?

Popelinowy płaszcz odwrócił się niepewnie, po czym znów ustawił się na wprost mnie.

- Nie, nie. Tylko naprawdę jestem okropnie zmęczona i chcę pójść do łóżka z gorącą blazanką i dobrą książką.

Spojrzałam na niego błagalnie, jak kiedyś u cioci Lili: „Pozwól mi jeszcze godzinkę poczytać, proszę!” Rozpierała mnie ochota na telewizję i twarożek. Na deser. Im bardziej musiałam zebrać o sam na sam ze sobą, tym bardziej narastało we mnie pragnienie twarożku. Georg stał z papierosem przy drzwiach tureckiego opla. Od mojego ukochanego, małego, zaimprovizowanego, kolorowego i pełnego twarożku dwupokojowego mieszkanca na czwartym piętrze dzieliły mnie tylko dwa bloki. Tylko dwa bloki! Ale przedtem musiał wsiąść. I pojechać.

- Czy mogę jeszcze przynajmniej odwieźć cię do domu? (Nic do mnie nikomu, sama trafię do domu!)

- Georg, proszę, nie tak usłużnie! Moi wcześniejsi przyjaciele czy moi wcześniejsi wielbiciel, czy kogo tam miałam, przyzwyczaili mnie do zupełnie innego tonu. Na przykład: No dobra, jak chcesz, odstawię cię jeszcze do rogu!

- No więc dobrze, chętnie odprowadziłbym cię jeszcze kawałek.

Inna generacja, inna muzyka. Dziecko, że też musiałaś wdać się w coś takiego. No to teraz bądź damą i pozwól, żeby pan odprowadził cię pod rękę do domu.

Tak chętnie bym pobiegła. Albo poskakała. Na jednej nodze. Ale szliśmy równym krokiem ramię w ramię. Jak należy. Pod drzwiami wygrzebałam klucz i wymamrotałam jakieś podziękowania, na razie i jedź ostrożnie - co w jego przypadku nie było bezzasadne - i wydałam się sobie świnią. Zimną i obrzydliwą. A dlaczego właściwie już go nie chciałam? Przecież dzisiaj w południe prześcieradło aż furczało! I przez cały dzień byliśmy sobie tacy bliscy!

Patrzył tuż koło mnie, żywy, pełen niepewności popelinowy płaszcz. Nagle bardzo go pokochałam.

- Wiesz, Georg, to był cudowny dzień. Dziękuję, że byłeś dziś ze mną. Bardzo cię lubię.

Powiedziałam to i objęłam go strasznie mocno i serdecznie, i pocałowałam jeszcze na dodatek w usta. W tym ułamku sekundy rozegrał się we mnie zaciekły pojedynek. Żądza twarożku walczyła z żądzą żądry. Zwyciężyła żądza twarożku. Zamknęłam drzwi i popędziłam na czwarte piętro, jakby gonił mnie parszywy kot sąsiadki.

W domu jeszcze w płaszczu dorwałam się do lodówki, wyciągnęłam pół kilo twarożku i uspokoiłam się dopiero po piątej pełnej łyżce stołowej. Przygotowałam sobie blaszankę, nastawiłam wideo i włożyłam moją ulubioną pomarańczową, męską piżamę. W programie było: „Dziecko, nie jesteś damą”. Resztę twarożku wzbogaciłam sacharyną i jadłam już zupełnie kulturalnie, plastikową łyżeczką. Co za rozkosz. Nareszcie sama.

## Rozdział XV

Nazajutrz cała historia zaczęła poniekąd niebezpiecznie eskalować. Klaus Konrad znów pojawił się u mnie za wcześnie. Przyniósł olbrzymi tort z bitą śmietaną, co u żadnej śpiewaczki tuż przed występem nie wywołałoby okrzyków zachwytu, a tym bardziej u uzależnionej od twarożku emancypantki o skrywanym i bardzo złożonym stosunku do kalorii. W drugiej ręce balansował przepiękny wieniec adwentowy z niebieskimi świecami, dopasowany kolorystycznie do natrętnie dyskretniej tonacji mojego pokoju. To spodobało mi się w znacznie większym stopniu. Po trzecie uderzyło mnie w moim solidnym przyjacielu, że był u fryzjera, i fryzjer najwyraźniej dobrze wykorzystał fakt, że wreszcie trafił mu się pod nożyce odpowiedni klient. Na ugorze charakterystycznej głowy Klause Konrada dał upust swoim niedocenianym talentom. Fryzurę uznałam za zdecydowanie nieudaną, choć ciocia Lili pokrzykiwałaby z rozkoszy.

- Przyszedłem trochę wcześniej, żeby starczyło nam jeszcze czasu na kawkę.

Brak elementarnego pojęcia o historycznych duszach śpiewaczek. Psychiatra!

- Ach tak... Wejdz.

Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać, rozsiadł się wygodnie, nalał sobie sherry (tymczasem miałam już kieliszki), a ja spytałam głupio:

- Mam jeszcze zrobić kawę?

Właściwie byłam akurat przy gamie, przy której zazwyczaj ląduję kiksem na wysokim „szajs”.

- Jeśli chcesz jeszcze trochę poćwiczyć, to ja zrobię kawę!

Pomyślałam o wspólnym ścieraniu błota z rozmiękczonych filtrów na trudnej do zmywania wykładzinie podłogowej w kuchni i zrezygnowałam z rozśpiewania.

Później w garderobie rzucę jeszcze na ścianę kilka tonów. Teraz jest w programie tort z bitą śmietaną.

Siedzieliśmy przed wieńcem adwentowym, którego świece pozostawiliśmy w dziewiczym stanie, pałaszowaliśmy tłuste i słodkie kalorie i gawędziliśmy.

- Jak było wczoraj na próbie?
- Nie kończąca się przyjemność.
- O czym jest ten kawałek? Wyjaśniłam mu.
- O żabach, jadowitych zmijach i wszelkim robactwie.

Delektowaliśmy się tortem.

W samochodzie zapytał, czy nie miałam wczoraj kłopotów z trafieniem.

- Nie, nie miałam.
- Pojechałaś swoim ruchomym wiadrem na śmiecie?
- Nie, ze znajomym. - (Z moim panem znajomym.)
- Aha.

Wrzucił piąty czy szósty bieg, aż wcisnęło mnie w skórzaną lupinę i pomknęliśmy ku Blattheim, by uczestniczyć w sensacyjnym przedstawieniu owianego legendą kulturalnego wydarzenia stulecia.

Na Klause Konrada czekał bilet wolnego wstępu. Stało na nim: „Honorowa karta wstępu dla osoby towarzyszącej solistce”; ten, kto to pisał, z pewnością miał na myśli pana dobrze po czterdziestce, w popelinowym płaszczu.

Klaus Konrad miał przy sobie czarną walizkę.

- Czy to walizka lekarza dyżurnego? W razie gdybym zasłała?

- Nie, w środku jest kamera wideo.
- Co? Kogo chcesz tym dozorować?
- Ciebie. Masz coś przeciwko temu, żebym sfilmował koncert?

- Jak to, cały koncert?

Z przerażeniem pomyślałam o ryczącym hodowcy świń i Świętym Wibratorze z rezonującą apaszką. I o pani Wełniane Pończochy, na komendę rozmawiającą z Bogiem ku uciesze publiczności.

- Niekoniecznie, jeśli chcesz, to tylko twoje arie.

- Aha. - Osobliwy pomysł. Ale właściwie dlaczego nie? Zgrywać się na kozę, mimozę, a może mam kontrakt na wyłączność z kamerzystą wujkiem Paulem? Nie.

- Dobrze, filmuj, jeśli chcesz. Ale jak zdrętwieje ci ręka, możesz przerwać.

Musiałam się pożegnać.

- Jeżeli podrapię się w lewe ucho, to znaczy, żebyś lepiej nie filmował. Że mi to przeszkadza.

- O.K. A jak podrapiesz się w prawe ucho, to znaczy że mam filmować, że ta scena jest dla ciebie ważna.

Uznałam te uzgodnienia za rozsądne. Miały jeszcze długo pozostać aktualne.

W garderobie zastałam panią Wełniane Pończochy. Siedziała w białej bieliźnie na krześle w samym środku pomieszczenia, którego ściany przyozdabiała ogromne lustro, i śpiewała ze swoim głupekowatym amerykańskim akcentem:

- Rączki klaszczą, klap, klap, klap, nóżki tupią, tup, tup, tup, raz na prawo, raz na lewo, to doprawdy nic trudnego.

W obawie że trafiłam na jakieś inne przedstawienie, cofnęłam się przerażona. Czy dzisiaj idzie „Jaś i Małgosia” Humperdincka, czy gramy solidnego Handla?

- Halo, wejdz. Zagramy razem tę scenę!

Mała, jędrna dama w różowej bieliźnie podskoczyła do mnie, wciągnęła do pomieszczenia i chciała celebrować ze mną tę głupią scenę. Na szczęście nie znałam tego kawałka.

- Nie mam „Jasia” w repertuarze - odparłam atak.

Niezrażona, dalej tańczyła sama, różowa bielizna na jędrnych nogach, wyżej głupkowato utapirowana w słup głowa w lokach.

- Raz na prawo, raz na lewo, to doprawdy nic trudnego.

W jakimś sensie ten szczyt głupkowatej naiwności wyrażał prawdę. Najprawdziwszą prawdę. Raz na prawo, raz na lewo, to doprawdy nic trudnego. Właściwie to rzeczywiście nic trudnego. Raz na prawo, raz na lewo.

Siedzieliśmy na scenie, twarzą do publiczności, plecami do chóru i orkiestry. Po lewej dyrygent głośno sapiąc wiosłował chórem, który rozbrzmiewał z tyłu rozwlekle i nieczysto.

Jędrna tkwiła po uszy w falbankach, ja jak zwykle byłam w džinsach pod suknią „to wszystko przykrywa”, tenor od świń prawdopodobnie jechał we fraku traktorem (wyglądał na nieco przybrudzony), a trzęsący się z zimna mimozowatoświęty bas musiał niestety zrezygnować ze swojej jedwabnej apaszki.

Sprzedawałam moją arię z żabami i zmijami. Spoglądałam groźnie, grzmiałam r, syczałam i prychałam, aż w świetle reflektorów rozpierzchały się spłoszone kropelki śliny.

Na swoim honorowym miejscu w pierwszym rzędzie siedział Klaus Konrad i bez przerwy filmował. Zapominałam we właściwym momencie podrapać się we właściwe ucho. Serce stukało mi nierytmicznie, a żołądek odmawiał całą bolesną część różańca jako pokutę za tort z bitą śmietaną. Jeszcze przy postludium trzęsły mi się nogi w spodniach, ale dzięki worowi przykrywającemu cioci Lili pozostało to moją tajemnicą. (Każda kobieta ma swoją małą tajemnicę).

Akord końcowy. Amen. Alleluja. Usiadłam. Pani Falbanka obok mnie szepnęła: - Faantaastyycznie - a rolniczy tenor znów z odpowiednimi odgłosami przepędził smarki po drogach oddechowych. Mimosowe jabłko Adama kolegi basa

wędrowało w górę i w dół, niezmiennie koło białej muchy, która za każdym razem wzdrygała się z odrazą. Prawdopodobnie z braku swojej trzęsącej się apaszki robił ćwiczenia rozluźniające.

I ja próbowałam się odprężyć. Patrzyłam więc z zainteresowaniem na publiczność. Zawsze to robię, kiedy chcę zająć się czymś innym i poprawić sobie nastrój. Zawsze wyobrażam sobie, że ludzie, siedzący tu w długich rzędach jeden za drugim, tkwią w kolejce grozy w wesołym miasteczku i zaraz zaczną przeraźliwie krzyczeć i piszczeć, bo jest bardzo stromo pod górę. Będą się mocno trzymać jedno drugiego i wpadać na siebie, i fikać koziółki, i całe to szacowne, kulturalne stowarzyszenie akademików zamieni się w rozwrzeszczane kłębowisko. Ten obraz za każdym razem na nowo mnie bawi, odpręża i uspokaja.

Albo zgaduję, który mężczyzna jest z którą kobietą, z tą z lewej czy z prawej strony, i komu należy przyporządkować ziewającego smyka, który machając nogami, wyraźnie znudzony robi statek z kartki wyrwanej z programu.

Ta krzykliwie wystrojona blondynka w jadowitej zieleni jest z tym smutnym posiadaczem kęпки włosów o szklistym spojrzeniu, w szarym garniturze w paski, czy raczej jest małżonką tego grubego śpiocha z czerwoną twarzą po drugiej stronie? Ach nie, ten jest pewnie z tą mamuszką przy kości, ze świeżą trwałą, w sukience koloru mortadeli. Cztery babcie z tyłu, co jedna to bardziej uważna, powyciągały szyje i z nadmiaru chwalebnej ciekawości o mało nie wypadły z kolejki. Moje oczy wędrowały szybko i bezładnie. Pierwszy rząd, w środku: Konrad, wyelegantowany i krótko ostrzyżony jak gruby prymus z mojej klasy. Z kamerą. Panie profesorze, jestem bardzo sprytny. Pochwycił moje spojrzenie, uśmiechnął się do mnie. Niewiele brakowało, a pomachałby mi ręką albo zawołał: Hej hej! Uosobienie rozbrajającej

otwartości. I miłego naiwnego ciepła. Niedźwiedź do czochrania. Tylko że ja nie chciałam czochrać niedźwiedzia. Moje oczy zatoczyły łuk i pomknęły teraz w ostatnie, słabo oświetlone rzędy. Ostre hamowanie, wsteczny bieg, dwa czy trzy rzędy z powrotem. Tu. Pochylona postać, ciemne włosy, przedziałek z boku głowy. Brązowy garnitur, jasnoniebieska koszula. Dłoń na ustach, skupienie, kontur twarzy w półmroku. Wąskie wargi w lekko drwiącym uśmiechu, prawie niewidoczne. Wpatrywałam się w niego, aż się zaczął rozpląwać. Dlaczego, Georg? Dlaczego mi to zrobiłeś, mnie i sobie? Nie miałeś w to niedzielne popołudnie nic lepszego do roboty? Nie mogłeś pograć z dzieckiem na pianinie albo powycinać zdjęcia koni? Albo posiedzieć z Freią przy kominku, popijając koniak i rozmawiając o podatku wyrównawczym?

Duet z medytującym sopranem falbankowym wykonałam cokolwiek rozkojarzona. Ledwie trafiałam w swoje wejścia. Dno. Georg. Konrad. Dziecko, śpiewaj przyzwoicie. Skoncentruj się. Ta mała rozmawia z Bogiem (choć z amerykańskim akcentem), a ty myślisz o mężczyznach, oplu i BMW, i o przerwie obiadowej w przyzwoitym hotelu, i picie kawy na kanapie cioci Lilii...

Nie byłam zbyt dobra. Po prostu nieprzekonująca. Metafizycznie tremolujący bas i zdrowo piejący tenor wyprzedzili mnie o parę długości. Twarz Georga w szarej masie, niewyraźna, mroczna, ledwie widoczna. Twarz Konrada w pierwszym rzędzie, jasna, wyraźna, uśmiechnięta. I moje trzęsące się nogi pod wieczorową suknią. Dziecko, musisz wziąć się w garść.

Finałowy chór, koniec, oklaski. Uścisk mokrej od potu dłoni sapiącego dyrygenta. Kwiaty od dygających rozkwitających blattheimskich piękności. Flesze. Namiastka upojenia scenicznego, powiew wielkiego świata.



Ukłony, triumfalne wyjście.

Na tyłach zakurzonej sceny, w ciemnościach, bez entuzjazmu gratulowaliśmy sobie wzajemnie.

- Pięknie odśpiewane.

- Dobra robota.

- Świetne wykonanie. Bezdusznie i bezwstydnie.

Przyszedł Hans Fugge, sapnął: - Proszę, wchodzimy z powrotem - i znów rausz sceniczny w świetle reflektorów. Blattheimska high - society biła brawa na stojąco. Tylko za co?

Kłaniając się zauważyłam, że mam brudne buty. (Dziecko, jesteś beznadziejny flejtuch). Falbanka koło mnie miała buty rozmiar trzydzieści cztery, ale za to błyszczące i z kokardą. Oryginalne. Znów wycofaliśmy się na ciemne, zakurzone tyły.

- W pierwszym rzędzie siedział facet z kamerą. To pewnie ktoś z lokalnej telewizji?

- Ee, nie, to mój przyjaciel.

- Ale wczoraj miałaś inny przyjaciel - pozwoliła sobie zauważyć koleżanka.

- No właśnie - zatrzęsa się biała mucha. - Myślałem, że to był pani szanowny ojciec!

- Ależ skąd - ryknął nieokrzesany chłop. - Nasza alcistka gustuje w dojrzałych mężczyznach!

- O, w takim razie może miałbym jeszcze szanse - zachichotał mimozowaty basista.

Więc on nie jest pedałem? - zastanawiałam się, kiedy jeszcze raz z wdzięcznym, uniżonym ukłonem przyjmowaliśmy ostatnie oklaski blattheimskiej publiczności.

Wygasty, kiedy sopranistka była jeszcze na scenie. Należał się jej oczywiście ekstra aplauz za publiczne medytacje. Ledwie znalazłyśmy się w garderobie, ściągnęła swoje lakierki i cisnęła w lustro. Lukrowana pieczona gęś z Kentucky!

Wydostałam się ze swojego ubrania roboczego, wcisnęłam je w adidasowy worek (nuty, buty, sukienka, widełki stroikowe, kryminał, plan miasta, pastylki orzeźwiające), zgarnęłam swoje kwiaty i płaszcz. Rzut oka w lustro, stwierdziłam, że moje oblicze jest tak ozdobione czerwonymi plamami, że nawet najgorsza plastyczka, projektantka masek z moją pomocą zdałaby artystyczny egzamin dojrzałości z odznaczeniem.

W tym momencie rozległo się ciche, ale stanowcze pukanie. Choć w różowej bieliźnie, koleżanka zaćwierkała:

- Proszę!

Pewnie chciała dać autograf albo udzielić wywiadu w tej jedynej w swoim rodzaju, porywającej kreacji. To był Solidny. Wielki, rozłożysty, z kamerą wideo, walizką i skórzanym płaszczem. Przedstawiłam ich sobie i znów zajęłam się swoimi plamami.

- Świetnie, jestem z ciebie dumny - powiedział Klaus Konrad i prawdopodobnie poklepałby mnie po ramieniu, gdyby nie był tak objuczony.

Spod jego skózanego płaszcza wyłonił się olbrzymi bukiet kwiatów, który wręczył mi zamasyście. Skórzany płaszcz spadł przy tym na podłogę. Byłam wzruszona. Skąd wytrzasnął tę monumentalną wiązanekę? I jak mu się udało aż do tej chwili ukryć ją przede mną?

- Zamówiłem kwiaty wczoraj, telefonicznie - wyjaśnił mi później. - Poślaniec oddał je w kasie.

Aha, w ten sposób. Światowy człowiek z tego Klausu. Opuściliśmy garderobę, oboje ciężko obładowani. A tu pod drzwiami stoi samotny fan. W popelinowym płaszczu. Z jedną jedyłą małą czerwoną różą. Georg.

Na wpół spuszczonego wzroku, spojrzenie skierowane gdzieś obok. Zatrzymałam się, Klaus Konrad też się zatrzymał.

- Ach, dobry wieczór - udałam miłe zaskoczenie. - Pan krytyk we własnej osobie!

Georg nie spieszył się ani na chwilę.

- Chciałbym podziękować pani za koncert.

- Klaus, to jest pan Lalinde, krytyk. Ach, przecież znacie się już trochę. Klaus wyraźnie nie mógł sobie przypomnieć. Z rozmachem postawił na podłodze swoją walizkę, gestem posiadacza objął mnie uwolnioną w ten sposób ręką i powiedział:

- Czy nie była cudowna? Jestem z niej naprawdę dumny!

- Ja też - powiedział Georg, patrząc przy tym na jeden z moich nie wyczyszczonych butów.

Rezolutnie odebrałam mu różę i dołączyłam ją do bujnego bukietu.

- Napisze pan recenzję? - zainteresował się Klaus.

- Tak. Będzie to dla mnie prawdziwa przyjemność.

Na ściągniętych ustach Georga znów gościł drwiący uśmiezek. Uznałam, że czas skończyć tę rozmowę.

- Niech pan nie będzie dla mnie zbyt surowy - powiedziałam dwuznacznie i energicznie potrząsnęłam ręką Georga. Przytrzymał ją o sekundę dłużej, niż to było konieczne, a moja kobiecość odczuła burzę hormonalną.

- W takim razie...

- Miłego wieczoru!

- Szczęśliwej drogi do domu!

- Zostaniemy jeszcze trochę. Będzie bankiet z burmistrzem, przemówienia i kieliszek szampana.

- I ciepła kolacja? Smacznego! - Georg uszczypliwy, Georg aluzyjny!

- Dziękuję. - Odwróciliśmy się chcąc odejść.

- I jeszcze jedno!

- Tak? - Wzdrygnęłam się. Cóż jeszcze?

- Niech pani nie zapomina o agencji, o której pani opowiadałem. Jest wciąż zainteresowana wyłącznym kontraktem!

- Rzeczywiście musisz się kiedyś podczepić - stwierdził Klaus, kiedy szliśmy korytarzem.

Nie odwróciłam się już. Ale miałam szaloną ochotę na papierosa.

## Rozdział XVI

Poniedziałek, dziewiąta rano. Kubek twarożku, plastikowa łyżeczka, filiżanka kawy i gazeta. Jaki spokojny poranek.

Dzwoni telefon. Minutę później niż zwykle. Miałam nadzieję, że to Georg.

- Dzień dobry, tu Klaus.

- Cześć.

- Dobrze spałaś?

- Dziękuję. Ty też?

- No tak, potem jak mnie wyrzuciłaś wczoraj wieczorem...

- Przecież cię nie wyrzuciłam! Po prostu byłam zmęczona i chciałam zostać sama. Masz mi to za złe?

- Trochę tak. Jeszcze przez parę godzin włączyłem się po różnych knajpach, taki byłem wściekły.

Tym razem ja wpadłam we wściekłość.

- Co ty sobie właściwie wyobrażasz, Klaus? Nie masz prawa wściekać się tylko dlatego, że o wpół do trzeciej w nocy proszę, żebyś sobie poszedł. Miałam koncert i po prostu byłam zmęczona!

- Już dobrze, nie chcę się z tobą kłócić, chciałem cię zapytać, czy masz ochotę dziś wieczorem wybrać się ze mną do teatru. Mam dyżur.

Zastanawiałam się. Czy mam ochotę? Właściwie nie.

- Co to za sztuka?

- Zdaje się, że jakaś opera Verdiego.

W zasadzie uwielbiam wszystkie opery Verdiego.

- Klaus, czy mogę się jeszcze zastanowić?

- A jakie przesłanki będziesz brała pod uwagę przy podejmowaniu decyzji?

Jego ironiczny ton rozzłościł mnie.

A twarożek uśmiechał się zachęcająco. Czas skończyć tę rozmowę.

- Zadzwoń do mnie jeszcze po południu, dobrze? Nie wiem, czy uporam się z ćwiczeniem. W adwencie mam mnóstwo koncertów.

- O.K., zadzwonię o piątej. Cześć!

Odłożył słuchawkę. Wyglądało na to, że wielki, solidny doktor od dusz obraził się.

Próbowałam czytać gazetę i rozkoszować się twarozżkiem. Po chwili zadzwonił Georg.

- Byłaś wczoraj cudowna.

- Ale dlaczego się tam zjawileś, Georg? To było nie fair! - Właściwie sama czułam się okropnie nie fair.

- Nie mogłem wytrzymać w domu.

- Co się stało? Kłótnia? Sceny? Rzucanie kluskami na odległość?

- Nie. Trupi chłód. Było mi tak zimno w moim własnym domu, że po prostu musiałem wyjść. Do ciebie. Choćby tylko patrzeć na ciebie z daleka.

Znowu ta okropna uniżoność!

- Przestań, Georg. Bez tych duserów, proszę! Dostaję od tego gęziej skórki!

- Och, przepraszam. Ale tak było. Kiedy znalazłem się w pobliżu ciebie, poczułem się lepiej. Czy będę mógł zobaczyć cię dziś wieczorem?

Kiedy wreszcie skończy z tą usłużnością ubogiego rycerza? Moja ciocia Lili robiła dawniej taką potrawę, nazywała się „ubogi rycerz”. Miała taki sam słodki i lepki smak jak słowa sączące się z zielonej słuchawki telefonicznej.

- Jeszcze nie wiem, Georg. Dzisiejszego ranka mam trudności z podejmowaniem decyzji. Wczoraj późno się skończyło i jestem okropnie zmęczona...

- Czy przynajmniej było miło?

- Tak, całkiem przyjemnie. - Idiotyczna konwersacja. Kto rano wstaje, niech się najpierw naje.

- Dziś wieczór muszę być w operze. Piszę recenzję z „Balu maskowego”.

Ach, jakie to zajmujące. Miałam więc do wyboru, zachwycać się Verdim z lekarzem na dyżurze czy z krytykiem. Większe przeżycie artystyczne czeka mnie z pewnością z Lalinde. Jego praca zawsze wydawała mi się niezwykle interesująca. Klaus prawdopodobnie zasnąłby albo przynajmniej głośno ziewał i myślałby tylko o kolacji po spektaklu.

A więc jeśli w ogóle Verdi, to z Georgiem.

Dziecko, bądź rozsądna, nie powinnaś dziś wieczór iść do opery. Zostań w domu, oszczędzaj siły. Poza tym to zabawa z ogniem. Jeśli pójdziesz z jednym, to na pewno spotkasz drugiego. Daj spokój, dziecko!

- Słuchaj, Georg, miło, że mnie zapraszasz, ale dzisiaj wieczorem wolałabym zostać w domu. Ostatnio wciąż jestem poza domem.

Cisza. Potem: - Mhm. - Tylko „mhm”, nic więcej!

Natrętne tykanie wskazówek kuchennego zegara. Czas się rozśpiewać, uszmkować i do tramwaju! Postanowiłam też nic nie mówić. Nawet „Mhm”.

To prawdziwy koszmar, przyciskać do ucha słuchawkę, z której nie wydobywa się nic prócz bezgłośnego rozczarowania.

I wreszcie:

- Nie dasz się namówić? Premiera „Balu maskowego” w pierwszorzędnej obsadzie.

Nagle pomyślałam: Dziecko, przecież żyjesz tylko raz. Zróbże to. Przeżyj raz oszałamiającą premierę po stronie publiczności, u boku znanego, ciętego krytyka. A jak spotkasz doktora, to tylko będzie jeszcze bardziej interesująco. Trzeba żyć! Dość się jeszcze nasiedzisz w domu.

- Więc dobrze. Pójdę z tobą. Spotkamy się o wpół do ósmej przed operą?

- Nie chcesz, żebym przyjechał po ciebie? Mógłbym już od piątej! Grzech. Tak, chcę go popełnić. A więc tak to sobie wyobrażasz. Oboje tego chcemy. A więc o piątej. Życie jest piękne.

- Dobrze. Przyjdź na kawę. Spróbuję o piątej być w domu. - Atak hormonów na podbrzusze, przedsmak rozkoszy. Kawa to czysty pretekst. Będziemy zajmować się czymś zupełnie innym niż picie kawy.

Tak też się stało. Nie zdążył wejść do mojego małego, stęchłego przedpokoju, kiedy ściągnęłam z niego popelinowy płaszcz i krawat.

Nawet nie myśleliśmy o kawie. Przez całe dwie i pół godziny. Wypaliliśmy kilka papierosów. Nie zważaliśmy na dzwonek telefonu. Potem wsiedliśmy do opla. Ja za kierownicą. A więc „Bał maskowy”. Zabawna komedia pomyłek z tragicznym zakończeniem.

Już w foyer nie mogłam uwolnić się od wrażenia, że wpadam prosto w ramiona Klausa.

- Czy moglibyśmy pójść już na swoje miejsca?

- Jeśli sobie życzysz...

Gdybym zapytała, czy moglibyśmy jeszcze prędko wypić po kieliszku szampana, też odpowiedziałby: „Jeśli sobie życzysz...” Nawet gdybym zaproponowała mały jogging, trzy razy dookoła opery, bez żadnych pytań uznałby to za dobry pomysł.

Przemknęliśmy koło odzianej w białe - niebieskie paski ciotki z programami i usunęliśmy się do czwartego rzędu. Po przerwie mieliśmy siedzieć na balkonie, ze względu na różnicę w akustyce.

Z pomieszczenia dla orkiestry rozlegały się normalne odgłosy strojenia, tu i ówdzie rozbrzmiewał już jakiś motyw



operowy, klarnet okropnie nie stroił z puzonem, blondynka w drugich skrzypcach niepotrzebnie szminkowała sobie usta. To akurat bezszelestnie. Ukradkiem rozglądałam się po widowni. Ani śladu doktora. Nie przyszedł?

- Kogo tak wypatrujesz?

- Och, tak sobie patrzę po ludziach - powiedziałam. - Jak w kościele. Zanim się zacznie, trzeba wiedzieć, z kim się będzie miało przyjemność przez cały wieczór. I jak się kto ubrał. I kto jest z kim. I dlaczego.

Uśmiechnął się.

- A dlaczego ty jesteś tu ze mną?

- Bo chcę być świadkiem narodzin recenzji pana Lalinde.

Powoli gasły światła. Z ulgą opadłam na oparcie fotela. Żadnego doktora, żadnych przykrych sytuacji, żadnych wyjaśnień. Teraz już tylko Verdi w ciemnościach. A z prawej najbardziej ekscytujące męskie perfumy świata. I asocjacje z burzą hormonalną.

Dyskretnie zamknięto drzwi. Panie w białe - niebieskie paski mogły teraz aż do przerwy szydełkować. Jedyne drzwi z lewej strony na przedzie pozostały otwarte. Triumfalnie wkroczył już dyrygent, witany umiarkowanie entuzjastycznymi oklaskami. Wszedł w sam środek tych oklasków. Doktor. Z przodu, po lewej. I drzwi zamknęły się, bezszelestnie.

Bach. Stało się. Musiało do tego dojść. Georg niczego nie zauważył. Już znów trzymał rękę na ustach i siedział pochylony do przodu na swoich kantach. Nawet na pupie miał kanty. Chyba dlatego, że Georg nigdy tak naprawdę nie siedział na pupie. Jak w takiej sytuacji mają się rozprostować kanty.

W przerwie najpierw pozostaliśmy chwilę na swoich miejscach, aż cały żądny poszwendania się po korytarzach tłum przepchnął się przez drzwi. Dyskretnie śledziłam

wysokiego, rozłożystego mężczyznę z przodu po lewej; najwidoczniej budząc się z przyjemnego snu, przeciągnął się niedyskretnie, po czym nie oglądając się opuścił salę. Georg robił notatki. Nie przeszkadzałam mu, siedziałam w milczeniu, aż skończył.

- Co chciałabyś teraz robić? Napijemy się czegoś?

Właśnie, co chciałabym robić? Zmieszać się z tłumem, spotykać z tym i z owym, patrzeć na nic nie rozumiejące twarze, aha, krytyk z młodą śpiewaczką, zaraz, zaraz, skąd ja ją znam, czy ona nie śpiewa w jakimś chórze? Przy barze natknąć się na doktora, przywitać się: Dobry wieczór, cóż za przypadek, ty też spędzasz dzisiejszy wieczór w operze?

Nagle oblał mnie zimny pot. Dziecko, jakaś ty głupia. Cynicznie odmówiłaś doktorowi, potem nawet nie podniosłaś słuchawki, a teraz chcesz podejść do niego z uśmiechem, pod rękę z Georgiem? Facet więcej na ciebie nie spojrzy i będzie miał rację. A może nawet da ci w pysk, przy ludziach, zasłużyłaś sobie, albo wyzwie na pojedynek Georga. W braku pistoletu może wykorzystać jako pocisk korek od szampana albo roztrzaskać mu butelkę piwa na skroni. „O zimny, nikczemny występku!” Czułam się gorzej niż na chwilę przed występem.

Georg wstał i spytał, czy może zaprosić mnie na kieliszek szampana. Może. Zmierzałiśmy w stronę baru wśród snujących się wielbicieli sztuki operowej, dystygowanych, w wielkim stylu, sama śmietanka konsumentów wysokiej kultury wielkiego miasta: Podczas kiedy Georg stał w ogonku niezbyt elegancko przepychających się amatorów szampana, ja wcisnęłam się w ścianę, kątem oka obserwując nieprzyjacielskie pozycje wokół i usiłując drżącymi palcami wydobyć z torebki papierosy Georga. Było dla mnie zupełnie jasne, że Klaus jest gdzieś w bezpośredniej bliskości. Chyba żeby akurat został wezwany do umierającej Amelii albo do

omdlałej małżonki dyrektora banku Haumichtota, której po prostu nie służyło powietrze w sali. Nikt się nie zlitował, nikt nie padł trupem ani nawet nie zemdłał, nikt nie dostał torsji w foyer i nikt nie potknął się o dziecko na schodach. Wszyscy byli nielitościwie zdrowi i rześcy, a oto także i Klaus przesunął się już w niecierpliwym ogonku do wyszynku, pokazał jakąś kartkę i natychmiast otrzymał piwo i coś tłustego, wysokokalorycznego, w szklanej miseczce. Tak wyposażony, przeczesywał wzrokiem pomieszczenie w poszukiwaniu wolnego miejsca. Odwróciłam się gwałtownie. Szukający zawsze najpierw patrzą w oczy, które ich obserwują. To prawo natury. Zagrałam więc beduinę. Z braku kaptura z kwefem zasłoniłam się gęstym dymem z papierosa i odwróciłam się do ściany.

Dlatego nie znalazł mnie również Georg, który z dwoma kieliszkami szampana błędził po pomieszczeniu. Nie mogłam go zawołać ani zwrócić na siebie uwagi na przykład machając ręką. W żadnym wypadku nie chciałam opuścić swojego miejsca we wnęce. Podszedł tak blisko do zajadającego z apetytem i popijającego piwem Klause, że ze strachu przegryzłam papierosa. Klaus zauważył go, przesunął się, zaproponował mu miejsce. Georg na krótką chwilę zastygł w bezruchu, ale instynktownie zareagował prawidłowo. Pokręcił głową, podziękował, powiedział jeszcze dwa, trzy uprzejme zdania. Odwrócił się, zauważył mnie i ruszył w moim kierunku. Prawdopodobnie świeciłam swoimi czerwonymi plamami na twarzy mocniej niż wszyscy pacjenci szpitala dziecięcego podczas epidemii odry razem wzięci.

- Jest tu twój doktor - powiedział Georg stawiając kieliszki. Wciągnęłam go do wnęki.

- Niekoniecznie musi nas zobaczyć.

- Dlaczego? Nie chcesz, żeby widział nas razem?

Georg zajął się poszukiwaniem papierosa, zaproponował też mnie. Natychmiast wzięłam, drugiego.

- Ja, świnia, odrzuciłam jego zaproszenie do opery i poszłam z tobą - powiedziałam i zapaliłam nerwowo.

- To zupełnie co innego - powiedział Georg. - Musisz stąd wyjść. Rzeczywiście nie powinien zobaczyć nas razem.

Usunęliśmy się - z kieliszkiem szampana i papierosem, przez foyer i po schodach na górę aż do pierwszego balkonu. Widać stąd było tłumy przechadzających się w dole ludzi.

- Lubisz igrać z ogniem? - spytał Georg, ale nie zabrzmiało to surowo, raczej wyczuwało się zachwyt.

- W zasadzie nie - powiedziałam trwożnie, pośpiesznie drżącymi rękami podnosząc do ust szampana.

Było mi okropnie niedobrze. Dwa papierosy jeden po drugim i szampan na pusty żołądek po raczej niezbyt statecznie spędzonym popołudniu i połowie „Balu maskowego”, która do końca zszarpała mi nerwy. Dość tego. Nie miałam już ochoty ani na operę dramatyczną, ani na dramatyczne uniki. Zdecydowanie przeceniłam swoje możliwości.

Zrozumiałam, że chcę wrócić do domu, do mojej blaszanki, do mojego twarożku i telewizora, że chcę być sama, żeby nikt na mnie nie patrzył, nikt mnie nie adorował. Natychmiast. Na świeże powietrze! Nie chcę uczestniczyć w zakończeniu historii trójkąta Amelia, Ricardo i Renato. Znam je już przecież. Są ofiary. Oczywiście to tylko opera. Ale człowiek ma skłonności do identyfikowania się ze sztuką.

- Georg, źle się czuję. Chcę do domu.

- Oczywiście, kochanie. Odwiozę cię.

- Nie, chcę pójść pieszo. Potrzebuję świeżego powietrza.

- Jak sobie życzysz. Możemy pójść. Później przyprawdę samochód. - Georg zgasił papierosa.

- Ty przecież musisz zostać, panie Lalinde - usiłowałam odegrać słodką surowość. - Jutro tysiące ludzi będą czytać twoją recenzję.

- Jeżeli jesteś chora, nie będzie recenzji - odparł Georg. Dawno nie spotkałam się z taką rycerskością.

- Georg, czy to rozumiesz, czy nie, chcę iść sama - powiedziałam stanowczo. Dziecko, uprzejmie, ale stanowczo, w ten sposób osiągniesz u mężczyzn najwięcej.

Zrozumiał. Albo nie rozumiał. W każdym razie poszłam sama. Pośpiesznie zeszłam dwie kondygnacje do garderoby, odebrałam płaszcz i wybiegłam na ulicę. Minęłam dwa bloki i wciąż jeszcze czułam na sobie spojrzenie Georga, wyimaginowane spojrzenie Klause, czułam się prześladowana przez los, przez moją własną głupotę, tak, ta prześladowała mnie najbardziej. Wymyślałam sobie głośno. Ty głupkowata indyczko, mówiłam, wpadając w ton cioci Lili. Sama jesteś sobie winna, tak, sama jesteś winna. Masz, na co zasłużyłaś. Teraz obaj dadzą ci w tyłek, jeden w lewy półdupek, drugi w prawy, tak jest. Jak można wdać się w coś takiego. Jak można być taką idiotką. Jesteś zarozumiała, pusta i dziecinna. Potrzebne ci to było? Widocznie tak, prawda? Za mało masz kompleksów?

Po dwudziestu minutach pośpiesznego marszu i ożywionych dyskusji z samą sobą poczułam się lepiej. Rozkoszowałam się szybkim marszem, świeżym powietrzem i delikatną mżawką. Najbardziej rozkoszowałam się samotnością. Wydała mi się najcenniejszym dobrem na Ziemi.

W domu zrobiłam to, do czego tęskniłam przez cały wieczór. Gorąca blaszanka, twarożek plastikową łyżeczką i fajny film o miłości z niemieckimi aktorami. No proszę. I nogi na stół. Wazon z różami od doktora odsunęłam stopą. Na telewizorze kwiaty z koncertu, obok pojedyncza róża od Georga. I patrzyłam sobie, jak Curt Jurgens i Sonja Ziemann

zakochują się, i byłam zafascynowana. W filmie tak się wszystko świetnie układało.

Jedno zakochuje się w drugim i odwrotnie, ma się rozumieć. Problemy, ujawniające się później zgodnie ze scenariuszem przez dziewięćdziesiąt minut, w końcu rozwiązują się i wszystko kończy się tam, gdzie w życiu dopiero się zaczyna. Na przykład na pocałunku albo na „kocham cię”, albo na ślubie. Zakochani mają zawsze szlachetne charaktery i nigdy nie wpadliby na pomysł, żeby uprawiać grę nie fair z dwoma naraz, a w najtajniejszym zakamarku duszy żywić tęsknotę do blaszanki z gorącą wodą. Jeśli nawet występuje w takim filmie jakiś czarny charakter, los go karze. Spadnie z dachu albo ukąsi go jadowity wąż, zależnie od tego, gdzie rozgrywa się akcja.

Akcją mojego filmu rozgrywała się w K. i miał on tę wadę, że nie dało się go wyłączyć. Właśnie Curd Jurgens chciał pocałować Sonję Ziemann, a ona się krygowała, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi. Czyżby Georg... Chyba by się tak nie wygłupiał, żeby zjawiać się tu jeszcze po operze? Po prostu nie otworzę. Georg jest taktowny. Jeśli nie otworzę, pójdzie sobie. A może jednak otworzyć? Poprosić Georga do środka? „Na kawę”? Po czym przejść do drugiej odsłony?

I już znowu miałam okropną ochotę na Georga. Na jego szorstkie, wąskie wargi, na zapach jego papierosów i perfum, na jego na wpół drwiący, na wpół pieszczotliwy głos, na jego szorstkie, ale zadbane dłonie. Miałam ochotę zburzyć mu przedziałek, zdjąć z niego krawat, w miarę możliwości także jego jasnoniebieską koszulę i spodnie z kantem. Miałam ochotę na jego papierosy, szczególnie na ten „po” i jeszcze większą na te „w międzyczasie”.

Podniosłam się, kazałam zamilknąć Curdowi Jurgensowi, a Sonji Ziemann rozpląnąć się w powietrzu. Nacisnęłam przycisk. Ktoś szybkim krokiem wchodził do góry. Dość

brawurowo. Słyszałam, jak trzeszczy zbutwiała drewniana poręcz. Wyrzałam przez uchylone drzwi. Nie Georg?

Nie Georg. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu był to Klaus, sunął po schodach z rumianymi policzkami i promiennym spojrzeniem, dziarsko posapując.

Aha. Teraz porządnie da mi w tyłek. Albo gwałtownym ruchem porwie kwiaty ze stołu, a potem da mi po uszach. Albo rzuci się na mnie i zgwałci. Albo i jedno, i drugie.

Nie zrobił ani jednego, ani drugiego, ani nic z tych rzeczy. Hałaśliwie zadarł nos do góry i spytał, czy może wejść „na szklaneczkę sherry”.

- Tak, jasne, wejdź.

- Nie przeszkadzam?

- Nnnie. Właśnie oglądałam Sonję Ziemann i Curda Jurgensa.

- Możesz spokojnie włączyć, jeśli chcesz obejrzeć do końca. - Więc mam sobie nie przeszkadzać. O.K.

Oczywiście zdjął płaszcz. Wcisnął mi w usta serdeczny pocałunek i wyciągnął sobie z szafy sherry. Jasne, przecież mieszka tu od czterech lat. A dlaczego miałby zachowywać się inaczej.

Rzeczywiście włączyłam pudło i siadłam na starym fotelu, z którego zwisają strzępy, bo kotka cioci Lili wybrała go sobie do ostrzenia pazurów. Właściwie nigdy nie siadałam w tym zmaltretowanym fotelu, zawsze rozsiadałam się z blaszanką na kanapie przy grzejniku. Ale tam najnaturalniej w świecie zasiadł już Klaus, zamasyście, wprost na blaszance, która wydała cichy dźwięk. Klaus wyciągnął ją spod tyłka i niedbale rzucił w róg kanapy. Moją ukochaną blaszankę!

Curd Jurgens i Sonja Ziemann wciąż jeszcze się całowali, mówili sobie rozmaite miłe rzeczy i najwyraźniej bardzo się lubili.

- Chodź do mnie! - powiedział Klaus i klepnął kanapę po swojej prawej stronie.

- Tu mi całkiem wygodnie - odpowiedziałam niezachęcająco. Tak, taka jestem! Koniec, żadnego całowania się z Klausem.

- Byłem w operze - powiedział Klaus, gdy Curd Jurgens wsiadał do samochodu.

O mały włos nie odpowiedziałam „Ja też”, ale Sonja Ziemann tak martwiła się tym odjazdem, że oboje byliśmy bardzo głęboko wzruszeni.

- Bardzo przyjemne przedstawienie.

„Bardzo przyjemne przedstawienie"! O „Balu maskowym"!

- Czy ktoś padł trupem albo jakiś aktor złamał nogę na scenie? - spytałam apatycznie.

- Nie, kompletny spokój, nic się nie działo. Zwykle zasypiam na operach - powiedział Klaus - ale ta była pod koniec całkiem interesująca.

- Tak, znam te piosenki - odpowiedziałam i sięgnęłam po kieliszek sherry. Miałam okropną ochotę na papierosa.

- Dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Na koniec się zabijają.

- Prawie jak w życiu - mruknęłam. Klaus nie zrozumiał.

- Był ten krytyk - powiedział. - Pewnie pisze recenzję.

- Był sam? - spytałam czując, jak pika mi serce.

- Tak. Dlaczego? Tak, był sam. A może nie? Nie, musiał być z jakąś kobietą.

Pikanie przerodziło się w obłądny łomot. Czy ten człowiek cały czas trzyma mnie na kole tortur? Zapadłam w głąb zniszczonego fotela cioci Lili i mocno trzymałam się kieliszka sherry.

- Chyba był z jakąś kobietą, kiedy widziałem go podczas przerwy, niósł dwa kieliszki.



- Aha.

- Ale zanudzam cię. Co nas obchodzi ten krytyk.

- No właśnie. Co nas obchodzi ten krytyk.

Zachichotałam z ulgą. Klaus nie grał. On nie był aluzyjny. Był tak miły, szczery i bezpośredni, że nie zdołałby zaaranżować takiej sceny. Takie rzeczy mogą robić kobiety i wyjątkowo przebiegli mężczyźni. Ale nie Klaus, ten dobroduszny, wierny, grzeczny Tańczący Niedźwiedź.

Nagle jednak zapragnęłam usiąść koło niego.

Wzięłam swój kieliszek sherry i wcisnęłam się za stół, na którym, o zgrozo, stały dwa opróżnione kubki po twarożku, z przyklejonymi do ścianek gęstymi resztkami. W jednym z nich tkwiła plastikowa łyżeczka, na niej też były resztki twarożku. Jakby nakarmiono dwoje wygłodniałych niemowląt.

Usiadłam, wzięłam pod rękę moją blaszankę i starałam się patrzeć na ślub Sonji Ziemann. Ale Klaus mi nie dał. Objął mnie swoją niedźwiedzią łapą i z takim impetem przyciągnął do siebie, że kanapa cioci Lili zatrzeszczała niepewnie. Właśnie chciałam naprężyć mięśnie przepony, by podźwignąć się z powrotem, kiedy znów zabrzmiał dzwonek. Jak sparaliżowana zeszywniałam na niedźwiedziej piersi. Łapy głaskały mnie szorstko, ale serdecznie.

- Po prostu nie otworzymy - zaproponował Tańczący Niedźwiedź, a Czerwona Plamka nie sprzeciwiła się.

Z bijącym sercem leżałam w objęciach niedźwiedzia i myślałam o Georgu, jak stoi na dole i dziwi się, że nie otwieram, choć światło się pali.

Drugi raz nie zadzwonił. Dobry Boże, spraw, żeby nie zauważył czerwonego BMW. Albo nie poznał, co to za BMW. Spraw, żeby pojechał teraz do córki i położył się spać w piętrowym łóżku.

Łapa Klause dotarła tymczasem do mojej twarzy, była miękka i ciepła, i trochę wilgotna.

- Kto to może być, tak późno?

- Nie mam pojęcia - powiedziałam i odwróciłam głowę, jak się dało najdalej.

- Nie lubisz, kiedy cię głaszczę? - niedźwiedzia łapa zatrzymała się, skonsternowana.

Znów spróbowałam numeru z przeponą i udało mi się usiąść.

- Chwilowo nie - powiedziałam. Na dworze zawarczał silnik opla. Tymczasem Curd i Sonja niezauważeni wzięli ślub.

Wypiłam sherry, a Klaus natychmiast znów nappełnił mi kieliszek.

- Dlaczego?

- Przecież oglądamy telewizję - odpowiedziałam z oburzeniem, ścierając sobie wilgoć z policzka. Prawdopodobnie znów była na nim połowa mapy świata. Pokryta świeżą rosą.

- Ach tak! Skoro to dla ciebie ważniejsze!

Klaus w geście zniecierpliwienia odsunął na bok kubki po twarożku, spod których wyłonił się program „Balu maskowego”.

Komisarz Derrick w tym momencie zaatakowałby. No proszę! Główna poszlaka! Ty świnió! Zdemaskowana! Zabrać ją! Ale Klaus nie zauważył go. Był zbyt zajęty swoją urazą. Niepostrzeżenie usunąć program, przykryć czymś albo zrzucić na podłogę! Albo zrobić z niego statek, albo położyć na nim skórę z brzoskwini. Nie miałam brzoskwiń. Położyć na wierzchu program telewizyjny! W ostateczności blaszankę. Tak, to może się udać. Położyć blaszankę na stole, bo przeszkadza w przytulnym opieraniu się o siebie i wspólnym oglądaniu Curda Jurgensa.

Tę możliwość wybrałam. Pozbyłam się niepożądaną chwilowo blaszanki, kładąc ją na programie. Teraz miałam

obie ręce wolne. Jak konstruktywnie zareagować? Wykorzystałam obie ręce, żeby ująć niedźwiedzie łapy i serdecznie je uścisnąć.

- Klaus, dlaczego przyszedłeś?

- Bo chciałem opowiedzieć ci o operze, żebyś wiedziała, co straciłaś, i dlatego że byłem w pobliżu. Muszę jeszcze pójść do gabinetu, podyktować ekspertyzę.

- Teraz, w środku nocy?

- Tak, a dlaczego nie? Często siedzę tam po nocach, wtedy nikt mi nie przeszkadza.

- To znaczy twoja żona?

- Tak, ona też.

Przeszliśmy do tematu żony i ich przygnębiającej współpracy. Adwokatów, ciągle zajmujących pozycje startowe (chyba mieli już skurcz w łydkach), nikczemnej teściowej, która przez obmowy odstręcza mu pacjentów i nastęcza ich Irene, niemiłej małżonce. Przez cały czas mocno trzymałam niedźwiedzie łapy, uniemożliwiając im dalsze zraszanie histerycznie czerwonooplamistej mapy świata na mojej twarzy.

Wyłączyliśmy telewizor i było niesamowicie przyjemnie. Słuchałam go z wielkim zainteresowaniem i znów okropnie go lubiłam. Ta Irene! Jak mogła być taka podła i bez serca dla Tańczącego Niedźwiedzia, który prawdopodobnie ze zbyt porywczą miłością wdarł się w jej podporządkowane karierze życie i teraz nie mógł znaleźć drogi do wyjścia. Szukał Czerwonej Plamki, która wskaże mu drogę. Dlaczego chłopaki nazwiskiem Grimm nic o tym nie napisali? Ten temat zaróżowiłby całe hufce dziecięcych uszu.

- I nie wrócisz do Irene? Do wspaniałej willi i gumowego interesu teścia?

- Nie, to wszystko mnie nie interesuje. Zaczę od nowa. Wszystko jedno jak, ale od nowa.

- Musisz zrezygnować z tego gabinetu!

- Tak, to przede wszystkim. Poszukam sobie nowej pracy w szpitalu. Jestem internistą. O zdrowie dusz niech Irene dalej troszczy się sama.

- Z wyjątkiem twojej duszy.

- Tak. O to może troszczyć się tylko ktoś inny.

Niedźwiedzia łapa uwolniła się z mojego żelaznego uścisku i przeszła do nowego ataku. Nie przeszkodziłam jej. Kanapa cioci Lilii jęknęła.

- Jesteś taka miła, taka ciepła, jesteś takim uczciwym, cudownym człowiekiem!

Gdybyś wiedział, przemknęło mi przez głowę, jakie ze mnie infantylne zarozumiałe ziółko, które już od tygodni tańczy na dwóch weselach i pasie się podwójną miłością! Ani trochę niegodne twojej uczciwości i otwartości.

Byłam niemal gotowa - skruszona - przyznać się do wszystkiego. Wtedy zadzwonił telefon.

Dziesięć minut przed północą.

Choć wiedziałam, kto to, podniosłam słuchawkę.

- Najdroższa lwico, chciałem się dowiedzieć, czy czujesz się lepiej. Jeśli sądzić po łomocie mojego serca, rzadko kiedy czułam się gorzej.

- Tak, dziękuję, wszystko w porządku. - Czy to było dostatecznie neutralne?

Klaus głaskał mnie po rękę, drugą trzymałam słuchawkę.

- Leżysz już w łóżku?

- Nie, siedzę na kanapie.

Zwykle rozmawiając przez telefon z Georgiem nie posługiwałam się monosylabami. Zazwyczaj gruchałam i chichotałam, paplałam i kokietowałam. Teraz jednak byłoby to raczej trudne.

- Przeszkodziłem ci w czymś? Subtelny, wrażliwy Georg. Po prostu przeszłam do ataku.

- Jesteś w domu? Mała już śpi?

- Jak aniołek. Tak słodko jak ty, kiedy opuszczam cię nad ranem. Jeżeli Klaus nie widział teraz moich żarzących się uszu, to jest ślepy.

Georg zresztą też jest ślepy. Byłam przekonana, że śpiąc jutro z rana w najmniejszym stopniu nie będę podobna do aniołka. Raczej do oskubanego dmuchawca.

Wolałam nic nie mówić. Nie było w programie gruchania. Ani bezosobowych monosylab.

- Przed godziną byłem pod twoim domem i dzwoniłem. Chciałem ci jeszcze powiedzieć dobranoc i może położyć cię do łóżka - powiedział Georg cichym, chropowatym i głębokim głosem, a ja odczułam burzę hormonalną poniżej żołądka.

Klaus przestał głaskać mnie po ręce i zajął się przeglądaniem programu telewizyjnego.

Pomysł ewakuacyjny. Zakryłam dłonią słuchawkę i powiedziałam:

- Klaus, czy mógłbyś zrobić mi ogromną przysługę? Na dole, na ulicy jest automat z papierosami... Proszę cię, bądź tak dobry... - Jąkanie się, udawanie, żebry.

Poczułam się nędzną kreaturą.

Zwłaszcza że Klaus natychmiast się poderwał (z takim impetem, że kanapa stęknęła), a Georg w tym samym momencie powiedział:

- Kocham cię.

- Jakie? - spytał półgłosem Klaus, a ja odpowiedziałam:

- Wszystko jedno, coś lekkiego.

Klaus wyszedł, zdjęłam rękę z mikrofonu i powiedziałam:

- Ja ciebie też.

Za ten numer czeka mnie prawdopodobnie siedem dni czyśćca. Jeśli nie osiem. Albo gwałtowne omdlenie na najbliższym koncercie. A jak nie, to przynajmniej grubsza wpadka na scenie. Kichnięcie albo kaszel, albo biegunka, albo

wszystko naraz. Co najmniej. Na pewno spotka mnie zasłużona kara.

Mimo to czułam niesamowitą ulgę. W nagłej euforii znów wzbiłam się na wyżyny sztuki prowadzenia rozmów telefonicznych. Na dwie minuty, bo potem nawet stukilowy niedźwiedź mający problemy z monetami do automatu musiał nadciągnąć z powrotem i znów zastukać u wejścia do mojej jaskini. Bardzo miło pożyczyłam Georgowi dobrej nocy i miałam jeszcze trzydzieści sekund na ukrycie w biurku programu „Balu maskowego”. Klaus oczywiście wziął z sobą klucz i pojawił się w pokoju równie nagle, jak przedtem go opuścił. Z paczką HB. Razem wypaliliśmy „tę truciznę”, jak to nazwał z pogardą mój nowy lekarz domowy, i wypiliśmy sherry.

Koło wpół do czwartej poszedł. Do swojego gabinetu. Dyktować ekspertyzę.

## Rozdział XVII

Dwa dni później zaczął padać śnieg. Siedziałam przy fortepianie z blaszanką na łonie i wkuwałam tremola na najbliższy koncert. Mój grzejnik bulgotał i trochę śmierdzał; na klatce schodowej oddech przemieniał się w parę, kiedy się chuchnęło. Na kuchni stał czajnik z herbatą, było miło i przytulnie, także dzięki wieńcowi adwentowemu od Klause Konrada. Nikogo się nie spodziewałam, ćwiczyłam z zapalem i byłam prawdziwie szczęśliwa sama ze sobą, z moim rozstrojonym Engelbertem i moją wierną, kochaną gorącą blaszanką.

W przerwie odbyłam długi spacer z walkmanem, z którego płynęły przez słuchawki cudowne pieśni Straussa od Georga. Szłam szarymi, błotnistymi ulicami, mijając sznury samochodów, radosna wśród cuchnących spalin, uskrzydłona jak królowa szczytu komunikacyjnego, czując w uszach cudowne dźwięki i chłodne, rześkie powietrze na twarzy. Wokół widziałam rozgorączkowane, zmęczone, napięte twarze, wszyscy mieli jakieś terminy i stesy, tylko ja jedna włączyłam się ze swoimi myślami, swoimi pieśniami, swoimi wspomnieniami z wczoraj i przedwczoraj i ze swoimi marzeniami na jutro i pojutrze...

Nie słyszałam odgłosów z rur wydechowych ani dzwonięcia tramwajów, nie widziałam szarych fasad domów i brudnych samochodów. Nie czułam smogu i spalin, byłam w stanie osobliwego upojenia i słodkiej błogości. To było po prostu obezwładniająco cudowne, niewiarygodnie luksusowe, spędzić cały dzień tylko ze sobą, ze swoimi myślami i tym użyczonym mi przez Georga głosem śpiewającym pieśni Straussa. Chciałam myśleć o Georgu, ale nie chciałam mieć go przy sobie. Wolałam marzyć o nim, wyobrażać sobie spotkania z nim i to, co właśnie było z nim tak bajeczne,

fantastyczne, to coś, ale chciałam to coś przeżywać dziś tylko w świecie fantazji.

Po powrocie pozwoliłam sobie na niewiarygodny luksus popołudniowej drzemki, poszłam do łóżka z fajną książką, którą po chwili rzuciłam, by zostać sama ze swoim przyjemnym zmęczeniem i swoim rozgrzanym ciałem.

Przewróciłam się na bok, zawinęłam w pachnącą Georgiem kołdrę i czułam się cudownie. Powoli i rozkosznie po całym ciele od strun głosowych aż po paznokcie u nóg rozpełzło się uczucie odprężenia i pogрузyłam się w różowym, półsennym transie, w którym trwałam prawdopodobnie od siedmiu do trzynastu minut.

I wtedy rozległ się dzwonek u drzwi.

Nie otwierać, pomyślałam, serce, bądź tak uprzejme i przestań się tłuc, śpimy, na dzisiaj jest w programie urlop od wszelkich miłości i namiętności. Wakacje. Proszę nie przeszkadzać.

Jednak moja ciekawość była większa niż lenistwo. Wciągnęłam obszerny T - shirt i boso potupałam do drzwi. Ale jeśli to jest jakiś świadek Jehowy albo biedny więzień na przepustce, który chce sprzedać mi jakiś magazyn, to biada mu!

Ani Georg, ani Klaus nie wchodzili w rachubę. O czwartej po południu?

Nacisnęłam brzęczyk i na dole szcęknął zamek. Nie usłyszałam żadnego „dziękuję” ani „administracja”, ani „telegram”. Ktoś rzeczywiście fatygował się w górę po schodach. Zanim rozpoznałam osobę, widziałam oddech zamieniony w kłęb pary.

- Proszę, niech pani się nie przestraszy - powiedział głos kobiety i znów wysapał z siebie biały oddech.

Krótką, staranna fryzura, szykowne beżowe spodnium z wysokimi ramionami, wszystko według najnowszej mody i w



najlepszym gatunku. Rozpięty popelinowy płaszcz. Mała skórzana torebka niedbale przerzucona przez ramię. Pani Lalinde.

Stałam w przedpokoju z gołymi białymi nogami i w za dużym T - shircie (dziecko, włóż przynajmniej biustonosz), ponad wszelką wątpliwość en face z tą starannie ubraną i zgrabną osobą. Dziecko, to prawdziwa dama.

- Tak, ee... - powiedziałam. Wydało mi się, że jest to doskonałe powitanie jako wprowadzenie do turnieju wydrapywania oczu. Bo o cóż innego mogłoby tu chodzić?

Dopiero teraz zauważyłam, że ma ze sobą bukietik kwiatów. Malutki, delikatny, miły sercu bukietik jasnoniebieskich kwiatków.

- Zdaje się, że pani spała?

- Eee, nie... - powiedziałam i poprawiłam koszulkę.

Czyżby nie zamierzała złoić mi skóry? Te kwiaty bardzo zbiły mnie z tropu. Wręczyła mi je, uśmiechnęła się sympatycznie i spytała:

- Czy mogę wejść na chwilkę?

- Ehm... tak.

Weszła do mojego stęchłego przedpokoju, eleganckim ruchem zdjęła popelinowe okrycie i rozprzestrzeniła subtelny zapach perfum marki „Dla wiecznie młodej Ewy” czy coś w tym stylu.

- Te już chyba trochę się postarzały? - Podeszła do czerwonych róż małżonka.

- Ehm... tak. - Przystąpiłam z jednej bosej nogi na drugą.

- Nie zechciałaby pani czegoś włożyć? Przecież pani zmarznie. Proszę pójść, a ja tymczasem zajmę się kwiatami. Kuchnia jest tam?

- Ehm... tak. - Wyniosłam się do sypialni - w której przyjemnie pachniało Georgiem, żeby się ubrać.

- Gdzie trzyma pani flakony? - zawołała pani Lalinde z kuchni.

- Na szafie stoją słoiki po ogórkach! - odkrzyknęłam.

Było to pierwsze sensowne zdanie, na jakie zdobyłam się wobec tej kobiety.

Nie spieszyłam się z ubieraniem, uczesałam się nawet (dziecko, odstaw się, to robi wrażenie), po czym jako tako opanowana wkroczyłam do pokoju. Pani Lalinde siedziała z papierosem na starej kanapie cioci Lili i opuszkami palców układała swoje błękitne kwiatki obok czerwonych róż Georga. Tuż obok.

- Dziwi panią moja wizyta, prawda?

Żeby nie powiedzieć znowu „Ehm... tak”, spróbowałam speszzonego uśmiechu.

- To zależy.

- Od czego? Myślała pani, że mam do pani pretensje? Znowu uśmiechnęła się bardzo miło i ciepło.

- Pretensje? Nie, nie sędzę, to znaczy, naturalnie miałyby pani pewne powody... - wybąkałam. Dziecko, gdzie ta niedobra rączka? Bach. A masz, a masz. Au, wycie, krzyki, ryki.

- Nie, nie mam do pani pretensji. Przychodzę w najlepszych zamiarach, proszę mi wierzyć.

By móc to lepiej strawić, wstałam i ostrożnie zaproponowałam jej kieliszek sherry. Nie licząc starej, pachnącej dziegciem herbaty i twarożku z sacharyną, było to wszystko, co miałam do zaoferowania. Ponieważ siedziała na moim wygrzanym miejscu, usiadłam naprzeciw w ogryzku fotela i założyłam nogę na nogę.

Ona także splotła nogi odziane w wykwintne beżowe spodnie.

Nogi miała zresztą szczuplejsze niż ja. I szlachetniejsze w kostkach.

Ja w ogóle nie miałam kostek w swoich filcowych pantoflach. W tej chwili nie byłam w stanie pojąć, co Georg we mnie widzi i dlaczego ma do mnie choćby cień sympatii.

- Ach, może będziemy sobie mówiły przez ty? - spytała pani Lalinde i lekko trąciła swoim kieliszkiem sherry o mój.

- Tak, ehm... jak pani uważa - powiedziałam i w najwyższym stopniu speszona, siedziałam, bezmyślnie wytrzeszczając oczy.

- Zapewne jestem ci winna wyjaśnienie, dlaczego nachodzę cię tak bez uprzedzenia - powiedziała.

- Czy mogłabym dostać papierosa? - przerwałam jej uprzejmy wstęp. Palila coś łagodnego w lufce, kolorystycznie pasujące do świeżo polakierowanych, łagodnie połyskujących paznokci.

Poczęstowała mnie i podała ogień.

- Palisz? Śpiewaczki zwykle nie palą.

- To pani mąż, to znaczy twój mąż, mhm... to znaczy Georg, chciałam powiedzieć, to przez niego się przyzwyczaiłam.

Uśmiechnęła się ze zrozumieniem, z ledwo dostrzegalną ironią, ale nadzwyczaj uprzejmie. Sympatyczna postać, od koniuszków włosów aż po czubki czółenek.

- No więc - zaczęła znów i zmieniła nogi - jestem tu, ponieważ chciałabym porozmawiać z tobą w spokoju i bez wiedzy Georga.

- Tak?

- Georg w domu milczy. Ale ja wiem, że dobrze mu się żyje, i wiem, że ma to coś wspólnego z tobą.

Nie zaprzeczyłam. Po co. Nie wyglądało na to, żeby chciała mnie bić obcasami swoich czółenek.

- Tak. Chętnie przebywamy razem, często wspólnie się gdzieś wybieramy, na koncerty i do opery, chodzimy na spacer, słuchamy muzyki, dużo rozmawiamy o muzyce...

- Chyba też śpicie ze sobą!?! - dobiegło pełne nadziei pytanie z kąta przy grzejniku.

- Tak, to też. Jeszcze nie skończyłam. - Odsłoniłam zęby w szerokim uśmiechu.

Ona odpowiedziała podobnym uśmiechem.

Pierwsze lody zostały przełamane. Dolałyśmy sobie sherry.

- Tak - powiedziała i na chwilę pozostawiła mnie w niepewności, jak należy rozumieć wyrażone w tym słowie zadowolenie. - A więc jesteście szczęśliwi. - Stwierdzenie czy pytanie?

- No tak, rzadko się ze sobą nudzimy.

- Świetnie - stwierdziła i wypielęgnowanymi rękami zgasła papierosa.

- Dlaczego świetnie? - odważyłam się spytać. Czyżby ta miła i sympatyczna kobieta miała skłonności masochistyczne?

- Posłuchaj - powiedziała Freia - od pewnego czasu mam przyjaciela, kogoś, kogo znam i Kocham od bardzo dawna, z kim chciałabym żyć. Rozumiesz?

Skinęłam głową, bo przynajmniej w sensie akustycznym jej słowa do mnie dotarły. Tylko nie było dla mnie jasne, do czego zmierza.

- Ale nie opuściłabym Georga nie wiedząc, że będzie mu beze mnie dobrze.

Ach, więc to tak! Miałam złe przeczucia. Chciała mi przekazać małżonka, żeby móc bez przeszkód oddać się swojej miłości? Może byłoby rozsądnie z mojej strony spytać o wysokość posagu? Znow zapadłam w kandydata na śmietnik i czekałam.

- Ładnie tu u ciebie - stwierdziła Walkiria, rozglądając się po mojej jasnyniebieskiej norze z grzejnikiem - Bardzo przytulnie.

- No tak - odważyłam się potwierdzić skromnie. Jej ironia była fantastycznie opakowana. A może mówiła poważnie?

- Ale nie myślałaś o tym, żeby gdzieś się przeprowadzić? Na przykład do jakiegoś domu, może z ogrodem, gdzieś w bardziej przestronnej, ładniejszej okolicy...

A więc to był ten posag. Nie mogłam tego pojąć, nie mogłam uwierzyć.

- Co masz na myśli? - spytałam.

- Widziałaś nasz dom w Bad Godesberg?

- Nie, skądże!

- No tak, nie byliście tam jeszcze?

- Nie. - Bezwstydnicą. Co ona sobie wyobraża!

- To chyba już czas. Kiedy przyjdiesz do nas na kolację?

Szczęka mi opadła. Miałabym wkroczyć w życie rodzinne państwa Lalinde? Oficjalnie? Z Georgiem czy bez Georga za stołem? W spotkaniu powinien też może uczestniczyć jej przyjaciel?

- W jakiej obsadzie? - spytałam ostrożnie.

- No, ty. Sama. Czy może masz przyjaciela? - Błysk paniki w oczach.

- Nie.

- No więc. Musisz przyjść do nas, żeby Nina cię poznała! Rozpieszczone dziecko jeżdżące taksówką na lekcje fortepianu.

- Dokąd zmierzasz, Freia? - spytałam i zaczerwieniłam się, bo powiedziałam do niej po imieniu.

- Bardzo bym się cieszyła, gdybyś ty z Georgiem... No więc gdybyś mogła się zdecydować żyć z Georgiem, w jego domu w Godesberg, rozumiesz, odbierałabym od was dziecko, kiedy tylko bym mogła. Wiesz może, że często wyjeżdżam na aukcje i wystawy, a Lothar, mój przyjaciel, jest malarzem, wiesz.

Nie wiedziałam o tym wszystkim. Georg nigdy nie mówił nawet o Frei, co bardzo u niego ceniłam, a już o Wotanie, przepraszam, Lotharze, absolutnie nic. Co nas obchodził ten Lothar. Pewnie jakiś przelukrowany, chudy, długowłosa facet, zakamuflowany pedał, który potrzebuje do ozdoby takiej eleganckiej kobietki jak Freia.

- Znamy się z Lotharem jeszcze z czasów studiów na Akademii - powiedziała Freia.

I co z tego? - pomyślałam. Wiek nie daje patentu na rozum.

- Straciliśmy się wówczas z oczu i spotkaliśmy się ponownie dopiero po siedemnastu latach, na wernisażu w Sztokholmie.

- Bardzo interesujące - powiedziałam.

- To było dwa lata temu - dodała Freia i oparła się wygodnie. Najwyraźniej zamierzała pogрузić się w błogich wspomnieniach.

- Nasze stosunki z Georgiem już wtedy nie układały się dobrze... Ach tak, stara śpiewka, pomyślałam.

- Mimo to chciałam zostać z nim i z dzieckiem.

- To miłe z twojej strony - powiedziałam serdecznie.

- Ale tylko tak długo, jak długo Georg mnie potrzebuje - zaprotestowała.

Rozumiałam ją aż nazbyt dobrze. Jasne, koszule mogła też prasować pani Bar.

- Teraz już mnie nie potrzebuje - powiedziała Freia. - Ma przecież ciebie!

- A dziecko? - zapytałam.

- Tak, to jest kwestia, o której powinniśmy porozmawiać.

O zgrozo. Nie z własnej winy uczestniczyłam teraz w rozprawie na temat przyszłości rozkapryszonego dziecka grającego na fortepianie, które należało w środy zawozić na balet, a w czwartki na jazdę konną. I które prawdopodobnie

podczas jazdy słuchało walkmana i nie życzyło sobie, żeby mu przeszkadzać.

Widziałam się już w roli pani domu w obitej boazerią, nowoczesnej kuchni, jak stoję przy kuchence mikrofalowej i przygotowuję kruchy stek dla Niny:

- Chcesz do tego trochę szpinaku, czy może wolałabyś brokuły, moje dziecko?

- Niczego nie chcę, muszę schudnąć, bo Marco znowu powie do mnie tłusta dupciu.

- Ależ, drogie dziecko, nie jesteś ani trochę tłusta, ten kruchy stek cielecy też nie jest tłusty, popatrz tylko, zupełnie chudy. A szpinak jest pozbawiony kalorii...

- Idź do diabła ze swoim wstrętnym szpinakiem!

- Ależ Nineczko, możesz też dostać brokuły!

- Nie mam ochoty. W ogóle nie jestem głodna.

- Proszę cię, kochanie, musisz przecież coś zjeść. Inaczej twój tatuś będzie na mnie krzyczał wieczorem!

- To twój problem, czy mój tatuś będzie na ciebie krzyczał.

- Więc jak, dziecino, absolutnie nie dasz się skusić? Może na zapiekankę z makaronem i z dużą ilością maggi? Kiedyś tak to lubiłam!

- To widać!

- Tak, ale...

- Ach, nie musisz się wysilać. Byłam już z Klausem Dieterem, Erikiem i Ole Svenem u MacDonalda i zjadłam trzy fishburgery z frytkami.

Tak i podobnie wyobrażałam sobie współżycie z tym dzieckiem i dla tej perspektywy nie miałam zamiaru zrezygnować z mojego bytowania z gorącą blaszanką i twarożkiem.

- Freia, nie sędzę, żeby to był temat do rozmowy. O przeprowadzce do waszego domu w ogóle nie może być mowy.

- Ależ dlaczego? Czyżbyś nie kochała Georga? Najwidoczniej zawalił się jej pracowicie zbudowany domek z kart.

- To właściwie nie ma nic do rzeczy - powiedziałam - Prawda jest taka, że ze mnie dość nieokiełznany stwór, który uwielbia życie w pojedynkę.

- Ach, dlatego nie miałaś żadnego partnera, kiedy poznałaś Georga. Dziwiłam się, że taka kobieta jak ty, w twoim wieku...

- Och, to był czysty przypadek - przyznałam skromnie. Kobiety w moim wieku właściwie stale napastowali różni Jurgenowie i Horstowie, i Heinzowie. Tylko że nie było wśród nich tego właściwego Horsta, Jurgena czy Heinza.

A Georg miał w sobie to coś. Powiedziałam o tym Frei.

- Ale na solidny związek to za mało? - spytała rozczarowana.

- Podobnie jak u ciebie - odparłam niegrzecznie.

- Tak czy inaczej, od siedemnastu lat jesteśmy małżeństwem.

- I uważacie, że wystarczy?

- Tak. Ja kocham innego, a on też kocha inną.

- Tak, tak. Zdaje mi się, że trochę ją znam - powiedziałam. Nie bez racji. Naprawdę znałam ją tylko trochę. Na głębsze wejście w siebie zupełnie nie miałam czasu.

Freia podniosła się.

- No tak, to chyba byłoby wszystko.

- Przykro mi, że nie mogę ci wyświadczyć tej przysługi powiedziałam i także wstałam.



- Ale jedną przysługę możesz mi wyświadczyć - Freia zdjęła swój płaszcz z chwiejącego się wieszaka.

- Tak? - Chyba nie chciała mnie prosić, żebym zaśpiewała „Ave Maria” Schuberta na jej ślubie z Lotharem?

- Możesz mi obiecać, że nic nie powiesz Georgowi o naszej rozmowie? Przełknęłam ślinę. Żądała ode mnie z pewnością więcej niż „Ave

Maria”. Ale ponieważ byłam dziewczyną wychowaną w duchu uprzejmości i gotowości wychodzenia naprzeciw oczekiwaniom bliźnich (dziecko, tak przystoi młodej dziewczynie), uprzejmie skinęłam głową i powiedziałam:

- Jasne, w porządku.

- Mogę na to liczyć?

- Tak, oczywiście. - Gdybyś wiedział...

- W takim razie idę już, dziękuję za sherry.

Objęła mnie na chwilę, jak przyjaciółkę po wspólnych zakupach, i znikła na schodach. Nie zawahałam się zawołać za nią półgłosem: - Serdeczne pozdrowienia dla Georga! Ale chyba już nie usłyszała.

## Rozdział XVIII

W sobotę jechałam pociągiem do Ulm.

„Oratorium wielkanocne” Bacha, wydanie szwabskie.

Za oknem przesuwał się spowity w szarość bezludny, nagi krajobraz: wyglądał jak spłowiałe czarno - białe zdjęcie. Zdjęłam buty i wygodnie ułożyłam nogi na siedzeniu. Pociąg był sympatycznie pusty, siedziałam w przedziale sama i mogłam spokojnie porozmyślać.

Miałam zamiar posłuchać z walkmana pieśni Straussa od Georga. Ale odczuwałam silną potrzebę ciszy. Dopuszczalne było tylko monotonne postukiwanie pociągu.

Oto znów minął tydzień. Poniedziałek Georg i Klaus. Nieszczęsny wieczór w operze. Wtorek Freia. Drugi akt komedii. Środa po południu kawa z Klausem u mnie, wieczorem teatr w Bonn z Georgiem. Przez cały wieczór gryzłam się w język i nie wydałam z siebie jednego tchnienia na temat Frei. O pierwszej w nocy przywiózł mnie do domu, nie omieszkawszy „położyć mnie do łóżka”. Trwało to do około szóstej rano, kiedy musiał pędzić do domu, żeby „wstać z łóżka” z córką. Norma. Czwartek o dziewiątej rano znowu telefon, dziesięć po dziewiątej drugi. Po południu krótka, ale bardzo treściwa wizyta Georga (małe jest piękne), wieczorem zaproszenie Klause do teatru „Urania”, sztuka polityczna. Przypadkiem spotkałam Uschi, moją koleżankę sopranistkę, która nie mogła się powstrzymać od głośnego komentarza na temat mojego nowego „pana znajomego”. Po teatrze oglądanie slajdów u Klause. Wycieczka po Egipcie cztery lata temu. Z Irene. Widziałam Irene w samolocie, w hotelu, w basenie, na wielbłądzie i koło wielbłąda, w autobusie i koło autobusu, z przewodnikiem i bez, w chustce na głowie i stroju do joggingu, z wysoko upiętą fryzurą i mokrymi włosami, z uśmiechem i z poważnym spojrzeniem. Zazwyczaj spoglądała z powagą, chociaż była taka ładna i na oko nosiła rozmiar

trzydzieści cztery. W jej szczupłym ciele wszystko było na właściwym miejscu, miała uderzająco piękne długie jasne włosy. Tylko ten grymas wokół ust i zimne, wyrachowane spojrzenie. Najczęściej nosiła okrągłe okulary w złotej oprawce, w których wyglądała na pilną uczennicę i niesamowicie przypominała mi pewną koleżankę z klasy, której nie cierpiałam, bo z każdego przedmiotu miała celujący i na dodatek była ładna, jeśli nie liczyć okularów.

Podczas tego nie kończącego się pokazu Klaus usadowił się koło mnie i drapał mnie po karku, jeśli akurat po raz kolejny nie napełniał mi kieliszka szampanem. Nie mogłam znieść tego drapania, kiedy jednocześnie musiałam patrzeć na jego żonę. Nie posłużyła mi też spora dawka szampana po tej satyrze politycznej w teatrze „Urania” i przymusowym spotkaniu z gadatliwą Uschi.

Było mi niedobrze i chciałam do domu.

Ale Irene akurat stała pod piramidą i krzywiąc się patrzyła w stronę wschodzącego słońca, które ją oślepiało. Piramidę otaczała baśniowo złota poświata.

- Nie chciałabyś też wybrać się do Egiptu?

- Nie. Wystarczy mi wrażeń z tych przezroczy.

- Ale to cudowny kraj, największe skarby kultury sprzed tysięcy lat! Wyobraziłam sobie, jak w grupie dwudziestu karierowiczów w okularach i z Klausem obwieszonym aparatami fotograficznymi muszę jeździć po tym zakurzonej, gorącym kraju i w kółko oglądać piramidy, ruiny i resztki infantylnych gryzmołów w wilgotnych jaskiniach, a przy tym jeszcze godzinami słuchać przemądrzałego przewodnika. To dla mnie szczyt głupoty to ciągle kiwanie głowami bezmyślnie gapiących się spoconych współwycieczkowiczów, którzy zawsze wszystko wiedzą, bo już o tym czytali, i dociekliwymi pytaniami zapędzają przewodnika w kozi róg. Co każe przewodnikowi cofać się do Adama i Ewy i opowiadać

jeszcze nudniejsze historyjki, podczas gdy grono słuchaczy gapi się jeszcze bardziej bezmyślnie i jeszcze bardziej się poci.

W którymś momencie zawsze pojawia się wtedy dokuczliwy ból w tyłku, bo nie można już ustać, albo gwałtowna potrzeba siusiu, ale nigdzie nie ma kibla, tylko kurz i wielbłądy, i pustynia, i autobusy wycieczkowe, i handlarze którzy sprzedają widokówki i w duchu śmieją się z człowieka do rozpuku.

- Nie, Klaus, naprawdę. Takie dalekie podróże mi nie leżą.

- No tak, ale nie chcesz trochę rozejrzeć się po świecie? Chcesz pozostać z takim zawężonym horyzontem?

- Odbyłam już kilka zawodowych podróży dookoła świata - oburzyłam się i strząsnęłam drapiącą rękę z karku. - Z samym tylko chórem szkolnym byłam już w Ameryce Południowej, w Izraelu, Związku Radzieckim...

- A co widziałaś oprócz lotniska, hotelu i sali koncertowej?

- Bar hotelowy - mruknęłam. - Czasem też jakiś facet z Instytutu Goethego powoził nas zakurczonym autobusem po okolicy i pokazał największe atrakcje turystyczne.

- Co na przykład? - spytał Klaus i podał mi kieliszek z szampanem, prawdopodobnie by mnie obłaskawić. Z ekranu cały czas patrzyła Irene, skrzywiona, ponieważ oślepiało ją poranne egipskie słońce. Chętnie porozmawiałabym z Klausem bez jej sokolego spojrzenia.

- Na przykład Copacabana - triumfowałam. - Byliśmy tam całe dwadzieścia minut.

- A potem?

- Potem musieliśmy jechać na próbę do teatru - przyznałam. - No więc taka podróż, wyłącznie dla przyjemności, to nie dla mnie. Zorganizowana turystyka, żeby

przez szybę autobusu gapić się na kraj i ludzi, a od czasu do czasu wysiąść i pogapić się bez szyby autobusu, to poniżające dla obu stron. Tak uważam.

- Ja jednak chętnie wybrałbym się z tobą w dłuższą podróż - stwierdził Klaus.

- Rajd po Odenwald - zaproponowałam. - Albo wycieczka rowerowa wzdłuż Mozeli!

- To przecież możesz zrobić, jak będziesz na emeryturze.

- Zakład, że będę miała żyłki i nie będę w stanie jeździć na rowerze ani wędrować.

Jeszcze chwilę sprzeczałyśmy się na temat różnych form spędzania urlopu, zamiłowań i obiektów turystycznych. Irene spoglądała na nas pedantycznym wzrokiem.

W pewnej chwili wpadłam we wściekłość i oznajmiłam, że chciałabym być już w domu. Klaus uparł się, żeby mnie odwiedzić, chociaż opróżniliśmy razem dwie butelki szampana. Rozdrażniona, zataczałam się obok niego w dół po marmurowych schodach jego czynszowego domu, po czym opadłam w skórzaną łupinę orzecha, w której zrobiło mi się niedobrze. Nie dopuściłam do żadnych przejawów czułości ze strony filozofującego o podróżach dookoła świata kierowcy.

- Coś ty nagle taka najeżona?

Sama nie wiedziałam. Wiedziałam tylko, że chcę być sama w swoim mieszkaniu i ewentualnie wyrzygać się w spokoju.

- Niedobrze mi się zrobiło od szampana i od spojrzenia twojej żony.

- Czyżbyś była zazdrosna? - ucieszył się Klaus.

- Skądże!

Dalszego ciągu tej jazdy nie mogę sobie dokładnie przypomnieć. Jakimś sposobem wylądowałam w łóżku; zdołałam nawet ułożyć sobie blaszankę na buntującym się brzuchu i ustawić miskę koło łóżka. Kręciło mi się w głowie,

próbowałam oddychać głęboko i systemowo i wreszcie usnęłam. Następnego ranka w misce było wprawdzie pusto, ale w mojej głowie też. Kręciło mi się w niej tak, że nie byłam w stanie się podnieść. Oczywisty przypadek zasłużonej kary za przehulaną noc, podczas której nie bawiłam się zresztą szczególnie. Należy ci się, dziecko. Nie współczuję ci ani trochę.

W południe zadzwonił telefon. Georg.

- Najdroższa Iwico, gdzie podziewałaś się z rana, parę razy próbowałam dodzwonić się do ciebie.

- Źle się czułam. Bolał mnie brzuch i leżałam w łóżku.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Za dwie godziny mógłbym być u ciebie. Wszystko, tylko nie to. Wciąż jeszcze było mi zanadto niedobrze, bym mogła znieść namiętność w jakiegokolwiek formie.

- Nie, dziękuję. Myślę, że mam małą grypę. Potrzebuję tylko spokoju, zwłaszcza że jutro rano muszę jechać do Ulm.

- W Ulm mieszka mój kuzyn. Już dawno chciałem go odwiedzić.

Zastanawiałam się, o ile w ogóle było to możliwe w stanie takiego rozbicia mojej mózgowicy, czy uśmiecha mi się weekend w Ulm z Georgiem. Chyba tak, a może nie. Nie, raczej nie. Było mi tak niedobrze. Nie, doprawdy nie.

- Zostań lepiej na weekend z dzieckiem - powiedziałam.

- Moje dziecko nie zostanie ze mną - odpowiedział Georg.

- Jedzie na wycieczkę z Freią, na wernisaż. Miałbym więc czas, żeby pojechać z tobą.

Milczałam. On też milczał. W takich sytuacjach zwykle myślę o niepotrzebnie wysokich rachunkach za telefon.

Potem pomyślałam o starym, rozklekotanym tureckim opłu. O sześciu godzinach jazdy autostradą po burej śnieżnej brei. O niezliczonych papierosach wypalonych podczas jazdy. O bezsennej, choć niecałkiem nudnej nocy w hotelu „Dziki

Adonis" czy „Gospoda Pocztaowa". Nie. Nie, raczej nie. W końcu jeszcze trzeba jako tako zaśpiewać.

- Georg, kupiłam już bilet. Jadę pociągiem.

- Bilet można zwrócić.

- Wiem. Ale wolę jechać pociągiem. To mniej męczące. - Zakryłam dłonią mikrofon, bo odbiły mi się resztki szampana. (Gdybyś wiedział...)

- Dawno nie jechałem pociągiem. Byłoby cudownie pojechać z tobą pociągiem do Ulm.

Stłumiłam kolejny poszampański objaw i powiedziałam szorstko:

- Nie, Georg. Chcę pojechać sama. Naprawdę nie najlepiej się czuję. Zrezygnujmy z tego. Życzę ci miłego dnia.

Nie ośmieliłam się odłożyć słuchawki. Dla mnie to najobrzydliwsze, co można zrobić bliźniemu. A więc milczeliśmy do słuchawki.

- Czy mogę przyjść cię pożegnać dziś wieczorem? - rozległo się następnie.

- Źle się czuję. Boli mnie brzuch, rozumiesz? Leżę w łóżku!

- Zrobię ci herbatę i przygotuję gorącą blaszankę. Pomyślałam, jak muszę okropnie wyglądać, zapuchnięta, blada, cuchnąca. Nie!

Georg nie dawał się spławić. Ma mi coś ważnego do powiedzenia. Ale nie przez telefon. Pomyślałam o Frei. Co mu naopowiadała?

- No dobrze. Ale dopiero wieczorem. Może do wieczora trochę mi przejdzie.

- Nie będę cię zanadto absorbował. Będiesz tylko słuchać - powiedział wieloznacznie. W jego głosie drgała nutka triumfu, jaki odczuwa dziecko, które po nie kończącej się i denerwującej dyskusji wymogło jednak na rodzicach, żeby pozwolili mu obejrzeć wieczorny kryminał w drugim

programie. Byłam niezadowolona i czułam się tak, jakbym dostała po uszach.

- To się nazywa żyć w wolnym kraju - zazrędziłam i po krótkiej wyprawie do kibla potoczyłam się z powrotem do łóżka. Ale przynajmniej przestało mi się kręcić w głowie.

Potem przyszedł Georg. Czułam się już zresztą znośniej i nawet miałam apetyt. Właśnie spałaszowałam smaczną papkę z twarożku i usatysfakcjonowana siedziałam sobie w kuchni, kiedy zadzwonił.

- Kochana lwico, czy ci trochę lepiej? Coś ci przyniosłem.  
- Georg powiesił płaszcz na chwiejącym się wieszaku i grzebał w bocznej kieszeni.

Nieraz zdarzało się, że coś mi przynosił. Kwiaty albo dobre wino, albo kasety z pieśniami, scenami z oper, którymi wspólnie się delectowaliśmy, albo swoje ostatnie recenzje, które studiowaliśmy głowa przy głowie. Otóż tym razem był to srebrny pierścionek. No tak, to musiało się stać. Przyglądałam mu się nieufnie.

- Jeśli nie chcesz, nie musisz go nosić.  
- Mam go powiesić na ścianie czy jak? - odparłam poirytowana. Srebrny pierścionek. Z wygrawerowanym wewnątrz napisem.

„Cecylia”. Jubiler pewnie pomyślał, że przyzwoita żona przyzwoitego małżonka nazywa się Cecylia i ten chce jej podarować pierścionek na srebrne gody. O tym, że „Cecylia” to nasza pieśń Straussa, która zaczyna się od „Gdybyś wiedział” i kończy „byłbyś ze mną!”, jubiler oczywiście nie mógł wiedzieć.

Obracałam pierścionek w rękach i w kółko czytałam imię „Cecylia”, jakby to było egipskie pismo klinowe.

- Jeżeli ci się nie podoba, mogę go wymienić.  
- Ależ podoba mi się!



- To go przymierz! Jeśli jest za ciasny, noś go na małym palcu. - To była jedna z jego słynnych aluzji.

Pierścionek pasował na palec serdeczny.

Nie chciałam Georga na małym palcu. A więc nałożyłam pierścionek na palec serdeczny.

Georg cieszył się jak mały chłopiec, i ja też się cieszyłam.

- Co robimy, jak to uczymy?

Pójdziemy gdzieś porządnie zaszaleć? - Zgłosiłam ten pomysł mimo przecierpianych właśnie mdłości. Znów czułam się wspaniale. Georg jak zwykle przystał na moją propozycję. Tylko wtedy nie przystawał na moje propozycje, kiedy dotyczyły jakichś indywidualnych przedsięwzięć. Chciał tylko być ze mną. Powoli przyzwyczajałam się do jego potrzeb.

Pojechaliśmy moim starym, zardzewiałym VW do miasteczka akademickiego. Po prostu miałam na to ochotę. Dawno tam nie byłam, knajpa stoi tu obok knajpy, mnóstwo kin i piwiarni, ulicami przeciągają gromady młodych ludzi. Zasiedliśmy w „Wanilii”, zjedliśmy po sałatce (chyba już wspominałam, że Georg zawsze jadł to samo co ja) i czuliśmy się ze sobą dobrze i ciepło. Zapomniałam, że Georg nie pasuje do tej knajpy, nie zwracałam uwagi na to, że prawdopodobnie obserwują nas studenci, aż jeden zwrócił się do mnie:

- Czy to miejsce koło twojego ojca jest wolne?

- Tatusiu, daj temu małemu krzeselko! - powiedziałam, ale nikt się nie roześmiał. Tatuś też nie.

Później zmieniliśmy knajpę, poszliśmy jeszcze do „Orzecha Kokosowego” i na piwo do „Podium”. Siedział tu tylko jeden jedyny typ, przy kontuarze, i był to akurat Fluppi, kolega z czasów studenckich, którego kiedyś przez pomyłkę pocałowałam na jakiejś fecie karnawałowej. Przywitał się ze mną radośnie, bo czuł się samotny i zwietrzył nową szansę, zwłaszcza że Georg poszedł po papierosy.

- Co to za jeden? - Fluppi bełkotliwie tchnął w kierunku mojego lewego ucha oparami piwa. Znów się zaczyna. Mój przyjaciel? Mój pan znajomy? Znany krytyk Lalinde, nie słyszałeś o nim? Mój wujek Walter? Mój adwokat?

Zanim zdołałam cokolwiek odpowiedzieć, Georg wrócił, błyskawicznie rozpoznał sytuację i zaproponował Fluppiemu papierosa.

- To jest Fluppi, a to jest Georg Lalinde - powiedziałam. Nazwisko Fluppiego wyleciało mi z pamięci, a może nigdy go nie znałam, a jak będzie się zwracał do mojego Georga, to już jego sprawa. Georg grzecznie podał Fluppiemu rękę, Fluppi spojrzał na niego z ukosa parę razy. Wypaliwszy papierosy od razu wyszliśmy. Nie czułam się dobrze, ale nie chciałam jeszcze rezygnować.

- W „Subwayu” jest dzisiaj jazz life - powiedziałam.

Georg natychmiast się zgodził. Kochał jazz. Co było dla mnie nowością. Wepchnęliśmy się w tłoczący się w mrocznej piwnicy tłum, który zdawał się oddychać tylko kłębami dymu i ogłuszającym hałasem. Przystawaliśmy tu i ówdzie jak fałszywe banknoty, nie byliśmy w stanie rozmawiać i ledwie się widzieliśmy, popychani i poszturchiwani. Półobrotami kręciłam na palcu nowy pierścionek. Więc tak to jest z Georgiem. W moim normalnym środowisku poczułam się naraz obco. Dziecko, dlaczego robisz coś takiego! Znów zapaliliśmy papierosy, co nie było łatwe wśród kułaków i szturchańców. Potem skierowaliśmy się do wyjścia. Nic tu po nas.

W samochodzie Georg zapytał, czy jestem niezadowolona.

- Ach, Georg. Myślę, że się starzeję. To wszystko przestaje mnie bawić.

- Tak? Czy to przeze mnie?

- Nie wiem. Ale chyba nie. Nie wiem też, dlaczego chciałam spędzić dzisiejszy wieczór właśnie w miasteczku akademickim.

- Żeby udowodnić sobie, że nie jestem dla ciebie za stary - powiedział Georg. Siedząc w moim brudnym volkswagenie w swoim eleganckim popelinowym płaszczu wyglądał wzruszająco.

- Ach, sama jestem dla siebie za stara - lamentowałam.

- Może tylko ci tam są dla ciebie za młodzi - powiedział Georg.

- Ale kiedyś przecież uważałam, że wszyscy oni są wspaniali - odparłam. - Ci studenci, ten luz, te dobitne powiedzonka, brodaci faceci w ogrodnickach i jędrne dziewczęta w blue jeans. Czyżby to już była przeszłość?

- A gdyby tak? - spytał Georg.

- To byłoby strasznie szybko - wpadłam w refleksyjny nastrój. - Jeszcze kilka tygodni temu włóczyłam się po tych knajpach z moją przyjaciółką Moni czy Wilmą, czy z Ruth, robiłyśmy to regularnie i ani nie przeszło nam przez głowę, że mogłybyśmy być na to za stare.

- To przeze mnie czujesz się stara? - spytał Georg smutno.

- Nie, mój skarbie - powiedziałam i położyłam rękę na jego popelinowym płaszczu - przez ciebie czuję się bogata. I od czasu do czasu bardzo szczęśliwa.

Tak właśnie czułam się potem, kiedy wróciliśmy do domu. Zapomniałam o śmiesznych stereotypowych ogrodnickach, byłam już tylko z nim, w małym, żółtym, prywatnym świecie: wypaliliśmy po jednym, rozmawialiśmy o tym i o owym, śmialiśmy się i znów się kochaliśmy. Wyciągnęłam z lodówki butelkę szampana (Klaus Konrad przyniósł ją ostatnio, ale zupełnie nie wydało mi się to niestosowne) i przez całą noc było arcymiło. Koło wpół do szóstej chyba zasnęłam, a kiedy się obudziłam dziesięć po ósmej, Georga nie było. Ale na jego

poduszce leżała kartka: „Moja ukochana lwico, gdybyś wiedziała, jaka cudowna jesteś bez ogrodniczek, nigdy byś ich nie żałowała. Z wyrazami miłości, Georg.”

I oto siedziałam w pociągu do Ulm. Sama.

Teraz, zastanawiając się nad tym wszystkim, uświadomiłam sobie, że przecież Georg miał mi coś powiedzieć. Tak interesująco obiecywał mi to przez telefon: „Muszę ci coś powiedzieć. Będziesz tylko słuchać”. Nie powiedział nic ważnego. Tylko coś mi dał. Pierścionek. Czy oprócz tego chciał mi coś powiedzieć? Co mówi mężczyzna, dając pierścionek? „Łaskawa pani, czy mogę prosić panią o rękę?” Chyba jednak nie. A może to „Cecylia”? Gdybyś wiedziała, co znaczy marzyć, co znaczy drzeć, co znaczy kochać, byłabyś ze mną!

Co znaczy ten pierścionek? Obracałam go to w jedną, to w drugą stronę. Chciałam go zdjąć i jeszcze raz przyjrzeć się napisowi. Obracałam i ciągnęłam. i pchałam, i szarpałam. Pierścionek nie dał się zdjąć. Trzeba go było jednak włożyć na mały palec.

Od pierwszych chwil w Ulm Szwabi wydali mi się antypatyczni. Przy wysiadaniu przeszkadzał mi jakiś przepychający się pod prąd dziadek, mądrała w okienku nie chciał mi powiedzieć, o której jest w nocy bezpośrednie połączenie z powrotem do Kolonii, a taksówkarz wymamrotał coś z głębi swojej brody, kiedy wymieniłam mu nazwę kościoła, do którego ma mnie zawieźć Skąd mogłam wiedzieć, że kościół jest na tyłach dworca i że w takim razie wystarczyło tylko udać się do tylnego wyjścia. Próba z niezbyt wybitnym organistą, który ciągle się mylił (oszwabiał!) była podobnie przygnębiająca jak fatalna akustyka tego kościoła pod wezwaniem Świętego Dworca. Dostałam wypieków ze złości, kiedy ten mistrz w szwabieniu zaproponował mi w dodatku, że może mnie „prywatnie” przenocować „u siostry na

przedmieściach". To przedmieście nazywało się Greifdingen czy Unmoglingen, czy Sperlingen nie zapamiętałam dokładnie. Siostra okazała się zacną mamuszką między sześćdziesiątką a siedemdziesiątką, w szarym wełnianym płaszczu i chustce na głowie. Bez przerwy paplała coś do mnie po szwabsku, a kiedy wchodziłam (po bardzo starannym wytarciu butów) do jej pokrytego falistą blachą domu, pachnącego wczorajszymi warzywami, zaczęła się tłumaczyć, że akurat taki nieporządek, że ojciec nie wywietrzył, że ostatniej nocy miał atak woreczka, że wymiotował...

Mnie też zaczęło zbierać się na wymioty. Co mam robić przez cały beznadziejny, deszczowo - śnieżny weekend u jakiegoś starego szwabskiego małżeństwa, gdzie się nie wietrzy, a w nocy wymiotuje? Urządzono mi posłanie w „komnacie” Reserl. Miałam pełne zrozumienie dla Reserl, córki, która wyfrunęła już z gniazda rodzinnego, że „poszła do miasta” i „nawet nie telefonuje”. Zresztą siostra załatwiała to sama. Godzinami rozmawiała przez telefon w całkowicie dla mnie niezrozumiałym języku, choć i ze mną mocno zaciągała po szwabsku. Ojciec całymi godzinami siedział w fotelu przed telewizorem i patrzył w próżnię. Ten w ogóle nic nie mówił, czego nie miałam mu za złe. Miał szkliste oczy i martwą twarz. Zastanawiałam się, czy w tej krytej falista blachą szeregówce nie można by trochę poćwiczyć. Ponieważ żona rozmawiała przez telefon, spytałam męża.

- Czego pani chce? - spytał płaczliwie patrząc w próżnię.
- Poćwiczyć. Rozumie pan, rozśpiewać się, zaśpiewać parę gam, nauczyć się moich kawałków na koncert w niedzielę.
- Jaki koncert?
- No, koncert, pana szwagier gra na organach!
- Nie mam żadnego szwagra.

Szklane spojrzenie w okolicę wytapetowanej na biało ściany. Naprzeciwko była tapeta w wielkie kwiaty, dlatego prawdopodobnie wolał gapić się w białą ścianę.

Porzuciłam próby porozumienia się ze starym i wróciłam ze swoją walizką do „komnaty” Resi. Komnata była zimna i pusta. Resi, wyprowadzając się, wykonała solidną robotę. Odkręciła nawet regał na książki, po którym pozostały czarne dziury w bladożółtej, wyblakłej tapecie. Książki, których nie chciała ewakuować do nowego, wolnego świata, leżały na zakurzonej komodzie. Łóżko było tego samego rodzaju co łóżko cioci Lili z okresu mojego wczesnego dzieciństwa: duże, masywne, o wiele za miękkie, trzeszczące i nieprzytulne. Pościel najwyraźniej pochodziła z wczesnego okresu powojennego i składała się z zapinanych na guziki stukilowych źródeł nocnych koszmarów. W ogóle nie znoszę guzików, a w łóżku uważam je za szczyt niestosowności. Jak zniknąć z tego pokrytego falistą blachą domu, aby nie urazić siostry, a tym samym brata, organisty z bożej łaski? W każdym razie nie wytrzymam tu dwóch dni i dwóch nocy, to zupełnie jasne. Komnata była jedyna w swoim rodzaju, wyobrażałam sobie, że najgorsza cela więzienna musi być przytulniejsza. Ci ludzie na dole byli równie nie do zniesienia, a przedmieście, składające się tylko z błotnistoburej ulicy i mnóstwa domów pokrytych falistą blachą, stanowiło niestety właściwe tło.

Ile dostanę za ten koncert? Minus przejazd intercity. Idę do hotelu, nawet gdybym miała do tego dołożyć. Zdecydowana, zamknęłam z powrotem walizkę i zesłam w dół po schodach. Kiedy tylko żona skończy rozmawiać przez telefon, zadzwonię po taksówkę i każę się zawieźć do hotelu przy dworcu. I wezmę pokój z łazienką i telewizorem. A wieczorem pójdę do jakiejś szwabskiej knajpy zjeść spatzle i wypić szklankę moszczu. Tak jest.

Żona właśnie skończyła rozmawiać.

- Niedługo będzie kolacja - powiedziała zachęcającym tonem.

- Dziękuję bardzo, nie jestem głodna, chciałam poprosić, czy nie mogłabym zatelefonować... - zaczęłam, ale ona moją próbę ucieczki obróciła wniwecz.

- Mój brat wpadnie na kolację - powiedziała. - Z żoną i córką. Piękna perspektywa. Postanowiłam, że przetrwam jeszcze tę kolację

żeby nie być nieuprzejma, a potem pojedę z bratem do miasta i tam wezmę sobie pokój.

- Czy mogę pomóc pani w kuchni? - spytałam. Dziecko, młodej dziewczynie jak najbardziej wypada pomóc pani domu w kuchni.

Pani domu z zachwytem wepchnęła mnie do swojej przedwojennej kuchni, bezdusznej, niby sprzątniętej, a mimo to brudnej. Nad nawarstwionym od lat kamieniem w zlewie zaczęła z zapalem skrobać marchewkę i inne warzywa bulwiaste, które rozsiewały przenikliwy zapach i zdusiły w zarodku mój ewentualny apetyt.

- Niech pani opowie coś o sobie - wezwała mnie skrzętna skrobaczka marchewki i mokrą ręką wręczyła mi brudny fartuch, który koniuszkami palców położyłam na oparciu krzesła.

- Pani jeszcze nie wyszła za mąż? - spytała tyleż bezpośrednio co nietaktownie. Prawdopodobnie otaksowała moje palce i poza srebrnym wnykiem Georga nie odkryła nic obrączkopodobnego.

- Nie. Jeszcze na wolności. - Żeby zająć czymś ręce, zaczęłam obskubywać oklapniętą główkę zwiędłej sałaty.

- Nie, sałata jest na jutro na obiad - powiedziała siostra i odebrała mi główkę. Pomyślałam z ulgą, że jutro kto inny dostanie na obiad te zwiędłe liście.

- I nie ma pani żadnego przyjaciela? - zasięgała dalszych informacji zacna pani domu. - Taka z pani szykowna dziewczyna!

Też byłam tego zdania. Szczególnie z tym kwiciastokratkowanym fartuchem, z rękami śmierdzącymi warzywami bulwiastymi. Nagle okropnie zatęskniłam do Georga. Mogłam teraz spędzać z nim czarujący, romantyczny wieczór w hotelu. Leżelibyśmy w łóżku popijając szampan, rozmawiając o muzyce i innych podniosłych sprawach, kochalibyśmy się, wypalilibyśmy po jednym...

- Czy mogę tu zapalić? - wyrwało mi się z niepohamowanej chętki na papierosa.

- Nie, musiałyby pani pójść na balkon - powiedziała żona z dezaprobatą. Już nie byłam taką szykowną dziewczyną. Przyzwoita szwabska dziewczyna nie pali, lecz obiera marchewkę.

Uciekłam na wietrzny, lodowaty balkon, kryty falistą blachą. Musiałam przejść koło szklistookiego ojca.

- Nie chce pani śpiewać gam? - spytał płaczliwie.

Nie. Chciałam zapalić, głęboko odetchnąć i policzyć minuty, jakie mi jeszcze pozostały, zanim będę mogła opuścić to miejsce. Zapatrzyłam się w siną mgłę śnieżnego pustkowia. Że też człowiek może czuć się taki samotny! Taki opuszczony przez Boga i ludzi! Georg pewnie siedzi sobie z dzieckiem w ciepłym salonie przy kominku albo przynajmniej w wygodnym fotelu i wspólnie oglądają zdjęcia koni. Albo siedzi przy adapterze i słucha Wagnera. A może Straussa. Naszą pieśń. „Gdybyś wiedział...” A Klaus Konrad? Siedzi na przyjęciu dla farmaceutów w hotelu Imperial z widokiem na K. nocą. Przy talerzu z zakąskami, zawijańcem w maśle czosnkowym z chrzanem... Za Klausem też okropnie tęskniłam. Samego zawijańca z chrzanem też bym wolała niż paskudną nadgniłą marchewkę pani Szwab. Kręciło mi się w



głowie od papierosa. Gdyby nie ojciec, zadzwoniłabym teraz do Georga albo do Klausa, albo do cioci Lili.

- Nie chce pani wejść do środka? Tu jest cieplej - zauważył płaczliwy ojciec.

Miał rację. Rzuciłam papierosa na śnieg, zgasł z sykiem, i dygocąc weszłam do środka. Ojciec podniósł się i wyszedł bez słowa! Podkrałam się do aparatu ze słuchawką w śmiesznym obiciu z brokatu.

Wykręciłam numer Georga. Drżącymi rękami, jak złodziej. Nigdy dotąd nie wykręcałam numeru Georga, ale znałam go na pamięć. Na wszelki wypadek. Po dłuższym czasie odezwało się dziecko.

- Tatusia nie ma. Kto mówi?

Miałam powiedzieć: Przyjaciółka twojego tatusia, malutka?

- A gdzie jest twój tatuś? - zagruchałam w brokatowe obicie.

- Pojechał, nie wiem dokąd. A kim ty jesteś?

- Przekaż mu serdeczne pozdrowienia od Cecylii - powiedziałam blado i odłożyłam słuchawkę. Ani o sekundę za wcześnie, bo ojciec właśnie wczłapywał do salonu. Demonstracyjnie trzymał coś w chudych, długich palcach: był to wyrzucony przeze mnie pet.

- Nie można wyrzucać śmieci do ogródka pani Schaubertl - zajęczał i wyczłapał z salonu z petem w ręku. Prawdopodobnie wywiezie go teraz na miejskie wysypisko śmieci. Opadłam na wyświechtaną zieloną kanapę. Uciec! Nie wytrzymam tu ani chwili dłużej! Nielitościwy zegar wskazywał jednak dopiero wpół do siódmej. Kiedyż skończy się ten straszny wieczór?

Klaus. Może jednak jest w domu, na przekór złemu losowi. Jego numeru nie znałam na pamięć. Przekradłam się więc przez śmierdzącą sień do swojej torebki i grzebałam w

poszukiwaniu notesika z adresami. Żeby tylko nie przyłapał mnie ojciec! Ale słyszałam z kuchni jego biadolenie o paniencie i pecie w ogródku pani Schauberl. W przerwach jego żona gderała coś po górnoszwabsku. Wszelkie podsłuchiwanie byłoby daremne. Pomknęłam z powrotem do stęchłego salonu, pachnącego wełnianym okryciem ojca i wczorajszą włoską kapustą.

Niebiosa mi sprzyjały, Klaus zgłosił się zaraz po drugim dzwonku. Głos miał zdenerwowany i szorstki, jak gdyby mój telefon okropnie go zirytował.

- Ach, to ty, no, nareszcie miła niespodzianka - powiedział, kiedy się przedstawiłam. - Dlaczego mówisz szeptem? Coś zbroiłaś?

- Nie, jestem u takich szwabskich Biedermeierów i prawie umieram z tęsknoty za...

- Tęsknisz za mną? Toż to jeszcze wspanialsza niespodzianka! Tęskniłam do wszystkiego, co tylko było poza tym domem i tym krytym falistą blachą przedmieściem.

- Gdzie właściwie jesteś? - spytał ochoczo Klaus. Najwidoczniej rzeczywiście ucieszył go mój telefon.

- Na jakimś przedmieściu z ingen na końcu.

- Chciałabyś, żebym przyjechał?

- Tak - bąknęłam w brokatową słuchawkę. Ależ jestem niemożliwa! On naprawdę był do tego zdolny!

- O.K., jutro przyjadę - powiedział Klaus. - Dzisiaj wieczorem mam ważne spotkanie, którego teraz nie mogę już odwołać. Gdzie mogę cię jutro spotkać?

- Oszalałaś? - zaprotestowałam słabo. W końcu nie chciałam go wykorzystywać. W każdym razie dla przyzwoitości myślałam, że nie chcę. Ciocia Lili porządnie złołaby mi skórę.

- Dlaczego, przecież właśnie powiedziałaś, żebym przyjechał - rozległo się z brokatowej słuchawki. Zabrzmiało

to tak cudownie blisko, jakby był w sąsiednim pokoju, rubaszny, miły, natrętny Klaus. Ach, jak go jednak lubiłam!

- Ale tylko jeżeli ty też naprawdę tego chcesz - udawałam jeszcze, dla zachowania pozorów. Grubymi nićmi szyte.

- Chcę być z tobą! - oświadczył głos z brokatowej słuchawki i w tym momencie człapiącym krokiem wszedł do salonu ojciec. W lekko trzęsącej się ręce trzymał brudną serwetę. Aha. Wódz dawał znak do posiłku.

- Muszę już kończyć - powiedziałam pośpiesznie. - Zobaczymy się jutro na próbie. Wezmę ze sobą te nuty. Powiedzmy o trzynastej?

- Ktoś przyszedł? - błyskotliwie wywnioskował Klaus. - A jak nazywa się ten kościół?

- Świętego Lucyfera - powiedziałam i w tej chwili uzmysłowiłam sobie, że to niemożliwe. No to może świętego Lutra? Czy świętego Ludgera, czy świętej Katedry w Ulm? - Spotkamy się o trzynastej przed katedrą, przy głównym wejściu, O.K.? - powiedziałam i odłożyłam słuchawkę. Drżały mi nogi. Teraz dopiero nawarzyłam sobie piwa. Klaus dla mnie wybierze się w podróż. Lekko licząc pięćset pięćdziesiąt kilometrów. Ot tak sobie. Bo poczułam się tu samotna. Ciociu Lili, zlej mnie, zlej mnie zdrowo.

Kolacja przebiegała tak, jak powinna przebiegać sprawiedliwa kara. Przyjechał organista z żoną, brzydką córką w wieku pokwitania i śliniącym się psem, który cały wieczór z głupim spojrzeniem i pyskiem ociekającym pianą stał pod stołem. Pani Szwabka paplała nieprzerwanie w niezrozumiałym dla mnie języku, przy czym z zaniedbanej szczęki wypadały jej pojedyncze kluski z zupy. Z odrazą mieszałam letnią lurę, pachnącą skrobanymi wcześniej warzywami bulwiastymi i nie mytymi naczyniami. Łyżka była chyba srebrna, ale ogromna, pożółkła i zaśniedziała. Nie miałam ochoty wkładać jej do buzi. Ojciec drżącą ręką

przenosił zupę do ust i wylewał ją obok. Szwabski język jego współmałżonki ani na sekundę nie przestawał mleć, podczas gdy energicznym gestem wpychała mu serwetkę za kołnierz i podsuwała talerz pod brodę.

- Nie chłęptaj - powiedziała prawdopodobnie, bo płaczliwy małżonek bronił się i oburzał:

- Ta zupa jest niesmaczna Przyznałam mu absolutną rację.

Razem z pokwitającą córką sprzątnęłam wyborne danie i wyniosłam talerze do kuchni, która wyglądała teraz jak odrażające pobojuwisko. Śliniący się kundel bez ogona skwapliwie poczłapał za nami. Jeśli chodzi o mnie, spokojnie mógłby dostać wszystkie resztki.

- Schlabbi nie dostanie nic - powiedziała pokwitająca latorośl o czarującym imieniu Juliane. - Jest za gruby! - Co jej widocznie nie dotyczyło, bo przy drugim daniu bez skrupułów raczyła się tłustą, żylastą, ledwo ciepłą wieprzowiną, serwowaną wraz z łyżką błota z marchewki i innych zwiędłych warzyw. Do tego podano szare, rozsypujące się kartofle, wprawdzie parujące, ale również ledwo ciepłe.

Każdym centymetrem kwadratowym mojego głodnego, ale odmawiającego przyjęcia pokarmu żołądka tęskniłam do dużego pojemnika twarożku z sacharyną. I do Georga. I do Klause. To ostatnie było bardziej na miejscu. W końcu jutro przyjedzie. Och, jak lubiłabym Ulm, śnieżną pluchę, Szwabów i te szare domy kryte falistą blachą, gdyby już tu był!

Podobnie jak pies spędziłam posiłek w milczeniu i postnie. On stał pod stołem, ja siedziałam na ławie narożnej obok grubej Juliane, która z entuzjazmem dobierała drugą i trzecią porcję.

- Nie jesteś głodna? - spytała mnie.

- To od palenia - pouczył ją ojciec.

- Co, pani będąc śpiewaczką pali? - oburzyła się żona organisty i to było wszystko, co powiedziała do mnie przez cały wieczór.

- Tylko czasami - tłumaczyłam się.

- A pety rzuca się do ogródka pani Schaubertl - doniósł ojciec. Jakże nienawidziłam całej tej rodziny!

Na deser był kompot i kawa w czarnych filiżankach z rysą w środku. Rysa w mojej filiżance wyglądała jak gruby, czarny włos i to dodało mi odwagi, żeby zapytać organistę, czy mógłby mnie potem zabrać do miasta.

- A czego pani chce w mieście?

- Chcę się trochę przejść!

- Nie ma miejsca w samochodzie - powiedziała kobieta. - Mój mąż, Juliane i Schlabbi.

- Oj, chce pani spacerować przy takiej pogodzie? - wtrąciła się moja gospodyni.

Poddałam się. Ta jedna noc. Jutro będzie Klaus. Pójdziemy do cudownego hotelu. Dzisiejszą noc jakoś przetrwam. Mocno postanowiłam, że jakoś ją przetrwam.

Goście pojechali, prawie siłą wepchnęłam się do kuchni, żeby pozmywać naczynia i nadać raz temu pobojuwisku jaki taki wygląd. Miałam nieprzepartą chęć popracować fizycznie i zmęczyć się, żeby jakoś minął czas i żeby przetrwać noc. Szorowałam i czyściłam, myłam i wycierałam postrzępionymi, dziurawymi szmatkami do naczyń z okresu międzywojennego, przeryłam się przez wszystkie szafy w poszukiwaniu czystej szmatki i szczotki, która mogłaby wykazać się więcej niż czterema stojącymi na baczność szczecinkami. Szwabska para poszła na górę do sypialni rodziców, której wnętrza wprawdzie nie widziałam, ale mogłam sobie łatwo wyobrazić: dwa stojące obok siebie duże, drewniane łóżka z ciężką, obrzydliwą pościelą zapinaną na guziki, szafa na ubranie, brązowa i toporna, skrzynia na

brudną bieliznę. Ojciec na pewno miał na sobie burą piżamę w dużą kratę, zapinaną pod szyję, a żona różową flanelową koszulę nocną i własnoręcznie wyszydełkowaną lizeskę. Na szafkach nocnych po lewej i po prawej tabletki i krople, kilka szpilek do włosów po stronie żony i szklanka na sztuczną szczękę po stronie ojca. Tymczasem było jeszcze gorzej: sztuczna szczęka ojca pływała w szklance stojącej przed lustrem w łazience i rzucającej się wprost oczy.

Przy myciu zębów zrobiło mi się niedobrze. Nie mogłam pójść do zimnej komnaty, położyć się do ciężkiego, ciasnego łóżka i gapić się w porysowaną ścianę przy bladym świetle przedmiejskiej latarni.

Nie chciałam się też rozbierać. Po pierwsze było mi okropnie zimno, po drugie z pewnością były tu szwabskie szczury albo przynajmniej myszy czy w najlepszym razie pająki.

Ześliznęłam się z powrotem na dół do jako tako już czystej kuchni i zaczęłam szperać w spiżarni. Miałam ochotę wypić całe morze alkoholu. W wilgotnej i ciasnej spiżarni znalazłam mnóstwo pozostałości po kartoflach - tego szarego, teraz nie parującego gatunku - skrzynkę pomarszczonych jabłek o zupełnie miłym zapachu, mnóstwo zapasów, jak kiszona kapusta, słoiki z konfiturami, i na szczęście kilka butelek wina. Targnęłam się na Krotenbronner Nacktarsch Spatlese, odkorkowałam je w kuchni i - pijąc prosto z butelki - szukałam błogiego zapomnienia przed telewizorem. Szedł stary, kiczowaty western, ale dubbing nie był po szwabsku i w całym filmie nie podano niczego nieapetycznego do jedzenia.

Długo po północy nie bez pewnych trudności wdrapałam się po trzeszczących schodach do mojej komnaty i wykonałam drugie podejście do łóżka. Do łazienki nie poszłam, rozebrać się nadal nie miałam ochoty.

Koniuszkami palców odchyliłam kołdrę i zdrętwiałam z przerażenia. Spodziejając się jakiejś odrażającej niespodzianki, cofnęłam się gwałtownie: leżało tam coś czerwonego, tłustego i pękatego; przestraszyłam się, że to pokrwawiony szczur. Ale to była blaszanka, którą w przyływie macierzyńskiej troski przygotowała dla mnie pani Szwab. Wciąż była bardzo gorąca. Chociaż pachniała stęchlizną i musiałam się hamować, żeby nie wyobrazić sobie, gdzie normalnie nocuje (na przykład przy chudych nogach ojca), wzięłam ją serdecznie w ramiona i poczułam się niemal jak w domu. Poprzysięgam sobie, że już nigdy nie udam się w żadną podróż bez mojej własnej blaszanki. W głowie kręciło mi się od wina. Uporałam się z całą zawartością butelki. Zawdzięczałam jej sen bez żadnych koszmarów, dwukrotnie przerwany tupaniem na bosaka do toalety z widokiem na sztuczną szczękę pana domu.

## Rozdział XIX

Nazajutrz - z powodu niezwykłych odgłosów obudziłam się przed ósmą - zaczęłam dzień od policzenia godzin dzielących mnie od przyjazdu Klause. Jeszcze pięć godzin bez Klause. I już nigdy więcej bez Klause. Wyobrażałam sobie, jak przyjeżdża pod katedrę w Ulm swoim czerwonym, eleganckim, czystym BMW! Jak bierze mnie w ramiona, wielki, silny, ciepły i pachnący! Jak wchodzimy ramię w ramię do wykwintnej, przytulnej, ciepłej restauracji, jemy gorącą zupę, a potem świeżą, chrupiącą, zieloną sałatę! Jak idziemy potem do naszego ciepłego, lśniaco czystego, wyłożonego brązowymi dywanami pokoju hotelowego z barkiem, kolorowym telewizorem, przestronną, nowoczesną łazienką z ogromnymi lustrami i pachnącym, świeżo pościelonym francuskim łóżkiem...

Do tego miejsca wszystko było cudownie. Kiedy doszłam do łóżka, zaczęłam się zastanawiać, czy z tym meblem nie kojarzą mi się określone zobowiązania. Klaus zechce pewnie zainscenizować numer z wybuchem namiętności, z impetem porwać mnie w ramiona i pozostawić na mojej twarzy odciski swojej brody. Zapewne rozkołysze francuskie łóżko, może je nawet połamie...? Ja, nie wzywając pomocy, żeby oszczędzać swój głos, będę tylko usiłowała chronić delikatne części ciała przed szturchańcami, uściskami, miażdżącymi objęciami. Jako usprawiedliwienie posłuży mi fryzura albo zdenerwowanie przed koncertem. Potem znów będzie próbował po koncercie. Nie da się od tego odwieść.

W pewnym momencie porzuciłam myśli o skutecznej samoobronie i wstałam. W łazience nie widać już było sztucznej szczęki, jedynie włosy w umywalce i pastę do zębów na lustrze.. Jeszcze tylko pięć godzin. Nie, cztery godziny i pięćdziesiąt minut. Pysznic sobie darowałam. Obok prysznic wisiała mianowicie bielizna pani domu, składająca



się z ogromnego gorsetu, biustonosza koloru skóry, ozdobionego różową kokardką pomiędzy miseczkami, i ociekających jeszcze wodą pończoch, z których zwisała długa nitka.

Prędko umyłam sobie tylko twarz i dałam drapaka. W komnacie przebrałam się i umalowałam, nieco mocniej niż zwykle. Chciałam jeszcze czymś zaszokować ojca.

Znów tkwił w swoim fotelu z widokiem na ścianę. Matka wpadła jak burza, z lokówkami we włosach (co było oczywiście chybionym przedsięwzięciem, bo całe kosmyki były gdzieś obok) i usiłowała mnie objąć. Jej entuzjazm należało wiązać z wysprzątaną kuchnią, której nie widziała chyba jeszcze w takim stanie od zakończenia wojny.

Ojciec nie odezwał się. U niego byłam skreślona, raz na zawsze. Prawdopodobnie znalazł pustą butelkę po winie, którą zostawiłam koło jego fotela. A co, miałam znowu wyrzucić ją do ogródka pani Schaubert?

Jadłam śniadanie z paplającą żoną. Robiła musli. Najpierw mieszała breję z rozmoczonych ziaren w psiej misce. Następnie dodała do tego startą marchewkę i orzechy i całość postawiła przede mną. Jeszcze raz zdołałam się wybronić bajdurząc coś o diecie. Prawdopodobnie trudno im było uwierzyć, że jestem na ścisłej diecie. Butelka wina nie bardzo pasowała do tej koncepcji. Ojciec ukarał mnie milczącą pogardą.

- Czas do kościoła - powiedział, wygramolił się z fotela i wycłapał z salonu wkładać buty. Domniemywałam, że przez najbliższe dwie godziny będę miała dom dla siebie i uda mi się niespostrzeżenie zwać.

- Obiad zrobimy prędko, jak wrócimy, panienko - powiedziała żona i wyciągnęła z włosów lokówki. - Może pani w tym czasie szybko zaśpiewać parę gam! Wrócimy o dwunastej, przywieziemy ciotkę Berddę.

W najmniejszym stopniu nie było mi żal, że nie zobaczę ciotki Berddy. Ledwie sobie poszli, zebrałam swoje rzeczy, zadzwoniłam po taksówkę i napisałam na kartce, że jestem w mieście i spotkam się tam z moim wujkiem chrzestnym. I że dziękuję za gościnę.

Tuż przy katedrze znalazłam hotel, w którym było ciepło i solidnie i niesamowicie apetycznie pachniało niedzielnym obiadem. Wzięłam pokój dwuosobowy i spytałam, czy mogłabym godzinkę pośpiewać. Mogłam. Pokój był jasny i przestronny, a pościel bez guzików. Murowana oznaka klasy hotelu. Nogi łóżka zdobił ręcznie malowany kufer; chociaż był zamknięty i na pewno nie zawierał barku, pokochałam go.

Z rozkoszą wskoczyłam pod ciepły prysznic, delectowałam się makijażem na czysto, z radością włożyłam świeżą bieliznę. Zaśpiewałam parę dźwięków, po czym długo patrzyłam przez okno. Szara gotycka elewacja katedry, niestety boczne wejście, tak że nie mogłabym zobaczyć stąd Klusa Konrada, gdyby przyszedł. Było w pół do pierwszej.

Nie planowano już próby, tylko o dwudziestą koncert. Miałam przed sobą długie popołudnie z Klausem. Ale przecież niczego innego nie chciałam.

O pierwszej włożyłam płaszcz i opuściłam hotel. W restauracji panował teraz ożywiony ruch. Piersiasta dama przy kontuarze obsługiwała gości. Mogłabym ją pocałować albo pomóc jej przy serwowaniu, tak dobrze czułam się w tym gościnnym miejscu. Właściwie nikogo mi już nie brakowało. Właściwie z dziką chęcią poszłabym teraz na samotny spacer po mieście. Może wybrałabym się do kina albo poszłabym do jakiejś kawiarni. Może do muzeum. Wiedziałabym, co zrobić z czasem. Tylko po co sprowadziłam sobie Klusa? Takie niedzielne popołudnie to ciężka próba dla naszych stosunków. Musiałam się Klausowi jakoś zrewanżować. W końcu pięć czy sześć godzin siedział za kierownicą. Czegoś się spodziewa.

Sama jesteś sobie winna, dziecko. Dlaczego robisz takie rzeczy?

Niedzielne popołudnie mieliśmy już za sobą. Klaus miał niedźwiedzi apetyt, niedźwiedzi humor i był tak szczęśliwy, że mnie widzi, że ledwie wyszłam cało z jego uścisków łamignata. Jego radość była zaraźliwa. Zachowywał się prawie tak, jakbyśmy nie widzieli się długie miesiące, a stanowili dla siebie nawzajem jedyny sens życia.

- Chodźmy teraz gdzieś na jakąś wspaniałą ucztę - powiedział, chwycił mnie pod rękę i popchnął w niewłaściwym kierunku.

- A gdzież to szanowny pan chce ucztować? - spytałam, udanie naśladowując szwabski mojej pani Żony. - Znam tu urocze przedmieście z domami krytymi falistą blachą i czarującymi mieszkańcami. Serwują tam dzisiaj zwiędłą sałatę i tłusty boczek z resztkami z poprzedniej niedzieli!

Klaus roześmiał się.

- Biedactwo! Ciekaw jestem, kto z nas dwojga więcej wycierpiał.

- Dlaczego? Ty też musiałeś jeść letnie błoto z marchewki?

- Nie, musiałem spotkać się z moją letnią żoną. Ach, co mówię, letnią. Lodowatą, ona jest lodowata!

- Lepsza lodowata kobieta niż letnia marchewka!

- Z całą pewnością nie. Nie masz pojęcia, jak lodowato zimna potrafi być moja żona.

- A czego od niej chciałeś? Wyższego kieszonkowego? - zapytałam, w założeniu miało to być dowcipne.

- Coś w tym rodzaju - mruknął. - Nie mówmy teraz o tym. Jestem w doskonałym humorze i chcę zaraz pójść z tobą coś zjeść, jeśli to możliwe w tej dziurze.

Było możliwe. I było cudownie. Zaciągnęłam Klause do solidnego, ciepłego, przytulnego hotelu o pięknej nazwie

Wróbel z Ulm. W restauracji wciąż był duży ruch. Widocznie Koło Młodych Matek z Gensingen w okręgu Schweningen pod Reutlingen we współpracy z Funduszem Pomocy Społecznej Memmingen zorganizowało wycieczkę dla zestresowanych szwabskich gospodyń domowych, które po naocznym stwierdzeniu, jak brzydka jest od wewnątrz katedra w Ulm, zebrały się w ciepłej jadłodajni przy rosole i łazankach z kapustą.

Znaleźliśmy z Klausem stolik w pewnym oddaleniu od Stowarzyszenia Szwabskich Kwok, do którego - jak się okazało po dokładniejszym przyjrzeniu się - należały też dwa koguty. Jeden był kogutem zakonnym, przepraszam, bratem zakonnym, więc się nie liczył. Drugi był zatem prawdziwym rodzynkiem.

Zajęliśmy się jadłospisem. Klaus wybrał wszystkie specjały, jakimi mogła poszczycić się karta dań, i zamówił do tego duże piwo.

W bezwzględnych słowach opowiedziałam o swoich podmiejskich przeżyciach u gościnnej rodziny, nie pomijając historii z petem. Barwnie odmalowałam nieapetyczne jedzenie, co w najmniejszym stopniu nie wpłynęło na apetyt Klause. Kiedy doszłam do opisu łóżka, sama nie mogłam dalej jeść. Nagle wyobraziłam sobie, że Klaus ma pizamę w czarno - białą kratę z wielkimi czarnymi guzikami i w tym okropnym przebraniu chce mnie obejmować, i pachnie przy tym pastą do zębów. Ta myśl była wprost nie do zniesienia. Skrzywiłam się.

- W końcu sama dostajesz mdłości, co? - ucieszył się Klaus.

- Dostanę, jeżeli dziś na noc włożysz pizamę w kratę z wielkimi guzikami.

- W ogóle nie zamierzam nic wkładać - powiedział Klaus rzeczowo i pociągnął duży łyk piwa.

Ulżyło mi. Lepszy w łóżku goły niż z guzikami.

- Ale skoro jesteśmy przy tym temacie - powiedział Klaus między dwoma ładunkami klusek na widelcu - nie miałbym nic przeciw popołudniowej drzemce. Co ty na to?

Na dworze padały wielkie, mokre płatki śniegu. Niebo było sine i ponure, a katedrą w Ulm zamknięta. Cóż można było robić, poza popołudniową drzemką?

- W porządku - - zgodziłam się i przez sekundę pomyślałam o Georgu. Z nim też niedawno odbywałam popołudniową drzemkę w hotelu, gdy pogoda na dworze nie zachęcała do niczego innego.

Poszliśmy na górę do ciepłego, przytulnego pokoju z ręcznie malowanym kufrem. Klaus wziął mnie w ramiona, przycisnął bardzo mocno i strzelił serdecznym pocałunkiem z dubeltówki prosto w ucho. Po czym zniknął w łazience.

Stałam przy oknie i patrzyłam na szarą elewację katedry nad bocznym wejściem. Więc oto jest. Klaus. I wszystko jest takie oczywiste. Państwo Klett idą teraz do łóżka. Nie ma w tym ani krzty erotyzmu. To nie to samo co z Georgiem.

Poszliśmy do łóżka, każdy pod swoją kołdrę.

- To o której jest twój koncert?

- O ósmej.

- O której musisz stąd wyjść?

- O siódmej.

- Chcesz przedtem coś zjeść?

- Nie, lepiej potem.

- Czy mogę jeszcze coś dla ciebie zrobić?

- Nie. Cieszę się, że jesteś.

- Ja też się cieszę. To znaczy, cieszę się, że jestem z tobą.

To zabrzmiało już bardzo sennie i połączone było z dyskretnym czknięciem po piwie. Po niecałych dziesięciu sekundach usłyszałam miarowe, syte i zadowolone chrapanie. Spał. A więc tak było w łóżku z Klausem Klettem. On spał, a

ja rozmyślałam. Rozmyślałam o kimś. Naturalnie. Pewne sytuacje nasuwają skojarzenia z pewnymi innymi sytuacjami. Tak to jest w życiu. Dziecko, sama tego chciałaś. Gdybyś była teraz w łóżku sama, mogłabyś poczytać jakiś kiczowaty romans, napisać list albo porozmawiać przez telefon, albo zrobić sobie pedicure. Teraz to niemożliwe. Musisz spokojnie leżeć i słuchać odgłosów dochodzących z boku: chrapnięcie - wydech - chrapnięcie itd.

Niedźwiedzia łapa mojego śpiącego ubocznego mężczyzny spoczęła wygodnie i ciężko na mojej piersi. Moje serce zastanawiało się przez moment, czy ma stukać, ale nie miało do tego żadnego powodu. Wszystko było absolutnie nieerotyczne. Żadnego zagrożenia. Skądże znowu. W końcu Klaus Klett nie był tu dla przyjemności.

Koncert w drewnianym kościele na tyłach dworca wniósł podniecający zwrot w ten mokro - śnieżny dzień.

Już przy wejściu odkryłam twarz, o której cały czas myślałam. I co dziwne: wydało mi się tak oczywiste, że był tu Georg Lalinde - w jednym z tylnych rzędów, z ręką przy ustach - że nawet się nie zdziwiłam. Wpatrywałam się w niego, jego twarz rozpływała mi się w oczach, ale on się nie poruszył. Nie miałam pojęcia, czy patrzy na mnie czy na program, czy na kant swoich spodni. Nie miałam pojęcia, czy słucha Bacha czy myśli o koniu swojego dziecka. Myśl o tym, co będzie „potem”, wprawiała mnie w popłoch. Iść z Klausem do hotelu i bawić się w niedźwiedzią pieczarę pogrążoną w zimowym śnie? Spacerować z Georgiem po burej śnieżnej brei, z trudem oddychając z podniecenia? Pójść z chórem kościelnym i dyrygentem na piwo do Dzikiego Mężczyzny? Wybiec przez zakrystię na dworzec i potajemnie wskoczyć do pociągu? A może pod pociąg? Ten ostatni pomysł natychmiast porzuciłam. Życie jest zbyt ciekawe.

Śpiewałam swoją arię, usiłowałam być dobra. W przodzie, w pierwszym rzędzie, Klaus Klett z walkmanem professional, mikrofonem, aparatem fotograficznym i kwiatami. W tyle... skamieniały krytyk. Miałam półtorej godziny, żeby wpatrywać się w niego. I rozmyślać. I trząść się ze strachu przed końcem koncertu. Georg. Chciałam być z nim i z nim zniknąć. Przez jakiegokolwiek tylne wyjście. A Klaus? Niemożliwe. Przecież nie mogę go zostawić na lodzie. Przecież on specjalnie, ze względu na mnie... Ale Georg też był tu specjalnie, ze względu na mnie... Niemożliwe. Nie ma rozwiązania. Na piwo z chórem kościelnym. Spokojnie. Udawać, że to przypadek. Dostać wypieków. Właściwie jak długo ma jeszcze trwać ta przeklęta gra?

Miała jeszcze trochę potrwać. Całkiem niemałe trochę. Ale po kolei. Ten wieczór przebiegł tak samo jak wiele innych. Klaus Konrad uściskał mnie, energicznie ucałował w ucho, objął ramieniem, wziął moją walizkę. Georg Lalinde stał pilnie pod jakąś oplakatowaną ścianą, udawał, że interesuje go życie kulturalne Ulm, i powitał mnie z powściągliwym zdziwieniem. Nie pozostało mi nic innego jak ponownie zapoznać panów i z oboma ruszyć w kierunku Dzikiego Mężczyzny, gdzie siedział podchmielony już chór kościelny. W trójkę wkroczyliśmy do lokalu, witani dzikim aplauzem z przepłukanych przez piwo szwabskich gardeł, i usiedliśmy przy dostawionym stoliku. Klaus zamówił mortadelę z pierogami i duże piwo. Georg zamówił sobie to samo co ja, mianowicie szprycer. Siedzieliśmy bacznie w krąg. (Z „Pasji według św. Jana”.) Georg w milczeniu podsunął mi paczkę z papierosami. Poczęstowałam się skwapliwie. Drżącymi palcami.

Nie pamiętam, o czym mówiliśmy. To znaczy, jakie słowa mówiliśmy. Tc była smali talk. Oczami mówiłam bardzo

intensywnie, a także prawym kolaniem, pod stołem. I Georg rozumiał wszystko, co mówiłam.

- Dlaczego tu przyjechałeś, ty skończony durniu? - pytało moje prawe kolano.

- Bo cię kocham - mówiły jego oczy.

Klaus otrzymał właśnie swoje pierogi i natychmiast podsunął mi pod nos widelec z jednym z nich.

- Teraz pałę - powiedziałam i odwróciłam głowę.

- Dlaczego zadajesz się z tym idiotą? - pytały oczy.

- Gdybym wiedziała... - odpowiedziało moje kolano.

Klaus otoczył mnie ramieniem, drugą ręką nadziewał pierogi, radosny,

głodny, uroczy. Wydawał się niczego nie przeczuwać, ani cienia podejrzeń. Ten starszy pan, krytyk, zdaje się, często się pojawia tu i ówdzie i swoim zwyczajem siedzi w milczeniu. Widocznie pracuje na dużym obszarze, skoro jest nawet w Ulm.

Jak zwykle ktoś zastukał w szkło, przedstawiciel kierownictwa chóru wygłosił mowę dziękczynno - pochwalną pod adresem dyrygenta, tragarza pul - pitów, herbaciarek w domu parafialnym i „laszt but not leaszt - szolisztów. Wstałam, z twarzą w czerwonych plamach, dygnęłam w stronę klaszczącej postukującej w stoliki, żującej i pijącej cizby i usiadłam z powrotem. Pomacałam prawym kolaniem z prawej strony... Tu. Ciężka ręka na mojej lewej nodze. Ściska, wyciska, poklepuje z uznaniem.

- Jestem z ciebie dumny! - Klaus, żujący, szczerzący zęby w uśmiechu.

Czułam się okropnie. Wprost nie do wytrzymania.

To już dawno przestała być zabawa. Jak wybrnąć z tej afery?

- Klaus, nie pij tyle. Przecież musisz jeszcze jechać - zagałam drażliwy temat.



- Dlaczego ja? Przecież ty też prowadzisz, nie?

Doprawdy. Zachowywał się tak, jakbyśmy byli wieloletnim małżeństwem. Moje prawe kolano poprosiło lewe kolano Georga o wyrozumiałość.

- Proponuję, żebyście państwo dziś wieczór wrócili do Kolonii ze mną

- powiedział Georg Lalinde z lekkim ukłonem.

Wypieki pulsowały mi jak po biegu na tysiąc metrów.

- O nie, na dzisiejszą noc wzięliśmy ekstrapokój w hotelu, nieprawdaż?

- skontrował radośnie Klaus i domagając się solidarnego entuzjazmu poklepał mnie po karku.

Tego spojrzenia Georga nigdy nie zapomnę. Kolano natychmiast cofnęło się. W napięciu lustrował najpierw swoją opróżnioną do połowy szklankę szprycera, a później mnie. Pierwszy raz nie patrzył tuż obok mnie, jakby zauważył na moim uchu mrówkę, lecz prosto w oczy. W moją kruczoczną duszę. Moje godne pogardy życie. Wstydziałam się do szpiku kości.

- Klaus przyjechał dziś specjalnie z K. - powiedziałam.

Ja też, powiedziały oczy, wciąż nie chciały mnie puścić. Do licha, gdyby patrzył człowiekowi w ucho, byłoby lżej.

Ktoś podszedł od tyłu i zapewnił po szwabsku, że nie chciałby przeszkadzać, ale trzeba zrobić rozliczenia. Wstałam i poszłam za nim. Nogi uginały się pode mną. Może panowie się jednak zbratają. Ja już nie mogłam, Już nie chciałam. Chciałam spać, gdziekolwiek, w łóżku bez guzików, bez mężczyzn i bez poczucia winy. I jeśli to możliwe, obudzić się z powrotem w moim własnym mieszkanku.

Musiałam podpisać jakiś formularz i zapewnić, że zgłoszę koncert w urzędzie skarbowym, i pokazać bilet kolejowy, i podać adres hotelu.

- Za pokój dwuosobowy niestety nie możemy zwrócić -  
pouczył mnie rachmistrz.

- Nie, nie, proszę policzyć tylko za pokój jednoosobowy.

Gdy wróciłam do naszego stolika, Georga nie było. Klaus prowadził ożywioną konwersację z jakąś starszą chórzystką na temat różnic między Bachem i Handlem. Że grał w szkole na rogu, ale do Bacha ani do Handla nigdy nie doszedł.

- Gdzie jest pan Lalinde? - wtrąciłam się.

- Nie ma go? - Klaus obrócił się zaskoczony. - Nie  
pożegnał się. Pewnie gdzieś wyskoczył na chwilę.

Nie, Georg nie wyskoczył.

Wyszedł. Po prostu wyszedł. Bez pożegnania.

Mój nastrój był na poziomie trzynastej kondygnacji  
schronu.

Chciałam natychmiast wracać do domu. Do K.

- Klaus, jedźmy, proszę...

Klaus natychmiast wstał, pożegnał się grzecznie z babcią  
chórzystką - kłaniając się i zapinając guziki marynarki - i  
podszedł do kontuaru zapłacić. W najbardziej oczywisty  
sposób i to zrobił za mnie. Powlekliśmy się przez zimny,  
pusty, betonowy krajobraz. W kierunku hotelu. W kierunku  
samochodu.

- Ty, Klaus?

- Tak? - Jeszcze mocniejsze przygarnięcie.  
Obezwładniający uścisk niedźwiedzich szponów.

- Dopiero jedenasta. Moglibyśmy jeszcze pojechać do K.  
Zdziwione, gwałtowne stop.

- Chcesz wracać?

- Właściwie jutro rano mam próbę...

- To przecież wiedziałaś już wcześniej! -  
Podenerwowany, skonsternowany.

- Nie bardzo mi pasuje, żeby tu zostać...

- Powiedz szczerze, nie bardzo masz ochotę, żeby tu zostać. Jego uścisk tak nagle zelżał, że straciłam równowagę i zatoczyłam się dwa kroki do tyłu.

- Nie, to nie ma nic wspólnego z ochotą, tylko jestem jeszcze w niezłej formie, i w takim razie można by wykorzystać moją energię... Powiedziałeś przecież, że ja mam prowadzić. Mógłbyś sobie wygodnie rozłożyć siedzenie... Proszę, Klaus. To nie chodzi o ciebie. Tylko chciałam do domu.

- Nie masz ochoty nocować ze mną w hotelu - stwierdził Klaus zaskakująco konkretnie.

- Ależ Klaus... - powiedziałam tonem, jakim matki rugają dzieci, które jedzą piasek na placu zabaw.

Byłam tak nieprzekonująca jak jeszcze nigdy w życiu. Klaus zrobił nagły zwrot, wszedł do hotelu i powiedział do zmęczonej recepcjonistki:

- Wyjeżdżamy. Proszę o rachunek. Zdziwione spojrzenie.

- Nie jesteście państwo zadowoleni z pokoju?

- Nie, skąd. Zmieniliśmy plany.

W milczeniu pakowaliśmy rzeczy. Oaza spokoju, bez szwabskich mędrków, z niewinnie błękitnym, ręcznie malowanym kufrem i czystym prysznicem. Wzgardziłam tym.

Kiedy mknęliśmy przez czarną noc na autostradę, pomimo wyrzutów sumienia czułam się doskonale. Do domu. Choćby dopiero o świcie. Będę w moim domu, sama, z moją gorącą blaszanką.

Ze szczerą radością zaczęłam śpiewać. Klaus w milczeniu siedział za kierownicą koncentrując się na jeździe po błotnistej ulicy. Teraz zdjął jedną rękę z kierownicy i położył mi na karku.

- Ale z ciebie numer - powiedział. I w milczeniu jechał dalej.

## Rozdział XX

Siedziałam koło telefonu, jakbym na coś czekała. Jasne. Żaden jeszcze dzisiaj nie zadzwonił. Nawet doktor. Obaj się obrazili?

Obgryzałam jakąś nierówność w paznokciu środkowego palca. Było mi okropnie przykro z powodu Georga. Co on sobie teraz o mnie myśli...

To byłoby absolutne sprzeniewierzenie się naszym czułym schadzkom, gdybym przenocowała w hotelu z doktorem. Georg musiał to okropnie przeżyć. Stało się dla mnie jasne, że ten człowiek mnie kocha, bez względu na to, czy rozumiem czy nie powody, które go do tego skłaniają. Sięgnęłam po słuchawkę, wykręciłam numer jego pokoju w gazecie. Zgłosiła się jakaś współpracowniczka.

- Czy mogę mówić z panem Lalinde...?

- Jest na konferencji. Czy coś przekazać?

- Proszę mu przekazać, że czerwone BMW z rejestracją K. było z powrotem w K. dzisiaj przed czwartą w nocy - powiedziałam i odłożyłam słuchawkę. Ręce mi drżały. Jestem głupia gęś. Co sobie pomyśli ta współpracowniczka? Anonimowy donos na czerwone BMW... To pasowało bardziej do działu kryminalnego niż do informacji kulturalnych. Nieważne. Georg zrozumie. Będzie mu lżej. Być może na jego ściągnięte wargi wkradnie się nawet nieznaczny uśmiech.

Napełniłam blaszankę i poszłam do łóżka. Telefon był wyłączony. Prześpię się w spokoju!

Cztery godziny później usłyszałam, jak pod oknem ustawia się jego turecki opel. To mógł być tylko Georg, tylko on tak pracowicie i z niechętnym wyciem silnika próbuje wjeżdżać w luki do zaparkowania. Nagusieńka, z letnią już blaszanką przy biuście podeszłam do drzwi i nacisnęłam

brzęczyk. I oto stał, z lekką zadyszka, z bukietem czerwonych róż, w beżowym popelinowym płaszczu.

- Moja najdroższa.

Tylko tyle. Żadnych głupich wyjaśnień, żadnych wyrzutów, żadnego fałszywego szczerzenia zębów. Dał mi róże i wziął ode mnie letnią blaszankę, a ja pomyślałam, że dawno nie byłam równie mało świeża, i przycisnęłam róże do biustu, i kłujące, dałam mu je z powrotem.

- Przyniosę wazon.

Nie było wolnego wazonu. Ani wolnego słoika po ogórkach. Bezradna, sprawdzałam przydatność wymontowanego wkładu do termosu. Nie wydawał się dostatecznie stabilny. Może miska do budyniu? Szukałam miski. Georg stał w drzwiach kuchni, z moją blaszanką w jednej, a różami w drugiej ręce. Kawaler z różą, w płaszczu, szalu i rękawiczkach. A ja, golusieńka, szukałam miski do budyniu. Podeszłam do niego, położyłam blaszankę i kwiaty na kuchennym stole, zdjęłam mu rękawiczki, szal i pomogłam mu zdjąć płaszcz. I sweter.

Poszliśmy popatrzeć na żółte tapety.

Potem leżeliśmy zadowoleni w naszej rozkopanej, ciepłej jaskini zbójców i paliliśmy.

- Dlaczego wczoraj wyszedłeś bez pożegnania? - spytałam głowę leżącą na moim ramieniu.

- Och, pożegnałem się - odpowiedział obłok dymu poniżej mojego podbródka. - Z dyrygentem, z sopranistką i z tą damą, która potrafi odróżnić Bacha od Handla.

- Z doktorem nie?

- W każdym razie on tego nie zauważył.

- A dlaczego ze mną nie?

Pauza, obłok dymu. Macanie w poszukiwaniu popielniczki. Podsunęłam mu pod papierosa.

- Z tobą nie chcę się już żegnać. Nigdy. Przełknęłam ślinę.

- Nawet jak pojedziesz jutro do pracy? - spytałam. W średniowieczu spłonęłabym za to jako czarownica. Diablica. Dlaczego jeszcze go prowokowałam?

Głowa na moim ramieniu nie poruszyła się. Gdzieś w okolicy mojego pępka powoli podniósł się kłęb dymu z jego papierosa i poszybował w kierunku sufitu sypialni.

- Kocham cię - zabrzmiała odpowiedź.

Nie zasłużyłam na niego. Na niego, na jego miłość i jego pierścionek. Wstydziłam się aż po najdalszy rozek mojej zmiętoszonej poduszki.

Później poszliśmy na przedświąteczny targ. Ramię w ramię sunęliśmy przez tłum i upajaliśmy się różnorodnymi zapachami palonych migdałów, pieczonej ryby, pizzy, świeżych wafli z gorącymi konfiturami z wiśni. Z gwarem żądnych zakupów współobywateli mieszały się kolędy z różnych głośników. Tu mój przyjaciel Heino i „Jak słodko dzwonią dzwonki”, tam chór dziecięcy i „O, choinko jodłowa”. W kameralnie oświetlonych budkach sprzedawano świece, polana do kominków, tłuste kielbaski z rusztu, czekoladowe kalendarze adwentowe, sprzęt gospodarstwa domowego, grube skarpety z czystej wełny, pełnoziarniste racuszki jaglane i grzane wino. Przy budce z grzonym winem stanęliśmy. To znaczy ja stanęłam, a Georg natychmiast wydobył portmonetkę i zamówił dwa tekturowe kubeczki parującego, słodkiego wrzątku.

Kiedy tak staliśmy przy budce i z parującym oddechem chleptaliśmy parujące grzance, i przy tym na zmianę pociągaliśmy jednego papierosa, na wpół oparci o siebie, rozgrzani, w ciepłych czapkach, niemal chciałam spotkać jakichś znajomych, żeby widzieli moje szczęście.

Zwróciłam się do bliskiej, kochanej twarzy, świecącej czerwonym nosem z lekko wilgotnymi dziurkami nad kubkiem z grzonym winem.

- Dobrze ci? - i spojrzałam na niego promiennie.

- Cudownie, ukochana lwico.

- Chcesz teraz czegoś? - Dziecko, już znowu prowokujesz!

- Jestem absolutnie szczęśliwy. Nie pragnę niczego.

A co chciałaś usłyszeć, głupia gąsko? Propozycję małżeństwa?

Podsunał mi swój szorstki, ale zadbany palec wskazujący pod brodę i lekko uniósł moją twarz. Zadarłam wysoko nos, bo grzane wino mocno rozrzedziło jego zawartość.

- A ty? Chcesz czegoś?

- Bąka - powiedziałam spontanicznie. Jako dziecko dostałam kiedyś bąka na gwiazdkę; był duży, okrągły i kolorowy i można się było nad nim porządnie poznać, zanim zataczając się zaczął wirować w miejscu, wydając z siebie żarliwe chorały organowe. Jestem pewna, że niesamowicie kochałam mojego zielono - niebieskiego, pękatego bąka i z pewnością brałabym go do łóżka, gdyby ciocia Lili nie uważała tego za „takie niehigieniczne”. Kiedyś tam bąk pozostał na drodze mojego przemijającego dzieciństwa. Może w przystępie wspaniałomyślności podarowałam go chłopakowi z sąsiedztwa albo, co bardziej prawdopodobne, wymieniłam na coś do jedzenia.

W każdym razie Georg był zachwycony, postawił oba do połowy opróżnione tekturowe kubki na jakimś gzymsie i pociągnął mnie w kierunku budki z bąkami na drugim końcu placu.

Były, te fascynujące instrumenty, naprawdę jeszcze były. Upatrzyłam sobie jeden, najbardziej podobny do tego z moich wspomnień. Kolorowy niebiesko - zielony i brzuchaty.

Gruba sprzedawczyni w pomarańczowej kurtce z dzianiny zademonstrowała nam, jak działa, aż się spociła. Bąk wydał z siebie akord C - dur, po czym zrobił prostą kadencję; F - dur, G - dur, dominanta septymowa i znowu C - dur To wszystko. To tak fascynowało mnie w dzieciństwie. Kosztował szesnaście dziewięćdziesiąt i został zapakowany w plastikową torebkę. Uświadomiłam sobie, jaka jestem rozkapryszona i jakie mam skłonności do zmuszania mężczyzn w ogóle, a szczególnie Georga, żeby ślepo mnie słuchali, mnie czy, powiedzmy, mojego bąka. I gdy sobie to uświadomiłam, zapragnęłam znaleźć się w domu. Sama. Jak zwykle. Twarożek i blaszanka.

- Georg, jestem okropnie zmęczona.
- To jedziemy do domu!
- Ty, Georg...?
- Chcesz być sama, zgadza się? Pokazałam zęby. Już nawet to działało.
- Zgadza się.
- A więc odwiozę cię do domu i obiecuję, że nie pójde z tobą na górę.

W jego tureckim opłu, odprężona, rozparłam się w siedzeniu. Właściwie Georg nie był męczący. Przychodził i odchodził, kiedy przytknęło się palcami. Ani się nie obrażał, ani nie zrzędził, ani nie był zazdrosny. Łatwy w obsłudze, po prostu łatwy w obsłudze. Przechodzeni mężczyźni są zwykle łatwi w obsłudze, myślałam sobie. Niech ciocia Lilii spróbuje mi jeszcze coś powiedzieć na rozwiedzionych mężczyzn. Zaraz, zaraz, ten przecież wcale nie jest jeszcze rozwiedziony. A propos... postanowiłam dosypać trochę pikanterii do tego wieczoru i zagadać z nim o Frei.

- Georg?
- Tak, kochanie?
- Czy Freia coś ci wspominała?



- W związku z czym? - Nerwowe poszukiwanie zgniecionej paczki papierosów.

- W związku z pewną rozmową między paniami. - Dziecko, z pointą czekaj zawsze do samego końca!

- Masz na myśli... - walka z zapalniczką.

- Tak, mam na myśli. - Z rozkoszą obserwowałam go z boku. Z trudem koncentrował się na wjeździe na autostradę Północ - Południe.

- No więc mówiła mi, że rozmawiała z tobą, jakiś czas temu.

- Tak.

- Nie rozmawiała?

- Rozmawiała. Odwiedziła mnie. Opel gwałtownie zmienił pas.

- Odwiedziła? Gdzie?

- No, u mnie, w domu. Nie zauważyłeś tych niebieskich kwiatków obok twoich róż?

- Ach, myślałem, że to od twojego psychiatry. - Wydawał się ucieszony.

- Nie, od psychiatry jest ten olbrzymi bukiet, który stoi w kuchni w wiadrze, pod zlewem.

Uśmiechnął się. W zazwyczaj bezradnym, speszonym uśmiechu był ledwo dostrzegalny odcień pyszałkowatości.

- A więc Freia była u ciebie, z kwiatami - podjął wątek.

- Tak. Akurat odbywałam popołudniową drzemkę. Na wpół naga potoczyłam się do drzwi i byłam lekko nieprzytomna...

- Jakże zazdroszczę Frei!

Ten niewiarygodny urok! A ja akurat się nad nim znęcałam!

- No więc przy twojej żonie raczej nie sprawiałam wrażenia miss świata.

- A jak wytłumaczyła najście?

- Najpierw myślałam, że przyszła przetrzepać mi skórę, że jej mąż szlaja się z czymś takim jak ja, ale potem powoli zrozumiałam, że... że właściwie nie ma nic przeciwko temu, to znaczy... wydawała się nawet zadowolona z naszych kontaktów...

Georg gwałtownie zjechał na nieczynną stację benzynową i wyłączył silnik. Chwilę patrzył na mnie przenikliwie, zaciągając się, po czym, uważnie obserwując klamkę w prawych drzwiach opla, oznajmił:

- Freia dała mi wolną rękę. Zachowałam wyczekujące milczenie.

- Chciałaby, żebyśmy się możliwie jak najprędzej rozwiedli, żebym mógł wejść w inny związek.

Jego spojrzenie prześliznęło się z klamki na wycieraczkę. Ja też popatrzyłam na wycieraczkę. W końcu nastąpiło to, na co czekałam, mianowicie propozycja małżeństwa. Kręciłam za ciasnym pierścieniem z wygrawerowaną „Cecylią”. Gdybyś wiedział... No i stukało mi serce.

- Nie chciałbym, żebyś odpowiadała od razu - powiedział Georg i przeniósł wzrok na moje kolano. - Proszę, zastanów się kilka godzin lub kilka dni, czy możesz odpowiedzieć mi tak. Jedno powinnaś wiedzieć: wszystko omówiłem z Freią i ona chce ze względu na mnie, żebyś odpowiedziała tak, ponieważ chcemy rozejść się jak dobrzy przyjaciele...

Próbowałam spojrzeć mu w oczy, które właśnie oderwały się od plamy po twarózkę na moim kolanie i szukały nowego punktu oparcia. Wybrały plastikową torbę z bakiem.

- A więc, jak powiedziałem, nie musisz i w żadnym wypadku nie powinnaś odpowiadać od razu, ale chciałbym cię zapytać, teraz i tutaj, czy... czy ty... Wiem, że jestem o wiele starszy od ciebie, ty jesteś młoda i świeża, i mogłabyś na każdym palcu... - Jego oczy wędrowały od plastikowej torby do mojej twarzy. Zapewne patrzył mi teraz w oczy. - Nie

odpowiadaj - powiedział jasno i zdecydowanie. - Chciałbym się z tobą ożenić.

Zrobiłam, jak kazał. Nie odpowiedziałam. Chociaż oczekiwałam tych oświadczeń, ba, wydusiłam je z niego w swojej próżności i żądzy przeżyć, moje serce szalało, powieki zacisnęły się, a język zamienił się w podeszwę. Ale nie powiedziałam nic. Moja gotowość bojowa wyjątkowo nie dopisała.

Gapiałam się na schówek na rękawiczki i najchętniej bym trochę popłakała, ale nawet to mi się nie udało. Nie zdołałam wykrzesać z siebie choćby jako tako scenicznej reakcji. Nie byłam w stanie spojrzeć na niego oczami pełnymi łez, a cóż dopiero krzyknąć: „Tak, najdroższy!” i rzucić się w kierunku siedzenia kierowcy. Byłam w stanie tylko głupio wpatrywać się w schówek na rękawiczki. I było mi niedobrze. Okropnie niedobrze.

- Jesteś blada, moja ukochana - powiedział Georg i przycisnął mi do policzka swoją skórzana rękawiczkę, mocno pachnącą zimnym dymem z papierosa. Chwyciłam rękawiczkę i w przypiływie niemożliwych do określenia uczuć zagłębiłam w niej twarz, i pomyślałam, że skoro jestem blada, to może przynajmniej nie mam na twarzy histerycznych wypieków.

Wolną ręką Georg zapuścił silnik i ruszył dalej. Zaczęła się mżawka i wycieraczki wydawały z siebie żalosne odgłosy, rozprowadzając równomiernie mokry brud po szybie. Cały czas trzymałam zadymioną rękawiczkę i tkwiącą w niej rękę, bo biegi zmienialiśmy wspólnie. Jechaliśmy do domu w całkowitym milczeniu. Nie było już zresztą daleko. Na czerwonych światłach zauważyłam, że mżawka przeszła w mokry śnieg, którego płatki utrzymywały się nawet przez pewien czas na szynach tramwajowych. Zanim się roztopiły.

Przez błotnistą pluchę człapał wielki, kudłaty pies.

A więc Georg chce się ze mną ożenić. No, no.

Pod moim domem jeszcze raz wyłączył silnik.

- Georg, ja...

- Wiem, najdroższa. Zostawię cię teraz samą. Musisz się zastanowić. Zadzwoń do ciebie jutro, jeśli pozwolisz.

Puściłam jego rękawiczkę, przechyliłam się i pocałowałam go w obie powieki. Po czym popędziłam, jakby biegł za mną ten człapiący, kudłaty pies. Po kilku sekundach stałam sapiąc w moim małym stęchłym przedpokoju i przemawiałam do swojego rozczochranego odbicia w lustrze: Chce się ze mną ożenić. On naprawdę chce się ze mną ożenić. Właściwie zasłużył sobie na to. Sam jest sobie winien. Właściwie należałoby za karę wyjść za niego. Uśmiechnęłam się pokazując zęby, ale zaraz odwróciłam się, nie mogąc ścierpieć swojego odbicia. Sam sobie winien, głupi Heini, mruczałam pod nosem, urażona. Z dołu dobiegały odgłosy uruchamianego opla. Wychyliłam się z okna w kuchni. Jechał, turecki opel, a w nim ten niepoprawny marzyciel, który z całą powagą. - ..Z czymś takim jak ja... On po prostu nie wie, o czym mówi - powiedziałam, trafiając dokładnie w ton cioci Lilli. - Tak czy inaczej do ślubu potrzebne są dwie osoby - obruszyłam się i zamknęłam okno. W dole, na ulicy śnieg powoli zasypywał ślady opon.

## Rozdział XXI

Nazajutrz od samego rana byłam w podłym nastroju. Z wściekłością wczłapałam w futerkowych pantoflach do łazienki, przeklinałam półgłosem z ustami pełnymi piany od pasty do zębów, pod prysznicem maltretowałam sobie skórę drucianą szczotką do masażu. Gniewnie, pełnymi łyżkami jadłam twarożek, głośno i nieprzyzwoicie chłeptałam kawę. Ożenić się. Ze mną. Co za kompletna bzdura. Wlepiałam wzrok w telefon. Nie waż się drgnąć. Jeśli zadzwonisz, obrzucę cię twarożkiem. Ukochana lwico, jak brzmi twoja odpowiedź?

Zadzwonił. Nie rzuciłam twarożkiem. Postanowiłam, że wyjdę za Georga, i podniosłam słuchawkę.

- Czy ma już pani zajęty dzisiejszy wieczór? Zupełnie obcy męski głos.

- Można spytać, o co chodzi? - Ciocia Lilii nie byłaby w stanie wykonać tego bardziej niełaskawie. Czasem mówiła w ten sposób do świadków Jehowy. Chociaż dokładnie wiedziała, o co chodzi.

- Proszę wybaczyć, że niepokoję panią tak z rana. Polecono mi panią. Chodzi o zastępstwo... - Możesz mnie spokojnie zaangażować. Przynajmniej nie będę musiała dzisiaj za nikogo wychodzić.

- Zna pani „Kantatę na Boże Narodzenie” Telemanna... - Określił ją dokładnie i dość fałszywie zanucił początek. Nie poznałam melodii, ale oczywiście powiedziałam, że już nieraz śpiewałam ten utwór i że nie ma problemu.

- Ale jeszcze byłby problem z honorarium...

Chłopczyku, pomyślałam, jeśli ja mogę wskoczyć na to zastępstwo, to ty możesz zabulić. Tylko mi teraz nie mów, że ta inna alcistka zaśpiewałaby za darmo, ale ona wszak należy do parafii: to właśnie powiedział. Że to jego szwagierka i że

śpiewałaby za darmo, i tak śpiewa zawsze w chórze kościelnym...

Uznałam, że facet jest po prostu bezczelny, ale powiedziałam, że o honorarium można przecież porozmawiać.

Zaproponował mi bardzo niewiele. Wzięłam głęboki oddech.

Cały dzień uczyć się nowego kawałka, koło południa pojechać do Hagen - Knispel - gdzie to w ogóle jest? Jazda, próba, jeszcze jedna próba, potem koncert i wieczorem znów jazda do domu, - za takie nędzne grosze. A wszystko dlatego, że szwagierka miała katar. A może nagle dostała stracha.

- A co się stało z pańską szwagierką? - spytałam niedyskretnie.

- Jeśli mogę być z panią zupełnie szczery - sączyło się ze słuchawki.

Poufnie wtuliłam w nią ucho, oczekując czegoś, o czym się nie mówi, co może powiedzieć najwyżej kobieta kobiecie, na przykład: jest niedysponowana, albo: ma uderzenia krwi do głowy z powodu klimakterium.

- A więc proszę tego źle nie zrozumieć - powiedział głos z HagenKnispel. - Dostała znacznie lepszą propozycję, od jednego dyrygenta, który ją niedawno przesłuchiwał. Koncert w większej sali. Bardzo wysokie honorarium...

Wymieniłam sumę.

- Nie, nie, chyba nawet więcej, ale zdaje się, że nie powinienem był pani tego mówić...

- Tyle za Telemanna - powiedziałam. W Hagen - Knispel zapadła cisza.

Po chwili:

- Nie powinienem był pani tego mówić...

- Och, skądże - powiedziałam słodko. - Bardzo się cieszę ze względu na pana szwagierkę. Ale... - po prostu zabrakło mi słów. Miałam powiedzieć, że to jeszcze nie powód, żebym

dała się wykorzystać jakiemuś zupełnie obcemu kapelmistrzowi? Na dziesięć dni przed Bożym Narodzeniem. Niech pan się cieszy, człowieku, że w ogóle znalazł pan jakąś, która umie czytać nuty i ma dziś wolny wieczór. Co pan sobie wyobraża, panie pędruku z Hagen - Knispel?

Uznałam, że lepiej przesłać po przewodzie trzy myślniki i uprzejmie się przymknąć.

Wreszcie się odezwał. Wyglądało na to, że pomyślał o rachunku za telefon. Powiedział, że dostanę te pieniądze i że oczekuje mnie około południa na próbie, około popołudnia powinnam być gotowa na próbę akustyczną w kościele, później dojdzie chór, arie Telemanna są przetykane wejściami chóru, koło osiemnastej planuje „generalne przejście” i o dwudziestej jest koncert.

Oznajmiłam mu, że do czternastej jestem zajęta w radiu (tego, że śpiewam w chórkach, nie powiedziałam), ale że potem wskoczę w samochód i koło piętnastej mogę być u niego.

Bardzo wyczerpująco opisał mi drogę po autostradzie i przez centrum Hagen - Knispel i odłożył słuchawkę.

Świnia, skomentowałam głośno i poszłam do szafy, żeby spakować w plastikową torbę mój zwykły zestaw koncertowy. Nuty, buty, suknia, kryminał, pastylki odświeżające, plan miasta. Następnie nastawiłam automatyczną sekretarkę, zaśpiewałam pięć gam w prestissimo i pognałam do tramwaju.

W przerwie próby chórków kupiłam pośpiesznie tego Telemanna i zaczęłam go kartkować. Aha, mezzosopran, jest. „Maryja rzewna nad żłóbkiem”. Cóż za wskazówka inscenizacyjna! Utwór był długi, na osiem stron nie licząc da capo, i najwyraźniej składał się z samych sążnistych koloratur, najczęściej wokół wysokiego „f. Zrobiło mi się rzewnienie. Miałam się z tym uporać do piętnastej po południu? Oj, będzie rzewnienie. Czy raczej żałość. A może bezczelnie. A jaka byłam impertynencka wobec tego faceta. Gdybym nawaliła - a

to nie wydawało się nieprawdopodobne - byłaby to katastrofa. Może zażąda zwrotu ustalonej sumy albo od razu pójdzie do adwokata... Zrobiło mi się gorąco, choć do klimakterium miałam jeszcze trochę czasu, i gorzko żałowałam swojej porannej beczelności.

Na szczęście skończyliśmy w porę, i oto siedziałam w domu i wystukiwałam sobie rzewne tony na moim rozstrojonym Engelbercie. Abstrahując od wysokiego rejestru, utwór nie był nieprzejrzysty, z punktu widzenia czysto harmonicznego. Odzyskałam równowagę. Jak na HagenKnispel to zupełnie wystarczy - próbowałam znów wywabić z kąta mojego zbitego z tropu potwora. Potwór dąsał się jeszcze. Gdy chciałam wsiąść do samochodu, zauważyłam zwartą pokrywę śniegu na ulicy. Mój VW wyglądał wprawdzie uroczo pod czapą śniegu, przypomniał mi jednak, że zachowałam się bardzo po kobiecemu w kwestii opon zimowych. A więc Deutsche Bundesbahn, głupia sprawa! Nerwowo zamówiłam taksówkę, kazałam zawieźć się na dworzec i z wywieszonym językiem wsiadłam w pociąg do Dortmundu przez Hagen. W przedziale ćwiczylam rzewną Maryję.

Wszedł jakiś młody człowiek. Uśmiechnęłam się szeroko. Tak właśnie zaczęło się z psychiatrą.

- Czy to nuty?

- Nie, rozkład jazdy w języku południowonepalskim.

Tym razem nie mogłam sobie pozwolić nawet na minutę smali talk. Na szczęście młody człowiek już o nic mnie nie pytał. Wyciągnął zaczytaną książkę pod tytułem: „Kropla czasu. Rozważania o końcu świata” czy coś w tym rodzaju.

Dziesięć po trzeciej przyjechałam taksówką do kapelmistrza w Knispel. Ulice pokrywała gruba warstwa śniegu. Czułam się mamie, bo byłam źle rozśpiewana i jeszcze gorzej przygotowana. Gdybym choć nie cenila się tak przez



telefon! A wszystko tylko po to, żeby zająć się dzisiaj czymś innym niż rozmyślanie o Georgu i jego propozycji! Typowa ucieczka do przodu. Prosto w upadek. Czy jak to było w tytule tej rozpadającej się książki?

Krótko mówiąc, było arcynieprzyjemnie. Dyrygent okazał się chudym, łysym, pozbawionym poczucia humoru zjadaczem musli, jego żona usłużnie biegała wokół niego, podawała mu nuty, kamerton, pantofle i papierosy.

Bezlitośnie stukał w klawisze swojego Steinwaya, zdobiącego ponurą pozbawioną jakichkolwiek ozdób, nie ogrzewaną pracownię. Śpiewałam eterycznie, głos miałam zasmarkany i drżący. Maryja zasmarkana - i - drżąca nad żłóbką. Ani nie zaproponowano mi kawy, ani nie pozwolono zaśpiewać przedtem kilku dźwięków.

- Sądzę, że jest pani rozśpiewana po nagraniach radiowych przed południem - powiedział bezlitośnie dyrygent.  
- Poza tym była mowa o piętnastej, a pani jeszcze się spóźniła. Pomijając to wszystko, wydaje się że niezbyt dobrze opanowała pani ten utwór. Przecież mówiła mi pani rano, że pani go zna!

- Zdawało mi się, że znam, jak pan zanucił - zaproponowałam trwożnie.

- Szczerze mówiąc to mi się jeszcze nie zdarzyło, żeby ktoś żądał takiego honorarium, a potem nie umiał swojego kawałka - grzmiał chudzielec kręcąc głową i gniewnie zaciągając się dymem z papierosa.

Do zimnego pokoju weszła pokornie jego żona i zameldowała, że kościół jest już otwarty.

- To nam nic nie da - parsknął jej miły ślubny. - - Czego tu nie potrafi, nie będzie umiała i w kościele.

Resztkami sił powstrzymując się od wycia powiedziałam:

- Miałam cztery godziny nagrań w radiu, nie miałam czasu zjeść obiadu, przyjechałam pociągiem i nie mogłam

lepiej wyćwiczyć tego utworu. Jeśli da mi pan teraz pół godziny, potem na próbie będę O.K.

Kobieta spojrzała na niego błagalnie. - Herbert!?

Rozgniółł peta w przepelnionej popielniczce na fortepianie.

- Chyba nie pozostaje mi nic innego jak pozostawić tu zarozumiałą damę samą - zagrzmiał i wraz z żoną zrobił w tył zwrot. Ta posłała mi jeszcze spojrzenie pełne wyrzutu. Jak mogłam tak rozgniewać jej Herberta!

Opadłam na taboret przy fortepianie. Ale sobie nawarzyłam piwa. Przez te bezsensowne puste przechwałki siedzę teraz tutaj sama, przerażająco sama, wydana na pastwę tego chudego kłótnika. Muszę znosić tego faceta jeszcze przez całe siedem godzin i w dodatku siedzieć cicho, bo on ma rację. I do pełni szczęścia muszę jeszcze w takich warunkach śpiewać trudne, długie, wysokie koloratury. Z da capo. Nie dam rady. Nie mogę. Georg, jedziemy. Klaus, zabierz mnie stąd. Georg, weź mnie w ramiona, pogłaszcz po włosach i powiedz mi, że jestem cudowną lwicą. Klaus, zaproś mnie po pańsku do restauracji, pięć dań i szampan, i powiedz temu facetowi od Chóru Despotów z Knispel, co może sobie zrobić ze swoją forszą.

Czy nikt mnie nie wysłucha? Podobnie musiał się czuć Papageno w „Czarodziejskim flecie”. Niedobrze, oj niedobrze. I mdło. Jak tamten konstruktywnie zareagował? Ach tak, chciał się powiesić, ale towarzysząca temu aria zajęła mu tyle czasu, że ci trzej młodzieńcy zdążyli zwindować się ze scenicznego nieba w koszu na bieliznę i w porę przeciąć mu linę. Choć z serca życzyłabym dyrygentowi widoku moich zwłok - nie było ani liny, ani kosza na bieliznę z trzema młodzieńcami. Był tylko czarny fortepian, okropnie śmierdzący petami, zimne, skąpo wyposażone pomieszczenie i moje rzewne nuty.

Mężnie przystąpiłam do gamy D - dur. W pustym pomieszczeniu zabrzmiała beznadziejnie i ociężale. Uznałam tę D - dur za szkaradną. Es - dur niestety nie poszła lepiej. AE - dur wyszła po prostu przeraźliwie. Nie ten poziom. Nawet jak na Knispel. Zupełnie nie do przyjęcia za takie pieniądze. Znow opadłam na stołek przy fortepianie. Mój głos chciał raczej płakać niż śpiewać. Potwór leżał zwinięty w kłębek w swojej potworzej budzie i odmawiał wykonywania jakichkolwiek poleceń. Spróbowałam wywabić go słowami zachęty. Dalej, naprzód, głowa do góry! Ale on leżał na ziemi i patrzył zgryźliwie. Spróbowałam surowości. Ty bezwstydnny kundlu! Do roboty, masz mi tu zaraz śpiewać! Kundel skulił pod siebie ogon i odmówił jakiegokolwiek reakcji. Spróbowałam delikatności. Biedne, czarne kundlisko! Pogłaskałam go po potarganych kudłach. Biedny mały samotny potworek! Nikt cię nie kocha, taka paskudna zima, nie masz tu żadnego wianka adwentowego, wciąż tylko śpiewać, wciąż śmiać się, nigdy nie wolno zrobić żadnego błędu, i w domu nikt na ciebie nie czeka, no chodź, biedactwo, popłacz sobie!

I popłynęły rzęsiste łzy żalu nad sobą. Mój potwór zwinął się w kłębek i wył wniebogłosy. Moje życie wewnętrzne. Zewnętrznie kapało mi z oczu, po policzkach w dół, na klawisze (Zmarzłe krople kapią z mych policzków... „Podróż zimowa”. Schubert.)

Podbródek mi drżał, powieki obrzmiały, przeraźliwie bolała mnie krtań, zimny, pusty pokój rozplynał się. Tak strasznie tęskniłam do Georga, że z miejsca wyszłabym za niego, tu, od razu. W kościele w Knispel. Wspierałby mnie w tej walce z niesprawiedliwym światem w ogólności i z tym chudym dyrygentem w szczególności. Wyprowadziłby mnie pod rękę z tej okropnej, zimnej, pustej pracowni muzycznej, powędrowałby ze mną po ulicach Hagen - Knispel i

powiedział, że jestem cudowna. Albo Klaus. Ten dobyłby siedemset marek, rzucił chudzielcowi na fortepian i odjechałby ze mną swoim czerwonym BMW. Do najbliższej japońskiej restauracji.

Nic z tych rzeczy. Naga rzeczywistość: rzewna Maryja. Kilka razy przełknęłam ślinę opuchniętą krtanią i wytarłam sobie nos. Mi, mi, mi, powiedziałam niepewnie do rozłożonej chusteczki higienicznej. Mój potwór wstał na chwiejnych nogach, otrząsnął się, wzbijając wilgotną chmurę łez, autowspółczucia i kurzu. Po czym ostrożnie wywlókł się ze swojej budy.

## Rozdział XXII

Kościół nie był wypełniony nawet w połowie. Chór parafialny - babcie: białe bluzki na weszbranych pragnieniem śpiewu biustach, panowie, raczej nieliczni: czarne garnitury i srebrzyste krawaty - stanowił przynajmniej trzecią część wszystkich zgromadzonych. Poza tym był jeszcze zespół fletów, prowadzony przez wiosłującą z zapalem damę w późnym wieku średnim, chór dziecięcy (onieśmielone buzie nad niewygodnymi, za ciasnymi kołnierzykami, chropowate południowowestfalskie hallelujah) i młoda, ładna sopranistka, która bardzo obiecująco i z talentem śpiewała „Jezusie, moja słodka radości”. Jak zdołałam się dowiedzieć, również należała do wspólnoty parafialnej i śpiewała nie za honorarium, lecz na większą chwałę Bogu. Szczerze ją podziwiałam. Była urzekająco miła, subtelna szczupła, delikatna. Jej suknię cechowała skromna elegancja, jej nuty były schludnie opracowane, a głos dobrze naoliwiony. Ani nie przesadzała z wibrato, ani nie skrzypiała, ani nie piszczała w najwyższym rejestrze. Śpiewała po prostu pięknie. A ja miałam stanowić jej absolutne przeciwieństwo. Na domiar złego była jeszcze uprzejma i uczynna. Czułam się stara, nędzna i brzydka.

Koncert rozpoczęło niepotrzebne przemówienie proboszcza, poświęcone między innymi bezinteresownemu zastępstwu alcistki z K. Życzliwe spojrzenia z drewnianych ławek. Patrzyłam na zagniecione linie mojej zmiętej sukni. Następnie zażywna flecistka zaintonowała na organach coś do wspólnego śpiewu, a knispelska publiczność zaszeleściła kartkami z tekstem, po czym zaśpiewała, fałszywie, ale z zapalem, „Maryja przeszła przez ciernistą drogę” i "Co Maryja pod swym sercem miała? Dziecinę, co w łonie jej spała". Uznałam, że był to udany wstęp do miłego wieczoru. Następnie zespół fletów zademonstrował, na ile możliwości

można chybić dźwięk, usiłując dostroić się do wspólnej tonacji. Zażywna czterdziestopięciolatka miała dość czasu, by pokręcić każdym fletem, uważnie posłuchać rezultatów swoich usiłowań, a w niektórych przypadkach samej wyczarować wibrujący ton z naimpregnowanych śliną instrumentów. Publiczność przyglądała się z zainteresowaniem. Mieli czas. Nie śpieszyło im się. Na dworze nieprzerwanie padał śnieg, w telewizji też nie było niczego ciekawego.

Myślałam o ostatnim pociągu dwudziesta trzecia dwadzieścia trzy i o rzewnej Maryi u żółbka z mnóstwem wysokich „f”. Ale najwięcej myślałam o Georgu i Klausie. O Klausie w szczególności. Od powrotu z Ulm nie zgłosił się. Trzy twarózkowe śniadania bez jego telefonu. Czyżby się obraził? I dlaczego nie pojawił się tutaj? To chyba dla niego nie problem, zadzwonić do Informacji Kulturalnej i spytać, gdzie występuję dziś wieczorem? No tak, trochę musi potelefonować, żeby dojść, że to właśnie Knispel. Albo wysłać prywatnych detektywów na wszystkie koncerty świąteczne w całej Nadrenii Północnej - Westfalii. Byłam pewna, że jeszcze się pojawi. Otworzą się drzwi i wsunie się duża, silna postać w skórzanym płaszczu, zbrojna w aparat fotograficzny, kamerę wideo i bukiet kwiatów. Byłam o to zupełnie spokojna. Odkąd go znałam, nie było jeszcze koncertu bez niego. Przyjdzie. Choćby na sam akord końcowy. A Georg? Czy nie siedzi już od dawna w ostatnim rzędzie, w skupieniu pochylony do przodu, z ręką przy ustach? Może tym razem usiadł na chórze, przy organach, żeby mnie nie przestraszyć. Na pewno tam siedzi. Dyskretnie się odwróciłam. Poza wypomadowaną głową chudego dyrygenta nie zauważyłam na chórze żadnej innej głowy. Ale Georg gdzieś tu jest. Czułam to fizycznie. Przecież już od tygodni nie

odbył się ani jeden koncert bez Georga. Byłam zupełnie spokojna.

Gdy mój rzewny kawałek był coraz bliżej i nie namierzyłam wśród knispelskiej publiczności ani Georga, ani Klause, nagle okropnie się zdenerwowałam. Serce zaczęło mi bić jak szalone, głos zagubił się wśród niekontrolowanych odruchów przełykania śliny, wyszło mi w gardle. Było mi okropnie niedobrze, poza tym mocno i nieustępliwie dała się odczuć pewna pilna potrzeba. Nie później, nie po koncercie. Musiałam teraz, natychmiast, i to bardzo musiałam. Już. Natychmiast. Gdzie jest kibel? Ach tak, trzeba wyjść bocznymi drzwiami, przejść przez zaśnieżone podwórko kościelne i koło nie oświetlonego baraku w dół po schodach. Drugie żelazne drzwi po lewej. Skontrolowałam program. Jeszcze dwa utwory na flety i jedna wspólna pieśń. Około siedmiu minut. Muszę zaryzykować. Muszę. Potrzeba naturalna, drodzy parafianie. Prosimy o zrozumienie, bezinteresownie i spontanicznie przybyła alcistka musi załatwić w domu parafialnym potrzebę naturalną. I to zaraz. W przeciwnym razie nic nie wyjdzie z rzewnej Maryi. W przeciwnym razie zaśpiewam na siedząco. Wie pan, tak, pan, tu w przodzie, w drugim rzędzie, jak to jest, kiedy się musi, i dwieście osób wpatruje się w człowieka i nie można wyjść? Kiedy w wieczorowej sukni z drżącymi kolanami trzeba na oczach wszystkich honorowo opuścić zgromadzenie? Nie. Nie ma pan pojęcia. Pan chadza na kibel zawsze z rana po śniadaniu, z gazetą. Dla pana to przyjemny obyczaj. A ja tu cierpię. Fizycznie i duchowo. Pokutuję za moje grzechy ostatnich dni, może nawet tygodni. Czy pan to rozumie, człowieku? Nie. Pan znudzony przegląda „Wiadomości Parafialne”. Pewnie pana żona śpiewa tu w chórze kościelnym? A może to pański wnuczek piszczy na flecie tę

etiudę na zaśliniony ustnik w szajs - moll? A propos. Ja muszę. Muszę bezwzględnie i natychmiast.

Jeszcze sześć minut do rzewnej Maryi. Udręczona poruszyłam się na krześle. Przesunęłam się w jedną i w drugą stronę. Nie. Nic z tego. Wykluczone. Rzewna Maryja dostanie zawału serca. Krew ją zaleje, uderzy do głowy i poleje się po twarzy.

Czy skrzypek z tyłu na skos złapie mnie, kiedy padnę bez zmysłów? Klaus!! Kiedy wreszcie przyjdiesz z tym swoim przeklętym magnetofonem! Potrzebna jest pierwsza pomoc, rzewna Maryja padnie bez zmysłów!

Kłopot polegał na tym, że nie padłam. Przeżywałam wszystko w pełni świadomości. Musieć musieć, kiedy człowiekowi nie wolno, czuć się okropnie i na dodatek zaraz musieć śpiewać trudne koloratury. Jeszcze pięć i pół minuty. Nagle wstałam. Zakręciło mi się w głowie, zatoczyłam się lekko. Zespół fletów akurat znów ślinił ustniki. Zdziwione spojrzenie zatopionej w myślach sopranistki.

- Niedobrze mi.
- O kurczę.
- Wiesz, jak się dostać do ubikacji? Szepty w chórze.
- Alcistce jest niedobrze!
- Ma ktoś klucz od ubikacji? - Nikt nie miał klucza do ubikacji. Publiczność przestała się nudzić. Zespół fletów zaczął emitować zupełnie nieprawdopodobne fałsze.
- Gdzie jest kościelny?
- Po co kościelny? Aha, powinien mieć klucz?

Grymasy w orkiestrze. Wytoczyłam się na zewnątrz. Po prostu.

Przed nosem elity kulturalnej Knispel. Na dwór. Na świeże powietrze. Na kibel. Obojętne gdzie. Zadzierając suknię przebrnęłam przez wysoki śnieg i przebiegłam przez ulicę. Było tam jakieś osiedle mieszkaniowe. Pod latarnią



tańczyły płatki śniegu. Zaparkowane samochody pokrywała już gruba warstwa. Nie było ani czerwonego BMW, ani tureckiego opla. Parcie na mój tylny otwór stało się nie do zniesienia. Jak biec po śniegu w wieczorowej sukni jednocześnie ściskając pośladki? Razem ze mną biegł mój sapiący oddech w postaci kłębków białej pary.

Fritz - Hauser - Weg pięć. Tu pali się światło. Ktoś ogląda telewizję. W pokoju drgało blade światło czarno - białego odbiornika. Zadzwoiłam, przynajmniej trzykrotnie, raz po raz. Człapiące kroki. Zalękniony kobiecy głos:

- Kto tam?!

- Czy mogłabym skorzystać z pani toalety! - zasapałam do drzwi.

- Co? Teraz, o tej porze? - odpowiedział głos.

- Przepraszam panią, to pilne - zajęczałam. Prawie siedziałam na schodkach. Siedzenie przynosi ulgę. Jeszcze cztery minuty. Albo trzy. Maryja rzewnie... B - dur.

- Nie, nie. Każdy mógłby tak przyjść. Niech pani pójdzie do szaletu. Nie, nie, nie ma męża, nie dam się nabrać na takie numery. Różne rzeczy się dzieją. Właśnie znowu pokazywali w telewizji. Nie, nie, proszę pani, każdy mógłby tak przyjść. - Głos oddalał się. W telewizorze właśnie rozległ się strzał i ktoś zawrócił konia.

Pobiegłam do następnej szeregówki. Ciemno. Dalej! Numer dziewięć. Otworzył starszy pan.

- Przepraszam, czy mogłabym skorzystać z państwa toalety?

- Ależ w każdej chwili, piękna panienko. - Poczłapał przede mną przez sień i otworzył mi drzwi do łazienki.

- No no, zdaje się, że to pilne. Szaleństwa, co? A gdzie to dziś wieczorem takie święto?

- W kościele - zawołałam. Zatrzasnęłam uprzejmemu posiadaczowi kibla drzwi przed nosem i w ciągu około

trzydziestu czterech sekund przeżywałam największą rozkosz tego świata. Wypadłam z łazienki, krzyknęłam: - Dziękuję - w kierunku salonu i zdążyłam jeszcze potknąć się o budę dla psa.

- Spokojnie, panienko, na dworze jest ślisko - zawołał za mną mój wybawca. - Nie tak szybko! Na pewno pani zdąży!

Zmuszałam się, żeby nie biec. Lepiej przyjść za późno, ale ze spokojnym oddechem. Z zadyszka nie da się śpiewać. To grozi uduszeniem. Szłam niemal spacerkiem. Nogi mi zamarzały. Musiało być z dziesięć stopni poniżej zera. Mim mim mim, spróbowałam ostrożnie. Ze środka rozbrzmiewał wspólny śpiew. Potem była moja kolej. Aha. Jeszcze jedna zwrotka. Otworzyłam drzwi, ze spojrzeniem pełnym godności i ulgą w kiszce kroczyłam z powrotem w kierunku orkiestry. Wypomadowany dyrygent patrzył z zaciśniętymi wargami w swoje nuty. Dwóch skrzypków wyszczerzyło zęby. Ułga w chórze, szepty.

- Aha. Już jest. Lepiej?

- Znacznie lepiej.

- Teraz znów ma kolory na twarzy. Koniec wspólnego śpiewu.

Szuranie nóg w chórze, rzewne strojenie skrzypek. Dyrygent nie zaszczycił mnie spojrzeniem. Przygrywka. Odchrząknęłam nerwowo i przestąpiłam z nogi na nogę. W najwyższej koncentracji liczyłam takty. Jeszcze cztery, jeszcze trzy, jeszcze dwa. Tak. Nabrać powietrza. Oprzeć się, kobieto! Wszystkie twarze, absolutnie wszystkie, skierowały się na mnie. Nareszcie coś się dzieje! Raz wreszcie zrobiło się komuś niedobrze! Widocznie okropnie nerwowa, biedactwo, haha!

Wkroczyłam. „Słohohodkihi młodzieniahahaszku...” Fraza bez końca! Muszę wziąć oddech! Powietrza! Pękam! Przy „mihihilehego wyhyhyglohądu” zaskoczył mnie odruch przełykania śliny. Zabrzmiało to jak „mihihilehego wa...du”.

Kurczowo zacisnęły mi się powieki. Trzy takty interludium. O, sądna godzino grozy! Oddychać, głęboko, i dalej. „Mahahatka w głębohokim bóhólu z rahadością w sehercuhu...” Nawet przedniojęzykowe R, odróżniające prawdziwych śpiewaków od dyletantów, nie chciało wytoczyć mi się nad dolną wargą. Niewypał. Klęska na całej linii. Złe spojrzenie z kościstego oblicza dyrygenta. Da capo. Ale piano, jak uzgodnione! Niestety, nie byłam w stanie śpiewać piano. Głośniej jest łatwiej. Mój oddech wciąż się jeszcze nie uspokoił. Im bardziej usiłowałam zapanować nad przeponą, tym bardziej brakowało mi powietrza. Bardzo zdenerwowana Maryja, zdyszana, jakby właśnie wróciła z biegu po zdrowie. A wysokie tony! Po prostu markowałam je. Jak na próbie. Tak, jakbym nie chciała ich w tej chwili śpiewać, żeby oszczędzić głos. A ja po prostu nie mogłam. Byłam absolutnie wykończona. Żadnych rezerw. Głos zastrajkował. Nerwy zastrajkowały. Płuca zastrajkowały.

Recytatyw. Z uczuciem, ale nie rozwlekle. „O, słodki Jezu, ty...” Pomału brałam się w garść. Maryja, rzewnie nad żłóbkim. Śmiało, trochę dynamizmu. Przecież wszystko idzie dobrze. Nikt się nie roześmiał. Spróbowałam słodko się uśmiechnąć i nadać twarzy wyraz macierzyńskiego szczęścia. Jeszcze nie wszystko stracone. Uspokoić się. Przestać się trząść. Jakoś poszło. Trochę lepiej. Obie ostatnie arie wyszły jako tako, do przyjęcia. Siadając z powrotem na miejsce czułam się bezgranicznie pusta.

- Bardzo ładnie - szepnęła sopranistka i pogłaskała mnie po lodowatej, spoconej ręce. Zatrzasnąłam nuty i położyłam na ławce kościelnej. Bogu niech będą dzięki. Przetrwałam to. Przeżyłam. Za co ta kara? Bo przecież była to kara! Za moją lekkomyślność, za szpetotę mojej duszy, moją próżność i pychę. O tak, mój Boże, zasłużyłam na to. Bóg karze surowo, ale sprawiedliwie. Oko za oko, ząb za ząb.

Koncert dobiegł końca. Nie odważyłam się spojrzeć na nikogo. Ogarnięta wstydem, wpatrywałam się w kościelną posadzkę. Sopranistkę ściskano, poklepywano, całowano. Matka, ojciec, ciotka, wujek. Dyrygent potrząsał jej dłonią i także ją pocałował, w ucho. I jakiś młody człowiek wręczył jej kwiaty. Na mnie nikt nie patrzył. Byłam powietrzem. Brzydka, sama, źle zaśpiewała. Wstałam i zajęłam się swoimi rzeczami. Z przejęciem manipulowałam przy torebce. Zerkałam w pustoszejącą nawę kościoła. Gdzie Klaus? I Georg? Przynajmniej jeden z Wnich od dawna mógłby już tu być!

Orkiestra pakowała swój kram.

Zastanawiałam się, do kogo mogłabym zwrócić się w sprawie honorarium, żeby zaraz potem jak najprędzej się zmyć. Była za dwadzieścia jedenasta, a ja koniecznie musiałam złapać ostatni pociąg. Spytałam skrzypka, który nie wiedział, gdzie jest klucz od kibla.

- Honorarium? Nie wiem. Co on w ogóle wiedział? Spytałam jakąś mamuszkę z chóru.

- Honorarium? Myślałam, że wszyscy występują za darmo?

Poszłam dalej. Dyrygent konferował z oboistą. Śmiertelnie zmęczona dołączyłam do nich. Nie zaszczyił mnie nawet spojrzeniem, długo i obszernie rozwodząc się na temat knispelskiego środowiska kulturalnego.

- Ehm... - odezwałam się. Żadnej reakcji. - Przepraszam - powiedziałam nieco głośniej.

- Ktoś chce czegoś od pana - pośpieszył mi z pomocą oboista.

- Słucham? - Lodowate spojrzenie zmrużonych oczu.

- Chciałabym się pożegnać...

- Tak.

- Przykro mi, że tak kiepsko śpiewałam... Przełknęłam ślinę i popatrzyłam na sznurowadło. - Źle się poczułam. Naprawdę bardzo mi przykro. - Więcej przy najlepszej woli nie byłam w stanie z siebie wydobyć. Kluska w gardle znów nabrzmiała mi do niebezpiecznych rozmiarów.

- Mnie też przykro - powiedział chudzielec. - Ale pewne błędy popełnia się tylko raz - Odwrócił się i poszedł.

Oboista wzruszył ramionami.

- Nie bardzo chce z panią rozmawiać, co?

- I wcale tego nie ukrywa - odpowiedziałam drżącym głosem Mój potwór znów tarzał się w kałuży z żalu nad sobą.

- Mógłby mi pan powiedzieć, do kogo mogę się zwrócić w sprawie honorarium. - Zmusiłam się, żeby pomimo całej pokory i skruchy (spowiadałam się w pokorze i ze skruchą, ostatni raz u spowiedzi świętej byłam trzynaście albo piętnaście lat temu...) bronić swoich praw. Tej męki nie przeżywałam tu gratis.

- Niech pani zwróci się do dyrygenta - doradził mi błyskotliwie Heini - oboista. - Albo do jego żony.

Żona wydała mi się niezłym pomysłem. Znów biegała gorliwie wokół swojego Herberta, akurat zbierała składkę z koszyków przy wyjściach. Cztery koszyki, pełne monet i banknotów.

- Czy mogę zwrócić się do pani w sprawie honorarium? - Podkrađłam się od tyłu do wiernej małżonki.

- Hono... Herbert?!

Zostawiła mnie i podbiegła do męża. Ten ofuknął ją, syknął coś, a ona wtuliła głowę w ramiona, po czym zajęła się zbieraniem z ławek tekstów pieśni. Herbert nie zwracał na mnie uwagi. Zastanowiłam się, czy znam jakiegoś adwokata. Nie, oczywiście że nie znam. Mój potwór tarzał się w kałuży. Nie zostało mu już ani krzty godności.

Nie wyjdę stąd, dopóki nie dostanę swoich pieniędzy, powiedziałam do niego. Podniósł tylko z ociąganiem głowę i spojrzał na mnie wodnistymi, ponurymi oczami.

Dziecko, nie zasłużyłaś. Jaka praca, taka płaca. Zmykaj stąd i wstydź się.

Nie, obruszyłam się. Może się przydarzyć, że się źle zaśpiewa. Mimo to człowiek ma prawo do swojego honorarium.

Chętnie schowałabym się między ławki, najchętniej położyłabym się na marmurowej posadzce i umarła. Ale kościelny nie dopuścił. Pojawił się nagle, kompetentny kościelny z grubym pękiem kluczy.

- Zamykam kościół - zawołał ochryłym głosem. Też śpiewał w chórze?

- Do kogo mogłabym zwrócić się w sprawie honorarium?  
- spytałam go głosem konającego.

- W każdym razie nie do mnie - zwięzła, rzeczowa odpowiedź. Wypchnął mnie przed sobą i zamknął drzwi. I oto nagle znalazłam

się zupełnie sama na zaśnieżonej ulicy. Większości samochodów już nie było. Ostatni goście zegnali się głośno i serdecznie. Trzaskały drzwi samochodów.

Byłam sama. Bez jednego feniga honorarium. I dochodziła jedenasta. Budka telefoniczna. Taksówka. Gówno. Nie ma budki. Nie ma taksówki. Rewolucja w żołądku. Mój potwór płacze w kałuży, przeżuwając swój zakręcony ogon. Widziałam się już, jak leżę zamarznęta pod latarnią. Jutro rano znajdą mnie panowie z przedsiębiorstwa oczyszczania miasta, uznają za kupkę śmieci i wpakują do swojej śmieciarki.

„W Hagen - Knispel znaleziono zamarznęta na śmierć śpiewaczkę solistkę” - doniesie jutrzejsza prasa.

Z torbą koncertową i bez jednego kwiatka, wzgardzona i udręczona („Mesjasz”) powlokłam się na Fritz - Hauser - Weg pod numer dziewięć. Do uprzejmego właściciela kibla. Otworzył natychmiast i nie wydawał się specjalnie zaskoczony.

- No, już po party?

- Tak. Czy mogłabym od pana zatelefonować?

- Ależ w każdej chwili, piękna panienko. Życzy sobie pani też do łazienki?

- Nie, tym razem dziękuję - uśmiechnęłam się słabo.

- Oj, chyba nie było za wesoło, co?

Mężczyzna w szarej bonzurce poczłapał przodem. Znów potknęłam się o pustą budę. - Ostrożnie, panienko. Włóczęgi nie ma. Żony też. Niech pani wejdzie, wypije pani ze mną kieliszek! Zatelefonować jeszcze pani zdąży!

Słusznie. Na ostatni pociąg i tak już nie zdążę. Zanim przy tym śniegu przyjechałaby taksówka, zanim dowiozłaby mnie na dworzec, przyjechałby chyba poranny pociąg. Nagle okazało się, że mam mnóstwo czasu.

- Jakies zmartwienia? - zapytała szara bonzurka i wcisnęła mi w rękę kieliszek koniaku.

Bez słowa skinęłam głową, żeby nie zacząć wyć. Mój potwór skowycząc głośno pławił się teraz w bajorze żalu nad sobą. Nie było sensu nawet się do niego odzywać. Postanowiłam, że nigdy więcej nie wezmę go ze sobą.

Szary podsunął mi chusteczkę.

- Jakby pani potrzebowała na katar. No, to pani zdrowie. Ej, niechże się pani tak nie martwi, panienko.

Chętnie rzuciłabym się na tę szarą bonzurkę, wcisnęła twarz w szorstką wełnę i rozplakała się głośno. Ale ciocia Lili nigdy by na to nie pozwoliła. Ona też nie płakała ani nie pławiła się w żalu nad sobą. Dziecko, bądź uprzejma dla tego

pana, weź się w garść, wezwij taksówkę i nie narzucaj się, i podziękuj uprzejmie za koniak.

Przecisnęłam się między wersalką a stołem do telefonu i podniosłam słuchawkę. Sytuacja stała się nagle podobna do tej z Ulm. Znałam na pamięć oba numery, jakbym nigdy w życiu nie kręciła żadnego innego. Numer Georga i numer Klause.

Wykręciłam numer Klause. Aha, to nie jest automatyczna sekretarka. Mój potwór wyczołgał się z kałuży i patrzył na mnie wyczekująco, w każdej chwili gotów znów się zanurzyć.

Zgłosił się. To naprawdę był on. Jego głos. Jego kochany głos.

- Klaus Klett.

- Klaus - powiedziałałam - potrzebuję cię. Mam kłopoty!

- Gdzie jesteś?

Wyjaśniłam mu krótko, gdzie może mnie znaleźć.

- Masz nałożone zimowe opony?

- Naturalnie. Za godzinę jestem.

Podaliśmy słuchawkę bonzurce, żeby opisał Klausowi, jak ma jechać. Potem jeszcze raz podeszłam do aparatu:

- Ty, Klaus? Za to cię kocham. Nigdy ci tego nie zapomnę. Położyłam słuchawkę, opadłam z powrotem na sofę i jednym haustem opróżniłam kieliszek. Bonzurka uśmiechnął się.

- Już lepiej, co?

- Tak - powiedziałałam. - Już lepiej. Gdyby mi pan jeszcze dał kromkę chleba...



## Rozdział XXIII

Dokładnie po pięćdziesięciu czterech minutach rozległo się ding - dong i Klaus pojawił się w pokoju bonzurki. Sprzątnęłam już trzy kromki z solidną niemiecką kaszanką, do tego dwa piwa i kolejny koniak. Patrzyłam na niego szklanymi oczami. Potwór zrobił parę kroków, zatoczył się, po czym stanął na chwiejnych nogach. Klaus zapytał pana bonzurkę, czy mógłby zwrócić poniesione koszty, i podziękował jak tatuś odbierający niegrzeczną pociechę z Izby Dziecka, złapał jedną ręką mnie, a drugą moją torbę i ciągnął mnie do samochodu. Z wdzięcznością kiwnęłam głową bonzurce, a on pożegnał mnie porozumiewawczym mrugnięciem oka.

Gdy zobaczyłam czerwone BMW, bez śnieżnej czapy, ciepłe, suche i zapraszające, zaczęłam płakać. Klaus postawił torbę na tylnym siedzeniu, objął mnie mocno i posadził w skórzanej łupinie od orzecha. Ułożył mi koc na kolanach i siadł za kierownicą. Płakałam aż do wjazdu na autostradę. Mój potwór już się nie tarzał, nurkował w morzu łez.

Klaus jechał ostrożnie, skoncentrowany, ale nie wolniej niż sto czterdzieści, a jego prawa ręka, ciężka i pocieszająca, leżała na wełnianym kocu na moich kolanach.

- Co robiłaś w Knispel? I kto to był ten starszy człowiek? I dlaczego tyle wypijałaś, i dlaczego teraz płaczesz?

Szlochając, opowiedziałam mu całą historię, o porannym telefonie dyrygenta, moim bezwstydnym domaganiu się honorarium, rozpaczliwych próbach w pociągu i później w nie ogrzewanej pracowni. O próbie akustycznej w kościele - również nie ogrzewanym - próbie z chórem i koncercie. Jak mi było niedobrze ze strachu i zdenerwowania... Tu Klaus mi przerwał. Kiedy coś jadłam.

Wcale nie jadłam. Od śniadania nie miałam na to ani chwili.

A czy dyrygent niczym mnie nie poczęstował, że przecież byłam jego gościem.

Nie. I gościem chyba też nie byłam.

Opowiedziałam koszmara do końca. O mojej odysei do pana bonzurki, mojej okropnej arii, o mojej panice podczas śpiewu. O mojej samotności potem. Znowu wyłam.

Tym razem to Klaus zjechał na pobocze, ściślej, na opustoszały, ciemny, pusty parking zaraz za Wermelskirchen, wyłączył silnik i pochylił się ku mnie. Czyżby to nie dalej niż wczoraj Georg... Niemożliwe. Jak ciepło i cudownie było z Klausem! Jaki był niezawodny, jak szeroka była jego pierś i jak miękka ręka! I jakie miękkie usta! A jak dobrze i ciepło pachniał. Całował mnie, długo i delikatnie i wciąż od nowa. Kiedy w samochodzie zrobiło się zimno, znów włączył silnik. Chociaż jemu najwyraźniej było gorąco.

- I tęskniłaś za mną? - spytał z zachwytem.

- Tak - zaszlochałam. - Okropnie.

- Ależ, to przecież cudowne. - Klaus kilka razy odetchnął głęboko. - Po prostu cudowne. Nie śmiałem już o tym marzyć. Że będziesz za mną tęsknić.

Wrzucił pierwszy bieg i pomknęliśmy do K. Po dwudziestu minutach byliśmy w moim mieszkaniu. Nie miałam ochoty ani na gorącą blaszankę, ani na twarożkową papkę. Miałam ochotę na Klause. Na jego szeroką niedźwiedzią pierś, na jego miękkie łapy i inne niedźwiedzie części ciała.

Tej nocy spałam z Klausem. A kiedy zaraz potem zaczął cicho pochrapywać tuż przy moim uchu, wciąż jeszcze go kochałam. I czułam się nieskończenie bezpiecznie.

## Rozdział XXIV

Nasze pierwsze wspólne śniadanie odbyło się o szóstej piętnaście. Razem jedliśmy twarożek, z braku innej żywności, i piliśmy czarną kawę. Przed udaniem się do gabinetu Klaus chciał jeszcze pojechać do domu, przebrać się i ogolić. Staralam się przedłużyć jego pobyt.

- Chcesz jeszcze twarożku?

- Nie, dziękuję, kochana, nie gniewaj się. Nie jestem takim fanem twarożku jak ty. Chociaż na pewno jest szalenie zdrowy. I dobry na cerę...

- Uśmiechnął się i pogłaskał mnie po nie uszminekowanej twarzy.

- A kawy?

- Tak, chętnie. - Wręczył mi duży czerwony pojemnik z twarożkiem adresując: „Ty”. - Co zamierzasz zrobić z tym wczorajszym dyrygentem?

- spytał pomiędzy dwoma łykami kawy.

- A co mogę zrobić? - odwróciłam pytanie.

- Poczekaj. Mam przyjaciela, adwokata. Zadzwoń do ciebie dzisiaj w południe i powiem ci, co mi doradził.

- Dziękuję, Klaus. Jesteś... bardzo miły.

- Ty też. Czasem.

- Dlaczego tylko czasem? - oburzyłam się.

- Kiedy nie ma w pobliżu twojego krytyka.

- Mojego krytyka...? - Przełknęłam ślinę. - Co ma wspólnego krytyk z moim charakterem?

- A gdzie on właściwie był wczoraj? Knispel nie leży w jego rejonie? Czy nie mogłaś się do niego dodzwonić?

Postanowiłam się rozgniewać.

- Co to za bezwstydne aluzje, Klaus?! Co ciebie obchodzi krytyk? I co to za insynuacje? - Źle się czułam z tym sztucznym oburzeniem. Ale mój potwór, któremu od wczoraj

nie zdążyła jeszcze porządnie wyschnąć sierść, stał już przed swoją budą szczerząc zęby, warczał i piana ciekła mu z pyska.

- Już dobrze, nie miałem tego na myśli. Nie denerwuj się, mamy taki piękny poranek.

Zarejestrowałam: Klaus ustępuje, Klaus jest zgodny. Wilgotny od kawy pocałunek w usta. Klaus podniósł się i zaczął zbierać do wyjścia.

- Poproszę cię o rewanż za wczoraj.

- Załatwione. Jestem twoją dozgonną dłużniczką.

- Wybierz się dziś wieczór ze mną na kolację. I włóż ekstrakreację.

- Ekstra?

- No, tak pomiędzy przyzwoicie i elegancko. Włóż ładną sukienkę.

- Nie mam ładnej sukienki.

- Szkoda.

Stał już w drzwiach.

- Ale dla mnie zawsze jesteś ładna.

No, to już lepiej. Pomachałam mu i zamknęłam drzwi. Tak, a więc stało się. Przedwczoraj z Georgiem, wczoraj z Klausem. I dzisiaj znowu z Klausem, a jutro znowu z Georgiem? Jak długo to jeszcze będzie trwać? I kiedy Klaus wystąpi z propozycją małżeństwa? Dziś wieczór, jeśli będę w ładnej sukni?

Jak długo to jeszcze będzie trwać? - zapytałam mojego potwora. Ale on nie odpowiedział. Stał przed swoją budą i merdał ogonem.

Zanim zabrałam się za sprzątnięcie kubków po twarożku i przewleczenie żółtego łoża rozpusty (dziecko!), przesłuchałam automatyczną sekretarkę. Trzy razy ukochana lwico, gdzie się podziewasz; raz ciocia Lilii, dziecko, przyjadę pod koniec tygodnia na twój koncert, ale załatw mi, proszę, jakiś spokojny i niedrogi pokój w hotelu; i propozycja koncertu w

marcu w Mainhalle we Frankfurcie. Wow! Pierś mi wezbrała pod nieco nadwymiarowym T - shirtem. Nareszcie coś! Moje kwalifikacje zaczynają powoli zdobywać uznanie w wyższych kręgach kulturalnych, tak jest! Potwór wykonał kilka niezgrabnych podskoków z radości, a ja, ja poszłam jeszcze na dwie godzinki do łóżka. A potem punktualnie o dziewiątej telefon.

- Najdroższa Iwico, gdzież podziewałaś się cały wczorajszy dzień?

- Miałam sensacyjny debiut w Knispel.

- Ale dlaczego nic mi o tym nie powiedziałaś? Pojechałbym z tobą!

- Musiałam tam być już o trzeciej.

- I tak pojechałbym z tobą!

- Nie pracujesz o trzeciej po południu jak inni ludzie?

- Nie, jeżeli mam możliwość być z tobą.

- Ale okropnie śpiewałam.

- To niemożliwe. Ty nie umiesz okropnie śpiewać.

- Ależ skąd - oburzyłam się. - Absolutnie beznadziejnie.

Nawet nie dostałam pieniędzy ani uścisku wilgotnej dłoni. Nie było do widzenia ani szklanki herbaty. - Znowu wpadałam w coraz większą wściekłość.

- Jak to się stało, moja biedna mała dziewczynko?

W tych słowach pobrzmiwało ciepło i współczucie, i odrobina ojcowskiej troski. Trochę mocniej przytuliłam się do słuchawki. Pięknie! Dalej!

- Wczoraj nie byłam w formie.

- Czy to z mojego powodu? To ja jestem winny? - Dwuznaczny, głęboki, łagodny pomruk.

- Prawdopodobnie - powiedziałam. Przerwa. Na kogo teraz kolej? Na niego.

- Kiedy cię zobaczę? I na mnie.

- Nie dzisiaj, Georg. Jestem zupełnie do niczego.

Nastąpiła zwykła dyskusja i wiercenie dziury w brzuchu o krótkie i niestresujące spotkanie, tylko pół godzinki, i tylko na jedną kawkę, i tylko żeby chwilkę popatrzeć mi w oczy, co zresztą wcale nie należało do jego zwyczajów.

- Georg - powiedziała - daj mi, proszę, czas, czuję się nieco przytłoczona i chciałabym też trochę zająć się innymi ludźmi. - Nie powinnam była tego powiedzieć.

- Tak cię przestraszyłem moją... prośbą? Chętnie odgryzłbym sobie język!

Zrobiło mi się go strasznie żal. W żadnym wypadku nie wolno mi teraz nim igrać i pozwolić, żeby umarł z głodu na długiej lince. Mój potwór strasznie się wyrywał. Z jednej strony pomysł z linką uznał za wspaniały i pławił się w radości z cudzego nieszczęścia. Z drugiej - miał jednak wielką ochotę i to było podłe z jego strony. Idź sobie, do budy, przekłete kudłate bydle! Tak jakby mało było wczorajszego strzału ostrzegawczego od Pana Boga w temacie czyścić tu i teraz!

Byłam więc bezradna.

A on chciał odgryźć sobie język. Byłam przeciw.

- Ty, Georg, to całkiem w porządku, że to powiedziałeś. Myślę, że chciałeś to powiedzieć już wcześniej, i traktuję to bardzo poważnie. Ale chwilowo nie mogę ci udzielić odpowiedzi.

- Jak długo chcesz mnie trzymać w niepewności?

- Ach tak, masz rację, to nie fair. A więc, jeśli oczekujesz natychmiastowej odpowiedzi, to... - teraz ja ugryzłam się w język... Przecież powiedział, że nie muszę odpowiadać natychmiast, i w ogóle, kiedy miałam mieć czas, żeby się zastanowić, może tego koszmarne popołudnia albo lepiej w nocy, wspólnie z Klausem?

- To? - dobiegło z przewodu nieskończenie trwożne, a jednak tak pełne nadziei.

- Georg, proszę, nie przez telefon.

- W tym względzie jestem zupełnie tego samego zdania. A więc dzisiaj po południu u ciebie? Mógłbym o trzeciej.

- Nie. Nie mogę. - Mój potwór zaczął ujadać. - Nie tylko nie mogę, ale też nie chcę. Albo dasz mi czas, albo dam ci pochofną odpowiedź.

Pauza. Widziałam go, jak przypuszczalnie wpatruje się w jakąś listwę podłogową. Albo tarmosi w ręce jakiś ołówek. Gdzie on w ogóle jest? W biurze? W domu?

- Gdzie ty w ogóle jesteś?

- Co proszę?

- To znaczy, siedzisz właśnie w salonie czy przy swoim biurku czy za swoim biurkiem w głębokim fotelu i trzymasz nogi na blacie, jak J.R. Ewing, kiedy rozmawia przez telefon?

Mój potwór zachichotał złośliwie. Jego poczucie humoru z każdej, nawet najpoważniejszej sytuacji robiło mały skecz.

- Stoję w mojej pracowni.

- A na co patrzysz?

- Na twoją twarz.

- Czyżbyś miał tam jakieś moje zdjęcie?

- Nie. Mam twoją twarz przed oczami.

Milczałam zakłopotana. Prawdopodobnie miał moją twarz przed oczami patrząc na listwę podłogową.

- Ty, Georg, jest dwadzieścia po dziewiątej. Nie zaśpiewałam jeszcze ani jednej nutki, a mamy dzisiaj nagranie w studio. Będę musiała wyjść. Proszę, nie gniewaj się, nie martw się i nie rozmyślaj. Wiesz co? Teraz ja zadzwonię do ciebie. Obiecuję ci. Pozwól, że ja zadzwonię. O.K.?

Uznałam to za znakomity pomysł. Już dawno powinnam była na to wpaść. Ciocia Lili natychmiast by na to wpadła.

- Dobrze, lwico. Czekam. Od tej chwili czekam na twój telefon.

- Nie, głuptasie. Nie od tej chwili. Wtedy czas przestaje płynąć, to okropne!

- Wiem. Komu to mówisz? Obiecaj mi, że wkrótce zadzwonisz, dobrze?

Wkrótce to pojemne pojęcie. Obiecałam mu, że wkrótce zadzwonię.

- I obiecaj, że jeśli nie będę mógł wytrzymać, wolno mi będzie zadzwonić, dobrze?

To przecież dziecko, które uczepiło się rogu płaszcza matki wyjeżdżającej na weekend do przyjaciółki szkolnej!

Chciałam go objąć i uściskać, i pogłaskać po głowie, i pocałować, i wziąć do łóżka. Było mi go tak strasznie żal, i tak strasznie go lubiłam! Mój potwór siedział zakłopotany na swoim podwiniętym ogonie i obgryzał sobie przednie łapy. Nawet on czuł się okropnie podły.

- Dobrze, Georg. Jak ci będzie smutno, zadzwoń do mnie. Odłożyłam słuchawkę i chciałam się rozśpiewać. Nie dało się. W moim żołądku leżał duży, ciężki kamień.

Wieczorem siedzieliśmy z Klausem w greckiej restauracji. Uprosiłam go, żebyśmy nie szli do superluksusowego lokalu, tylko do zupełnie zwyczajnego. Z braku ładnej sukienki - ładnej w rozumieniu Klausa - włożyłam ładny sweter. Jako sukienkę. Wyglądało to zupełnie rewolucyjnie. Klausowi się podobało.

- Ależ masz wspaniałe nogi!

- Myślałam, że już widziałeś?

- Tak, ale nie w takim efektownym opakowaniu!

- No dobrze, to już więcej nie pokażę ci ich tak po prostu, w naturze.

- Ooch!

Zamówiliśmy mnóstwo tsatsiki, owczy ser i sałatkę wiejską, a Klaus zamówił jakieś zwierzę z pastwiska, o bardzo



zdecydowanym smaku i zapachu, to było jagnię albo koza, albo cap czy coś w tym rodzaju.

Na początek oznajmił mi, że rozmawiał z adwokatem - był z nim właśnie na dzisiaj umówiony w związku ze swoim rozwodem - i że oczywiście niedługo otrzymam swoje honorarium. Adwokat jeszcze w obecności Klausa wystosował do Knispel uprzejme, ale stanowcze pismo.

Ucieszyłam się i chciałam usłyszeć, co dokładnie było w piśmie. Klaus powiedział w perfekcyjnym języku urzędowym to, co przetłumaczone na język potoczny miało mniej więcej następującą treść: Słuchaj bracie, jeśli nie prześlesz dziewczynie forsy, na którą rzetelnie zapracowała, będzie duża awantura i wyjdzie znacznie drożej niż siedemset marek. Zastanów się. Z pozdrowieniami. Tytuł, pieczętka, kulfoniasty podpis.

Brawo. Dzielny, kochany Klaus.

Wypiliśmy pod to retsinę.

Następnie Klaus oświadczył, że będzie z matką w weekend w St. Augustin na „Oratorium na Boże Narodzenie”. Odstawiłam kieliszek z retsiną.

- Czy to konieczne?

- Jak to? To już nie mogę jeździć na twoje koncerty? Tylko cię potem odwozić do domu?

- Nie, Klaus. Ciebie zawsze chętnie widzę. Chodzi mi o twoją matkę.

- Ale moja matka mieszka w St. Augustin - powiedział Klaus marszcząc brwi. - I tak czy owak poszłaby na koncert, czy będziesz śpiewać ty, czy Callas.

- No tak, to chyba nie możemy jej w tym przeszkodzić.

Klaus zrobił minę, którą trudno byłoby określić jako pogodną. Zamyślony, rozkładał na części swojego capa. Ja tymczasem mieszałam kawałkiem grubej kromki chleba pyszny czosnkowy wrzątek. Dzisiejszego wieczoru żaden

mężczyzna na świecie nie będzie miał ochoty na zbliżenie ze mną. Chyba że sam też jadł czosnek.

- Czy to możliwe, że w sobotę przyjedzie też ten krytyk?

- No tak, to jego działka. Nie można wykluczyć, że się pojawi, wyłącznie służbowo. Dlaczego pytasz?

Ten temat był mi nie w smak, z owczym serem i wiejskim chlebem. Czy to musiało być właśnie teraz?

Klaus nabrał powietrza, włożył do ust kawałek capa i powiedział, badawczo patrząc mi w oczy:

- Czy to możliwe, żebyś... przemyślała swoje stosunki z tym panem Lalinde?

Byłam przybita. Po pierwsze bezpośredniością tej wypowiedzi, nie poprzedzonej żadnym wstępem, a po drugie tym autorytatywnym tonem.

- Jakie stosunki? - spytałam jadowicie, głupio akcentując słowo stosunki.

- Jakiego rodzaju są te stosunki, chyba sama wiesz najlepiej. - Pośpiesznie łyknął wina, żeby, jak mi się zdawało, ukryć swoją niepewność.

Strzeż się, Klausie Konradzie, potwór już szczyrzy zęby! Moje stosunki z Georgiem Lalinde to nie twoja sprawa! Powiedziałam to. Właśnie to.

- Moje stosunki z Georgiem Lalinde to nie twoja sprawa! Znowu spojrział mi bezwstydnie prosto w źrenice.

- Myślę, że od wczoraj to trochę i moja sprawa.

- Uważasz, że skoro spaliśmy ze sobą, to masz teraz prawo do całego mojego życia?

- Nie do całego twojego życia. Ale do niektórych jego obszarów. Nie chcę być twoją zabawką.

- Nie jesteś moją zabawką. - Zaśmiałam się. - Zabawek nigdy nie wolno mi było brać do łóżka.

- Czy mogłabyś mówić poważnie! - W spojrzeniu Klause nie było cienia poczucia humoru.

- Sorry.

- Uważam, że powinnaś się zdecydować.

- Na co albo przeciw czemu, proszę? - Dobrze wiedziałam, o co mu chodzi. Ale bezczelne odwracanie pytań czasem pozwala człowiekowi uniknąć nieprzyjemnych odpowiedzi.

- Wiesz, o czym mówię. Jesteśmy do siebie zbyt podobni, żebyś mogła nie wiedzieć, o czym mowa.

My? Do siebie? Podobni? Nie wydawało mi się.

On, on był dobrodusznym, niezręcznym niedźwiedziem, który wciąż wpadał w jakieś pułapki, a ja, ja byłem skończonym, podłym, małym łajdakiem. Do niego w każdym razie ani trochę niepodobnym. Ale nie mogłam tego głośno powiedzieć. Prawdopodobnie indagowałby mnie o to łajdactwo. Ujął moją rękę. Rozlał przy tym wino ze swojego kieliszka, na rękaw chlapnęła mi chłodna wilgoć.

- Chyba zauważyłaś, że dużo dla mnie znaczysz - powiedział. Wolną ręką wytarłam sobie wino z rękawa. Tak. Szczerze mówiąc zauważyłam.

- Moje małżeństwo to była wpadka - powiedział, rozluźniając nieco uścisk ręki. - Siedmioletnia wpadka. Daremnie starałem się, byśmy stworzyli z Irene jako tako harmonijny związek. Jej zależało wyłącznie na pieniądzach i na karierze. Nie chciała dzieci, nie chciała nic robić w domu. Po prostu żyliśmy obok siebie. Przez siedem lat.

- I dlatego ja powinnam się teraz zachowywać przyzwoicie - powiedziałam.

Puścił moją rękę.

- Tak. Dostatecznie długo byłem udupiony.

Nagle zrozumiałam go, i to jak go zrozumiałam. Nagle stało się dla mnie zupełnie oczywiste, co miał na myśli, dlaczego chciał mieć "jasność", dlaczego miałam się zdecydować.

Po prostu nie chciał, by go dłużej upokarzano.

Tylko że ta historia miała jeden feler: nie kochałam go. Za mało. Za mało wyłącznie. Był Georg. Nawet gdybym kochała Klause połową mojego nieregularnie bijącego serca, to przynajmniej drugą połową kochałam Georga. Przynajmniej. I do tego brzuchem. Ale nie mogłam powiedzieć tego Klausowi. Wykluczone. Naprawdę bardzo cię lubię, ale do innego mężczyzny dodatkowo ciągnie mnie w podbrzuszu? Nie. Buzia na kłódkę.

Uśmiechnęłam się do Klause miło i powiedziałam:

- Zrozumiałam cię - i podniosłam swój kieliszek. I przeszliśmy nad tym do porządku dziennego. Barwnie i ciekawie opowiedział mi o swojej podróży na Bliski Wschód, którą odbył jako maturzysta, ze śpiworem i namiotem.

Gdy przed oczami mojej duszy przesuwały się obrazy jego przygód i przeżyć, wyobrażałam sobie, jaki musiał być Klaus, kiedy jeszcze był młody, bez pieniędzy, bez BMW, tytułu i akademickich stosunków. Kiedy jadł z puszek odgrzewanych na kocherze, siedząc na ziemi, kiedy sypiał w śpiworze pod gołym arabskim niebem, a nie w Ramadanie czy Hiltonie.

Bardzo sympatyczny Klaus. Wysoki, niezgrabny dryblas, chudy, opalony, w krótkich spodniach i T - shircie, piegi i głowa pełna różnych zwariowanych pomysłów. Bez karty kredytowej w wewnętrznej kieszeni marynarki, bez Membership - Card Rent a Car. Szkoda, że nie znałam go wtedy, kiedy miał dziewiętnaście lat. Ale wtedy ja miałam jedenaście i wygniatałam ławkę w piątej klasie. Przemądrzała, gruba, z aparatem ortodontycznym. Powiedziałam to Klausowi. Roześmiał się. Dobrze się bawił.

- Już jako dzieci musieliśmy być do siebie podobni.
- Ty na pewno byłeś sprytniejszy - dogryzłam mu.
- Za to ty byłaś słodsza - skontrował.

Zapewniłam go, że nie byłam ani odrobinę słodka, lecz wścibska i zarozumiała, i naszpikowana fałszywą moralnością, siedziałam na wzdętym balonie, i spoglądałam na innych z góry.

- Poza tym - triumfowałam - grałam na pianinie, a ciocia Lili nawet na organach. A wujek Paul studiował teologię, tak jest, przechwalałam się tym, zanim zdążyłam powiedzieć cokolwiek innego!

Śmialiśmy się i cudownie się rozumieliśmy i siedzieliśmy u Greków do wpół do drugiej, do zamknięcia lokalu. Klaus zapłacił. To od dawna oczywiste. Za to wszedł ze mną na górę. Też oczywiste?

- Co się stało?

- Chrapiesz!

- O, przepraszam.

Parę serdecznych drapnięć, dziesięć sekund ciszy, po czym druga część chrapofonii, tym razem w mezzoforte, niestety w rytmie synkopowanym. Chrapanie w synkopach doprowadza mnie do szału. Człowiek nieustannie czeka na oddech chrapacza, obawiając się, żeby się nie udusił. Mój potwór zaskowytał głośno i histerycznie.

To ja tu mieszkam! I chcę spać! Najnormalniej w świecie wprowadził się tutaj!

Potrząsnęłam nim. Po chwili mocniej. Podniósł się z wysiłkiem.

- Strasznie mi przykro!

- Klaus, nie gniewaj się, ale chciałabym cię prosić, żeby każdy spał w swoim łóżku. Jest dziesięć po trzeciej, i tak zanim pojedziesz do gabinetu, musisz jeszcze pojechać do siebie, i tak nie mam ci co dać na śniadanie. Bądź tak miły, jedź do domu.

Nie widziałam jeszcze mężczyzny, który potrafiłby równie prędko wskoczyć w spodnie. Wprawdzie nie obserwowałam zbyt wielu. Proszę nie wyciągać błędnych wniosków.

Po pięciu minutach już go nie było. Potoczyłam się do automatycznej sekretarki. Było słownie piętnaście jednostek.

## Rozdział XXV

Cztery dni później siedziałam w pociągu do Bremy. Był to bezprzedziałowy wagon drugiej klasy przepelnionego intercity. Siedziałam, a obok mnie stała torba, na pojedynczym siedzeniu, prawdopodobnie przewidzianym dla matek z wózkiem lub potrzebujących miejsca siedzącego osób cierpiących na żylaki, i pracowicie wsłuchiwałam się w walkmana. Śpiewał mi moją trudną arię mezzo. Było to bardzo uprzejme z jego strony, bo wciąż jeszcze pilnie potrzebowałam trochę poćwiczyć. W takim bezprzedziałowym intercity nie wolno wprawdzie głośno śpiewać, ale nikt nie zabrania rytmicznie kiwać głową, choćby miało to wywoływać nadmierne zainteresowanie samotnie podróżujących panów z aktówkami. Zresztą nikt nie ośmielił się mnie zagadnąć. Bo też zniknęłam pod słuchawkami. Nie ma mnie w domu, że tak powiem.

Po kilkakrotnym odśpiewaniu arii przez uzdolnioną panią z nabożnie tremolującym głosem uznałam, że w ostateczności jakoś sobie poradzę, i wyjęłam kasetę. Wszak jest jeszcze inna muzyka. Na przykład Strauss.

Właściwie nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Dlaczego odgrzebałam naszą pieśń. Georga i moją.

„Gdybyś wiedział, co znaczy marzyć o palących pocałunkach, o wędrówkach i spoczynku...”

Liczyłam się z gęsią skórką, ale nie ze łzami, które nagle wezbrały i zaczęły bezwstydnie spływać mi po policzkach.

Pac, łza kapnęła na rękę. I w ślad za pierwszą następna. Dwie wpadły mi do otwartej teczki z nutami i zanim zdążyłam zorganizować chusteczkę, zaczęło też mocno kapać mi z nosa. Co za przykrość! Nerwowe poszukiwania. Niestety, żaden szlachetny rycerz nie podał mi swojej koronkowej chusteczki. Nie zaoferowano mi nawet serwetki ani papieru śniadaniowego pożyczającego się sąsiada z naprzeciwka. W

życiu nie zawsze jest jak w romansie. Ze swoim żalem nad sobą musiałam poradzić sobie sama.

Zerwałam sobie „Cecylię” z uszu, wreszcie znalazłam chusteczkę, pokrytą okruszkami ciastka i silnie pachnącą moją ulubioną gumą do żucia - kiedyś podczas jakiejś próby pozbyłam się jej wciskając w papierową chusteczkę - i głośno wytarłam nos. Nie zważając na nic, pociąg dalej jechał przez szary, zimowy świat. Krajobraz za oknem był coraz bardziej północnoniemiecki, robiło się coraz bardziej pusto i samotnie. Od Munsteru Niemcy są dla mnie niepokojąco puste i ceglaste.

Wtuliłam się w moje siedzenie drugiej klasy i rozmyślałam o ludziach, którzy w ten wczesny grudniowy zmierzch tkwią w takim samotnym domu z cegły. Co teraz robią? Pieką ciasto ze śliwkami? Piją herbatę z rumem? Czy karmią świnię? Dziecko odrabia pracę domową. Jutro znów będzie musiało jechać autobusem siedemnaście kilometrów do najbliższej szkoły. Ojciec rolnik. Rodzeństwo poszło w świat. Babcia siedzi w kuchni pod lampą i ceruje skarpety. W piecu nastrojowo buzuje ogień. Stary służący nabija sobie fajkę...

Ależ skąd, przecież to obraz z poprzedniego stulecia. Wszyscy siedzą przed telewizorem i oglądają jakiś quiz. A wieczorem wybiorą się do Oldenburga do kina.

Moje myśli wróciły do rzeczywistości. Co by tu dzisiaj robić po wieczornej próbie w Bremie? Zupełnie sama? W tym śnieżnym błocie?

- Oczywiście jadę z tobą! - powiedział Klaus i załatwił już sobie informator o hotelach w Bremie.

Spędziliśmy razem cały tydzień, „na chwilę”, jak mówił za każdym razem. I za każdym razem przeciągało się na parę godzin. Zajmujących, przyjemnych godzin. Oglądaliśmy wideo, opowiadaliśmy sobie przeżycia z dzieciństwa, chodziliśmy na spacer i do kina, i raz do teatru, kiedy miał



dyżur. Dwa razy też spaliśmy ze sobą. Ale potem prosiłam go, żeby pojechał do domu. Moja potrzeba samotności narastała. Chciałam z rana budzić się sama. I być sama o dziewiątej, w razie gdyby zadzwonił telefon. Nie zadzwonił. Przez cały tydzień.

Zastanawiałam się, czego ja właściwie chcę. Gdyby zadzwonił, poczułabym się zlekceważona i jego adoracja działałaby mi na nerwy. Kiedy nie dzwonił, nie mogłam znieść ciszy w mieszkaniu. A więc do Bremy. Jak dobrze wydostać się wreszcie z czterech ciasnych ścian, które teraz niemal stale dzieliłam z Klausem. Tego wyjazdu nie chciałam już z nim dzielić. Nie chciałam pędzić do Bremy czerwonym BMW, sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, nie chciałam nocować w luksusowym hotelu z szampanem z barku, jeść na śniadanie zimnego homara przy bufecie, być filmowana i fotografowana podczas koncertu.

Chciałam być sobą, średnio ładną i średnio zdolną śpiewaczką z torbą koncertową, z dzinsami pod wieczorową suknią i oślimi rogami w nutach.

To już Brema.

Wzięłam taksówkę i pojechałam przez rozświetlone, świątecznie przyozdobione centrum miasta. Kościół stoi przy rynku, skąpanym w iluminacjach, pachnącym świątecznym jarmarkiem, prażonymi migdałami i cukrową watą. Wokół stoją ludzie i piją grzane wino. I słysząc już dzwonki.

Na galerii stał chór chłopięcy z dobrodusznym dyrygentem, którego głównym zadaniem było życzliwie i po ojcowsku przywoływać chłopców do porządku:

- Benedykt, proszę cię, stój prosto!... Urs, bardzo nieporządnie trzymasz nuty!... A ty, Daniel, nie wspinaj się na organy! Czyżbyś nie miał chusteczki, Christopher?

Było już dwóch spośród pozostałych trojga solistów. Tenor okazał się cienkim, nerwowym chłoptasiem, i właśnie

dla pokrzepienia wcinał tabliczkę białej czekolady, a bas krępym, brodatym Finem, który gdy tylko mnie zobaczył, radośnie i bezczelnie wyszczerzył do mnie zęby. Od razu nazwał mnie „myszką” i rzucał kocie spojrzenia na krągłości pod moim swetrem. Nazywał się Olli Hautireinen. Miał wspaniałą, potężną i bardzo męską głosem, jak się zdawało, wiedział o tym i nie cierpiał na kompleks niższości. Sopranistki jeszcze nie było.

Tym razem byłem znacznie lepiej przygotowana, ponieważ dzięki wytrwałemu milczeniu Georga i jego konsekwentnej nieobecności miałam dość czasu na ćwiczenie. Nawet wysoką arię mezzo umiałam zupełnie nieźle. Nie ma porównania z rzewną Maryją w Knispel. Także dyrygent dobrodusznie i po ojcowsku uśmiechnął się w moim kierunku, gdy całkiem zgrabnie przebrnęłam przez wysokie fisy i inne pułapki, a Olli, bałamut, pogłaskał mnie radośnie po nodze i szepnął:

- Świetna robota, myszko!

Duet z ciekim, neurotycznym, małym tenorem trochę mnie zmęczył. Tenor był tak konwulsyjny, że duet zmienił się niemal w pojedynek.

Narzucił mi swoje tempo, swoją dynamikę, a dobroduszny dyrygent, skonsternowany, musiał dostosować do niego swoje taktowanie.

- Następnym razem my zaśpiewamy duet, myszko - chrząknął Olli, kiedy było po wszystkim. - O wiele lepiej pasujemy do siebie!

Po próbie spytał, w którym hotelu mieszkam. Powiedziałam, może był to błąd, bo pewny siebie Fin poszedł ze mną. Chyba się jeszcze nigdzie nie ulokował. Kocham mój hotel w Bremie, czuję się tam jak w domu, wolno mi ćwiczyć i pozostawać w pokoju do samego wieczora, tuż przed koncertem, w razie potrzeby mam miejsce w garażu i jeszcze

o jedenastej dostaję śniadanie. Mój jednoosobowy pokój wychodzi na podwórze, a na poduszeczkę znajduję wieczorem małą tabliczkę czekolady. Właściwe gniazdko dla samotności, skupienia, wejścia w siebie, do pisania listów, spania i przyzwoitego zachowania.

Olli widział to inaczej. Wziął sobie pokój naprzeciwko i już po kilku minutach zapukał do mnie. Właśnie napełniłam sobie wody do wanny i ułożyłam na jej brzegu gazetę z programem telewizyjnym. Kto śmie, Rittersmann czy Knapp?

To był bałamut.

- Chcesz się kąpać, myszko?

- Tak, jeśli pozwolisz!

- Ależ jasne, że pozwolę. W tej wannie wystarczy miejsca dla dwojga!

- Może i tak, ale jednak nie wydaje mi się ona odpowiednia dla zbliżenia niemiecko - fińskiego!

- Dlaczego nie, myszko? U nas w Finlandii zawsze kąpiemy się razem, chodzimy do sauny i obrzucamy się śniegiem.

- Ach, jak uroczo. Zaraz obrzucę cię zawartością mojej walizki!

- Skoro jesteś taka agresywna, myszko, to znaczy, że masz na mnie ochotę.

Bałamut w koszuli drwała odsłonił zęby w uśmiechu. Stał na szeroko rozstawionych nogach w drzwiach łazienki i był po prostu bezwstydnie radosny.

- Mam ochotę wejść do wanny i zamknąć za sobą drzwi od środka - powiedziałam z uprzejmym uśmiechem i spróbowałam odsunąć go na bok.

Chwycił mnie za rękę i przycisnął do swojej flanelowej koszuli. Nie był ani odrobinę przystojny czy choćby pociągający. Ani nie pachniał perfumami, ani męskością, pod

jego brodą można było domyślić się przyszczy, włosy miał potargane. Poza tym był o pół głowy niższy ode mnie.

Jedyne, co było u niego godne uwagi, to głos - potężny, głęboki i męski - i płynące stąd jego dobre samopoczucie.

- Ale ja mam ochotę na ciebie, myszko - powiedział i spróbował ugryźć mnie w ucho.

Odwróciłam głowę, na ile pozwoliły mi jego łapy drwala, i postanowiłam zagrać na zwłokę.

- Olli, teraz się wykapię, sama. Potem mam ochotę coś zjeść, może spotkamy się na dole w Friesenstube? - powiedziałam bardzo słodko. Nie ma sensu zgrywać się teraz na świętoszkę i denerwować kolegę. Puścił mnie.

- O.K., za godzinę na dole - zaburczał radośnie. - Na jedzenie też mam ochotę.

Po czym wyniósł się. Z ulgą zamknęłam za nim drzwi i ułożyłam się w wannie pełnej gorącej wody. Wyglądało na to, że jednak znów nie obejdzie się bez stresów. Przynajmniej nie będę się czuła samotna. Ale przecież koniecznie chciałam być jednak sama. Co znowu. Nie potrzebuję na samotność lekarstwa w osobie jurnego drwala z Finlandii! Jest mnóstwo innych ludzi! Pluskałam się w wannie i obserwowałam swoje kolana, które wyłaniały się spod krajobrazu z piany. Właściwie całkiem niezłe jak na mój wiek, kokietowałam sama siebie. Przynajmniej kolana miałam całkiem niezłe. Ale czy potrzebuję potwierdzenia tego faktu ze strony jakiegoś drwala we flanelowej koszuli? Jeśli nie zdołam utrzymać go na dystans, będę musiała zмагаć się z nim przez cały weekend! Ale jak utrzymać na dystans takiego gotowego na wszystko buszmena, jeżeli uprzejmość nie skutkuje? Ach, dziecko, ty po prostu tego nie potrafisz. Po prostu nie jesteś damą. Masz coś takiego w spojrzeniu... Coś, co przyciąga do twojej wanny wszystkich buszmenów, z Południa i z Północy.

Ach bzdura, ciociu Lilii. Niczego nie mam w spojrzeniu. Od tego są inne dziewczyny.

A jednak. Wierz mi, dziecko. Ja, kiedyś, dawniej, nie miewałam takich propozycji, nigdy nikt mi się nie naprzykrzał, nawet podczas wojny.

Jasne, ciociu Lilii. To były inne czasy. I moda była inna. Po prostu byłaś pozapinana. A jeśli któraś pozwoliła się pocałować jakiemuś żołnierzowi, musiała zaraz wyjść za niego, żeby nie dostać się na języki. Tak to właśnie było. Ale ja, ciociu Lilii, ja jestem normalną młodą kobietą, kochającą życie i znającą swoją wartość, i bez uprzedzeń, bo i dlaczegóżby, od czego jest pigułka...

Au, dla cioci Lilii tego już było za wiele i dyskusja musiała się zakończyć.

Dziecko, nie jesteś damą, powiedziała jeszcze, zanim rozplynęła się w powietrzu, a ja wyskoczyłam z wanny. Woda już wystygła, podobnie jak mój nastrój. I co ja teraz pocznę z tym fińskim uosobieniem radości życia!

Siedział już przy stoliku, przed nim duże, chłodne piwo, a obok niego mały, chudy tenor, sączący sok pomidorowy. Nie chciałam im zakłócać miłego sam na sam, ale Olli spostrzegł mnie i radośnie skinął na mnie owłosioną ręką.

- Myszka, wykąpana, wschodzi słońce - powiedział swoim głębokim, męskim głosem, a tenor skonsternowany patrzył na swój sok pomidorowy.

Przysiadłam się do nich i zamówiłam kieliszek białego wina.

- Musisz się porządnie najeść, myszko - powiedział Fin podsuwając mi pod biust spis potraw. - Musisz mieć dużo siły!

- Tak? - Gdybym nosiła okulary, spojrzałabym pytająco ponad szklami.

- Tak, przed nami długa noc, a nie jesteśmy tu przecież dla przyjemności!

Tenor, kręcąc swoją chudą dupką po sielskiej ławie, jak się zdawało, kompletował drobne za swój sok pomidorowy.

- Niechże pan jeszcze zostanie i zje z nami - zaprosiłam go uprzejmie. Kolacja w trójkę wydawała mi się lżej strawna i mniej zobowiązująca niż z samym nieprzyzwoitym Ollim.

Przyszła kelnerka i Olli zamówił „kapustę ze sztuką”, ulubione danie bremeńczyków i wszystkich, którzy chcą spędzić wieczór jak bremeńczycy.

Ja pomyślałam o gazach, które niewątpliwie wywołuje takie danie, i wolałam wyszukać dla siebie raczej sałatkę. Tenor wybrał coś z zestawu dla seniorów, ze względu na lekkostrawność. Cynaderki cieleące z ryżem.

Przy jedzeniu rozmawialiśmy o agencjach, dyrygentach, karierach kolegów, planach koncertowych i festiwalach. Wieczór mijał niewinnie i miło. Od czasu do czasu fiński dzik pocierał swoją nogą o moją, ale ja zawsze odsuwałam się nieco i udawałam, że niczego nie zauważam.

Tenor po trzecim soku pomidorowym wyraźnie się rozluźnił i czerwieniąc się pokazał nam zdjęcia swojej narzeczonej - bladej, szczupłej przedszkolanki z kosmykami jasnych włosów - i swojego foksteriera w ogródku przydomowym. Był to nadopiekuńczo wychowany chłopiec około dwudziestu pięciu lat, moim zdaniem zupełnie nie przystosowany do zawodu, który mu wybrano. Zamierzał zaprezentować się w różnych agencjach operowych; ale było dla mnie jasne, że nie będzie zdolny rozpychać się łokciami jak trzeba.

Wręcz przeciwnie Olli, który odsłaniając zęby w nie ogolonej twarzy oznajmił, że prowadzi festiwal w drugim co do wielkości ośrodku kulturalnym Finlandii, że właśnie zaproponowano mu profesurę, a poza tym zajmuje się reżyserią najnowszych inscenizacji operowych w swoim kraju.

- A co ty robisz, myszko? - spytał pomiędzy jednym a drugim kuflem piwa i potarł swoim kolanem o moje. - Na pewno masz bogatego męża.

Odpowiedziałam, że właściwie pracuję dla pewnej firmy fonograficznej i w ten sposób zdobywam fundusze na życie.

- Wkrótce z tym skończysz, myszko. - powiedział Olli. - Zabieram cię do Finlandii.

Nagle uświadomiłam sobie, że właśnie w ten sposób zaczynają się kariery. Ktoś wpływowy, z dobrym samopoczuciem i władzą, podłapuje sobie dziewczynę z chórką, bo ślini się na widok jej biustu albo nóg, wlecze ją do swojej jaskini, śpi z nią tak długo, jak długo ma ochotę, i daje jej jako wynagrodzenie jakąś średnią rolę. Jeśli się sprawdzi, wkrótce nie będzie go więcej potrzebować i znajdzie sobie kogoś innego wpływowego. Jeśli nie, ten odstawi ją jak stary parasol i znów będzie musiała szukać sobie zajęcia w chórką, o ile nie przekroczy jeszcze granicy wieku.

Absolutnie nie miałam ochoty na średnią rolę w Finlandii i na równie średnią rolę w życiu zarozumiałego dzika. Więc uśmiechnęłam się uprzejmie i powiedziałam, że jego propozycja bardzo mi pochlebia, ale że trzymają mnie w K. „więzi osobiste”.

- A więc jesteś mężatką? - domyślił się z rozczarowaniem Olli

- Niezupełnie - powiedziałam tajemniczo.

- Na pewno jest zaręczona - inteligentnie dorzucił tenor.

- Ty, myszko, ty nie jesteś kobietą, która się zaręcza - powiedział Olli. - Idziesz na całość. I to często. Kiedy tylko cię to bawi. - To mówiąc śmiało złapał mnie za kark. To chyba miał być gest erotyczny?

- Pójdę już, muszę jutro śpiewać - oznajmił tenor i podniósł swoją chudą dupkę z ławki.

Już przedtem położył na serwetce odliczone dwadzieścia trzy marki i pięćdziesiąt fenigów, które kosztowało jego danie dla seniora i trzy soki pomidorowe.

Nie wiedziałam, czy mam przyjąć to z ulgą, czy raczej zmartwić się tym jego odejściem. Rzeczywiście niezbyt interesujący człowiek. Najchętniej poczytałabym mu jeszcze bajkę na dobranoc, żeby chłopcu nie było smutno bez patykowatej narzeczonej i kudłatego foksteriera.

Olli serdecznie przysunął się do mnie.

- Mamy go z głowy, myszko. Co robimy? Znam parę niezłych knajp. Nie zamykają za wcześnie!

Nie miałam specjalnej ochoty na hałaśliwe i zadymione knajpy. Miałam nieprawdopodobną ochotę na spacer, w miarę możliwości samotny. Świeże powietrze, przedświąteczny nastrój na ulicach, refleksyjnie, nie musieć nic mówić, a potem do łóżka, sama. Na to miałam ochotę. Ale jak się uwolnić od napalonego dzika?

Niestety. Nic się nie da zrobić. Nie ma szans. Olli chciał ze mną spać. Czy teraz zaraz, czy dopiero szarym świtem - wydawało się, że to nie ma dla niego znaczenia. Ale ewentualność, że nic z tego nie będzie, absolutnie nie wchodziła w grę. Należałam do niego. To było dla niego całkowicie jasne. Od pierwszej minuty, kiedy usiedliśmy obok siebie na chórze. Zdaje się, że Olli zawsze znajdował sobie takie „myszki”. A z braku sopranu bez żadnych wahań jego wybór padł na mnie.

- Zaczekaj, pójdę na siusiu - powiedział. Wstał i zataczając się lekko poszedł w swojej flanelowej koszuli i wyświechtanych spodniach do toalety na tyłach.

Kiedy tylko zniknął w kłębach dymu z papierosów, poderwałam się w nagłym odruchu. Złapałam płaszcz i szybko opuściłam lokal. Na zewnątrz uderzyło mnie świeże, chłodne, cudowne powietrze. Szczypało w nosie aż do bólu. Osłaniając



twarz rękami, zaczęłam biec. Kierunek katedra, potem w pierwszą lepszą nie oświetloną uliczkę. Byle dalej od tego faceta. Nie, żebym się go bała. Był dobrodusznym fińskim dzikiem. Ale nie miałam ochoty się z nim użerać. Miałam prawo do swobodnego układania sobie wieczoru. A on bezczelnie objął mnie w posiadanie! Szłam w pośpiechu przez ciemność, zaszłam aż nad rzekę. Nie przyszło mi do głowy, że to może być niebezpieczne, włóczyć się tu samej o północy. Byłam na to zbyt wzburzona. Samotne dzikie zwierzę. Tak. To właśnie ja. Albo z doktorem u boku, albo z krytykiem u nóg, albo jako samotne dzikie zwierzę do pokrycia dla pierwszego lepszego fińskiego bydlaka.

Tak, dziecko, w twoim wieku nie można się już samotnie wlec przez życie, powiedziała ciocia Lili.

Ale dlaczego? Mężczyznom pod trzydziestkę wolno jeszcze wlec się samotnie i cieszyć życiem. Dziecko, mężczyznom różne rzeczy wolno. Tobie nie. Jeśli już nie jesteś damą, to przynajmniej nie bądź dzikim zwierzęciem. Masz przecież solidny zawód, który nie wymaga takiego cygańskiego trybu życia. Zastanów się. Jeśli teraz napadnie cię jakiś drab i wrzuci do Wezery, myślisz, że jutro rano ktoś zauważy, że ciebie nie ma. Nikt nie zauważy. Bo jesteś niczyja. Czy to nie jest tragiczne?

Ciociu Lili, zaprotestowałam, setki ludzi zauważą, że mnie nie ma, jeśli jutro nie zaśpiewam na koncercie. W końcu jestem na plakacie. Ach, dziecko, westchnęła ciocia Lili, znowu nic nie rozumiesz. Przecież ktoś może cię zastąpić. Czy ty jesteś na plakacie, czy...

Wymieniła nazwiska kilku konkurentek, zaczynając od tych, których najbardziej nie lubię. Typowe dla ciocia Lili. W takiej sytuacji wytykać mi, ile innych średnio dobrych alcistek mojego pokroju snuje się jeszcze po niemieckich kościołach.

A więc jeśli ktoś cię teraz wrzuci do Wezery, jeśli dzisiejszej nocy nie położysz się do łóżka, nikt nie zwróci na to uwagi. Nie zapieje o tym żaden kogut! Czy będziesz leżała w łóżku Olliego czy we własnym, zauważy tylko dobry Bóg.

Ciocia Lili miała rację.

Idąc za głosem natchnienia raptownie zawróciłam i udałam się w drogę powrotną. Tylko się nie bać. Nadbrzeże było puste i ciemne - jak u Eduarda Zimmermanna, kiedy za chwilę ma się coś stać. Zmuszałam się do głębokiego oddechu i marszu w tempie, na który pozwalały moje ściśnięte przerażeniem płuca. Gdyby tu był Klaus. Żaden włóczęga świata nie odważyłby się wrzucić mnie do Wezery.

Żaden dzik świata nie ocierałby się o mnie swoją owłosioną łapą. I nawet ciocia Lili przestałaby zrzedzić. Byłabym zasną kobietą, otoczoną opieką, a nie liściem targanym mroźnym zimowym wiatrem. Klaus. Dlaczego wreszcie nie zrobię tego, czego wszyscy ode mnie oczekują. Zaręczyć się z nim albo przynajmniej demonstrować zażyłe stosunki. Przecież byłby tu teraz, gdybym tego chciała! Przycisnąłby mnie do swojego ciepłego kożucha, prawdopodobnie miałby dla mnie parę rękawiczek, patrzyłby razem ze mną na srebrzysty księżyc w pełni i wgniótłby mi w wargi zimny i wilgotny pocałunek, a ja po kryjomu ścierałabym z twarzy zimne krople z jego brody. Ale byłabym pod opieką. I ramię w ramię wrócilibyśmy do hotelu, tam jeszcze po łyeczku z barku na dobranoc i razem błogo zasnąć. A z rana zjawić się razem, państwo doktorostwo Klett, przy bufecie śniadaniowym. Wszyscy szanowaliby nas i kłaniali się, a Klaus dałby kelnerowi hojny napiwek.

Dziecko, tylko dlaczego ty nie chcesz takiego życia?

Nie wiem, ciociu Lili.

Ty go po prostu nie kochasz, tego Klause Kletta, dlatego, dziecko. Ciocia Lili miała rację. Po prostu go nie kocham,

tego Klausu Kletta. A ten drugi, dziecko, co jest z tym drugim? Kogo masz na myśli, ciociu Lili? No, tego starszego, tego krytyka. Chodzi ci o Georga?

Nieważne, jak się nazywa. Kochasz go, dziecko?

Zdradliwa gęsia skórka rozpełzła się po moim ciele pod płaszczem z kapturem aż po kark. Wsadziłam ręce głębiej do kieszeni i szłam dalej. Zimny, opustoszały brzeg już mnie nie przerażał.

Tak, ciociu Lili, myślę, że tego kocham.

Dobrze, dziecko, czy chcesz z nim żyć? Chcesz dostosować się do rytmu jego życia, chcesz podporządkować swoje interesy jego interesom?

Cała ciocia Lili. Nie ma zielonego pojęcia o emancypacji.

Ach, ciociu Lili, jeśli mam być tak zupełnie szczerą, to jednak go nie kocham, powiedziałam. Jeśli mam być tak całkiem szczerą... Myślę, że kocham tylko siebie.

Jeżeli w ogóle kogoś kocham.

W hotelu czekała na mnie kartka. Przestraszyłam się, że to jakieś nieprzyzwoite fińskie wyzwiska czy może groźba, albo wspólna kąpiel, albo śmierć, ale to była wiadomość o serii telefonów od Klausu. Pierwszy był o dwudziestej, ostatni parę minut temu. Poczciwa dziewczyna z recepcji każdy z nich oddzielnie zanotowała. Podrażkowałam do swojego pokoju, skradając się po wykładzinie długiego korytarza, żeby nie zbudzić fińskiego dzika, i natychmiast sięgnęłam po telefon.

- Klaus?

- Tak. Jak pięknie, że dzwonicz. Martwiłem się o ciebie. Gdzie podziewałaś się tak długo?

- Wypiliśmy po kieliszku z kolegami.

- Miło jest?

- Ujdzie.

- Tęsknisz za mną?

- Ujdzie. Cisza.

- Przyjadę po ciebie jutro wieczorem na dworzec!

- Dobrze, proszę, jeśli masz ochotę. - Ucieszyłam się. Taki miły gest.

- A kiedy przyjedziesz?

Podalam mu wieczorny pociąg, którym zamierzałam wrócić po koncercie. Koniec końców chciałam być w niedzielę w domu, bo po południu miałam pojechać na koncert świąteczny w góry.

Spytałam, co porabiał przez cały wieczór.

- Myślałem o tobie.

- A poza tym?

- Siedzę przy komputerze, piszę rachunki itp.

Pomyślałam, że musiało to być bardzo budujące, siedzieć przy komputerze i myśleć o mnie.

- W każdym razie cieszę się, że po mnie wyjedziesz - zakończyłam rozmowę (dziecko, w hotelu kosztuje trzy razy tyle co w budce telefonicznej!) i położyłam słuchawkę.

A więc Klaus myślał o mnie. A Georg?

Ach, jakże człowieka świerzbią palce, kiedy sterczy w pokoju taki głupi hotelowy telefon. Choćby po sześćdziesiąt fenigów za jednostkę.

Nie, dziecko, opanuj się.

Wyrządzisz temu mężczyźnie krzywdę. Dotrzymuje waszej umowy, więc i ty nie powinnaś dzwonić do niego w piątek w nocy. Wykluczone. Przecież on natychmiast wsiądzie w samochód i przyjedzie!

Tak myślisz?

Mój potwór wypełził ze swojej budy i merdał ogonem. W jego żółtozielonych ślepiach zapłonęły niebezpieczne ogniki.

Oczywiście! I nie wolno ci tego prowokować! Pomyśl o Ulm, jak było nieprzyjemnie!

Tak, prawda. Pardon. Wracaj do budy, bestio jedna!

Włączyłam telewizor, uwaliałam się na łóżko i zaczęłam chrupać czekoladkę, która jak zwykle leżała na poduszce.

Nie ma Klausa, nie ma Georga. John Wayne galopuje dziko, krzyczy i strzela.

Jak nudno.

W innym kanale ktoś jest czyimś gościem w jakimś talkshow. Jak nudno.

W trzecim programie już tylko śnieżyło.

Zmarzłam.

Barek? Może strzelić sobie jednego?

Nie, dziecko. To nie wchodzi w grę. W ten sposób zaczęło się wiele pijackich karier.

Ale tam w środku jest jeszcze czekolada! No dobrze. Skoro jesteś dziś taka samotna.

Zwlokłam się z łóżka, żeby wyjąć z barku sześćset pięćdziesiąt nęcących kalorii. W tej chwili rozległo się ciche pukanie do drzwi. Georg!

- Kto tam? (Rittersmann, Knapp, czy kto tam jeszcze, proszę wejść i czuć się jak u siebie! Primadonna się nudzi!)

Olli!

- Myszko, nie śpisz jeszcze?

Myszka jeszcze nie spała. Właśnie chciała wziąć sobie z łapki kawałek serka. Teraz poczuła się złapana. Serek czy dzik? John Wayne czy Olli? Zawsze wolałam live. A więc Olli.

Wszedł, szczerząc zęby, z czterema butelkami piwa marki Jever Pilsener. Wszystkie cztery w jednej łapie.

Wolną ręką śmiało uszczypnął mnie w policzek.

- Mam jeszcze ochotę wypić z tobą na dobranoc, myszko.

Ani słowa o moim niekulturalnym wyjściu z Friesenstube. Bądź co bądź nie upłynęły jeszcze nawet dwie godziny. Może w Finlandii takie rzeczy szybciej podlegają przedawnieniu. W każdym razie dzik nie był ani trochę obrażony. Bardzo

profesjonalnie otworzył butelkę zębami, pozostałe poustawiał na brzegu łóżka.

- Chodź, myszko, wypijemy na zgodę!

Moja chrapka na czekoladę przekształciła się łaskawie w chrapkę na piwo. Przyssałam się do wręczonej mi flaszki, po czym oddałam mu ją już tylko w połowie wypełnioną i przyozdobioną koroną z pianki.

- Ależ jesteś ostra, myszko!

Radosny uśmiech odsłonił zęby. Łapa, po której miałam jeszcze odciski na policzku, pociągnęła mnie na łóżko.

Dziecko, bądź ostrożna. Przecież to zupełnie jasne, czego ten facet od ciebie chce. Wylądowałam na jego flanelowej koszuli, spróbowałam się wyprostować. Wypsnęło mi się przy tym głośne czknięcie.

Olli zahuczał śmiechem.

- Szalenie mi się podobasz, myszko! Jesteś niesamowicie w porządku. Rzucił mój właśnie z trudem wyprostowany tułów na poduszkę, a swój własny na wierzch.

Flanelowa koszula zajechała potem. Bardzo męskim potem. Taki rodzaj potu drwali, który można zwalczać tylko bardzo zielonym dezodorantem z reklamy telewizyjnej.

Wyglądało na to, że Olli nie ogląda reklamy. Czuć było od niego potem. I kompletne wariactwo: rozgrzał mnie!

Georg pachniał szalenie uwodzicielsko swoimi perfumami Georga, Klaus też miał zawsze jakąś buteleczkę z zapachem. A ten fiński drwal pachniał po prostu, mocno - potem. I to mnie podgrzewało!

Jakiś czas taczaliśmy się po łóżku, chichotaliśmy, na zmianę przysysaliśmy się do butelki, próbowaliśmy się podnieść, znów padaliśmy, czkaliśmy, robiliśmy dwuznaczne uwagi w najgorszym stylu i zachowywaliśmy się jak w kiepskich westernach. Tyle że tam w decydującym momencie

przychodzi koniec kadru. Tu, w Bremie, w moim jednoosobowym pokoju z widokiem na podwórko kadr się nie kończył. Show trwał dalej. Chociaż właściwie wcale tego nie chciałam.

Flanelowa koszula poszybowwała przez pokój, mój sweter też, wyświechtane spodnie wylądowały w nogach łóżka. W mojej głowie chlupały dwa litry jevera, a mój biustonosz tarosiły dwie krzepkie, owłosione łapy dzika. Jedno ramiączko nie wytrzymało. Jutro rano koniecznie muszę przyszyć, pomyślałam. Nie mam ze sobą drugiego stanika. A śpiewać bez biustonosza, dziecko, to nie wypada. O tym myślałam, kiedy dopadł mnie wspaniały, wielki organ fiński.

No więc to jest przygoda z naturą. Przygoda z dzieckiem natury. Wszystko trzeba przeżyć. Kto powiedział, że zawsze musi być z miłości. Jestem przecież dorosła, wiem, co robię, a jeśli nawet nie, to takie już jest życie, tylko raz jestem młoda, a takiej czarodziejskiej różdżki, takiej fińskiej nie miałam jeszcze w kolekcji.

- Dobrze ci, myszko? - dotarło z góry, z przydechem. Odwróciłam głowę, bo wyziewy piwa popsują mi nastrój.

- Fantastycznie - powiedziałam i cicho jęknęłam. Ta czarodziejska różdżka była tak bezwstydnie wielka, że czułam ból. Erotyzm, pożądanie? Ani śladu. Agresja. Znów jęknęłam. To chyba była wściekłość. Czy leśny gnom wciąż jeszcze nie gotowy? Widocznie dysponował w dodatku tą legendarną wytrzymałością, która podobno doprowadza kobiety do lubieżnego szaleństwa. Żeby zapobiec temu nieporozumieniu, jęknęłam jeszcze głośniejszym głosem, wbiłam paznokcie w jego biodra i zacisnęłam powieki.

Dobra inscenizacja.

Po chwili Olli stoczył się ze mnie.

Na co patrzeć, żeby przebić łyzy? Na szary hotelowy telefon, sześćdziesiąt fenigów za jednostkę. Gdybyś jednak

zadzwoń, ten numer byłby ci oszczędzony. Numer z leśnym gnomem z Finlandii.

Olli czknął i położył na mnie rękę. Odkryłam niewielki tatuaż. Spałam z wytatuowanym facetem. Z prymitywnym, wytatuowanym facetem z Finlandii. Wskoczyłam z łóżka i pognałam pod prysznic. Wstręt. Nie patrzeć do lustra. W głowie huczało mi od dwóch litrów jevera.

A w pokoju w moim łóżku leżał fiński dzik i czekał.

Miałam ochotę zwymiotować. Ale nie udało się.

W końcu wzięłam się w garść. Wróciłam do pokoju, w głowie mi szumiało, łóżko z dzikiem kręciło się przed oczami. Włochate ramię wyciągnęło się w moim kierunku. Podjechało ostatnie piwo.

- Myszko, jesteś wspaniała. Masz, wypij, to poczujesz się lepiej.

Wypiłam. I z miejsca poczułam się lepiej. W telewizji leciał jakiś czar - no - biały western. Tym razem bez Johna Wayne'a. Gapiłam się na drgający ekran.

- Myszko, jeśli masz ochotę jeszcze raz...

- Co? - Spojrzałam na niego w osłupieniu. Włochate ramię przybliżyło się do mnie bez butelki z piwem.

- Mogę jeszcze raz!

- Ale ja nie mogę! - Odepchnęłam ramię. Ale właściwie nie miałam prawa złościć się na niego. Nie rozumiałby, o co mi chodzi. Przecież współdziałałam. Od pierwszego chichotu do ostatniego jęknięcia. A że wszystko było inscenizowane, to już nie jego problem. Świetnie się bawił. A że ja źle się bawiłam... tak, myszko, po co w takim razie udawałaś. Przecież mogłaś powiedzieć nie. Jesteś przecież kobietą wyzwoloną.

Poprosiłam, żeby sobie poszedł. Na to jeszcze mogłam się zdobyć.



Wziął flanelową koszulę i wyświechtane spodnie, jeszcze raz rezolutnie uszczypnął mnie w policzek, powiedział: - Śpij dobrze, myszko, jutro jeszcze mamy długi dzień przed sobą - po czym goły jak święty turecki udał się na korytarz. Puste butelki po piwie zostawił na podłodze. Jedna z nich stała koło szarego telefonu, sześćdziesiąt fenigów za jednostkę.

Padłam na łóżko.

Georg. Georg! Co ja ci zrobiłam! Umieram z tęsknoty, żalu i skruchy. Gdybyś wiedział...

I z tą myślą zdołałam wreszcie zacząć wyć. Ale też nie z głębi serca. Nie byłam już zdolna nawet do rzetelnego skąpania się we łzach.

Jeszcze chwilę trwałam w pogardzie dla siebie, po czym przyniosłam sobie czekoladę z barku. Siadłam na łóżku i pełnymi ustami pochłaniałam brunatny grzech. I to było mi już obojętne. Georg. Georg!!! Masz przyjść natychmiast, wziąć mnie w ramiona, pocieszyć mnie i ani odrobinę się nie gniewać. I łagodnie szeptać mi do ucha, że to przecież każdemu może się zdarzyć. I że zupełnie rozumiesz fińskiego dzika. I że ty sam na miejscu fińskiego dzika postąpiłbyś tak samo.

Zrobiło mi się niedobrze od czekolady.

Położyłam się i leżałam gapiąc się w sufit.

Jutro jest w programie alleluja.

Teraz śpij, dziecko.

Do tego też byłam jeszcze zdolna.

Moje nieokiełznane ego zdołało zapaść w sen - z dwiema i pół litrami jevera, połową tabliczki czekolady i bardzo nieładnym numerem na sumieniu. I ani przez chwilę nie myśleć o koncercie.

## Rozdział XXVI

W Bremie bywa pięknie, ale bywa i szaro. Kiedy jest mżawka, jarmark świąteczny jeszcze nieczynny, burozielonkawa wieża ratusza apatycznie sterczy ku chmurom, a do koncertu jeszcze całe osiem godzin, z którymi coś trzeba zrobić, wtedy Brema jest szara. Nie poszłam na śniadanie, wciąż było mi okropnie niedobrze i wstrząsana dreszczami wyszłam na dwór. Pierwszą moją czynnością było dokładne rozpoznanie wszystkich parkujących w zasięgu wzroku samochodów. Niestety, tureckiego opla nie było. W każdym razie z bońską rejestracją.

Więc można się czuć tak samotnie, nędznie i nieszczęśliwie. Ciekawe. Wszystko trzeba przeżyć.

Poszłam do muzeum. Stęchłe, duszne powietrze, mroczne pomieszczenia, nieliczni znudzeni zwiedzający w ociekających wodą płaszczach. W żołądku rebelia. Głód i mdłości. Potwór leżał dzisiejszego ranka przed swoją budą zupełnie skacowany, pokazując mi tylną część ciała.

Siedem godzin do koncertu.

A więc oglądamy ludy pierwotne. Mnóstwo drewnianych Murzynów siedzących przed lepiankami i manipulujących przy glinianych naczyniach.

A tam. Małpy, zebry, słonie, wszystko świetnie wypchane. Dzik. Wstrętny. Te kły.

Toaleta dla pań. Weszłam. Moje odbicie w lustrze. Mało budujący widok. Stara, jeśli kiedyś znów marnie się poczujesz, to przypomnij sobie ten moment w damskim kiblu muzeum krajów zamorskich. Zaraz poczujesz się lepiej.

Jeszcze sześć godzin i czterdzieści minut.

Ależ niedobrze. Na papieroska, do kącika dla palących w holu.

Potem znów bohaterska runda po muzeum. Dziś wieczór na dworcu będzie czekał Klaus. Jeszcze tylko trochę ponad

czternaście godzin. Potem wcisnę się w jego kożuch, zetrę z policzka jego wilgotny pocałunek i zajdziemy do jakiejś przytulnej knajpki albo pójdziemy do mojej czerwonej kuchni na kieliszek sherry. On naprawdę mnie lubi.

Klaus. Za czternaście godzin.

Stałam przed wielkimi mapami, które pokazywały szlaki wędrówek plemion murzyńskich, skąd i dokąd, i po co, i czarne znaki zaczęły się rozmywać przed oczami. Wyc, litować się nad sobą, to potrafisz. Gruba kluska w gardle. Za sześć godzin struny głosowe mają być absolutnie wolne, rozumiesz?

Mój potwór wykrzywił się przed swoją budą. Facet nie do życia. A wczoraj w nocy wyprawiał dzikie orgie. Potwór i dzik. Prawdziwy festiwal bestii.

Koło drugiej miałam dość wypchanych pawianów i tapirów, wyszłam z muzeum, chwilę łąziłam po pokrytych śnieżną breją chodnikach, zjadłam jakąś sałatkę.

Brema była wymarła i obrażona.

Żal mi było cudzoziemskiego kelnera, który podał mi jedzenie, a on też chyba uzalił się nade mną.

Ziemia to padół płaczu. Pełen nędzy, lęku i udręki.

Sałatka miała smak mydła. Zapłaciłam i wyszłam. W hotelu spróbowałam popołudniowej drzemki. Pokojówka dyskretnie sprzątnęła butelki po piwie, pół tabliczki czekolady leżało obok szarego telefonu.

Parę minut po trzeciej.

Trzy godziny do koncertu.

Dziewięć godzin do spotkania z Klausem.

Ile godzin do spotkania z Georgiem???

Przynajmniej dzik jeszcze mi się dzisiaj nie naprzykrzał.

Popatrzyłam trochę na telewizję. Program dla dzieci z Pumucklem czy jak on się nazywa. Hałaśliwe, niesympatyczne głosy, rażące kolory. W innym programie

ruchoma kamera wędrowała przez jesienny park. Tak się kołysała, że znowu zrobiło mi się niedobrze. W trzecim programie pokazał się obraz kontrolny, ale słyszeć było muzykę Wolfganga Amadeusza Mozarta. Zamknęłam oczy i słuchałam muzyki. Potem mycie głowy, makijaż, rozśpiewanie w ukochanej, bezosobowej łazience hotelowej.

Godzina do koncertu.

Głos funkcjonował zadziwiająco dobrze. Mój potwór znów się wykrzywił. No widzisz, stara. Ciebie już naprawdę nic nie jest w stanie ruszyć, a to znaczy, że jesteś prawdziwą profesjonalistką. Gdy będziesz dziś śpiewać, ani jeden człowiek w przepelnionym kościele nie domyśli się, co się w tobie dzieje; A dzik? Będzie ryczał. Uśmiechniesz się do niego grzecznie i będziesz się zachowywała tak, jakby nic się nie stało.

Ostatni rzut oka w łazienkowe lustro. No proszę. Co można zrobić z pomocą kosmetyków. Różowe, świeże policzki, promienne oczy, piękne czerwone wargi, dyskretnie upudrowany nos... Światowa kobieta. To właśnie ja.

A za fasadę nie pozwolę nikomu zaglądać. To nie ze mną. Zabrałam nuty, torbę plastikową z wieczorową suknią i kamertonem i przez czynny teraz jarmark świąteczny z tłumem weekendowych spacerowiczów powędrowałam do kościoła. Pół godziny do koncertu.

No proszę. Przetrwałam ten dzień.

Już prawie kupiłam sobie torebkę prażonej kukurydzy. Wtedy go zobaczyłam. Od tyłu. Ale czy to naprawdę on? Ależ skąd, bzdura, nonsens, fatamorgana. Dziecko, idź dalej i pomyśl o koncercie.

Jego tu nie ma.

A jeżeli nawet, to i tak jesteś obrażona. Ustaliliście, że nie spotykacie się już do Nowego Roku.

Stałam. On? Czy nie on?

Prawdopodobnie tak bardzo tego chciałam, że co drugi popelinowy płaszcz uznałabym teraz za jego. Nonsens. Ojcowie rodziny w Bremie też noszą popelinowe płaszcze. Ale ta postawa! Pali jak on! Stoi przed plakatem jak on!

To jest on.

Georg. Stał na rynku przy ratuszu w Bremie i pilnie studiował plakat, ten żółty. I palił.

Gęsia skórka. Chcę tego teraz? Kiedy już tak wzięłam się w garść? Kiedy już samotnie przetrwałam ten dzień, nie płakałam, pięknie się rozśpiewałam i dobrze umalowałam? Mam przecież znowu swoją fasadę! Czy muszę mieć teraz Georga?

Ale miałam sobie kupić prażoną kukurydzę. Światowa kobieta robi lepsze wrażenie, kiedy wchodzi na scenę niedbale chrupiąc prażoną kukurydzę. Drżącymi palcami położyłam przed sprzedawczynią dwie marki pięćdziesiąt, których żądała za ciepłąwą torebkę pachnących grzeszków powszednich.

Grzechy powszednie Bóg karze natychmiast. Przy rozrywaniu torebki tak bardzo trzęsły mi się ręce, że małe nadmuchane diabełki wypadły mi na twarz i na płaszcz, a stamtąd na asfalt bremeńskiego rynku. Setki. Prawie wszystkie. W sflaczałej torebce zostało chyba ze dwa tuziny chrupków, które nie zdołały wydostać się na zewnątrz. Czerwona jak rzodkiewka wtykałam w usta przynajmniej te. Podskoczył jakiś pan, żeby pomóc mi w zbieraniu pozostałych dwustu chrupków, ale zaraz się połapał, że ta pani, która z jaskrawoczerwonym obliczem pałaszuje resztki chrupków, chyba nie będzie miała ochoty jeść z ziemi. Znieruchomiał wpół skłonu, uśmiechnął się i zrobił w tył zwrot. Zerknęłam na Georga. Co za przykrość. Co za okropna przykrość.

Taki zepsuty występ.

Ale Georg był taktowny. Albo ślepy. W każdym razie w dalszym ciągu studiował żółty plakat. Chyba uczył się go na pamięć.

Poszłam więc mężnie w kierunku drzwi kościoła. W końcu miałam coś do zrobienia. Nie byłam tu dla przyjemności. Co powiedzieć, nie wiedziałam aż do tej sekundy, w której udał zaskoczenie. Spojrzał na mnie z takim zdziwieniem, jakby chciał zapytać: Ty tutaj?

To ja miałam prawo się zdziwić, dlatego powiedziałam od niechcena, skubiąc sobie z piersi kilka chrupków:

- Jeśli chcesz wejść, możesz mieć bilet wolnego wstępu!

- Mam już bilet. Kupiłem sobie przed południem. Za czterdzieści marek. W pierwszym rzędzie.

- Co masz? Kiedy? W którym rzędzie? - krzyczałam na niego rozgryzając resztki prażonej kukurydzy.

- Ja też chcę kiedyś usiąść w przodzie - powiedział Georg z niesłychanie dwuznacznym grymasem ust. - Może wtedy wzrosną moje szanse.

Nie mogłam inaczej. Objęłam go, że aż zatrzeszczał. Gdy znów na niego spojrzałam, miał chrupki przyklejone do popelinowego płaszcza.

- Jeśli już siedzisz w pierwszym rzędzie, to możesz potrzymać walkmana - powiedziałam, wygrzebałam go z kieszeni płaszcza i pokazałam mu, gdzie się wciska, czerwony guzik. Georg wziął mój drżący palec wskazujący i pocałował go. Zrobiło mi się słabo i zaczęło mnie mrowić poniżej żołądka, a powyżej drżących kolan. Piętnaście minut do koncertu.

- Chyba powinnam wejść... - bąknęłam niemądrze.

- Ja też - uśmiechnął się Georg.

Wiliśmy się przez ciżbę spacerowiczów, którzy z nudów wybrali się na koncert. Po czym ja szybkim krokiem weszłam do zakrystii. Georg posłał mi jeszcze ręką pocałunek i zajął

miejsce w pierwszym rzędzie. O, dobre niebiosa! Dobre, zwariowane, zupełnie niekonsekwentne niebiosa! Dlaczego tak się okropnie cieszę?

W zakrystii, między pachnącą zgnilizną szafą (pewnie rzucali tu swoje komże pokwitający ministranci) a lichtarzem ze świecami, które nosi się po kościele przy szczególnie uroczystych okazjach, stał fiński dzik i ryczał różne głoski. Zapewne rozśpiewywał się. Kiedy go zobaczyłam, w pogniecionym fraku z żółtą, przybrudzoną muszką, opanowało mnie uczucie takiego szczęścia w związku z Georgiem, że z trudem powstrzymałam się od głośnych okrzyków radości.

- Myszko! - ryknął dzik, a ja nagle objęłam go i pocałowałam w pryszczaty policzek, nieoczekiwanie pachnący płynem po goleniu.

- Nie jesteś na mnie zła, myszko? - spytał zaskoczony Olli, a ja popatrzyłam na niego promiennie:

- Ale skądże, dlaczego?

Fin był niedwuznacznie skonsternowany, ale zanim zdążył złożyć mi nową propozycję, na nadchodzącą noc, przez tylne drzwi wpadli świeżo rozśpiewani i ochrzanieni chłopcy z chóru i tak wypełnili zakrystię, że zaczęła pękać w szwach. Olli utonął wśród nich, a ja usiłowałam dostać się do lustra, żeby zatuszować sobie nadmiar czerwieni.

W tłumie dał się zauważyć kierownik chóru i ochrzaniacz dzieci:

- Teraz w absolutnej ciszy idziemy do kościoła, jeden za drugim, ty też, Lars!

Nie wiedziałam, jak Lars ma rozumieć to wezwanie, ale Lars chyba wiedział. Wstawił z powrotem do lichtarza zmasakrowaną scyzorykiem świecę, i włączył się do szeregu. Horda w cokolwiek krzywym szeregu wydreptała z zakrystii do tajemniczo oświetlonej nawy kościoła. Szmer wśród publiczności zamarł. Prawdopodobnie wszyscy wyciągali

szyje, żeby popatrzeć na milutkich chłopczyków. Dyrygent otarł sobie pot z karku i szybko czesał się przed małym lustrem, służącym zapewne zwykle księdzu i ministrantom przed wyjściem z mszą. Wyraźnie zdenerwowany, rzucił szybkie spojrzenie na nas, troje solistów.

- Sopranistki wciąż nie ma?

W jego oczach była panika. Olli wyszczerzył zęby. Tenor bez zainteresowania patrzył na swoją teczkę z nutami. Ja rozejrzałam się, jakbym się spodziewała znaleźć panią sopranistkę pod kaloryferem.

- A jak ona wygląda? - spytał ciekawie Olli.

- Ależ nie mam pojęcia! - zawołał dyrygent, wyraźnie zrozpaczony. - Przecież przysłała mi ją agencja!

- Wygląda na to, że nie - odważyłam się zauważyć półgłosem. Dyrygent przełknął ślinę, tak głośno, aż przestraszyłam się, że połknął

jabłko Adama. Ale wciąż tańczyło nerwowo za nienagannie sztywną muchą, która w porównaniu ze zwisającym, niechlujnym muchopodobnym strzępem Olliego przyjemnie syciła oko.

- Potrafi pan zaśpiewać arię sopranu? - zwrócił się nagle do tenora. Ten po raz pierwszy podniósł oczy znad swoich nut i powiedział:

- Jasne, że nie.

Oczywiście. Tenory nigdy nie potrafią śpiewać nic innego niż to, co mozolnie całymi tygodniami wbijali im do głowy ich nauczyciele. Olli zaczął grzebać w swoich nutach z oślimi rogami.

- Zaśpiewać? - zaoferował ofiarnie swoje usługi.

- No tak, ale jak pan sobie poradzi, tak wysoko? - spytał bezradnie dyrygent. Uznałam to pytanie za nieskończenie głupie.



- Mogę śpiewać falsetem! - Olli bezczelnie wyszczerzył zęby i mrugnął do mnie.

- Falsetem? Hm, nie wiem... - Zakłopotany chórmistrz spojrział teraz na mnie. - A pani?

- Ja też mogę śpiewać falsetem - odparłam. Na szczęście znałam tę arię ze słyszenia.

- Dobrze, to niech pani to zaśpiewa - rozkazał szef i dodał jeszcze jakieś „bardzo panią proszę”.

Osobliwe, że kiedy wreszcie wmaszerowaliśmy do kościoła i zajęliśmy nasze miejsca na zimnych ławach przy ołtarzu, nie byłam ani trochę zdenerwowana. Koncert się zaczął; patrzyłam na arię sopranu. Dlaczego kiedyś denerwowałam się z powodu jakiejś arii mezo, skoro teraz mam śpiewać a vista arię sopranu? Przed wielkim kościołem pełnym ludzi? Przed Georgiem?

Przeżyłam ten koncert jak we śnie. Jakbym wypić szampana albo wypaliła kilka papierosów Georga - tych przed, po i w czasie. Wstałam, zaśpiewałam arię mezo, a potem bez większych ceregieli arię sopranu. Jakbym nigdy nie śpiewała niczego innego. W pewnym momencie znalazłam się o tercję za nisko, usłyszałam, jak Olli zakwiczał odpowiednie tony i niespostrzeżenie, mimochodem wskoczyłam z powrotem na dobrą wysokość.

Naturalnie nie były te wysokie tony szczególnie rewelacyjne, ale zaśpiewałam je, radośnie, beztrąsko, przekonująco, tak jak mam zwyczaj śpiewać cudze arie pod prysznicem. Lekko, bez natchnienia i bez stresu. Gdy usiadłam i ręka Olliego pogłaskała mnie po kolanie, spojrziałam na twarz Georga. Uznanie i duma. Wydułam wargi, a on w odpowiedzi przesłał mi ręką pocałunek. Za co pani obok ukarała go gniewnym spojrzeniem i nieznacznie odsunęła się od niego.

Koncert trwał.

Chłopcy śpiewali z chrypką i z zapalem, tenor śpiewał przez nos, sztywno i butnie, nasz duet znów zamienił się w pojedynek, ale ja odniosłam w nim błyskotliwe zwycięstwo, bo po pierwsze byłam w łaskach u dyrygenta, a po drugie byłam po prostu lepsza! Młoda, uśmiechnięta, promienna i szczęśliwa, i bardzo muzykalna. Tak jest. Czego o nim nie można było powiedzieć. Olli ryczał, aż kolumny drżały, a państwo w pierwszych rzędach zasłaniało się programami przed kropelkami jego śliny.

W sumie udany koncert.

Potem pobiegłam prosto do Georga. Publiczność nie zdążyła jeszcze wypchnąć się z kościoła.

- Spływamy w trybie pilnym?

- Dokąd tylko chcesz!

- Dobrze, chodźmy przez zakrytą, będzie najszybciej !  
Złapałam go za rękaw i pociągnęłam za sobą. Dwie minuty później byliśmy w Friesenstube.

- Chodźmy do tego kącika, tam w głębi! Tym razem go pchałam.

- Dwa razy jever, duże, poproszę szybko!

Byłam niesamowicie naładowana i kupiłabym całą Friesenstube, gdybym dzięki temu mogła szybciej dostać to piwo.

- Jaka byłam? - spojrzałam na niego radośnie i wzięłam go za rękę.

- Arcycudowna.

- To przy tobie rosną mi skrzydła - promieniałam.

- A ja przy tobie jestem strasznie, strasznie szczęśliwy. -  
Całowaliśmy się. Ponad stołem, przy ludziach.

Smakowało dymem i Georgiem, i niezliczonymi godzinami miłości wśród moich żółtych tapet. Jak mogłam dobrowolnie z tego zrezygnować! Po drugim piwie miałam na niego nieposkromioną ochotę.

- Idziemy?

- Dokąd tylko chcesz.

Przecież o dwudziestej pierwszej zero sześć odjeżdża mój pociąg. I o północy Klaus będzie czekał na dworcu, prawdopodobnie z niebieską gladiolą albo butelką szampana, albo pierścieniem zaręczynowym, albo czymś w tym rodzaju.

Ale mój potwór był w szampańskim nastroju, stał przed swoją budą merdając ogonem i kusił: Nie masz żadnych zobowiązań, rób to, na co masz ochotę, przecież Georg jest dla ciebie najważniejszy, nie bądź taka ciocia - Klocia! Poza tym uskrzydlało mnie wyborne północnoniemieckie piwo, mój (jak sądziłam) niebywały sukces i (przede wszystkim) widok Georga. Co tam intercity.

Zapłaciłam za nas dwoje, w ogóle jednoznacznie ja tu byłam szefem, wyciągnęłam Georga z restauracji i wciągnęłam do hotelu.

- Właściwie już się wyprowadziłam, ale może macie państwo jeszcze jakiś wolny pokój na nadchodzącą noc? - zapytałam blondynkę w recepcji.

- Tylko dla pani czy również dla tego pana?

- Również dla tego pana.

- Pokój dwuosobowy czy dwa pokoje jednoosobowe? Pan zapalał sobie na boku papierosa.

A więc znowu wszystko na mojej głowie.

- No więc, skoro już pani pyta... Dwuosobowy.

- Czy mam łączyć do pani telefonu z K.?

Sprytna blondynka, od razu zrozumiała, w czym rzecz.

- Telefony z K.? - udałam głupią.

- Pan doktor Klett już dwa razy pytał o panią.

- Sama do niego zadzwonię, dziękuję.

Dostałam klucz do pokoju i pojechaliśmy windą na górę. Zupełnie bez bagażu, jak należy, gdy się jest parą potajemnych kochanków.

Na górze siadłam na łóżku. Tym razem leżały na nim dwie czekoladki na dobranoc. Bo i łóżko było podwójne. Georg stał przy oknie i znów palił.

- Będiesz jeszcze telefonować? - spytał taktownie.

- Później. - (Nie minęła jeszcze dwudziesta pierwsza zero sześć, więc nie mogłam się zasłonić spóźnieniem na pociąg).

Żadne z nas nie telefonowało. Wystarczaliśmy sobie sami.

Gorąco i żarliwie, i ze łzami po obu stronach. Dlaczego wyłam, tego dokładnie nie wiedziałam. Szczęście, ulga, skrucha w związku z Klausem, czy jeszcze większa skrucha w związku z fińskim dzikiem? Czy po prostu alkohol z dodatkiem hysterii - przemaglowana mała śpiewaczka, która przekroczyła swoje granice, pod każdym względem, i zaczyna przeżywać życie jak film, bez poczucia odpowiedzialności za siebie i swoje czyny. Być może wyłam, bo przeczuwałam, że życie już nigdy nie będzie takie zajmujące i zabawne. A Georg prawdopodobnie wył z tego samego powodu. W jego wieku bardzo słusznie.

Gdy znów doszliśmy do siebie, zjedliśmy czekoladki i zapaliliśmy jednego.

Sięgnęłam po słuchawkę.

Klaus był okropnie rozczarowany.

- Tak, tak, więc spóźniłaś się na pociąg. Niechący czy celowo? Taki całkiem głupi to on nie jest, ten Klaus Klett.

Zmyślałam i kombinowałam, że dyrygent chciał mnie jeszcze raz zaangażować, że pertraktacje tak się przeciągnęły, że... A poza tym jutro będę mogła zabrać się z jednym wiolonczelistą, który mieszka w K. i przez przypadek akurat spotkaliśmy się tutaj... Wstyd mi było tak kłamać przy

Georgu, ale w tym momencie sama wierzyłam w te wszystkie bzdury, które wymyślałam.

Klaus powiedział, że to miło, że jeszcze zadzwoniłam, że w takim razie powróci do pewnego spotkania, które odwołał ze względu na mnie.

Uznałam te konstatacje za szalenie głupią, ale miałam teraz mniejsze wyrzuty sumienia. Niech się spotyka z tą swoją żoną czy z kim tam chce. Prawdopodobnie zresztą to jego spotkanie to miłe tete a tete z komputerem. Słodkim tonem życzyłam mu przyjemnego wieczoru i miłego spotkania.

Gdy odłożył słuchawkę - notabene on odłożył - stało się dla mnie jasne, że nie zobaczę go prędko. Może już nigdy. Dziecko, straciłaś go. Lekką ręką pozbyłaś się dobrego przyjaciela. On już dla ciebie nie istnieje.

Georg w milczeniu wetknął mi papierosa w usta. Było mi wobec niego trochę wstyd, że tak nędznie zbyłam Klause. Cały splendor, cała chwała ostatnich kilku godzin gwałtownie zbladły. Mój potwór z zakłopotaniem patrzył na swoje przednie łapy. Niezbyt udany akt, niestety.

Pogapiliśmy się trochę w sufit. Kłęby dymu i naszych ciężkich myśli. Zachciało mi się szampana.

Otworzyłam butelkę, wraz z narzutem dwadzieścia osiem marek, i pośpiesznie wypić dwa kieliszki.

- Jestem okropnie podła, nie? - próbowałam uzyskać jego aprobatę. Mój potwór miał łzy w oczach.

Georg uśmiechnął się łagodnie, ale usta miał ściągnięte.

- Zmusza cię do takich wykrętów.

- Prawda? - z nadzieją opróżniłam trzeci kieliszek szampana.

- Normalnie to chyba nie w twoim stylu, tak... bez skrupułów zostawiać kogoś na lodzie.

Nie. Nie w moim stylu. Georga zostawiłam na lodzie o wiele subtelniej. Po prostu czule. Z licznymi uściskami i pożegnalnym spółkowaniem.

- On to po prostu prowokuje - parsknęłam. - Spotkanie! Głupi trik!

- A jeżeli rzeczywiście ma spotkanie?

- Ależ skąd! Niby z kim?

Moja pycha rozszalała się już bez żadnych granic. Nie widziałam poza sobą w całym K. ani jednej kobiety, z którą Klaus mógłby się umówić. Ja byłam kolcem w jego sercu, i to jedynym, do cholery! A po mnie w ogóle nie ma w życiu mężczyzny miejsca na żadną kobietę.

- A jeśli naprawdę spotyka się ze swoją żoną? - ugodowo podjął wątek Georg.

- Ależ skąd, nienawidzi jej.

Do niczego nie doszliśmy. Ale mój kaprawy nastrój przerodził się w radosną agresję. Wypiłam czwarty kieliszek szampana, potem zapatrzyłam się na kolorowe gwiazdki, a mój potwór wyglądał jak Pan Propper: gruby, szczerzący zęby, z ramionami skrzyżowanymi na muskularnej piersi i wypisanym na twarzy: Możecie mi...

## Rozdział XXVII

Niedzielnny poranek w Bremie, znów bardzo przedświątecznie, spacerowicze na zimnym placu przed ratuszem, jarmarczne budy, budząc się, rozpościerają plandeki... Ramię w ramię maszerowaliśmy z Georgiem do jego samochodu, który zaparkował „trochę na uboczu”; jak się okazało, gdzieś przy trasie przelotowej na Heidenoldenhausen czy coś takiego.

- Mogę poprowadzić? - spytałam mając na uwadze czterogodzinną jazdę autostradą.

W milczeniu podał mi kluczyki. Jakoś ustalili się już podział ról między nami.

Ja zamawiałam pokoje, piwo, prowadziłam samochód i otwierałam szampana. On, on po prostu mnie kochał. Jego aktywność ograniczała się do tego, że był przy mnie i robił to, co sądził, że ja też robię albo że podobałoby mi się, gdyby on to robił. A więc w tym przypadku siedział na siedzeniu dla pasażera, puszczał piękną muzykę przez żalowaną instalację stereo i co pięćdziesiąt kilometrów zaopatrywał mnie w zapalonego już papierosa. Świeciło słońce, na zewnątrz było zimno, ale radośnie, i my też byliśmy radośni.

Na wysokości Kamener Kreuz Georg powiedział, że nigdy jeszcze nie był taki szczęśliwy, i ja też powiedziałam coś podobnego. I dalej wyciskałam ze starego pudła sto osiemdziesiąt. Niedaleko Remscheid opel zaczął się krztusić. W radiu właśnie ktoś przeraźliwie wrzeszczał: „Witam cię, witam, halo!” - a ja pomyślałam, że chyba niedługo opel będzie mógł w ten sam sposób przywitać się z halą warsztatu samochodowego.

- Opel się krztusi.

Georg, przestraszony, rzucił się do przodu i skontrolował wskaźnik benzyny. Pusto.

- No tak, nie mamy benzyny!

- I co teraz? - Z drzeniem serca skierowałam udręczone pudło na zewnętrzny pas.

- Idę pożyczyć.

- Jak się pożyczca benzynę?

Georg wysiadł i powędrował z powrotem w kierunku Bremy. W lusterku wstecznym śledziłam wzrokiem coraz mniejszy, beżowy płaszcz z popeliny.

Co teraz? Minęło południe, a wieczorem mam koncert świąteczny w górach.

A przedtem do domu, wziąć prysznic, przebrać się, rozspiewać, nuty, buty, suknia, widełki...

Co za stres. Pot wystąpił mi na czoło. Grzechy powszednie Bóg karze natychmiast. Z ciężkimi też długo nie zwleka, jak przyszło mi stwierdzić. Siedziałam w opłu i pociłam się. Obok pędziły samochody. Georga ani śladu. Minuty potrafią trwać wieki.

Brunhilde przestała witać się z halą, skończyła się kasetka. Nie miałam już ochoty na dalsze wspaniałe tremola pań Sieglinde, Flosshilde i Schwertleite, o znacznie większym od szarego człowieka wolumenie głosu i ciała.

Pokręciłam trochę gałką radia, ale ani adwentowe chóry chłopięce, ani zupełnie niezborne awangardowe słuchowisko radiowe, ani elektroniczna samorealizacja kompozytorów współczesnych w WDR 3 nie były w stanie mnie uspokoić. Z dziką żarłocznością w braku twarożku przeżułam dwa czy trzy niskokaloryczne batony po marce czterdzieści osiem fenigów z Reformhaus.

Georg nie wraca. Niedobry, niedobry zegar. Niedługo trzecia. Koncert świąteczny w górach rozpoczyna się o szóstej... Zaczęłam się zastanawiać.

Jeżeli Georg nie znalazł ofiarodawcy czy wierzyciela... Jak długo biegnie się z Remscheid do Immekeppel? Nie, ta wersja odpada. Autostop? Na autostradzie? Rozpaczliwie



wymachiwać rękami, może którymś wyciągiem fortepianowym, albo pomerdać wieczorową suknią? A może jogging na szpilkach do najbliższego zajazdu? I stamtąd telefon? Taksówka! To wyniesie mnie całe honorarium z Bremy... A Georg nie wraca. Ten zegar wydawał się jedynym sprzętem w opłu, który jeszcze funkcjonował. Pokazywał okropne, straszne rzeczy.

Wysiadłam, bo nie mogłam znaleźć więcej batonów dietetycznych, a Georg zabrał ze sobą papierosy. Coś przecież muszę znaleźć, do gryzienia czy do lizania. Nic.

Bezlitośnie pędzące samochody.

A może by jednak ostrożnie machnąć ręką? Machanie ręką na autostradzie jest zabronione.

Machnięcie wyciągiem fortepianowym z Bacha zrozumiałoby na oko około pięciu procent niemieckich kierowców. Małe szanse. Więc czym machać?

W końcu jednak zaczęłam bojaźliwie machać prawą ręką.

Niektórzy z uprzejmym uśmiechem odmachiwali mi, szczególnie uprzejme starsze małżeństwa, które same jechały oplami i stosownie do tego miały zrozumienie dla mojej przypadłości. Dwa samochody zamierzały się zatrzymać, ale ich kierowcy mieli tak przerażająco lubieżny wygląd, że pośpiesznie odwróciłam się i udawałam, że mam inne plany.

Co chwila zerkałam w kierunku Bremy, gdzie usiłowałam dostrzec wyłaniającego się zza horyzontu Georga. Ale Georga nie było. Tylko tańczące fatamorgany na rozświetlonej słońcem autostradzie.

Ktoś się zatrzymał. Chyba mazda, ale nie przysięgnę. W każdym razie samochód z przyzwoicie wyglądającym mężczyzną za kierownicą, który zapytał przez opuszczoną szybę, w czym może mi pomóc, czy życzę sobie, żeby mnie podholował. Odmówiłam sobie dwuznacznego pytania, czy

ma na myśli mnie czy samochód, i spytałam skromnie, czy może jedzie przypadkiem w kierunku Immekeppel.

- W kierunku... Dokąd?

- Immekeppel. W górach.

- Nie. Jadę do Akwizgranu.

- Weźmie mnie pan do K.?

- Tak, bardzo proszę, niech pani wsiądzie. A co pani robi ze swoim oplem?

- Jakim oplem?

- No, tym tutaj! To nie pani opel?

- Ach ten! Nie, to nie mój opel!

- No, to niech pani wsiada!

Zabrałam torbę z tylnego siedzenia, właściwie chciałam jeszcze napisać kartkę. Ale skąd wziąć kartkę na środku autostrady?

A więc nic nie zostawiłam. Tylko papierki po batonach dietetycznych. To wystarczające przesłanie. „Póżywa z głodu, przesiadłam się do łodzi ratunkowej”.

Miły człowiek ruszył swoją mazdą. Jechał szybko i widać było, że umie posługiwać się samochodem. W każdym razie nie mylił hamulca z pedałem gazu ani nie zarzynał skrzyni biegów, ani nie spoglądał częściej niż dwa razy na minutę w boczne lusterko. Nie błyskał światłami, nie trąbił, po prostu płynnie jechał do przodu. I nie było muzyki; ani nie rozbrzmiewały śpiewy Walkirii, ani nie sączyła się płaska muzyka pop. Po prostu przyjemnie i relaksowo.

- Dokąd się pani wybiera? - spytał miły człowiek spoglądając w moim kierunku. - Wygląda pani, jakby się pani śpieszyła.

- Zgadza się - potwierdziłam. - Muszę pilnie dostać się do Immekeppel.

- Pilnie? Dlaczego pilnie?

- Sprawy zawodowe. Mam wyznaczony termin. Najpóźniej o wpół do szóstej muszę być na miejscu.

Rzucił okiem na zegarek i mruknął:

- Będzie ciężko!

Rzeczywiście, było wpół do piątej, a człowiek w końcu zmierzał do Akwizgranu, nie do Immekeppel.

- Wysadzić panią na parkingu w Remscheid? - spytał. - Może pani próbować zatrzymać tam jakiś samochód.

Błyskawicznie zrozumiałam, że na parkingu w Remscheid nie znajdę nikogo, kto przypadkiem wybierałby się do Immekeppel. Musiałam naciągnąć tego. On albo nikt.

- Proszę posłuchać - powiedziałam. - Naprawdę jestem w okropnych tarapatach. Ile mogę panu zaproponować, żeby mnie pan zawiózł do Immekeppel?

Znowu spojrzał na mnie z boku, ale już nie tak uprzejmie, raczej ze zdziwieniem, jeśli nie podejrzliwie.

- No więc jeśli już mam panią zawieźć do Immekeppel - powiedział przeciągle - hmm... gdybym miał zawieźć panią do Immekeppel, zdradziłaby mi pani, co to takiego ważnego?

Powiedziałam prawdę. Mężczyzna po raz trzeci spojrzał na mnie z boku.

- Śpiewaczka? Wcale pani nie wygląda!

- Wiem - ucieszyłam się.

- Wygląda pani raczej na normalną dziewczynę - powiedział. Podziękowałam za komplement i zachichotałam wesoło. Bardzo mu się to spodobało. Nagle jego własne terminy przestały wydawać mu się takie ważne.

- O.K. Zawiozę panią do Immekeppel. Jeśli pani mnie zabierze na koncert - zaśmiał się radośnie.

- To musi pan tu zjechać z autostrady - zawołałam w samą porę. Jeszcze zdążył skręcić. Kości zostały rzucone. Mój wybawca wiózł mnie do Immekeppel. Bez nut, ale z butami i przepoconą suknią. Nie rozśpiewana, ale w porę pojawię się w

wielkiej katedrze w Immekeppel. Z mazdą i z jej miłym kierowcą. Już dawno nie miałam przy sobie żadnego pana znajomego.

## Rozdział XXVIII

A więc Klaus zniknął z mojego życia; Georg nie. Georg był na każdym moim występie, przez cały okres świąteczny, i kochaliśmy się, pięknie i regularnie. Od czasu do czasu spotykałam się z paroma innymi panami znajomymi, z tym i owym, oczywiście także z owym właścicielem mazdy; był meteorologiem i hodował ropuchy w ogródku. Raz go odwiedziłam - w wieku trzydziestu czterech lat mieszkał wciąż z matką - i pozwolono mi obejrzeć jego kolekcję ropuch. Nadałam wszystkim ropuchom solidne, staroniemieckie imiona: Walburga, Annetraut, Eberhard i Godfried, co wprawilo w zachwyty właściciela mazdy, a także jego niedosłyszającą matkę. Właściciel mazdy nazywał się Helmut.

Po świętach nawał koncertów minął. W styczniu nie rozbrzmiewa już w niemieckich kościołach alleluja, śpiewacy rzucają w kąt swoje szale, a wyciągi fortepianowe lądują w szafach.

Pojechaliśmy z Georgiem na parę dni do Reit im Winkl, mieszkaliśmy tam w przytulnym pensjonacie i włóczyliśmy się po Winklmoosalm. Wieczorem piliśmy u gospodarza grzane wino albo rączka w rączkę siedzieliśmy w knajpie, należącej podobno do Marii Helwig. W sumie było miło i harmonijnie, świetnie się rozumieliśmy, zwłaszcza nocą.

Raz wybraliśmy się na pływalnię w Ruhpolding, ale czułam się jakoś nieswojo wśród tych wszystkich pyszałkowatych żrebaków, rzucających na fale swoje wysportowane ciała narciarzy. Nie byłam ani wysportowana, ani opalona na czekoladkę, nie miałam też na sobie najnowszego modelu bikini i czułam się tak stara, jak byłam. Może nawet jeszcze starzej. Mniej więcej taka stara jak mój pan towarzysz. Tak koło pięćdziesiątki. Nie chcę przez to powiedzieć, że koło pięćdziesiątki nie można czuć się

doskonale. Człowiek nie musi już być taki piękny, szczupły i wysportowany. Można zjeść rano trzy bułeczki z miodem, a koło południa drożdżówkę z makiem. A tak w ogóle to jakoś odeszła mnie ochota na twarożek. Zupełnie. Na samą myśl o twarożku robiło mi się niedobrze.

Właściwie przez cały czas było mi trochę niedobrze, jak to sobie teraz przypominam.

Dziecko, to ten stres tkwi jeszcze w tobie. Ostatnio żyłaś na wysokich obrotach. Teraz musisz wypocząć, zażywaj dzielnie witaminki i dużo ruchu na świeżym powietrzu. I kładź się wcześniej spać. Jeśli już tak musi być, to z krytykiem. Całkiem całkiem, ten krytyk.

Jasne, ciociu Lili, już się robi.

I wcale nie było nudno. W każdym razie nie bardzo nudno. Raz pojechaliśmy do Monachium do opery, w samego sylwestra. Na „Kobietę bez cienia”. W operze można było powiesić siekierę w powietrzu. Sztuka była przeraźliwie długa, śpiewacy przeraźliwie dobrzy - dziecko, tu widzisz, gdzie są twoje granice! - a historia, która się rozgrywała, przeraźliwie deprymująca.

Była mianowicie pewna wążka małżonka królewska, więc pewnie szlachetnie urodzona, o delikatnej białej cerze, obsadzona w rejestrze sopranu, która nie miała cienia. Jej zła macocha (oczywiście mezzosopran!) namawia ją, żeby kupiła sobie cień od jakiejś prostej kobiety z ludu. Zmiana sceny: okropnie podupadłe gospodarstwo (scenografia: głównie szmaty, wszystko szare, ponure i brudne, ciągle było mi niedobrze). Ordynarny chłop z niskim czołem ciemieży swoją odzianą w łachmany kobietę, ma mu posmarować chleba, ale już!, a potem chce zabawić się z nią na materacu. Ona, sopran, wcale się do niego, basa barytona, nie pali. Co mogłam zrozumieć. Zwłaszcza że śpiewak był Finem. Chleb mu jeszcze posmarowała, z głośnym lamentem, w moll i z

licznymi dysonansami, podczas gdy on majstrował przy drewnianych kłodach, od czasu do czasu coś niewyraźnie pomrukując. Kiedy potem chce dalej śpiewać na materacu, zjawia się zła mamka z onieśmieloną arystokratką i skutecznie przekonują kobietę przy piecu, że jej życie to bagno i że przecież mogłaby spokojnie zrezygnować z draba na materacu. Przedstawiają jej solidną propozycję: cień w zamian za uwolnienie z fińskiej niewoli. Może natychmiast iść dokąd chce, będzie jej się odtąd świetnie wiodło, powinna tylko, proszę bardzo, zostawić swój cień dla arystokratki.

Rzecz w tym, że, co pojęłam dość późno, cień był bardzo ważny. Dla rozmnażania. To znaczy, jeśli się go nie ma, to po prostu nic z tego nie wychodzi. A arystokratka chciała przecież dać swojemu cesarskiemu małżonkowi następcę tronu. Kobieta przy piecu i tak nie paliła się do mnóstwa rozwrzeszczanych bachorów w łachmanach, którym też musiałyby smarować chleb, i przystała na tę propozycję.

Jak było dalej, nie wiem. Byłam zanadto skoncentrowana na tym, żeby nie zwymiotować. Nie wiem też, dlaczego akurat na tej operze było mi tak niedobrze. W przerwie namówiłam Georga, żebyśmy raczej poszli gdzieś coś zjeść.

Przełom roku spędziliśmy w samochodzie. Zupełnie bez fajerwerków i szampana, po prostu, około dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, z głośnika samochodowego radia dochodziły odgłosy dzwonu. Uściskaliśmy sobie nawzajem kolana i życzyliśmy szczęśliwego nowego roku. Poza tym dużo milczeliśmy. I to było dobre. Wciąż tłukły mi się po w głowie dźwięki tej opery.

Dwa dni później wracaliśmy do domu. Pilnowałam, żeby turecki opel miał zawsze pod dostatkiem benzyny.

Georg spytał, czy moglibyśmy jeszcze raz poruszyć temat wspólnego mieszkania.

- Jasne, poruszyć można wszystko - powiedziałam i odgryzłam kawałek niskokalorycznego batona. Ponieważ nic nie powiedział, pomogłam mu:

- A więc chcesz ze mną mieszkać?

- Niczego bardziej nie pragnę, ukochana lwico!

Jakoś miałam już po dziurki w nosie tej lwicy, ale nie odważyłam się powiedzieć mu o tym.

- W mojej klitce na czwartym piętrze w K.?

- Jeśli to konieczne, to i tam. Poza tym oczywiście jest do twojej dyspozycji mój dom w Bonn.

- Z córką?

- O tym moglibyśmy jeszcze porozmawiać.

Aha. Wpadłeś. Własną córkę by sprzedał. Wygnałby żonę, sprzedałby córkę, kota prawdopodobnie by utopił, a wszystko tylko po to, żeby móc rozkoszować się mną w dzień powszedni. Dziecko, bądź czujna. To zaczyna wyglądać na duchowe uzależnienie. Dziecko, nie rób tego. Ten człowiek już nie wypuści cię ze swoich rąk. Przecież jesteś jeszcze taka młoda. Dziecko, to decydujący krok. Nie rób go.

O.K., ciociu Lilii, nie zrobię go.

To powiedz mu o tym, śmiało.

Powiedziałam mu.

Milczał. Ściągnął usta i patrzył na autostradę. Ja też patrzyłam na autostradę. Czułam się jakoś bardzo nieszczególnie.

- Ale dlaczego nie możesz sobie wyobrazić wspólnego życia ze mną? - rozległo się po chwili.

Ciociu Lilii, co mam powiedzieć?

Powiedz mu, że go nie kochasz. Powiedz mu, że nie wyjdiesz za niego. Że zaczekasz jeszcze na mężczyznę swoich marzeń... Ależ ciociu Lilii! Nie bądź taka okropnie staromodna! Mężczyzna moich marzeń nie istnieje!



- Georg - powiedziała - zaczekam jeszcze na mężczyznę moich marzeń.

Tego już było dla niego za wiele. Ale nie jechał zygzakiem. I nie zadawał już głupich pytań, dlaczego nie jest mężczyzną moich marzeń. Nie jest, i zrozumiał to, i temat był wyczerpany.

## Rozdział XXIX

Parę dni później zaczęliśmy próby pewnego utworu współczesnego. Kompozytor nazywał się Strohnagel i był uznaną osobistością. Komponował i komponował, że aż nuty trzeba było wozić wózkiem.

Nie dało się też utrzymać ich w rękach, potrzebne były dwa pulpity z wyciąganymi metalowymi ramionami. Każdemu śpiewakowi przydzielono po dwa metry dwadzieścia centymetrów przestrzeni na obracanie kartek i z tego względu całe nagranie musiało zostać przeniesione do Singakademie.

Była to muzyka na szesnaście głosów, czterdzieści krowich dzwonek, trzy grzebienie, wiadro jesiennych liści, sopran solo i Murzyna. Murzyn był narratorem. Nie rozumieliśmy ani słowa, ale właśnie taka była koncepcja utworu i wobec tego Murzyn doskonale spełniał swoje zadanie. Kiedy krzyczał, ryczał, miotał się i tupał, pot strumieniami spływał mu po twarzy i za kołnierz. Ale efekt dramatyczny był udany, kiedy była jego kolej, my z chóru patrzyliśmy na niego z napięciem. Miał ogromny pulpit z nutami i wszystkie te wyzwiska były tam wypisane.

Sopran solo odprawiał pokutę: czterdzieści cztery minuty nieprzerwanego piskliwego krzyku, aż do czwartej dodanej górnej. Serdecznie współczuliśmy tej pani, widzieliśmy tylko jej drżące plecy, aczkolwiek przebąkiwano, że zarabia na tym nagraniu dwadzieścia tysięcy marek, a poza tym coś ją łączy z kompozytorem. W tej sytuacji ja skierowałam swoje współczucie raczej ku sobie samej. I my musieliśmy przez czterdzieści cztery minuty ryczeć, mruć, chrząkać, wydawać przeraźliwe okrzyki i głupkowato chichotać. Wszystko to z nut, które ledwie dało się przeczytać, bo wyglądały jak mnóstwo muszych gówienek, to wcale nie takie proste. Akurat na mnie przypadła jeszcze w dodatku solówka:

czternaście minut dmuchania w grzebień. Nawet nie wolno mi było użyć mojego własnego, musiałam grać na grzebieniu filharmonicznym, obciążonym celofanem. Okropnie swędziała od tego warga i w ogóle nie było to ani trochę zabawne. Zwłaszcza że w ten sposób wystawiałam się na pośmiewisko.

Inny członek chóru musiał fiknąć koziołka - wybraliśmy naszego najmłodszego, który i tak nie miał prawa do protestu. Jeszcze inny w określonym czasie musiał szeleścić liśćmi w wiadrze. To robił najstarszy, który wkrótce szedł na emeryturę i nie mógł już śpiewać. Szeleścił bardzo sumiennie i ze śmiertelnie poważną miną, właśnie wtedy, kiedy stało w nutach. W końcu kompozytor coś sobie przy tym myślał, nie można tak sobie, kiedy się komu podoba. Na raz i należało zaszeleścić, a potem znów na kwintoli w następnym takcie. Można było łatwo poznać, bo tuż przedtem zaczynała piszczeć sopranistka. Nawet jeśli ginęło to w ogólnym zgiełku, można było orientować się jeszcze po tym, że zaczynała drżeć jej sukienka. W chwilę potem orkiestra sięgała po krowie dzwonki i kiedy chłopcy zaczynali dzwonić, powstawał zupełnie piekielny hałas. Oczywiście nie można już było wyraźnie dosłyszeć efektu z szelestem, ale Willi, nasz emeryt, szeleścił w rytm, z niewzruszoną miną, ściśle według zapisu kompozytora. Najnikczemniejsze w utworze było to, że moje solo na grzebień leżało kompletnie samotne i nagie, na ogromnej stronie z pustymi liniami była tylko uwaga „Grzebień pierwszy - solo”, a potem moje tony. Dopiero w takcie dwunastym znowu zaczynał swoje przekleństwa z gestem Murzyn i odtąd już było wszystko jedno, co gram.

W każdym razie cała rzecz była bardzo stresująca, zwłaszcza że Walpurgis, moja sąsiadka, była ambitna i zupełnie nie miała zrozumienia dla moich dowcipów. Właściwie nazywała się oczywiście Walburga, ale ja

nazywałam ją Walpurgis, bo była czarownicą i w dodatku ambitną. Zamiast jak inni odrobinę improwizować i troszkę się powygłupiać, potajemnie nauczyła się na pamięć swojego chrząkania i pisku i potem na próbach wszystko wiedziała lepiej od nas. Była tym bardziej zła, że nie dostała żadnego solo na grzebień i przez dwanaście taktów musiała w milczeniu słuchać mnie. Ponieważ nie byłam zanadto biegła w rytmicznych i harmonicznym arkanach mojej grzebieniowej partii, ciągle podgwizdywała mi właściwe dźwięki. Absolutnie nie mogłam tego znieść i najchętniej siadłabym jej gołą pupą na wrednej gębie, ale tego nie było w nutach.

Próby trwały codziennie po cztery godziny, ponieważ utwór był niezwykle pracochłonny, po czym miałam jeszcze kupę roboty w domu, żeby wyćwiczyć moje solo na grzebień i z powrotem poukładać na miejsce struny głosowe. Chcę przez to powiedzieć, że nie miałam wiele czasu na Georga, a poza tym nie miałam też ochoty na rozrywki. Prawdopodobnie wykonywanie przez dłuższy czas muzyki współczesnej prowadzi do absolutnej, uduchowionej samotności. Nikt już nikogo nie rozumie.

Klaus od tamtego czasu nie dał znaku życia. Czasem myślałam o nim, kiedy zastanawiałam się, czyby nie udać się do psychiatry z powodu kryzysu tożsamości zawodowej. Ale nie byłam zupełnie pewna, czy kasa chorych zwróciłaby mi za to, i w końcu zrezygnowałam. Parę razy spotkałam się z Helmutem, meteorologiem, i odwiedziłam Godfrieda, Eberharda, Annetraut i Walburę, ropuchy w jego ogrodzie. Przy okazji odwiedzałam też zawsze jego miłą niedosłyszącą matkę, która nigdy nie mogła mnie poznać i za każdym razem kazała sobie na nowo tłumaczyć:

- To jest śpiewaczka, mamó. Śpiewa w Singakademie!

- Szlagiery czy operetka? - pytała za każdym razem starsza pani, a Helmut śmiał się i mówił mi, że nie ma sensu jej tego tłumaczyć.

Moje spotkania z Helmutem miały tę zaletę, że najwidoczniej nie żywił zamiarów Rittersmanna czy Knappa i po prostu z zainteresowaniem przysłuchiwał się moim opowieściom. Potrafił przez cały wieczór trzymać w swoich szczupłych palcach jedną jedyną szklankę kolscha, pociągając z niej od czasu do czasu. Był bardzo umiarkowany: niewiele jadł, niewiele pił, niewiele mówił, niewiele robił i najwyraźniej niewiele też przeżywał. Jego życie wypełniała chora matka z aparatem słuchowym, i cztery ropuchy. Był z niego zupełnie znośny Helmut, zwłaszcza że zawsze kiedy dzwoniłam, miał akurat ochotę i czas spotkać się ze mną, ale poza tym trzymał się z daleka.

Co mnie bardzo dziwiło, to mój kompletny brak apetytu na twarożek. Przypuszczałam, że mój anormalny stosunek do jedzenia wiąże się z muzyką współczesną. Taka kretyńska kompozycja może odebrać człowiekowi apetyt.

Nawet papierosy smakowały mi już tylko w obecności Georga, a na alkohol zupełnie nie mogłam patrzeć.

Któregoś wieczoru Georg oznajmił mi, że będzie pisał recenzję z „Hommage fur Alban Berg” Strohnagla. Z miejsca nakrzyczałam na niego, że Alban naprawdę zasłużył sobie na coś lepszego niż to kretyństwo, stanęłam przed nim na szeroko rozstawionych nogach i odegrałam mu moje solo na grzebieniu. Uśmiechnął się pobłaźliwie i powiedział, że trzeba tego posłuchać w całym kontekście, żeby dostrzec sens. Przysięgłam mu na szczątki mojej babci, że utwór nie ma żadnego sensu - poza dręczeniem publiczności.

Powiedział, że kiedy gram na grzebieniu, jestem czarująca.

Aż mnie zatkało ze złości. Nie chciałam być czarująca, nie chciałam grać na grzebieniu, nie chciałam znosić tego pitolenia na krowie dzwonki i Walpurgis. Powiedziałam Georgowi, że przeżywam kryzys tożsamości zawodowej i że chcę gruntownie zmienić swoje życie, i że ta zmiana dotyczy także jego. Wpadłam w prawdziwą wściekłość i miałam ochotę tłuc wszystko i wszystkich, szczególnie w związku z jego niewiarygodnymi omamami wzrokowo - słuchowymi, że kiedy gram na grzebieniu, jestem czarująca.

Georg zmartwił się, że chcę go rzucić, i zaproponował mi papierosa. Wzięłam, i spaliśmy ze sobą, a potem znowu wszystko było w porządku. Chociaż już nie zostawał u mnie do poranka.

Od urlopu nie spędzaliśmy już ze sobą całych nocy. Zawsze kiedy sobie zażyczyłam, żeby może już poszedł, rzeczywiście wychodził. Wprawdzie nie bez „ukochana lwico” i „śpij dobrze, będę śnił o tobie” i innych takich powiedzonek, ale wychodził. A ja cieszyłam się samotnością. Kiedy już go nie było, stawałam bezradna przed lodówką i nie miałam ochoty na twarożek. Dziwne. W moim życiu coś się zmieniło. Ale co?

## Rozdział XXX

Pamiętnym dniem premiery wielkiego dzieła wielkiego kompozytora naszych czasów był wtorek. Kazano nam wszystkim zjawić się jeszcze z rana na wyczerpującej próbie generalnej. Murzyn i sopranistka tylko markowali, ale pot ciekł pomimo to i drżała sukienka. Emeryt miał popękane palce od szeleszczenia liśćmi, ale trzymał się dzielnie; to był jego ostatni wielki występ.

Walpurgis była tego wtorku w szczególnie złym humorze. Ledwie mogłam ją znieść. Jej przyjaciel Adalbert był jakąś grubą rybą w środowisku muzycznym, w każdym razie Walpurgis zawsze wszystko wiedziała, jeszcze zanim napisali w gazetach. Postanowiłam zapytać Georga o Adalberta. Może to jego kolega po piórze? Walpurgis wiedziała, że po premierze będzie przyjęcie, na którym telewizja nakręci parę scen dla „Aktualności”. My, dziewczyny z chóru, też mamy być, tylko tak w tle, kiedy Strohnagel będzie objaśniał swoje dzieło, i będą mu ścisnąć dłoń burmistrz i minister kultury. Oczywiście zostali zaproszeni krytycy i emeryt też może przyjść, bo to jego ostatni koncert. Jeżeli starczy czasu, on też będzie mógł powiedzieć parę słów. Walpurgis wiedziała o tym wszystkim i upierała się, że powinniśmy pójść na to przyjęcie, chociaż w rozkładzie naszych obowiązków nic o tym nie było. Poza tym uważała, że powinniśmy stać podczas całego utworu. Więc sprzątnięto krzesła, na które zawsze osuwaliśmy się, zmordowani, po naszych wejściach. Byłam na nią okropnie zła, bo ostatnio wciąż trochę mnie mdliło, zwłaszcza w dusznym powietrzu pod światłami reflektorów, i zawsze bardzo się cieszyłam, że mogę na chwilę klapnąć. Został też poruszony temat stroje. Pan Strohnagel uważał, że chór powinien wystąpić w spokojnych ubraniach spacerowych. Walpurgis natychmiast zaprotestowała. W końcu wszyscy

mamy stroje wieczorowe, a jako profesjonalni śpiewacy musimy także przez wygląd zewnętrzny...

Jej wywody przerwał Willi, emeryt, który oświadczył, że nie ma spokojnego ubrania spacerowego, że ma tylko swój frak. Występował w nim przez czterdzieści pięć lat i nie rozumie, dlaczego na swój ostatni koncert miałby sobie kupować garnitur. Pan Strohnagel zaproponował, że może mu pożyczyć, ale Willi nie chciał wkładać na siebie garnituru pana Strohnagla. Po dłuższej debacie dyrektor zdecydował, że panie mają włożyć stonowane suknie spacerowe, a panowie fraki, że tak będzie pasować do utworu. Dyrygent i kompozytor i tak będą optycznie odróżniać się od chóru. Dyrygent pojawi się w liliowej pelerynce, a kompozytor jak zwykle w białych tenisówkach, białych, pomiętych spodniach i białej płóciennej koszuli, z białą apaszką w długim aż do pępka dekolcie.

Mnie było wszystko jedno, najważniejsze, żeby już było po wszystkim. Ponieważ panie nie mogły dojść do porozumienia, więc w końcu ustalono, że każdy ubierze się jak zechce. Walpurgis upierała się przy strojach wieczorowych, niektóre inne niemal zapluły się z oburzenia i mówiły, że ten kawałek nie zasługuje nawet na najędzniejszy kuchenny fartuch, od czego ja z kolei prawie posusiałam się ze śmiechu, ale Walpurgis nawet się nie uśmiechnęła. Próba trwała bite cztery godziny.

Orkiestra z entuzjazmem potrzasała czterdziestoma krowimi dzwonkami, zgiełk był ogłuszający. Nasz chóralny pisk znów nie odpowiadał rytmicznym wyobrażeniom Walpurgis i w przerwie pobiegła do dyrygenta, który akurat paląc papierosa wychodził z męskiego kibla, odciągnęła go za liliową pelerynkę na stronę i przekonywała. Może targowała się jeszcze o solo na grzebieniu. W każdych innych okolicznościach chętnie odstąpiłabym jej moje solo, zwłaszcza



że znacznie lepiej panowała nad tą partią, ale właśnie dlatego że to była Walpurgis, nie zamierzałam odstąpić jej zaszczytu i sławy solistki na grzebieniu, szczególnie że telewizja chciała pokazać urywki w „Aktualnościach”.

Mimo wyraźnego zakazu Walpurgis na drugie podejście złapałam sobie krzesło i pomiędzy wejściami przysiadłam na skraju, na jednym półdupku. Ten zgiełk, to powietrze, te reflektory, ta przygnębiająca atmosfera pracy, wszystko to źle działało mi na żołądek. Mój układ krążenia też nie był zbyt usłużny. Czy nie powinnam wybrać się do lekarza?

Klaus. Czy nie powinnam do niego zadzwonić? Może zbadałby mnie, tak niezobowiązująco? Nie, dziecko, teraz już nie. To byłoby bardzo nietaktowne. Jeżeli przyjdiesz teraz jako pacjentka, to będzie zupełnie jednoznaczne. Zaraz zaprosi cię na kolację, zacznie cię gwałtownie obejmować i mówić, jak czekał na ten moment. Dziecko, bądźże rozsądna. Weź się w garść, dalej, przygotuj się do sola na grzebieniu, no i podnieś wreszcie pupę z krzesła. Popatrz na Williego, emeryta, ten też cały czas stoi - pomimo swoich żyłaków.

Przemogłam się, wstałam, zrobiło mi się ciemno przed oczami i musiałam pośpiesznie zwiesić w dół głowę, żeby napłynęła do niej krew. Walpurgis uznała to za jeden z moich wygłupów i syknęła z wściekłością. Wzięłam się w garść i odegrałam swoje solo. Zabrakło mi przy tym oddechu. Dźwięki drżały i zamierały. Dyrygent najwyraźniej uznał to za doskonałe brzmienie, spojrzał na mnie z radością. Jeszcze bardziej wściekle spojrzenie Walpurgis. Potem na pewno bez pożegnania wskoczy na swoją miotłę i wyfrunie z Singakademie. Och, jak jej okropnie nie znosiłam.

Gdy próba się wreszcie skończyła, jeszcze długo dźwięczał mi w czaszce okropny zgiełk krowich dzwonek. Modliłam się, żeby jakimś cudem było już po premierze.

## Rozdział XXXI

Za grzechy powszednie, jak wiadomo, Bóg karze natychmiast, ciężkie dłużej przechowuje w swoim kalendarzu, żeby odczekać na stosowne dla pokuty okoliczności. Kiedy się zastanawiam, ile nagrzeszyłam w ciągu ostatniego pół roku, a w dodatku ile przyjemności sprawiły mi te grzechy, muszę uznać rozmiar kary za zupełnie sprawiedliwy. Zresztą sama premiera już była karą, ale to, co mnie na niej spotkało, było szczytem sprawiedliwości.

Gdy rozległ się gong, masy ludzkie zaczęły napływać na swoje miejsca. Pośpiesznie odnoszono kieliszki po szampanie, panusie po raz ostatni cwałowały jeszcze do toalety, żeby sprawdzić odległość skraju modnej spódnicy od chudych kolan, panowie oddawali w szatni norki swoich pań, lokowało się w sali całe środowisko alternatywnych z wypomadowanymi włosami i apaszkami w rozpiętych kołnierzykach, z rękami w kieszeniach, oczywiście obwieszane kolczykami i jakimiś szczególnie męskimi odmianami łańcuszków.

Chór jak zwykle snuł się po foyer, papierosy, śmiechy, ziewanie, niektórzy grali w karty. Panie były ubrane bardzo różnie. Walpurgis tkwiła w połyskującym zielonkawo worze z tiulu, ze śladami szminki na kołnierzu, cha cha cha. Nikt jej o tym nie powiedział, żeby nie zdołała wytrzeć przed „Aktualnościami”. Kobiety w większości ubrane były względnie normalnie, w przyzwoitych wyjściowych ciuchach. Ja po kilkakrotnym rozważeniu w domu za i przeciw włożyłam nobliwy kostium. Dziecko, to przykrywa, myślałam, zwłaszcza długi zakiet litościwie przykryje, że spódnica z trudem się dopina. Dziecko, znów musisz schudnąć, i to pilnie. Odkąd przestałaś jeść twarożek, urósł ci brzuch, zaczynasz wyglądać na niezłą ciotkę, a to niedobrze w twoim wieku.

Willi, emeryt, jak zwykle miał na sobie frak o zielonkawym połysku, mocno wytarty na pupie. Także kamizelka była wyraźnie spłowiała, nie wspominając już o bladej i bezwładnej muszce. Za to skarpetki miał Willi prosto ze sklepu, czego trudno było nie zauważyć, bo wisiał na nich jeszcze kartonik z ceną. Nikt nie powiedział o tym Williemu, bo prawdopodobnie w „Aktualnościach” skarpetki nie zmieszczą się na ekranie.

Paru innych panów z chóru przyszło w strojach pogrzebowych, dwaj młodsi mieli na sobie stroje środowiskowe - wąskie skórzane spodnie i plastikowe krawaty - a chłopak, który miał fikać koziołka, przyszedł w dresie do joggingu. Wszyscy zachowywaliśmy się tak, jakbyśmy wcale nie byli zdenerwowani, jak powiedziałam, snuliśmy się, ziewaliśmy, niektórzy grali w karty. Z rąk do rąk krążył jakiś magazyn ilustrowany, pokazywano sobie modne kreacje księżniczki Diany i smakowite zdjęcia sufletów z siekanym mięsem.

Z garderoby solistów przenikał piskliwy krzyk - rozśpiewywała się sopranistka. Murzyn, głośno wyzywając i gestykulując, udał się do kibla; utożsamiał się ze swoją rolą. W utworze występował zresztą jeszcze chór dziecięcy, ale ten dopiero wieczorem przybył z Belgradu, prawdopodobnie były jakieś trudności z paszportami. Dziewczynki miały na sobie urocze czerwono - białe, haftowane bluzeczki i do tego czerwone plisowane spódniczki, sięgające aż do podkolanówek. Stanowiliśmy więc prawdziwą ucztę dla oka.

Najpierw na scenę wyszły dzieci, grzecznie, w dwuszeregu, potem z głośnym szelestem Walpurgis w swoim zielonym stroju czarownicy. Za nią stopniowo pozostałe panie, potem panowie, a na samym końcu Willi z wiadrem liści. Ludzie klaskali.

Zajęła miejsca orkiestra z krowimi dzwonkami. Chłopaki byli jak zwykle we frakach z muchami, u nich widocznie nie było dyskusji.

Ponieważ nikt nie miał przy sobie instrumentu, naturalnie poza krowim dzwonkiem, był to dość niezwykły widok.

Oklaski wzmogły się, kiedy pojawili się sopranistka, Murzyn i dyrygent. Solistka miała piękną falującą szatę, z wieloma falbanami na plecach, tak że zawsze było widać, kiedy zaczynała śpiewać. Murzyn był w białym fraku i w żółtych butach, i to było bardzo oryginalne. Dyrygent miał swój zwykły liliowy strój, ale dla uczczenia okazji - czarne lakierki z frędzlami. Kompozytor siedział przy pulpicie mikerskim w rzędzie dla publiczności. Nikt by na niego nie zwrócił uwagi, gdyby nie oświetlał go reflektor.

Światła zgasły, zapłonęły reflektory, poczułam się, jakbym była ślepa, tylko małe drobinki kurzu tańczyły mi przed oczami. Że też nikt tego wszystkiego porządnie nie odkurzył, pomyślałam.

Ponieważ nie było oboju, który podałby „a”, musiał je zanucić dyrygent. Ale właściwie nie potrzebowaliśmy żadnego „a”, ponieważ świsty i syki pierwszych taktów miały być bezdźwięczne. „Sine voce”, jak stało w nutach. A więc zaczęliśmy posykiwać, w świetle reflektorów fruwały kropelki śliny, a dyrygent bardzo pięknie i przejrzyście wybijał do tego takt. Orientowałam się zasadniczo po Walpurgis, bo w wątpliwych miejscach zawsze robiła co należy i aż do mojego solo na grzebieniu byliśmy nieźle zsynchronizowani. W pewnym momencie Willi zaczął przepychać swoje wiadro liści na korzystniejszą akustycznie pozycję, co poskutkowało cichymi odgłosami tarcia po parkiecie sceny. Walpurgis z dezaprobatą pokręciła głową, ale nie przestała przy tym świszczec i syczeć; po prostu profesjonalistka do szpiku kości.

Dzieci z Belgradu rozglądały się skonsternowane. Nie znały przecież utworu w całości, znały tylko swoją pieśń „Eia popeia, co szeleści w sianie”, i to znały naprawdę nieźle. Ale ona była dopiero na końcu, o czym dzieci nie wiedziały, dlatego też od czasu do czasu któreś nabierało powietrza i chciało śpiewać „Eia popeia”.

Chętnie popatrzyłabym na reakcje publiczności, ale po pierwsze pod jaskrawym światłem reflektorów na nic nie dało się popatrzeć, a po drugie trzeba się było niesamowicie koncentrować na partyturze. Murzyn zaczął wykrzykiwać i wycierać pot; dyrygent z całych sił zagrzewał go gestami pogróżek i energicznym potrząsaniem głową, przy czym jego długie do ramion włosy, wymyte, puszyste i miękkie, śmiesznie tańczyły mu wokół uszu. Murzyn nie miał długich włosów, ale miał za to swoje erupcje potu, które robiły duże wrażenie. Sopranistka siedziała spięta na swoim krześle i ssała cukierka miętowego, usiłując prawą nogą podążać za taktem.

Dużym zaskoczeniem dla wszystkich uczestników były zakulisowe odgłosy, które nagle zaczęły wydobywać się z głośnika ponad naszymi głowami. Najpierw dał się słyszeć pisk opon, po czym z przeciwległego krańca instalacji stereo rozległ się rozdzierający serce wrzask niemowlęcia, następnie przez dłuższy czas było słychać tylko sapanie mężczyzny. Z całą pewnością było to sapanie mężczyzny, kobiety sapią inaczej. Jakoś tak mniej lubieżnie.

Sykanie zaczęło mnie męczyć, tym bardziej że byłam zupełnie pewna, iż w ogólnym hałasie moje wysiłki są niezauważalne. Przeklęta spódnica była przerażająco ciasna; od miesiący nie miałam na sobie tego głupiego kostiumu. Gdybym mogła trochę rozluźnić zamek błyskawiczny z boku, ale to okropnie rzucałoby się w oczy i Walpurgis nigdy by mi tego nie wybaczyła. Sapanie w głośniku mieszało się teraz z odgłosami przemarszu wojska i to był znak dla sopranistki, że

czas zacząć piszczeć. Byłam coraz bardziej zdenerwowana, bo zbliżało się moje solo na grzebieniu. Na Walpurgis nie było co liczyć. Raczej pozwoliłaby się posypać premierze, niż pomogłaby mi utrafić w odpowiedni moment z moim wejściem. Wytrzeszczałam więc oczy na niespokojnie migoczące przede mną fałdy sukni i usiłowałam liczyć takty. Willi, kompletnie nie zauważony, zaczął szeleścić liśćmi. Żal mi go było. Jakaś dziewczynka z Belgradu nieoczekiwanie stanęła na rękach, co publiczność nagrodziła oklaskami.

Po czym nagle nastąpiła kompletna cisza, nikt nie krzyczał, nie gwizdał i nie klaskał, a moje serce wpadło w panikę, bo myślałam, że przespałam swoje solo na grzebieniu, ale właśnie kiedy chciałam zacząć, jakiś cienki dziecięcy głosik pozwolił sobie zauważyć: „raz i dwa, kotek myszkę ma”. Śliczne, czarujące solo z bloku wschodniego, które widownia przyjęła życzliwym śmiechem. Niestety mój żołądek skojarzył coś z tym wersem i przed oczami pojawiły mi się obrazy spółkujących Finów, w łachmanach, grożących mi kiszka pasztetową, i zrobiło mi się tak okropnie niedobrze, że musiałam oprzeć się na Walpurgis. Murzyn krzyczał, sopranistka piszczała, i w tym momencie do sali z ogłuszającym hukiem wpadł odrzutowiec, latał nad rzędami słuchaczy i nie miał zamiaru się oddalić. Prawdopodobnie nie mógł znaleźć wyjścia. Nogi zachwiały się pode mną, chciałam zatkać sobie uszy, ale tego nie było w partyturze. Kątem oka widziałam jeszcze, jak nasz najmłodszy fika koziołka, przy czym niebezpiecznie zbliżył się do kanału dla orkiestry, a potem rozszalały się krowie dzwonki, przeraźliwie ostro i ogłuszająco. Dyrygent skinął głową z zachwytem, żaden hałas nie był dla niego zbyt głośny, a kompozytor regulował coś na swoim pulpicie. Drobinki kurzu biegały pośpiesznie w świetle reflektorów, dzieci z Belgradu krzywiły się płaczliwie, a ja, ja uczepiłam się zielonej koszuli nocnej Walpurgis i po prostu

padłam. Wylądowałam na podłodze, byłam całkowicie oślepią, nic nie widziałam, czułam tylko zimny pot na czole i pod żakietem. Nie wszystko jestem w stanie sobie przypomnieć, pamiętam tylko, że nagle hałas umilkł i że reflektor był skierowany na mnie, i że teraz kolej na moje solo na grzebieniu. Zapadła śmiertelna cisza, słyszałam tylko, jak usiłuję łapać powietrze i jak wybrzmiewają echa krowich dzwonek w mojej głowie.

Musiało minąć kilka sekund, po czym Walpurgis swoim metalicznym głosem, donośnie i wyraźnie powiedziała:

- Ona zasłabła!

W śmiertelnej ciszy Singakademie pobrzmiwało tylko echo jej słów. Zapaliły się światła, drobinki kurzu przestały tańczyć, spośród publiczności poderwało się dwóch mężczyzn i zapinając guziki marynarek zaczęli wbiegać po stopniach na scenę. Jednym z nich był Georg, poznałam go po pochylonej sylwetce. Ten drugi to musiał być lekarz teatralny, zbliżał się z prawej strony, z czarną walizką. Niestety musiałam trochę zwymiotować, na środku sceny, ale widzowie uznali to za najbardziej udany efekt w całym spektaklu i zaczęli entuzjastycznie bić brawo.

Murzyn z fantastycznym refleksem podał mi swoją wielką białą chusteczkę do wycierania potu, którą przez cały czas miętosił w rękach. Nigdy mu tego nie zapomnę. Dyrygent rozglądał się za kompozytorem, ten bezradnie wzruszał ramionami. Ludzie wciąż klaskali, niektórzy nawet wstali i klaskali do bólu rąk. Tymczasem lekarz teatralny jednocześnie z Georgiem wdrapał się na scenę i ciężkim krokiem podszedł do mnie.

To był Klaus.

Dzisiejszego wieczoru lekarzem teatralnym był Klaus.

Georg przyklęknął koło mnie i chciał trzymać mnie za rękę, ale z czarnego garnituru wyłonił się Klaus i ofuknął go,

żeby nie przeszkadzał mu w wypełnianiu zawodowych obowiązków lekarza teatralnego. Georg odpowiedział rozdrażniony, że ma pełne prawo troszczyć się o tę panią, a publiczność przestała klaskać i zaczęła nasłuchiwać wymiany zdań. Klaus energicznie postawił na podłodze swoją ciężką czarną walizeczkę, podłożył mi pod głowę swoją marynarkę i zaczął grzebać w walizeczce. Georg wykorzystał ten moment, żeby potrzymać mnie za rękę i powiedzieć: - Kochanie, co ty wyprawiasz? - a publiczność patrzyła jak urzeczona. Willi przestał szeleścić swoimi liśćmi i powiedział gniewnie: - Nikt nie słucha! - Klaus po raz drugi odsunął Georga i powiedział bardzo głośno, że utrudnianie lekarzowi opieki nad chorym jest karalne i że ma prawo wnieść oskarżenie w tej sprawie. Kilka osób się zaśmiało, rozległo się kilka aprobujących gwizdów, z tylnych rzędów zabrzmiały oklaski. Ja obserwowałam twarz Klause z mojej perspektywy żaby.

Kiedy mnie wynoszono, oklaski wzmogły się i zmieszały z pełnymi uznania gwizdami. Georg szedł w nogach noszy. Klaus trzymał mnie za rękę licząc tętno, przy czym jeszcze kopnął wiadro z liśćmi. Willi mruknął: - Uważaj, chłopie, gdzie masz oczy! - a Walpurgis próbowała oddać Murzynowi jego chustkę do potu, której on jednak już nie chciał.

Zanim zamknięto drzwi prowadzące na scenę, dziecięcy chór z Belgradu zaczął śpiewać: „Eia popeia, co szeleści w sianie”. A potem ostatecznie straciłam przytomność.



## Rozdział XXXII

No więc niestety nie należę do dam w rodzaju Królowny Śnieżki czy Śpiącej Królowny, które w kłopotliwej sytuacji po prostu układają się w kącie i śpią, aż zbudzi je pocałunek jakiegoś księcia czy żaby, a wtedy szepczą w niepamięci zbielełymi wargami: „Gdzie ja jestem?”

Podarowany mi przez niebiosy sen trwał najwyżej pięć minut. Potem musiałam biernie uczestniczyć w dialogu, który prowadzili moi dwaj ratownicy. Leżałam w pokoju lekarskim na kanapie z widokiem na fotografię naszego dyrygenta.

- Mówiłem, żeby pan zaczekał na korytarzu - powiedział lekarz teatralny do krytyka.

- Uważam, że mam prawo do informacji o stanie jej zdrowia - zaprotestował krytyk.

- Jak pan widzi, jeszcze żyje - zauważył opryskliwie lekarz. - Jeśli już musi pan tu tkwić, to proszę mi podać tę czarną walizeczkę tam z tyłu!

Ukazał się stetoskop i zostałam osłuchana.

- Wygląda na to, że wszystko jest w porządku - powiedział lekarz. - Niech się pan nie martwi. Przeżyje. A teraz niech pan wraca na swoje miejsce, w końcu jest pan tu służbowo!

Georg rzeczywiście opuścił pomieszczenie.

- Co za dureń! - skomentował Klaus do siebie, wobec czego uznałam, że przyzwoitość wymaga, abym otworzyła oczy.

- Klaus, od teraz wszystko słyszę - uprzedziłam.

- I nic dziwnego! - odezwał się Klaus. - Jesteś zdrowa jak ryba. Ale radziłbym ci udać się do ginekologa. Mam pewne podejrzenie!

- Co za podejrzenie? - wybąkałam zdjeta strachem.

- Nie pora teraz na wywiad - powiedział doktor. - Posłuchaj, jeżeli w jakikolwiek sposób dotyczy to mnie, to nie

chciałbym, żebyś zrobiła coś nie przemyślanego. Ale jeśli to mnie nie dotyczy, to cała ta sprawa mnie nie obchodzi. - Po krótkiej przerwie dodał: - Zawsze możesz do mnie zadzwonić. Ale chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiała: to odnosi się tylko do ciebie, a nie do tego starszego pana. Jeżeli ta sprawa dotyczy i jego, niestety musisz poszukać sobie innego lekarza. W przeciwnym razie masz mój telefon. Życzę powrotu do zdrowia!

I zniknął. Zabrzęczał sygnalizator w jego koszuli. Prawdopodobnie znowu ktoś padł, i nic dziwnego, przy tej muzyce! Zwlokłam się z kanapy, spojrzałam w lustro. A więc tak się wygląda, kiedy...

Ach mój Boże, teraz muszę udowodnić, że jestem naprawdę kobietą wyzwoloną. Dalej, dziecko, nie wieszaj się z wyciem na pierwszym lepszym, wyjdź na świeże powietrze i do domu. Żeby tylko nikogo nie spotkać!

Istotnie udało mi się niepostrzeżenie zniknąć tylnym wyjściem.

Spacer w wieczornym powietrzu dobrze mi zrobił.

W skołatanej czasce myśli tłukły mi się w rytm marsza. Mężczyźni. Najpierw ganiają za człowiekiem, a w decydującym momencie w tył zwrot, bo jeden musi napisać recenzję, a drugiemu brzęczy sygnalizator. W decydującym momencie żaden nie trzyma mnie za rękę i muszę sama iść do domu w za ciasnej spódnicy. Teraz, w punkcie zwrotnym mojego życia, teraz jestem sama i nikt mnie nie kocha, teraz mam tylko dziecko pod sercem, i żaden z panów nie przyzna się do niego. Jasne, powiedziała ciocia Lili. Dziecko, od razu wiedziałam, że tak będzie. Wszyscy mężczyźni są tacy sami. (Ciocia Lili nigdy nie powiedziała, że wszyscy mężczyźni to świnię!)

Ciociu Lili, co ja mam teraz zrobić?

W żadnym wypadku się nie załamywać, powiedziała ciocia Lili ostry tonem. Idź do domu, połóż się do łóżka, prześpij się spokojnie. Rano pójdziesz do ginekologa. Krok po kroku. Jakoś sobie poradzisz. Istnieje przecież Urząd do Spraw Młodzieży. Nie wylądujesz na ulicy. Chociaż zasłużyłaś na to.

Tak, powiedziałam ufnie. Jakoś sobie poradzę.

Skoro do tej pory nie zdecydowałaś się na żadnego mężczyznę, to i teraz tego nie rób, dziecko. Jak by to wyglądało. Nie potrzebujesz współczucia. Kiedyś, kiedyś dziewczyny były skazane na ślub, żeby nie pokazywano ich palcami. Ale dzisiaj, dzisiaj są przecież inne możliwości! Są Domy Kobiet czy jak to się tam nazywa...

Chodzi ci o Domy Samotnej Matki, ciociu Lili. Domy Kobiet są dla kobiet zaniedbanych!

Wiesz, o co mi chodzi. Najwidoczniej zresztą świetnie się orientujesz. Tylko jednego nie wolno ci zrobić, dziecko: nie wolno ci gonić za żadnym mężczyzną. Nigdy. Choćbyś była w ciąży z trojaczkami. Nie rób tego. Posłuchaj mnie. Tego by jeszcze brakowało, żebyś była skazana na byle jakiego faceta tylko dlatego, że się z nim trochę zabawiałaś. Zabawa się skończyła, teraz sytuacja jest poważna. A w poważnych sytuacjach kobiety zawsze muszą sobie radzić same.

Niesamowite, jakie doświadczenie życiowe miała ciocia Lili. Przyznałam jej rację i przez całą długą drogę do domu wspólnie wygadywałyśmy na mężczyzn.

Najpierw się przymilać, jak to im się człowiek podoba, a potem diminuendo i odwrót, powiedziałam.

No tak, wpadłaś całkiem typowo, zauważyła zjadliwie ciocia Lili. To przecież jasne, czego od ciebie chcieli. W moich czasach też tak było. Mężczyznom chodzi tylko o jedno, a jak już to dostaną, przestajesz być dla nich interesująca.

Ciocia Lili zdawała się nie pamiętać, jak ja się z nimi obchodziłam. Ale nie miałam ochoty jej o tym przypominać. Jasne, ciociu Lili. Wszyscy mężczyźni to świnię.

Przynajmniej Georg mógłby ci zaproponować małżeństwo, gniewała się ciocia Lili. Tak po prostu zniknąć z garderoby! Też mi bohater! Ale przecież to doktor go wyrzucił!

A jednak! Spodziewałam się po nim większego formatu! Mężczyzna w tak poważnym wieku nie powinien być pozwolić potraktować się w ten sposób komuś znacznie młodszemu! Powinien był ożenić się z tobą! Na miejscu! Wiesz, co on teraz porabia? Pije szampana na tym przyjęciu i robi piękne oczy do Walpurgis!

Nie, ciociu Lili, nie wierzę w to. Nie możesz tak o nim myśleć!

Dziecko, nie bądź naiwna. Oczywiście, że robi teraz piękne oczy do Walpurgis! I pozuje z nią do „Aktualności”!

Nie mogłam znieść tej myśli. Uspokój się, ciociu Lili! Georg nie jest taki. Nie znasz go. On naprawdę mnie kocha!

Bzdury, dziecko. Gdyby naprawdę cię kochał, byłby tu teraz i ożeniłby się z tobą, najpóźniej jutro.

Ależ on chciał się ze mną ożenić!

No tak, dziecko, więc to już naprawdę wyłącznie twoja wina. Po prostu, nie trzeba było zadawać się z żonatym mężczyzną. Teraz musisz sama wypić to piwo.

Przez jakiś czas szłyśmy obok siebie w milczeniu. Potem ciocia Lili powiedziała: A ten drugi, ten doktor, też jest żonaty, prawda? W końcu on też mógłby być ojcem!

Och, jakże głęboką rację miała ciocia Lili! Ten też się ulotnił, tylko dlatego że rozbrzęczał się jego sygnalizator. On też w najmniejszym stopniu nie poczuł się odpowiedzialny i zostawił mnie samą na deszczu.

A ten trzeci? - łajała ciocia Lili. Ten Szwed czy Szkot...

Chodzi ci o tego Fina? - spytałam przerażona.

Tak, szydziła ciocia Lili. Przecież wszystko jest możliwe, może nie? Nie myśl sobie, że możesz zwalić odpowiedzialność na biednego doktora. Ten Fin, ten wytatuowany drab... Lepiej nie myśleć. Ten ci nawet alimentów nie będzie płacił! Mój potwór rzucił się w bagno grzechu, pełne łez, i tarzał się w nim obficie i z rozkoszą.

Od samego patrzenia popłynęły mi łzy z oczu.

### Rozdział XXXIII

Ginekolog wyliczył termin na połowę sierpnia i powiedział wesoło:

- To będzie lew!

Był wyraźnie zadowolony. Ja nie.

Lwica - lwiątko, A lew? Georg nie zgłosił się od koncertu. Jasne, przecież musiał napisać recenzję tej światowej prapremiery.

Poszłam do domu i otworzyłam gazetę. „Hommage fur Alban Berg” był wielkim sukcesem. Cała strona poświęcona kulturze pełna była pochwał tej owianej legendą światowej prapremiery, jednoczącej elementy ludzkiego tu i teraz z najróżnorodniejszymi możliwościami ekspresji epoki nowoczesnych technik brzmieniowych. Już w „Aktualnościach” zachwycano się niewyczerpaną fantazją twórczą kompozytora, który nie cofnął się przed trudem zespolenia efektów z dziedziny życia ludzkiego ze swoim zamierzeniem artystycznym. Spektakl miał zostać zaprezentowany w różnych ośrodkach kulturalnych Europy; w Turynie, Mediolanie, Wenecji, Tel Awiwie i St. Polten.

Zadzwoiłam do Walpurgis, żeby zapytać o dalszy przebieg koncertu.

- Było rewelacyjnie, absolutnie rewelacyjnie - powiedziała. - W przyszłym tygodniu wyjeżdżamy na tournée, ale ty nie musisz jechać, powinnaś najpierw odpocząć. A w ogóle jak się czujesz? Zresztą w tej sytuacji ja dostanę twoje solo na grzebieniu, po tym jak wczoraj wypadło. Pan Strohnagel powiedział, że to była jedyna rzecz z wczorajszego wieczoru, nad którą ubolewa, że akurat to piękne solo na grzebieniu, z motywami z „Lulu” Albana Berga, że bardzo odczuł jego brak. Ale jutro przed południem jestem z nim umówiona w Studio pięć, popracujemy nad tą solówką. No,

trzymaj się, muszę teraz pilnie poćwiczyć na grzebieniu i mam jeszcze tyle roboty przed tą podróżą... - Odłożyła słuchawkę.

Jak to dobrze, że nie oczekiwała odpowiedzi na pytanie, jak się czuję. Zadzwoiłam do inspicjenta i zgłosiłam, że jestem chora. Potem siedziałam i wsłuchiwałam się w ciszę. Szczególnie w ciszę panującą we mnie, w środku.

Nie było nawet cioci Lili. Pewnie poszła na zakupy. Albo odprowadzała potwora do schroniska dla zwierząt. Prawdopodobnie istnieje coś takiego. Zakłady poprawcze dla zaniedbanych potworów.

Telefon milczał.

Dlaczego nie dzwoni Georg?

Dlaczego Klaus nie pyta, jak się czuję?

Połowa sierpnia. Połowa sierpnia minus dziewięć...

Liczyłam na palcach i przewracałam kartki w kalendarzu.

Aha. Byłam w Knispel. Ta noc, w której byłam mu taka wdzięczna.

A więc jednak.

Dlaczego facet nie poczuwa się do odpowiedzialności? W końcu też umie liczyć do dziewięciu. Zadzwoiłam do gabinetu.

Zgłosił się znajomy chłodny głos kobiety. Powiedziałam, że chciałabym rozmawiać z panem doktorem.

- Pan doktor już tu nie pracuje - pouczyła mnie pani doktor. Czy może coś dla mnie zrobić?

- Nie, dziękuję - bąknęłam i położyłam słuchawkę. A więc nie ma go już we wspólnym gabinecie. No tak, ale gdzie mam w takim razie szukać ojca mojego dziecka?

Wcale nie szukać. O ile on w ogóle jest ojcem twojego dziecka. Weź się w garść, nie przyklejaj się do żadnego mężczyzny, przecież to wszystko omówiłyśmy już wczoraj wieczorem, dziecko!

No dobrze, a Georg? - spytałam i znowu złapałam za słuchawkę.

Nie! Jeżeli on sam nie zadzwoni, ty go nie ścigaj!

O.K., ciociu Lili, powiedziałam. To miło, że już jesteś!



## Rozdział XXXIV

Trzy dni później zadzwonił Georg. Był bardzo zajęty w związku z światową prapremierą i miał wyjazd służbowy. Czy pozwoliłabym się odwiedzić.

Łaskawie pozwoliłam, wszak umierałam z samotności i rozczulenia nad sobą.

Kiedy przyszedł, prowokacyjnie wypięłam brzuch. - Jak się czujesz, najdroższa lwico? - spytał i wcisnął mi w rękę zawilec.

- Jestem w ciąży - powiedziałam i poszłam szukać flakonu.

W salonie panowała cisza, a kiedy wróciłam, obracał w rękach kapelusz.

- Nie usiądziesz? - dodałam mu odwagi, biednemu ojcu mimo woli. Jasne, tego rodzaju radosne niespodzianki trzeba przetrwać. W każdym razie nie przycisnął mnie ze wzruszeniem do serca, oświadczając, że chce mnie pojąć za żonę. Siedzieliśmy naprzeciw siebie, ja na kociej kanapie, on w zbutwiałym fotelu cioci Lili, i milczeliśmy.

- Ścięło cię? - zapytałam z nadzieją.

- Tak, trochę - przyznał i przekręcił kapelusz.

- No tak - powiedziałam. Jakoś w końcu musi zareagować, jeśli już nie łzami radości, to przynajmniej wielkodusznym pytaniem, na jakie konto ma przekazywać alimenty. Nic. Kolejny obrót kapelusza. Cały Georg. Skąd w ogóle wziął ten głupi kapelusz?

- Georg, czy mogę coś dla ciebie zrobić? - zapytałam zachęcająco. Wyraźnie lepiej od niego panowałam nad sytuacją. Trzeba mu dać czas, to jasne. Może musi teraz pójść prędko wyjaśnić swoje sprawy rodzinne, a potem będzie mógł się ze mną ożenić.

- Nie, dziękuję. - Wstał, popatrzył na podłogę, podszedł do drzwi i powiedział: - Do widzenia.

Bach. Poszedł. Nie powiedział: Ukochana lwico, w ciąży jesteś czarująca. Po prostu wyszedł. Nie zostawiając mi papierosa. Trochę się popłakałam ze zdziwienia.

A więc zostałam sama. Należało mi się. Obaj panowie, którzy niegdyś tak mnie żarliwie adorowali, teraz rzucili mnie w kąć i prawdopodobnie dawno już o mnie zapomnieli. I ja usiłowałam wykreślić ich z pamięci.

Kilka tygodni później wybrałam się do Urzędu do Spraw Młodzieży i zgłosiłam się jako przyszła samotna matka.

Stary kierownik urzędu za biurkiem chciał się dowiedzieć, kto jest winowajcą.

Uparcie milczałam i wydawałam się sobie przy tym nieskończenie szlachetna. Joanna d'Arc na stosie zapewne nie czuła się o wiele lepiej niż ja, kiedy narażając się na kłopoty, dzielnie zachowywałam milczenie w kwestii pochodzenia mojego dziecka.

- A więc kto? - powtórzył inkwizytor i spojrzał na mnie ponad oprawą okularów.

- Nie powiem.

- Miła pani - pouczył mnie kierownik urzędu - jeśli nie chce pani powiedzieć, oczywiście ma pani do tego pełne prawo.

- Świetnie - powiedziałam. - To jesteśmy zgodni w tej kwestii.

- Nie tak prędko - powiedział kierownik. - Za panią ja nie odpowiadam. Ale odpowiadam za dziecko.

- Nie rozumiem - spytałam. - Chce mi pan pomagać w wyborze pieluchomajtek?

- Nie, to nie to - powiedział autorytet zza swojego biurka.  
- Ale mam obowiązek wyegzekwować pieniądze, które domniemany ojciec jest winny dziecku.

Domniemany ojciec. Facet był kuty na cztery nogi.

- A jeśli nie wskażę ojca? - spytałam.

- Wtedy zapomogę dla dziecka trzeba będzie ściągnąć z podatków - pouczył mnie urzędnik.

- No tak, to też jest rozwiązanie - ucieszyłam się. Kiedy podniosłam się z krzesła, stary nie zatrzymywał mnie.

## Rozdział XXXV

Jakiś czas potem zaczęłam się rozglądać za odpowiednim kursem przygotowującym do rodzenia. Kartkowałam broszury, od których roi się w poczekalniach gabinetów ginekologicznych. Wszystkie te zeszyty pełne były pięknych i promiennych dziewcząt w fartuszkach z falbankami na pękatych brzuchach, z łagodnym uśmiechem układających różowego misia w uroczym koszu dla niemowląt albo po prostu stojących przy firance i patrzących w zadumie na kobierce konwalii, rosnących przypadkowo pod kuchennym oknem.

Najbardziej denerwowały mnie zdjęcia, na których troskliwi mężowie ostrożnie kładli rękę na brzuchu albo nawet przykładali do niego ucho. Co za głupi kicz. Mnie trzeba było sfotografować, mnie, jak w ciążyowym kostiumie kąpielowym zawzięcie płynę swoim torem w krytym basenie miejskim.

Mój ciążyowy kostium kąpielowy był jaskrawopomarańczowy i wiązany na szyi. Wyglądałam w nim jak jeden z tych przepisowych miejskich worów na odpadki, które jeżeli są przepisowo zamknięte, mogą być nieodpłatnie zabierane przez uprzejmych panów z przedsiębiorstwa oczyszczania miasta.

Mnie jakoś nie zabrał jeszcze nieodpłatnie żaden uprzejmy pan z przedsiębiorstwa oczyszczania, takiej samotnej ciężarówki.

Właśnie zamierzałam opuścić drogerię, kiedy podczas degustowania jakiegoś zapachu zauważyłam przy wejściu panią, która wydała mi się znajoma.

Zastanawiałam się, skąd też mogę ją znać, kiedy zagaiła:

- Ach, jak miło, że cię spotykam - powiedziała i potrząsnęła uroczymi kosmykami. - Georg dawno już o tobie nie mówił.

To była Freia! Żona Georga!

- Co u ciebie? - zawołała radośnie i zlustrowała mnie od stóp do głów. - Ależ to widać, co u ciebie! - ucieszyła się. - A więc wyszłaś za męża!

- Za kogo? - spytałam głupio.

- To chciałabym usłyszeć od ciebie - promieniała Freia. - Georga na pewno też to zainteresuje. Chodź. Pójdziemy wypić kawę, masz czas?

Jasne, że miałam czas.

Rzadko kiedy miałam tyle czasu. A więc poszłyśmy wypić kawę. Kiedy nie przyjąłam papierosa, którym mnie poczęstowała, Freia powiedziała:

- Ach tak, w twoim stanie lepiej nie! Ale powiedz, kim jest twój szczęśliwy małżonek?

Przyszedł kelner, zamówiła kawę i szklanekę mleka z miodem. Czy chciała mi dać w dupę? (Dziecko!) Czy naprawdę nie wiedziała, że Georg nawiał?

- Jak się miewa Georg? - odwróciłam pytanie. Najpierw zdobyć teren i pochłeptać mleko z miodem.

- Myślę, że dobrze - powiedziała Freia i wpuściła pastylkę sacharyny do swojej filiżanki. - Od czasu do czasu spotykamy się ze względu na Ninę. Dużo podróżuje, o ile mi wiadomo, ma też nową przyjaciółkę, jest śpiewaczką, tak jak ty.

- Znam ją? - spytałam, próbując jakoś przetrwać ukłucie w sercu.

- Walburga Jakaśtam - powiedziała Freia.

Spojrzałam na kozuch w moim mleku. Walpurgis. Niemożliwe! Walpurgis i Georg. Umarłabym ze śmiechu, gdyby to nie bolało.

- Jak on ją poznał? - spytałam osłupiała.

- O ile wiem, na tym koncercie Strohnağla. Tam chyba był jakiś bankiet, telewizja...

- Wiem - powiedziałam.

- No, a ty? Powiedz wreszcie, co słyhać u ciebie! Georg ucieszy się, kiedy mu powiem, że cię spotkałam. Dzisiaj wieczorem przyjdzie odwiedzić Ninę. Będę mu mogła od razu wszystko opowiedzieć!

A więc Freia nie miała o niczym pojęcia. Wszystkiego spodziewałabym się po Georgu, ale żeby zapłodnić jedną chórzystkę, a potem gruchać z drugą, której gachem jest jego praktykant... Na psa urok! Wzięłam kilka oddechów, bo nie wiedziałam od czego zacząć, po czym uświadomiłam Freię, jaki to z tego jej Georga rzadki okaz łotra. Wyrażałam się co prawda w sposób bardziej wyszukany.

- Sądziłam, że twój mąż okaże się szlachetniejszy - zaczęłam.

- Dlaczego? Nie rozstaliście się w zgodzie?

- Powiedział: „Do widzenia” i poszedł.

- Ale... przecież będziesz miała dziecko z kimś innym!

- To wcale nie jest takie pewne.

- To znaczy... Jak to, nie jest takie pewne? - Była wyraźnie zbита z tropu.

- No tak - powiedziałam. - - Zupełnie prawdopodobne, że Georg jest ojcem. A któżby inny.

To było wprawdzie obmawianie, i to w najgorszym stylu, ale ten facet zasłużył sobie na to, żeby oczernić go przed jego eks - żoną. Poza tym muszę pilnie ostrzec Walpurgis. Z nią może zrobić to samo. My, kobiety, musimy trzymać sztamę. Postanowiłam, że jednak zażadam od niego alimentów. Zaraz jutro pójdę do kierownika i zadenuncjuję Georga.

„Znany krytyk zapłodnił śpiewaczkę!” - będą pisać w gazetach. I drobniejszym drukiem: „Śpiewaczka nie mieści się już w żadnej sukni koncertowej. Odszkodowanie!” I to będzie koniec jego sławy, jego konta, a przede wszystkim jego romansu z głupią Walpurgis.

Freia wzięła mnie za rękę i spojrzała na mnie przenikliwie.

- Naprawdę tak myślisz? - spytała. - Więc nigdy o tym nie rozmawialiście... Nigdy ci nie mówił...

- Nigdy nie rozmawialiśmy o dzieciach, zawsze było o wiele za romantycznie, żeby rozmawiać o pigułce. Ale też nigdy mnie nie pytał, głupiec!

Wybuchnęła głośnym śmiechem. Doprawdy miło było widzieć, że ta wytworna osoba potrafi się tak dźwięcznie śmiać.

- Ale on nie może być ojcem! - zawołała z zachwytem, a paru facetów od sąsiedniego stolika obejrzało się na nas.

- Jak to nie może? - zapytałam. - Jasne, że może. I to jak może!

- A więc nigdy ci nie mówił? - zwróciła się do swojej filiżanki z kawą. - Właściwie to do niego podobne.

- Czego mi nigdy nie mówił? Że nie może... Ale przecież macie córkę! - Coś zaczęło mi świtać, ale zaraz znowu miałam w głowie mrok.

- Córka urodziła się dziesięć lat temu - powiedziała Freia.

- No to co? - powiedziałam zła. - Nie jest znowu taki stary. Charlie Chaplin miał jeszcze dziecko po siedemdziesiątce.

- Bo nie próbował temu zaradzić - odpowiedziała Freia.

- Jak to, za...? - Teraz naprawdę zaczęło mi świtać. - Georg się... wyste... - Chwilowo nie wiedziałam, czy u mężczyzny nazywa się to tak samo jak u kota.

- No tak, po Ninie nie chcieliśmy już mieć więcej dzieci - powiedziała Freia. - Ja wciąż byłam w rozjazdach, Georg też... Oboje uważaliśmy, że nasze małżeństwo nie udźwignie ciężaru drugiego dziecka. I ponieważ ta decyzja była ostateczna, Georg... dał się wysterylizować.

- Nie tak głośno - powiedziałam i obejrzałam się na facetów przy stoliku obok, którzy od dawna przestali

rozmawiać. Nasz temat uznali za znacznie bardziej interesujący.

- A ty cały czas myślisz, że Georg jest ojcem? - zapytała, z wysiłkiem ścisząc głos. - No tak, to musisz uważać go za prawdziwą świnię.

Mężczyźni przy sąsiednim stoliku roześmiali się.

- Tak jest - powiedział jeden z nich. - Wszyscy mężczyźni to prawdziwe świnię.

Freia spojrzała na nich ze złością.

- Proszę pilnować swoich spraw - powiedziała.

- No tak, raczej nie byłam zachwycona jego zachowaniem - wyjaśniłam Frei, która z wrażenia musiała zapalić drugiego papierosa.

Ja z wrażenia też zapaliłam. Jeden, jedyny raz w ciągu całej ciąży, ciociu Lilii, naprawdę!

Paliliśmy i patrzyliśmy na siebie. Frei pierwszej udało się przemówić.

- Ale przecież nie możesz być teraz zupełnie bezradna - powiedziała. - Przecież w takim razie musi wchodzić w grę ktoś inny.

- Tak, ale on uważa, że to Georg! - powiedziałam. - Ten już dawno się wycofał, zostawiłam go ze względu na Georga.

- Ach, co za gówna - powiedziała Freia, a facet przy sąsiednim stoliku szepnął:

- Jakie słownictwo!

- W takim razie teraz do niego i wszystko mu wyjaśnić! - zawołała Freia. - Jeszcze Polska nie zginęła!

Nie wiedziałam, co ma do tego kryzys polityczny w bloku wschodnim, więc powiedziałam tylko:

- Niece..., słuchaj, on też ma swoją dumę, i ja zresztą też. Nie zrobię tego. Jakoś poradzę sobie sama.

- Jak to, w ogóle nie chcesz mu tego powiedzieć?

- Nie. Właściwie po co? I tak jest żonaty.



- Ach, co za gówno - powtórzyła Freia, ale tym razem żaden z facetów przy sąsiednim stoliku się nie zaśmiał. Teraz chłopaki byli zbyt przejęci.

- Ależ z ciebie numer - powiedziała Freia osłupiała. - Dwaj żonaci mężczyźni... Jednocześnie...

- Nie, to nie było jednocześnie - uspokoiłam ją. - Zawsze było na zmianę. Źle mnie oceniłaś!

Przemilczałam, że było prawie trzech, bo ciocia Lilii kopnęła mnie pod stołem w kostkę, a poza tym fiński dzik w ogóle nie wchodził w grę ze względu na termin.

- Ale musisz mu o tym powiedzieć - zawołała Freia. - Może on cię kocha! Może się rozwiedzie!

- Tak, trzeba spróbować - powiedział facet od sąsiedniego stolika. - Jeszcze Polska nie zginęła!

- Mógł wcześniej się nad tym zastanowić - powiedziałam uparcie. - W końcu od stycznia wie, że jestem w ciąży. Osobiście postawił diagnozę. A Georg był przy tym. I obaj się wycofali!

- Obaj uważają się wzajemnie za ojców! Jasne, że każdy chciał dać pierwszeństwo drugiemu! - Freia była zachwycona swoją zdolnością kojarzenia faktów.

- To zupełnie jak w książce - powiedział drugi facet od sąsiedniego stolika.

- Postawił diagnozę? - spytała Freia. - Czy ten drugi jest lekarzem?

- Właśnie - sapnęłam z trudem.

- Jak się nazywa? - spytał pierwszy facet od stolika obok. - Może go znam. Powiem mu, co o tym myślę.

- Nic mu pan nie powie - obróciłam się do niego z furią. - Sama mogę mu powiedzieć, co o tym myślę. Ale nie chcę.

## Rozdział XXXVI

Kiedy nadeszło lato i przekwitły konwalie pod kuchennymi oknami ciężarnych, kiedy miejskie baseny na wolnym powietrzu zapełniły się ludźmi i zamieniły w olbrzymie doły do sikania, postanowiłam nie radować więcej serc bliźnich widokiem publicznego wora na odpadki, jaki przedstawiałam. W tym czasie przybrałam rozmiary młodego hipopotama i martwiłam się trochę o swoją figurę.

Wybrałam się na kurs gimnastyki dla ciężarnych. Pierwszą rzeczą, która mnie mile uderzyła po przekroczeniu progu mrocznego pomieszczenia w suterenie, był widok mnóstwa wielkich brzuchów. Nareszcie więc nie stanowiłam lokalnego centrum rozrywkowego dla otoczenia. Przeciwnie: nikt nie zwracał na mnie uwagi, kiedy z pewnym wysiłkiem sadowiłam się na wolnym materacu.

Rozejrzałam się w półmroku. Wokół siedziały i leżały ciężarne, wszystkie z mniej lub bardziej wydatną przybudówką. Co mnie niemile zaskoczyło, to obecność wielu mężczyzn. Czego ci tu chcą? Gapie? Niech tam. Ale dlaczego i oni porozwalali się na materacach?

Weszła położna. Miała na sobie biały fartuch, a na nogach domowe pantofle. Była płaska jak deska i miała usta jak jedna z ropuch Helmuta.

W rękach trzymała wełniane majtki.

- Zanim zaczniemy się dzisiaj odprężyć - powiedziała bardzo serio - chcę państwu pokazać niezbędny element garderoby na pierwszy okres.

Wyciągnęliśmy szyje, żeby lepiej zobaczyć. Mogłaby zapalić światło. Oświadczyła, że majtki są z czystej, nie farbowanej owczej wełny i że niemowlę może się do nich bezkarnie wysuszać około siedemdziesięciu razy, zanim zaczną śmierdzieć. Ale w żadnym wypadku nie wolno ich prać, w przeciwnym razie stracą swoją czesankowość, a poza

tym zbiegną się. Należy je suszyć w przewiewnym miejscu i najlepiej zaopatrzyć się w więcej takich majtek, żeby niemowlę mogło do nich siusiać na zmianę.

Uczestnicy kursu pokiwali głowami, a zgarbiony facet na materacu przede mną notował wszystko w zeszycie. Para koło mnie dyskutowała po cichu.

Ja też uznałam, że to bardzo ciekawe, te majtki nieśmierdki, i postanowiłam zastanowić się nad zakupem. Podczas kiedy położna udzielała dalszych wyjaśnień, majtki wędrowały przez czterdzieści par rąk, obmacywane i obwąchiwane. Kiedy przyszła moja kolej, ja też je obmacałam. Alternatywne wełniane suche dessous.

Położna nazywała się Rheingarten - Schlotterkamp, była zatem zamężną kobietą pracującą. Jak ładnie. Powitała mnie jako „nową twarz”, po czym powiedziała, że następnym razem mogę też przyprowadzić swojego partnera.

- Przekażę mu - powiedziałam.

Potem zaczęliśmy ćwiczenia relaksujące. Pani Rheingarten - Schlotterkamp powiedziała, żebyśmy się położyli na plecach.

Powszechnie przetaczanie się i stękanie na materacach. Wreszcie wszyscy leżeli płasko na plecach, mężczyźni też.

- Teraz wyczuwamy okolice lędźwi - rozkazała pani Rheingarten - Schlotterkamp. Podniosłam głowę, żeby zobaczyć, gdzie mogą się znajdować okolice lędźwi. Inne wyczuwały na chybił trafił pod swoją kulą ziemską.

Obok mnie leżał brodaty rudzielec. Też wyczuwał swoje okolice lędźwi. Miał bestialsko śmierdzące skarpetki, skrzywiłam się.

- Czy istnieją także skarpetki z niefarbowanej owczej wełny? - spytałam panią Rheingarten - Schlotterkamp, która akurat przechodziła sprawdzając uchwyt wyczuwający okolice lędźwi.

- Skarpetki? Dlaczego? Prawdopodobnie istnieją, dowiem się - powiedziała i schyliła się, żeby przesunąć mi rękę pięć centymetrów w kierunku brzucha.

- Chodzi mi o skarpetki dla przyszłych ojców - dodałam, a pani Rheingarten - Schlotterkamp powiedziała, żeby ktoś otworzył okno. - Przy tylu uczestnikach tu jest po prostu duszno - wyjaśniła.

Rudzielec obojętnie wyczuwał okolice swojej dwunastnicy. Położna skorygowała mu ułożenie rąk.

- Tak, teraz oddychamy wszyscy głęboko do brzucha - zawołała pani Rheingarten - Schlotterkamp i dało się słyszeć ogólne wzdychanie i sapanie.

- Jak jest. Czy przy wdechu brzuch podnosi się czy opada? - zapytała.

Wzdychanie i sapanie przerwała pełna zastanowienia pauza.

- Opada - odezwał się jakiś bas.

- Bzdura, podnosi się - powiedział inny męski głos.

- Można dalej oddychać - pozwoliła pani Rheingarten - Schlotterkamp.

- A teraz przychodzą bóle - powiedziała pani Rheingarten - Schlotterkamp. - Wszyscy próbujemy oddychać, bardzo głęboko i równomiernie.

Próbowaliśmy. Szczególnie typ w śmierdzących skarpetkach. Leżał na materacu z zamkniętymi oczami i z całej siły wdychał i wydychał, kurczowo wbijając przy tym palce w swoją flanelową koszulę.

- Nadchodzą bóle - zawołała pani Rheingarten - Schlotterkamp - oddychamy głębooko do brzuuucha!

Nie odczuwałam żadnych bólów, ale oddychałam dokładnie tak jak inni. Przy każdym wdechu wdzierał mi się do nosa kłęb smrodu z sąsiedniego materaca. Miałam

nadzieję, że podczas rozwiązania nie będzie w pobliżu żadnego alternatywnego ojca.

- Teraz markujemy, ponieważ przecież jeszcze nie wolno - powiedziała pani Rheingarten - Schlotterkamp. Markowaliśmy.

- A kiedy będziemy mogli przecież? - zapytał mężczyzna z końca sali. Markowanie wydawało mu się zbyt infantylne.

- Przecież można dopiero wtedy, kiedy pozwoli na to położna - wyjaśniła pani Rheingarten - Schlotterkamp. - Znowu się odprężamy i oddychamy głęboko do brzuucha...

- Z tymi bólami to do niczego - mruknął rudy właściciel śmierzących skarpetek koło mnie i usiadł.

- A teraz siadamy - powiedziała położna. - Każdy jak mu wygodnie. Panie mogą oprzeć się na mężczyznach.

Z braku mężczyzny oparłam się na donicy z jukką.

- Teraz panowie masują paniom plecy - zaproponowała pani Rheingarten - Schlotterkamp. Ogólna gorliwość, pełne zachwyty, lubieżne stękanie i westchnienia. Próbowałam trochę pocierać mój zbolący kręgosłup o doniczkę z jukką, ale pani Rheingarten - Schlotterkamp doskoczyła zaraz na ratunek swojej roślince.

- Czy jest tu jeszcze ktoś bez mężczyzny? - rzuciła w ciemność tonem groźby. Nikt nie był bez mężczyzny. Wszyscy byli zajęci wzajemnym ugniataniem sobie pleców i lubieżnym sapaniem.

- To ja dzisiaj będę pani mężem - powiedziała położna i przysiadła się do mnie na materac.

Następnie pozwoliła mi masować swoje chude plecy i powiedziała, żebym w domu dokładnie tak samo kazała się masować swojemu partnerowi. Żeby wiedział, w jaki sposób może mi pomóc przy porodzie.

- Mężczyzn trzeba jakoś zająć, bo inaczej nie wytrzymują - powiedziała cicho. - Rodzenie czasem trwa godzinami, a położna nie zawsze może być przy pani. Wtedy jest ważne, żeby pani mąż się nie denerwował. A więc pani go zajmie.

- Jasne, zajmę go - powiedziałam. Jak to dobrze, że nie będę miała tego problemu.

Pani Rheingarten - Schlotterkamp lekką stopą wskoczyła w swoje kapcie i zawołała:

- Dość. Teraz proszę swobodnie usiąść i wspólnie zastanowimy się, jak możemy sobie zorganizować godziny porodu.

- Możemy wziąć ze sobą radio - powiedział długowłose typ pod ścianą. Kobieta, z której uszu zwisały dwie plastikowe słuchawki telefoniczne, z aprobatą pokiwała głową.

- O tak, posłuchać porządnej muzyki, takiej z feeling, to będzie easy - powiedziała.

- To jest pomysł, owszem - potwierdziła pani Rheingarten - Schlotterkamp. - Proszę wziąć pod uwagę, mówiłam to już naszej nowej uczestniczce, że poród może trwać bardzo długo. Położna i lekarz nie będą mogli stale przebywać w państwa salce. Musicie państwo sami zorganizować sobie etap wstępny.

- Jasna sprawa - zgodził się długowłose.

- Powinniście państwo wziąć sobie też coś do jedzenia - powiedziała położna. - Zwłaszcza mężczyźni powinni się pokrzepić.

- My rodzimy w domu - powiedziała dziewczyna z kosmykami, której mąż w ogrodniczkach właśnie robił sobie skręta. - Mogę upiec pizzę.

- Jeżeli da pani radę - pani Rheingarten - Schlotterkamp uśmiechnęła się podstępnie. - Dobrze. Inne pomysły?

- My zawsze gramy w łapki - powiedziała okularnica za mną. - Wtedy czas płynie szybciej.

- Też dobry pomysł - pochwaliła położna.
- Można też wziąć gorącą kąpiel!

I ta propozycja została przyjęta z aprobatą. Powoli nabierałam przekonania, że taki poród to świetna rozrywka, i zastanawiałam się, czy nie powinnam zaprosić sąsiadów i kolegów na domowe muzykowanie. Na pewno da się zorganizować parę skrzypiec i klarnetów. Bo granie w łapki uważam za okropnie nudne.

- Dobrze, teraz nauczymy się nowego ćwiczenia relaksującego - zapowiedziała pani Rheingarten - Schlotterkamp. - Siadamy wszyscy na dłoniach.

Usiedliśmy, a moje dłonie mocno spłaszczyły się pod osiemdziesięcioma sześcioma kilogramami żywej wagi.

- Czujecie państwo mięśnie pośladków? Proszę trochę się nimi pobawić!

Popodrygiwaliśmy trochę na pupach, do bólu w przygniatanych dłoniach.

- Bardzo dobrze - pochwaliła położna. - A teraz ćwiczenie, którego panowie niestety nie będą mogli z nami zrobić.

Rozejrzałam się dookoła z zadowoleniem. Aha. Nareszcie chłopaki nie mogą sprostać.

- Poszukamy teraz mięśnia dna miednicy - poleciała pani Rheingarten - Schlotterkamp.

- Gdzie też on może być? - zażartował typ przy drzwiach.

- Pan w ogóle go nie ma! - powiedziała pani Rheingarten - Schlotterkamp. - Mają go tylko kobiety.

- A gdzie? - zainteresowałam się.

- No tak, widzi pani - powiedziała położna - mogę pani wszystko pokazać, mogę przed panią stanąć na głowie, mogę zademonstrować pani oddychanie brzuszne, ale swój mięsień dna miednicy, ten niestety musi pani sobie sama znaleźć. Niech pani poszuka! To dotyczy tylko kobiet! - krzyknęła

zdenerwowana, kiedy kilku chłopaków znowu w skupieniu zaczęło się wczuwać w swoje ogrodniczki.

Obserwowałam inne dziewczyny. Miały takie napięte twarze, jakby jadły kurze gówno. Niektóre znów poruszały się jak przy galopie na mięśniach pośladków.

- Nie, nie wolno się paniom poruszać - zawołała pani Rheingarten - Schlotterkamp, chwytając jedną z dziewczyn za ramię. - Jeśli panie się ruszają, to jest niedobrze. Mięśnia dna miednicy nie można zobaczyć, można go tylko wyczuć.

- To tak, jakbyś dusiła siusiu - powiedziała okularnica za mną, która zawsze podczas porodu gra w łapki.

- Dlaczego miałabym dusić siusiu? - zapytałam. Nie mogłam się dopatrzeć sensu w tym ćwiczeniu.

- Powinny panie odprężyć mięsień dna miednicy - pouczyła nas położna. - Oczywiście mogą panie to zrobić dopiero wtedy, kiedy panie go znajdą. Po to musicie panie teraz się nim trochę pobawić.

Spróbowałam trochę pobawić się swoją cewką moczową, ale uznałam to ćwiczenie za nieprzyzwoite. Było mi nieswojo i postanowiłam skończyć z tą bzdurą.

- Dobrze. I na koniec jeszcze raz się odprężymy - powiedziała pani Rheingarten - Schlotterkamp. Kobiety przestały jeść kurze gówno, a mężczyźni cieszyli się z ponownej integracji. Naprawdę cierpieli, że nie wolno im było uczestniczyć w ostatnim ćwiczeniu.

- Kładziemy się z boku na plecy.

Powszechnie przetaczanie się i stękanie jak na początku. Rudy właściciel śmierdzących skarpetek obok mnie też przetoczył się z boku na plecy, jakby miał w brzuchu co najmniej trojaczki.

Następnie pani Rheingarten - Schlotterkamp włączyła magnetofon kasetowy. Zabrzmiała muzyka hinduska czy południowonepalska, nie jestem zanadto obeznana w



konkurencji. Wszyscy leżeli w całkowitej ciszy, pozwalając się usypiać rzępoleniu na krzywulach i fletniach Pana. Kiedy już prawie spałam, pani Rheingarten - Schlotterkamp powiedziała:

- Oczy są zamknięte, czoło całkowicie odprężone i bez zmarszczek. Rudzielec koło mnie obmacał czoło i skontrolował oczy. O.K. Były zamknięte.

- Dolna szczęka opada na piersi - powiedziała pani Rheingarten - Schlotterkamp. - Oddychamy głęboko i równomiernie.

Fletnia Pana jodłowała w obrębie pentatoniki, krzywuła akurat zdychała w pianissimo. Słysząc było oddechy uczestników kursu. Równomiernie wnikały we mnie fale smrodu.

- Język leży w ustach szeroko i płasko.

Niesamowite, jakie pomysły ma pani Rheingarten - Schlotterkamp.

- Czujemy wargi, leżą na sobie zupełnie luźno. Siekacze nie dotykają się wzajemnie.

Jasne, naprawdę dobrze pomyślany ten program odprężający. Jeżeli zęby się nie dotykają, to w histerycznych skurczach bólu człowiek nie odgryzie sobie języka, pomyślałam.

- Teraz znów otwieramy oczy... Otwieramy usta... Podnosimy głowę... Poruszamy ramionami... Przewracamy się na bok i powoli siadamy... Panowie pomagają paniom wstać...

Wygramoliłam się z pomocą donicy z jukką. Nie uszło to uwagi pani Rheingarten - Schlotterkamp. Chyba bardzo lubiła to drzewko. - A pani niech nie zapomni następnym razem przyprowadzić męża! - zwróciła się do mnie.

- Jasne, przyprowadzę - powiedziałam.

## Rozdział XXXVII

Parę dni później spotkałam Helmuta. Akurat wychodził ze sklepu z szyldem DOMOWY OGRÓD ZOOLOGICZNY, kupował robaki czy sałatę dla swoich ropuch. Bardzo się ucieszył, że mnie widzi, i ukradkiem lustrował mój brzuch.

- Kiedy termin? - zapytał.

- Za trzy tygodnie - powiedziałam. Opowiedziałam mu, jakie to stresujące, te wszystkie przygotowania, zwłaszcza że z moim brzuchem nie mogę transportować mebli do wyposażenia pokoju dziecięcego, a co dopiero montować je w domu. Helmut natychmiast dał się złapać; zaproponował, że wyręczy mnie w tych pracach, że akurat i tak nie ma nic do roboty.

W nadziei że ropuchy nie zdechną tymczasem z głodu, wcisnęłam się do jego mazdy i pojechaliśmy kupić łóżeczko dziecinne i stół do przewijania.

- Przydałby się też taki wehikuł - powiedziałam, kiedy na przejściu dla pieszych mijaliśmy wózek.

Weszliśmy do „Małpisonka”, tak nazywał się wielki sklep z artykułami dla dzieci na tyłach Hertie, i zaczęły się zakupy. Były tam jeszcze inne pary w ciąży, które obładowywały swoje wózki śpioszkami z froty, czapeczkami dla noworodków i nie przepuszczającymi prześcieradłami. Na jednym ze stoisk odkryłam też alternatywne wełniane majteczki - nieśmierdki i zaczęłam zachwalać Helmutowi ich walory. Ale sprzedawczyni przekonała nas, że jednak jedyną skuteczną ochronę przed wilgocią zapewniają pampersy, a poza tym są także najbardziej higieniczne.

- Od czegoś trzeba zacząć - powiedziałam do Helmuta i wrzuciłam do wózka praktyczne oszczędnościowe opakowanie rodzinne z osiemdziesięcioma ośmioma pampersami MAXI - SUPER - ELASTIC. Helmut spytał, czy moje dziecko będzie miało wagę pomiędzy dwunastoma a

dwudziestoma czterema kilogramami. Jeśli nie, to powinnam raczej zacząć od MINI - SUPER - ELASTIC. Przyznałam, że wprawdzie spodziewam się dziecka czteroipółkilowego, ale chyba jednak na początek wystarczą mniejsze pampersy.

Potem sprzedawczyni poprowadziła nas do działu ze stołami do przewijania i łóżeczkami. Było tam mnóstwo miłych sercu rzeczy. Zafascynowało mnie na przykład wysokie łóżeczko ze ślizgawką, ale Helmut ośmielił się zauważyć, że moje dziecko prawdopodobnie w pierwszych miesiącach nie będzie miało ochoty się ślizgać.

Po czym zdecydowaliśmy się na przenośny kosz za sto pięćdziesiąt siedem marek, bo sprzedawczyni uważała, że nie należy na początek robić zbyt wielu zakupów, w końcu dostaje się jeszcze mnóstwo rzeczy w prezencie od rodziny i przyjaciół.

- Jasne - powiedziałam - Potem będziemy musieli układać łóżka jedno na drugim do sufitu i tylko będą zbierać kurz.

Stoły do przewijania były tak drogie, że postanowiłam wykorzystać do tego celu moje stare biurko. Czy w szufladach poniewierają się zeszyty nutowe i widelki stroikowe, czy pieluchomajtki i pudełeczka z kremem, to dla biurka zupełnie obojętne.

Z dużym zadowoleniem stwierdziłam, że najważniejsze sprawunki zostały załatwione, na co Helmut przypomniał mi o wózku.

- Ach tak, potrzebujemy jeszcze wózek - powiedziałam do sprzedawczyni.

- Dla kogo? - spytała.

- No, dla niego - powiedziałam i wskazałam palcem na brzuch.

- W takim razie potrzebujecie państwo wózek, w którym dziecko może leżeć - stwierdziła cierpliwie uprzejma sprzedawczyni. Zaraz załapała, że ma do czynienia z

absolutnymi nowicjuszami. Zostaliśmy więc poprowadzeni przez długie przejście, na którego końcu parkowały wszelkie możliwe rodzaje wózków dziecięcych. - Możecie się państwo spokojnie rozejrzeć - powiedziała. - Jeśli będziecie państwo mieli jakieś pytanie, chętnie podejść. - I poszła doradzać panu, który chciał kupić fotelik samochodowy dla swojego niemowlaka.

A więc rozglądaliśmy się spokojnie. Podobało mi się eleganckie pudło z wielkimi kołami i fantazyjnymi sprężynami, do którego koniecznie trzeba by nałożyć szpilki i skórzany kostium, w przeciwnym razie człowiek nie pasowałby do modelu.

Helmut powiedział, że może mi trochę nie odpowiadać cena, i miał w tym względzie zupełną rację. Były też te solidne niemieckie, stabilne, praktyczne kombi, które w instytucie kontroli jakości dostały trzy plusy i które można było nabyć w kolorze różu, jasnego błękitu i ciemnej perły. Były przytulne, składane, zadziwiająco zwrotne, z nieprzemakalnym wyposażeniem wewnętrznym, poza tym nadawały się do prania ręcznego w temperaturze trzydziestu stopni i miały parasol od słońca i okrycie od deszczu z odpowiednio dopasowanym wzorem. Fantastyczne, czego to ludzie nie wymyślą! Niestety, ten bezołowiowy turbodiesel z napędem na cztery koła kosztował swoje siedemset marek, więc przeszłam do stelaża z alternatywnymi chustami do noszenia dzieci po dwadzieścia cztery marki trzydzieści. Nasza sprzedawczyni tymczasem sprzedała panu fotelik samochodowy dla niemowląt, a on wziął go pod pachę, ponieważ nie mieścił się do czarnej aktówki, i skierował się w stronę wyjścia. Na chwilę przestało mi bić serce. To był Klaus.

Widziałam go od przodu tylko przez sekundę, ale teraz, kiedy wpatrywałam się w szerokie plecy, poznałam go też po

chodzie. Klaus Klett. Co ten facet tu robi z fotelikiem dla niemowląt? Kolana mi drżały, tak że musiałam przysiąc na poręczy kojca.

Sprzedawczyni pośpiesznie podsunęła mi krzesło.

- Źle się pani czuje? - spytała troskliwie. - To się zdarza. Zwłaszcza teraz, jak jest tak gorąco...

Oddychałam ciężko i czułam, jak bije mi serce.

Klaus. A więc jest jeszcze w K. Dlaczego ani razu nie zadzwonił, przekłety łobuz? Dlaczego muszę tu stać z Helmutem i kupować alternatywne bawełniane chusty do noszenia dzieci? Dlaczego podły dezenter uchyla się od opieki nad matką swojego dziecka? Miałam ochotę pobiec za nim, ale z moim brzuchem było to absolutnie niemożliwe. Zresztą ciocia Lili nigdy by na to nie pozwoliła.

Helmut spytał, czy zdecydowałam się na chustę. W przystępie wściekłości na Klause, który jednak w przyszłości będzie łaskaw płacić mi alimenty, powiedziałam, że mimo wszystko wezmę ten turbodiesel z napędem na cztery koła, zdalnym sterowaniem i wbudowaną instalacją stereo, i z obiciem z naturalnej skóry. Sprzedawczyni z przykrością stwierdziła, że ten egzemplarz został już sprzedany, i w ten sposób kupiłam drugi, najdroższy, z parasolem od słońca i dopasowanymi kolorystycznie krzeselkami do ogrodu, za osiemset dziewięćdziesiąt osiem marek.

- Rachunek proszę wypisać na gabinet doktora Kletta - powiedziałam z wściekłością.

- Co za zbieg okoliczności - zauważyła sprzedawczyni. - Fotelik dla niemowląt tego pana przed chwilą też został zapisany na rachunek pana doktora Kletta; zapłacił euroczekiem.

- Wiem - bąknęłam i z jękiem podniosłam się z krzesła. Na ten sam rachunek poszedł jeszcze różowy stół do przewijania, trzy zmiany bielizny pościelowej (wybraliśmy z

Helmutem takie ze słoniem), nocnik (pomimo zapewnień sprzedawczyni, że w pierwszym okresie nie będzie potrzebny), zegarek zabawkę z pozytywką („Księżyc wzeszedł” w F - dur), podgrzewacz (w środku lata nie był niezbędny, ale jednak!), śpiworek, również ze słoniem, cztery kaftaniki, cztery pary skarpetek, dwie bawełniane koszulki rozmiar sześćdziesiąt dwa z awangardowymi napisami, cztery pary niebieskich śpiochów, termometr lekarski, osiem butelek z odpowiednio wyprofilowanymi smoczkami, cztery piszczące smoczki - gryzaczki, bąk, dwie książeczki do malowania, drewniany pociąg. Do tego odciągacz pokarmu, naczynie do sterylizacji, grzechotka, kółeczko - gryzaczek, miś, mówiąca lala, trzykołowy rowerek, pluszowy zwierzaczek. Helmut kilkakrotnie przywoływał mnie do opamiętania, ciocia Lili protestowała gwałtownie, a ja kupowałam, kupowałam, kupowałam.

W końcu byłam mokra od potu, musiałam znowu usiąść, zamówiłam sobie ręcznie wyciskany sok z pomarańczy (sprzedawczyni zapytała Helmuta, czy zawsze pijam wyciskany), po czym kazałam sprowadzić taksówkę. Gdy już prawie załadowałam się ze swoim brzuchem, zawołałam jeszcze do zupełnie osłupiałego Helmuta, żeby kazał dopisać do rachunku wanienkę z termometrem i pływającą kaczką.

Po czym pojechałam do domu i czułam się wspaniale.

## Rozdział XXXVIII

Trzy dni później zadzwonił telefon.

- Gabinet doktor Klett, łączę.

- To niech pani łączy - powiedziałam i spróbowałam się odprężyć, tak jak nauczyłam się u pani Rheingarten - Schlotterkamp.

- Klett - odezwał się zimny kobiecy głos, a ja powiedziałam:

- Słucham panią?

- Czy to pani przysłała ten rachunek ze sklepu z artykułami dla dzieci?

- Oczywiście - przyznałam i zaczęłam obgryzać paznokcie.

- Dlaczego wystawiła pani rachunek na mój gabinet? - zapytała pani Klett, chłodna blondynka Irene.

- Dlatego, że przecież pracuje tam niejaki Klaus Klett - odpowiedziałam i wyplułam kawałek paznokcia na dywan.

- Jeżeli ma pani na myśli mojego eks - męża, to on od dawna już tu nie pracuje - powiedziała Irene i nagle krzyknęła:

- Ina, ja rozmawiam przez telefon!!

- Ja też - powiedziałam, bo przestraszył mnie ten nagły wybuch. Zdaje się, że Ina sobie poszła, ponieważ Irene znów mówiła normalnym głosem.

- Więc co mogę dla pani zrobić?

- Przekazać rachunek Klausowi Klettowi. - Nie mam jego adresu - powiedziała Irene.

- Nie ma pani jego adresu? - powtórzyłam kompletnie osłupiała. Czyżbym musiała teraz sama zapłacić ten rachunek, z zasiłku na dziecko? Ten dziadek w Urzędzie do Spraw Młodzieży nie dorzuci mi ani marki, tego byłam zupełnie pewna.

- Ale przecież musi pani mieć adres swojego eks - męża - wysiekałam.

- Wpędził panią w kłopoty? - droczyła się.  
- Tak - powiedziałam. - Nasze scherzo amoroso na alt i bas - baryton niespodziewanie przeszło w finale fatale na piccolo fortissimo i alt con sordino!

Irene zaśmiała się do słuchawki.

- Ach, pani jest tą śpiewaczką, opowiadał mi o pani.

- Tak? I co pani o mnie naopowiadał? - sapnęłam.

- Że panią kocha i że ożeni się z panią, ale od tego czasu minęło już przynajmniej pięć miesięcy i zdaje się, że to z tym ożenkiem się nie sprawdziło. Ja nie miałam z tym nic wspólnego. On zrezygnował z gabinetu, a ja z niego. Całkiem po prostu. Ina, ja rozmawiam!

- Zrezygnował z gabinetu?

- Tak, powiedział, że kocha panią, a moje pieniądze są mu obojętne, i że ożeni się z panią, i odszedł.

- Ale wcale się ze mną nie ożenił - zdziwiłam się.

- To już pani osobisty pech - powiedziała Irene. - W każdym razie nic nie mogę zrobić z tym rachunkiem. Odeślę go pani, jaki jest pani adres?

- Dom Ubogich, ulica Głódowa 1B - powiedziałam i położyłam słuchawkę.

Jutro przyjdzie komornik i mój rozstrojony Engelbert i moja blaszanka pójdą pod młotek.



## Rozdział XXXIX

Na tydzień przed przewidywanym terminem porodu wybrałam się z Helmutem na kurs przewijania. Tak bardzo bałam się solowego występu w tych kręgach, że po prostu zmusiłam Helmuta, żeby mi towarzyszył. Zwabiłam go kolacją. Helmut, który i tak nie miał innych planów oprócz przesadzania swoich ropuch, chętnie poszedł ze mną. Zawsze interesowały go kursy przewijania, powiedział, a jego matka z aparatem słuchowym myślała, że idziemy do kina i życzyła nam dobrej zabawy. Nie mam pojęcia, jak Helmut wytłumaczył jej mój brzuch, ale nie można wykluczyć, że w ogóle go nie zauważyła, bo na jedno oko nic nie widzi, a na drugie jest krótkowidzem.

A więc poszliśmy do kliniki, w której zamierzałam rodzić (to była święta Redempcja sióstr redemptorystek) i tłoczyliśmy się z innymi ciężarnymi parami w pomieszczeniu opatrzonym szyldem „Kurs przewijania. Początkujący i zaawansowani”. Siostra Friedeburg, czerstwa siedemdziesięciolatka, postawiła na dwóch krzesłach wanienkę i zaczęła przedstawienie. Nad wanną wisiał krzyż. Pomimo to siostra Friedeburg rozebrała do naga bezpłciową lalkę z gumy, po czym ostrożnie włożyła ją do wanienki.

- Przecież w tej wanience nie ma wody - stwierdziła jakaś mądrała w luźnej sukience.

- Nie potrzebujemy wody do naszej demonstracji - powiedziała siostra Friedeburg - zwłaszcza że Juleczka bardzo łatwo się przeziębia.

Następnie patrzyliśmy wszyscy z nabożeństwem, jak Juleczka została namydlona gumką do wycierania, z wyjątkiem miejsca między nogami, ale tam i tak nie było czego namydlać.

Helmut z zainteresowaniem wyciągał szyję, żeby niczego nie przegapić.

Powietrze i tu nadawało się do powieszenia siekiery, ale przynajmniej wszyscy byli w butach. Poza tym i tak nie było innych możliwości, tu w świętej Redempcji u sióstr redemptorystek nie było sal porodowych z czerwoną bielizną pościelową ani podwójnych łóżek, nawet muzyka pop była niepożądana, nie mówiąc już o graniu w łapki.

Teraz wszyscy po kolei mogli potrzymać Juleczkę, i to nie tak, jak celowo błędnie demonstrowała siostra Friedeburg, za ramię czy za nogę, ale dwiema rękami, delikatnie, pod głowę i pod pupę. Wszyscy popróbowaliśmy, uznałam, że Juleczka jest zimna i woskowata, i o wiele za lekka.

Helmut też potrzymał Juleczkę, ale szybko oddał ją następnej osobie, bo bał się, że ktoś mógłby za długo na niego patrzeć.

Helmut był jak ja: nieśmiały, okropnie nieśmiały! Następnie uczyliśmy się zawijać Juleczkę, w pampersy zresztą, co jest najprostsze, jak zauważyła z pogardą siostra Friedeburg, ale także w przyzwoite pocziwe pieluchy z tetry. To była jej namiętność. Zapakowała Juleczkę tak fachowo, że wszyscy zbaranieliśmy. Kilkoro ochotników chciało nauczyć się trików z węzłem marynarskim, ale ja przecież zdecydowałam się już na SUPER - MINI w praktycznym oszczędnościowym opakowaniu, figurujące zresztą na rachunku Klause.

Więc właściwie nie było się czego uczyć i postanowiliśmy wyjść. Miałam zamiar zgodnie z obietnicą zaprosić Helmuta do Greków.

W drzwiach zderzyłam się z mężczyzną w białym fartuchu. Co za głupi facet! Nie widzi, że jestem w ciąży?

- Bardzo mi przykro - powiedział pośpiesznie, a ja burknęłam:

- Mam nadzieję.

Był już o pięć metrów za mną, kiedy podskoczyłam jak ukłuta przez tarantulę (na ile było to możliwe w moim stanie): to znowu był Klaus. Klaus Klett.

Mam go, pomyślałam, wreszcie dostanie rachunek! Odwrócił się, zatrzymał, wytrzeszczył oczy na mnie, a potem na Helmuta.

- Dobry wieczór - wybąkał i znów spojrzął na Helmuta, a potem na mnie, a potem na mój brzuch, a potem na Helmuta. Miał stetoskop na szyi i dzinsy pod białym fartuchem, i białe sportowe buty. Prawdziwy szyk.

- Cześć - powiedziałam i położyłam ręce na brzuchu, to był gest obrony nie narodzonego życia, z wymową: „Nie dotykaj nas!”

- Czy mogę z tobą chwilę porozmawiać? - spytał Klaus.

- Czemu nie, chyba znajdziemy wolną chwilę, co, Helmut? Helmut stwierdził, że musi jeszcze sprawdzić poziom oleju w swojej mazdzie, i opuścił klinikę w sposób przypominający ucieczkę. Klaus pociągnął mnie do ciasnego pomieszczenia, w którym stał ekspres do kawy, i wypłoszył dwie siostry.

- Siostry już dawno powinny być w laboratorium! - ofuknął je, a one zgasiły papierosy, wzięły pod pachę jakieś listy i ulotniły się.

- Oczekiwałem cię tutaj dopiero w przyszłym tygodniu - powiedział Klaus.

- Jak to oczekiwałeś - zdziwiłam się. - Wydajesz party?

- Nie, ale chciałem być przy porodzie - powiedział Klaus.

- No nie, ależ masz pomysły - zbeształam go. - Być przy porodzie, żebym cię bawiła, grała z tobą w karty, żebyś się nie denerwował! To absolutnie nie wchodzi w grę! Sama mogę sobie przynieść moje radio!

- Nie jesteś już z tym krytykiem, prawda? - stwierdził Klaus i położył mi swoją łapę na ramieniu.

- Nieee - powiedziałam.
- A kim jest ten facet pod szpitalem?
- To mój przyjaciel Helmut. Hoduje ropuchy i ma niedosłyszającą matkę. - Żyjesz z nim?
- Nie, on żyje ze swoja matką i ropuchami.
- Kochasz go?
- Kogo?
- Tego kolekcjonera ropuch.
- Nieee. Co za pomysł.

Klaus odwrócił się i wziął kilka głębokich oddechów.

- Dlaczego nie jesteś już z Lalinde? - spytał, głaszcząc palcem rurę od grzejnika koło umywalki.

- Och, jakoś tak wyszło - powiedziałam. - Okazało się, że jestem w ciąży, i spodobała mu się Walpurgis.

- Tak, wiem - powiedział Klaus. - Kazałem go obserwować.

- Kazałeś go co?

- No tak, wynająłem detektywa, żeby popatrzył mu trochę na ręce. To był zresztą ten sam, którego przedtem Irene napuściła na mnie, kiedy byłem z tobą. Chodził za nami całymi dniami. Irene była dość dobrze poinformowana, facet był nawet z nami w Ulm!

To dopiero stosunki! „Pan Puntila i jego sługa Matti” (Brecht!). A więc detektyw. Georg został zdemaskowany. Kobieciarz. Nieodpowiedzialny.

- Zdaje się, że nie czuje się odpowiedzialny za dziecko? - spytał Klaus.

- Bo nie jest - powiedziałam dwuznacznie.

Klaus naturalnie nie zrozumiał, bo tego jego szpicel Matti z pewnością nie zdołał wywąchać.

- Na pewno jesteś zbyt dumna, żeby żądać od niego pieniędzy? - drążył dalej.

- Nie chcę forsy - powiedziałam butnie. Właściwie to bardziej odnosiło się do niego, Klause.

- Już od pięciu miesięcy nie jesteście ze sobą, prawda? - kontynuował przesłuchanie.

- Teraz ja stawiam pytania - zaprotestowałam. - Dlaczego zniknąłeś tak bez śladu? Dlaczego nawet nie spytałeś, czy nie mógłbyś się przyłożyć do jakiegoś śliniaczka? Dlaczego zabrakło ci nawet odwagi, żeby zostawić swój adres Irene? Dlaczego biegasz w białym fartuchu po tym szpitalu, odpędzasz siostry od ekspresu do kawy i kupujesz w „Małpisonku” krzeselko dla niemowląt?

Tego ostatniego właściwie wcale nie chciałam powiedzieć, ale jakoś tak mi się wypsnęło.

- Skąd wiesz o tym krzeselku? - spytał Klaus zaskoczony.

- Sługa Matti - odparłam wieloznacznie.

Klaus wziął sobie filiżankę z kawą, wypił łyk, po czym podsunął mi. Miałam raczej ochotę na piwo z sokiem malinowym (ależ te ciężarne wydziwiają).

- Teraz uważaj - powiedział. Usiadł na brzegu stołu, przy czym pogniótł kilka kart. - Zleciłem obserwację Georga, kiedy zacząłem podejrzewać, że on wcale nie ma zamiaru się z tobą ożenić.

- On... ze mną? Ja... z nim! - zadrwiłam. - Poza tym, kto dzisiaj się żeni? Nie ma głupich!

- Daj mi skończyć, zmij - powiedział Klaus.

Przy żmii coś mi się przypomniało. Przecież na dworze Helmut majstruje przy swojej mazdzie.

- Powinnam poinformować Helmuta, że mamy tu coś do omówienia. Wyszłam na parking, żeby wysłać Helmuta do jego ropuch. Powiedziałam mu, że jutro pójdziemy do Greków i żeby pozdrowił swoją matkę.

Klaus ściągnął tymczasem swój fartuch. W dzinsach i adidasach wyglądał jak Burt Reynolds.

- No więc ten Georg nie troszczył się o ciebie, nieważne z jakich powodów - podjął Klaus przerwany wątek.

Przeniosłam swój brzuch ponad kantem stołu i wypłam łyk kawy. Nie troszczył się o mnie! Co za bzdura! Sama potrafię się o siebie zatroszczyć.

- Przez jakiś czas przyglądałem się temu i wyciągałem wnioski - kontynuował Klaus. - Nie chciałem już więcej biegać za tobą, to sobie poprzysiągłem. Ale myślałem, że ty zadzwonisz do mnie, potem jak skończyła się historia z Lalinde. Dlatego czekałem.

Wykonałam tylko pogardliwe - Ha! - Na kolację mógł mnie od czasu do czasu zaprosić. Niekoniecznie przecież do Daikotai. Wystarczyłoby do zwykłej greckiej restauracji.

- Potem rozwiódłem się z Irene, bo niczego nie robię do połowy. Zgodziła się na rozwód, bo nie robiłem żadnych trudności z gabinetem. Mogła go zatrzymać wyłącznie dla siebie.

- I dla Iny - dorzuciłam.

- I dla Iny - powiedział Klaus. - A skąd wiesz o Inie?

- Matti - powiedziałam wieloznacznie.

- Rozwód kosztował mnie sześć tygodni i całe moje żyrokonto - kontynuował Klaus. Biedny chłopak. A teraz jeszcze rachunek z „Małpisonka”. Strasznie mi go było szkoda.

- Potem zacząłem rozglądać się za jakimś odpowiednim zajęciem - opowiadał dalej. - Ponieważ wiedziałem, że dla ciebie wchodzi w rachubę tylko K., chwilowo zrezygnowałem z myśli o gabinecie i jestem teraz naczelnym lekarzem w tej klinice.

Zdaje się, że w tym fachu to degradacja. Prawdopodobnie dlatego nie zaprosił mnie do Daikotai.

- Wynająłem czteropokojowe mieszkanie w Klettenbergu i względnie przytulnie je urządziłem - zakończył Klaus swoje kompleksowe sprawozdanie za ostatnie półrocze.

- I myślisz, że wierzę choć w jedno słowo? - powiedziała i wypila łyk kawy. - W jedno jedyne słowo?

Wstał z kart i powiedział:

- Chodź, zawiozę cię do domu.

No proszę, jak prędko dał za wygraną, miły Klaus. Kiedy szliśmy przez parking, nagle stanęłam.

- Przykro mi, szefie, ale chwilowo nie pasuję do tego pudła na podryw ze skórzanymi łupinami od orzecha. Nie będę mogła dostatecznie easy odprężyć sobie mięśnia dna miednicy - powiedziałam.

- Nie ma już czerwonego BMW - odpowiedział Klaus i poprowadził mnie na ukos przez parking.

Było już późno i na parkingu stało niewiele samochodów. Całkiem z tyłu, w części zarezerwowanej dla lekarzy, parkował samotny szary opel rodzinny, kombi, przestronny i niespecjalnie wystrzałowy.

Otworzył drzwi i ostrożnie posadził mnie na tylnym siedzeniu.

Siedzenie obok kierowcy było bowiem zajęte.

Przez wzmiankowany fotelik dla dziecka.

Koniec

Akcja i postacie powieści są oczywiście wyłącznym tworem wyobraźni autorki.

Naprawdę!